

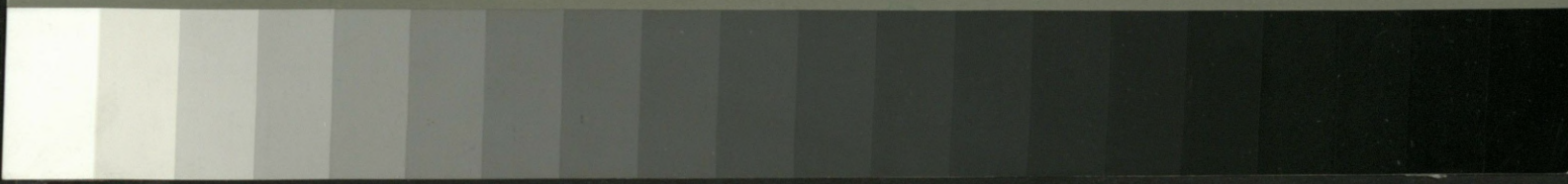
R G B WH GR BL

Grey Scale #13

C M Y K

DANES-PICTA .COM

A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19



Inches 1 2 3 4 5 6 7 8

Centimetres 1 2 3 4 5 6 7 8 9 10 11 12 13 14 15 16 17 18 19

Blue Cyan Green Yellow Red Magenta White 3/Color Black

Colour Chart #13

DANES-PICTA .COM



SYLWETY EMIGRACYJNE

LWÓW — NAKŁADEM SŁOWA POLSKIEGO — 1904 R.
WYKONANO W DRUKARNI „SŁOWA POLSKIEGO”
POD ZARZĄDEM JÓZEFA ZIEMBIŃSKIEGO.

ZYGMUNT MIŁKOWSKI

(T. T. JEŻ)

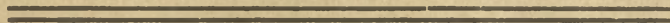
SYLWETY
EMIGRACYJNE



33552 | 2

TREŚĆ:

Słówko wstępne	1
Centralizacya Towarzystwa Demokratycznego Polskiego w r. 1850—51	7
Wiktor Heltman	16
Joachim Lelewel	29
Zenon Świętosławski	37
Sydor Rawski	44
Kośtuś	53
Skinder-Pasza	62
Roman Czarnomski	93
Józef Jagmin	100
Franciszek Sokulski	106
Augustyn	115
Józef Wysocki	123
Henryk Dembiński	143
Józef Bem	161
Surmacki	175
Mikołaj Korwin Kamiński	186
Leonard Rettel	196
Józef Bohdan Zaleski	205
Seweryn Gałęzowski	216
Stanisław Malinowski	227
Józef Ordega	235
Ludwik Orpizewski	244
Ludwik Mierosławski	253
Aleksander Guttry	274
Jan Nepomucen Janowski	287
Krzysztof Ostrowski	298
Władysław Plater	309



SŁÓWKO WSTĘPNE.

Pół wieku z górą minęło od momentu, w którym Polska częściowo i ułamkowo prawo głosu odzyskała. Przed r. 1848 głucha, martwa panowała w niej cisza, wśród której o życiu narodowym świadczyły rozlegające się brzęki kajdan, przeciskające się przez mury więzień jęki ofiar, oraz powtarzające się od czasu do czasu widowiska egzekucyj, wyroków, wydawanych przez „sądy krzywoprzysiężne“. Umysłowe i polityczne życie wygasło było w granicach dawnej polskiej Rzeczypospolitej: przeniosło się do krajów, użyczających gościnności zbrodniarzom, ściganym za miłowanie cnoty i domaganie się sprawiedliwości. Gościnności tego rodzaju doznało we Francyi, Anglii, Belgii, Szwajcaryi polityczne z r. 1831 wychodźstwo polskie.

Po upadku powstania listopadowego, wysłała Polska na Zachód czoło narodu — wszystko, co w szeregach ludności swojej najlepszego i najdostojniejszego pod moralnym i umysłowym, na miłości Ojczyzny opartym, posiadała względem. Europę zalały polskie narodowe sławy i polskie narodowe cnoty, reprezentowane przez doletnie powagi i z ław szkolnych młodzież, przez dostojników wysokich i tę gromadę szarą, co działa moskiewskie „czarnemi od pługa zdobywała rękami“. Całe to wychodźstwo, żyjąc i oddychając ojczyzną, a przystosowując się do

środowiska, w którym przebywało, urabiało się na modłę oryginalną, zasługującą na to, ażeby się z nią zapoznać.

Zapoznać się z nią należy nie dla samej ciekawości tylko. Doba emigracyjna polska, objęta latami 1831 i 1864, jest ważną w dziejach Polski epoką — epoką w której się na pół dokonało, poczęte na sejmie czteroletnim, sankcyonowane przez powstanie Kościuszkowskie, narodu szlacheckiego przeobrażanie się demokratyczne.

Przeobrażenie to nie tak dokonaniem zostało, ażeby nic do życzenia nie pozostawiało.

Niestety!... Na razie i później zachodziły przeszkody, jeżeli nie niemożliwe, to bardzo do usunięcia trudne. Działalność emigracyi z r. 1831 na tem głównie polegała i tem się wielce zasłużyła, że przeszkody te wykazała wyraźnie. Dzieło jej — powstanie styczniowe — podkopało je, podważyło, lecz ich usunąć całkowicie nie zdołało... Przeszkód onych usuwanie przejęli krajowcy w zakresie — w jednej z dzielnic rozczłonkowanej ojczyzny naszej bardziej, w drugiej mniej, w trzeciej jeszcze mniej ograniczonym, nigdzie atoli na gruncie polskim z tą swobodą, jakiej prowadzenie sprawy podobnej wymaga. Nie tylko to, ale podkopanie owo przez nas przeszkód wywołało ze strony mocarstw zaborczych potęgowanie sposobów, ograniczających swobodę działalności polskiej. Sposoby te, mające na celu nie gnębienie już, ale wprost eksterminacyę — wyrwanie z gruntu ojczyzstego z korzeniem żywiołu polskiego, nastawiły się w czasach ostatnich tak groźnie, że budzić się musi, co do wytrzymałości naszej odpornej, wątpliwość. Wątpliwość nie ta trwożna, co ręce opuszcza i na wolę losów się zdaje, ale ta, którą wywołuje przeczorność (*la politique c'est la prévoyance*), nakazująca zawczasu formować i wzmacniać rezerwy. Sądząc po napinaniu się forsownem Moskwy i Prus w moskwiczeniu i niemczeniu nas, oraz po austryaczeniu się majstrów od przefarbowywania patriotyzmu i demo-

kratyzmu w przewanej Galicyą jedną z bardzo ważnych Polski dawnej dzielnic, ręczyć nie można, że emigracya nie stanie się niebawem ponownie, jak po r. 1831, tą rezerwą, o którą się oprze polityczne Polski życie. Warto się przeto bliżej z fizyonomią jej zapoznać.

Emigracya z r. 1831 uważaną być już może za wygasłą. Z uczestników powstania listopadowego najmłodszy, przy życiu jeszcze pozostający, dźwigają obecnie (1902 r.) na grzbietach po lat najmniej dziewięćdziesiąt. Dziewięćdziesięcioletni starcy na palcach w społeczeństwie każdym liczyć się dają. Nie wielu już znajduje się i takich, co ich, jeżeli nie wszystkich, to niektórych, znali osobiście i we wspomnieniach te do przeszłości naszej dziejowej należące postacie przechowują.

Pamiętnej emigracyi owej członkowie zaznaczyli się jedni na polu działalności naukowej, literackiej, politycznej, drudzy jako typy charakterystyczne, znamionujące wpływy pod jakimi wzrosli, warunki w jakich się wychowali. Masy szeregowy i kadry oficerstwa niższego składały się z rówieśników Mickiewicza, co „widzieli“ rok, zwany przez lud „rokiem urodzaju“, przez żołnierzy „rokiem wojny“.

Jako przewodnicy z kraju wyszli z nimi po większej części napoleoniści, legioniści, wśród których się i Kościuszkowie zdarzali. Ludzi tych to przede wszystkim cechowało i od pokolenia Polaków z ostatniej wieku XIX. ćwierci różniło, że silnie i bezwzględnie w wyzwolenie Polski orężem wierzyli.

Dzieliły ich przekonania społeczno-polityczne: jedni holdowali Polsce szlacheckiej i walkę o nią upatrywali na drodze dyplomatycznej; drudzy polegali na demokratyzującej narody rewolucyi, jako na środku, mającym w społecznych i politycznych stosunkach sprować wolność, równość i braterstwo. Wytworzyły się stąd dwa stronnictwa: arystokratyczne i demokratyczne — pierwsze zwane *Trzeci Maj*, albo *Hotel Lambert*, drugie *Towarzystwo*

demokratyczne polskie. Różniły się one zasadniczo, nie różniły się celowo: do jednego i tego samego celu, do niepodległości Polski, nie jednakimi podążając drogami. Pomiedzy nimi istniało stronnictwo pośrednie, noszące nazwę *Zjednoczenia*, przyjmujące zasady demokratyczne, nie odrzucające dróg dyplomatycznych. Obok tych większych stronnictw kilka pomniejszych wiodło żywot niegłośny, z wyjątkiem towianizmu, któremu rozgłos nadał Mickiewicz, pociągający za sobą kilka osobistości wybitniejszych i garstkę wyznawców. Każde z nich w łonie swoim posiadało ludzi zacnych w większości i pewien procent filutów, normalnych i narwańców, zwyczajnych i typowych.

W tłumie tym sporo osobników znałem osobiście. Tych, co mi się pod pióro nawina, wezmę za przedmiot „Sylwet“. Może uda mi się nie tylko jedno nazwisko od wpadnięcia do rzeki Lety uchronić, ale i przyszłemu emigracji polskiej z r. 1831 historykowi cokolwiek zaznajomienie się z jej fizyognomią ułatwić.

Nim jednak do tej ochronnej przystąpię operacyi, rzec winienem słów kilka o szerzonych o emigracyi z r. 1831 zdaniach i zarzutach rozmaitych. Są pomiędzy nimi słuszne, ale są i takie, co się bez rzeczywistej rozpowszechniły racyi, są jeszcze i takie, którym nieprawdy zarzucić nie można, prawda zaś jest tak naturalnym i koniecznym objawem, że wypowiedanie jej w postaci zarzutu świadczy o niezrozumieniu rzeczy przez tych, co zarzuty czynią.

Wspomnę o niektórych.

Naprzykład: kłótnictwo stronnictwa.

Zarzut ów w obiegu znajduje się obecnie jeszcze, kiedy kłótnictwo rzekome emigracyjne — jakże błado, jak łagodnie wygląda wobec tej, na mniej więcej zasadniczym polu toczzonej ustawicznie szermierki, której teatrem jest dawnej Rzeczypospolitej dzielnica, co się dostała państwu, które zbieg

okoliczności zniewolił nadać jej swobodę dyskusowania w materji społecznej i politycznej! W innej dzielnicy, mimo mocne swobody zwięzanie, dyskusowanie, raczejby na zarzut kłótnictwa, niż w dawnej emigracyi, zasługiwało. W jednym jeno Polski dziale bardziej jeszcze niż dwa inne przez złą dotkniętym wolę, nie zdarzają się spory na polu spraw publicznych. Panuje tam we względzie tym zgoda absolutna, świadcząca, że byle jaka we względzie wyrażania myśli swoboda wytwarza stronnictwa, pomiędzy którymi powstają spory o zasady, przekonania, poglądy, o sposoby stosowania zasad i przekonań do praktyki i o różne inne mniej godziwe rzeczy. Zapobiega temu jedynie niewola bezwzględna, taka jak ta, która w Rosyi panuje. W krajach wolnością się cieszących, w Anglii, Francyi, Belgii, w państwach Skandynawskich, Szwajcaryi, we Włoszech, w Stanach Zjednoczonych Ameryki półn. zawzięte odbywają się... „kłótnie“ (?).

Zarzut — niezarzut — jeszcze jeden wyjaśnienia się domaga. W mniemaniu gdzieniektórych na uznanie on zasługuje. Jest nim: m i s t y c y z m.

Mistycyzm stanowi ogólne wszystkich wierzeń religijnych, z objawienia wyszłych i duchowo ukształtowanych, podłoże. Stan jego w duszy tak pojedynczego jak zbiorowego osobnika, bywa czynny albo bierny. Bierny, a nie znajdujący się w zależności od tych i innych Polski zaborów, czyniąc religię podniętą i regulatorką moralności, wskazując drogę enoty, na której dla Polaka przodują obowiązki względem ojczyzny. Taką religię większość ogromna wychodźstwa polskiego w r. 1831 wyznawała. Odpowiadało jej podłoże mistyczne, łagodne, wyrozumiałe, nie trącające żadną doktryną osobliwą, nie segregujące emigrantów na katolików, protestantów, prawosławnych, żydów, mahometan.

Z ogółu wydzieliła się garstka, która nań odblask mistyczny rzuciła dla tego, że wśród niej blaskiem wielkim, mistycznym świeciła ogromna Mickie-

wieca postać. Ale to się w ciasnem zamykało kółku — w kółku „wybrańców ducha“ (Mickiewicz, Słowacki, Goszczyński, Rettel, Wrotnowski i in.), które stało odosobnione. Nie wywierało ono wpływu, nie wzbudzało spółczucia. Świadczy o tem owoczesna publicystyka emigracyjna; świadczy obojętność, z jaką emigracya przyjęła wezwanie Mickiewicza do formowania w r. 1848 legionu polskiego we Włoszech. Legion się sformował i przy obronie Rzymu przeciwko Francuzom odznaczył, ale pod dowództwem Fiałkowskiego.

Mistycyzm nie miał ani jako doktryna, ani jako czynnik polityczny, powodzenia. Ogół się w tym nie pogarnął kierunku. Większość ogromna prostej, katechizmowej ojców trzymała się wiary; wśród niej przierzucali się, jak w każdym ludzkim zbiorowisku, fanatycy, obojętni, wolnomyślni. Mistycyzm doktrynerski, formalny, na niwie emigracyjnej wykwitły, po za urzędowym, który spowodował zawiązanie zakonu Zmartwychwstańców, na dwa rozpadał się rodzaje: na nielicznych wyznawców „Towianizmu“ i jeszcze mniej licznych wyznawców, założonej przez Ludwika Królikowskiego, „Polski Chrystusowej“.

Nie!... Ani o klótnictwo, ani o mistycyzm Emigracyi polskiej z r. 1831 na seryo się pomawiać nie godzi. Była ona czem być mogła i musiała: grunt polski, zabarwienie cudzoziemskie — francuskie we Francyi, angielskie w Anglii etc. Na tle takim wydattały się powstania pojedyncze, nacechowane tem indywidualizmu piętnem, co znamionuje właściwości osobistościowe, mniej więcej charakterystyczne, mniej więcej oryginalne, urabiające typy poważne, spokojne, ruchliwe, zabawne, dziwaczne, nadające się do galeryi sylwet. Spróbuję wizerunków dziadów pokolenia obecnego nakreślić tyle, ile mogę. Uprzedzam jeno czytelników łaskawych, że modele czerpać będę w obozie — po większej części — demokratycznym, w którym sam *parvula pars* zaszczyt być miałem.

Centralizacya Towarzystwa Demokr. Polskiego w r. 1850—51.

Od głośnej, w czasie swoim przez jednych wychwalanej, przez drugich wyklinanej Centralizacyi Towarzystwa Demokr. Polsk. kreślenie „Sylwet“ moich rozpoczynam. Czynię to dlatego, że za jej (Centr.) pośrednictwem stałem się czasu onego członkiem tej emigracyi polskiej, która w porozbiorowych Polski dziejach nie mało ważną, a mało znaną i bałamutnie rozważaną odegrała rolę. Najpierwszym Centralizacyi członkiem, z którym się w życiu mojem zszedłem, był Stanisław Worcel.

Zszedłem się z nim w Londynie.

Czemu nie w Wersalu, nie w Paryżu?

Nastąpiło to w r. p. 1850, kiedy zainstalowany we Francyi na krześle prezydyalnem Ludwik Napoleon Bonaparte (późniejszy Napoleon III) rozpoczął polityczną gospodarkę swoją od oczyszczenia Francyi z żywiołów rewolucyjnych. Żywioł rewolucyjny polski był mu z bliska i doskonale znany. Wszak jednego z rewolucyonistów, Dunina, w porcie boulogne'skim utopił; u rewolucyonistów tego rodzaju co Worcel, płk. Oborski, Sztolcman w Londynie, w towarzystwie stryjecznego swego, przezwanego później Plon-Plonem, bywał przed r. 1848, wdawał się z nimi i przyjaźnił. Znał więc dokładnie i dokumentnie organizacye i zamiary wychodźtwa

polskiego i, na mocy znajomości tej, jak skoro nogę na drodze do tronu cesarskiego prowadzącej postawił, wnet Towarzystwo Demokratyczne rozwiązać, a przedstawicielstwo onego z Francji wypędzić kazał. Ten był powód, dla którego z członkiem Centralizacji w Londynie się spotkałem. Anglia od rewolucjonistów nieprzystępnością się nie odgradzała.

Komplet Centralizacji pięciu przynosiny do trzech zredukowały członków: Wojciech Darasz, Stanisław Worcel i Jan Kanty Podolecki.

Rozwiązanie Tstwa D., luboć bardziej nominalne niż rzeczywiste, w trudnym jednak Centralizację postawiło położeniu. Stosunki organizacyjne odbywać się musiały sposobem kontrawencyjnym; organ Tstwa wychodził w Brukseli; stosunki z krajem zeszyły na drogę pośrednią ze względu na pozaśrodkowość stanowiska, zajmowanego przez Anglię w odniesieniu do spraw politycznych w Europie. Sprawy te ogniskowały się natenczas we Francji — w Paryżu. Wchodziła do nich i sprawa polska, która też, o ile się w sferze działalności Centralizacji znajdowała, przez Paryż do Londynu przechodzić musiała. Z tej racji, w stosunkach jej z sekcjami, które się wbrew rozporządzeniom policyjnym nie porozwijały, oraz z wysłańcami z kraju, do pośrednictwa tajemnych uciekać się należało agentów. Byli nimi, o ile przypominam sobie: Sylwester Staniewicz, Teofil Januszewicz, Józef Ordęga i in.

W Londynie, w obec różnonarodowych przedstawicielstw rewolucyjnych, Centralizacja, jako przedstawicielstwo organizacji, która posiadała stan służby w walce o wolność krwią okraszony, procesami uilustrowany, ofiarami uświęcony, poważnie zajmowała stanowisko. Z przedstawicielstw owych wyróżnił się Komitet Centralny Demokracji Europejskiej, w którym Francję zastępował Ledru-Rollin, Anglię — Linton, Niemcy — ?....., Włochy — Mazzini, Rumunię — D. Baatiano, Polskę — W. Darasz.

Darasz przeto stał niejako (?) na czele Cen-

tralizacyi. Powiadam: „niejako“, ponieważ tak sekcyje Tstwa D., jak Centralizacya nie posiadały prezydentów (prezesów) stałych; na obradach członkowie przewodniczyli kolejno w porządku alfabetycznym.

Naczelność nadawała Daraszowi jego w Kom. Centr. obecność. Faktycznie on przewodniczył w obradach przedstawicielstwa Tstwa D. P. — jemu też należy się pierwszeństwo w szeregu zamierzonych „sylwet“.

Wojciech Darasz wyszedł z Polski w liczbie tej młodzieży uniwersyteckiej, co z ławek szkolnych przeniosła się do szeregów wojskowych. Należał do młodszych wśród wychodźstwa. Żądny wiedzy, wiarę w Polskę łączył z przekonaniem o potrzebie pracowania dla niej. „Wiara bez uczynków martwą jest.“ W kierunku tym kształcił się i wcześniej brał udział w usiłowaniach, mających na celu szczepienie i gruntowanie zasad demokratycznych. W r. 1838 wybranym został do pierwszej do pięciu*) członków zredukowanej Centralizacyi. Odtąd wybór jego, z rzadkimi przerwami, ponawiał się z roku na rok mimo, że suchoty przewidywać kazały bliski moment, w którym zdrowie nie dozwoli mu nadal sprawie publicznej służyć. Stan chorobliwy czynił go przykrym w stosunkach z kolegami zwłaszcza. Podolecki i Worcel dużo nieraz z jego strony do zniesienia mieli. A nie żenował się z nimi — karcił ich niby studentów i oni, jak studenci, strofowań jego wysłuchiwali.

Na strofowanie często zasługiwał Podolecki. Narażało go na to z niczem zrównać się nie dające leniwo.

Członkowie Centralizacyi pełnili funkcję redaktorów wychodzącego raz na tydzień arkusowego organu Towarzystwa. Numer każdy należało obrobić — i obrobić, we względzie tak treści jak formy,

*) Przed tem do Centralizacyi wchodziło 11, następnie 9 członków.

co się zowie dobrze. W szeregach wychodźstwa polskiego znalazły się od razu, nie licząc geniuszów (Mickiewicz, Słowacki), zdolności pisarskie niepospolite. Nie można przeto było czytelników zbywać lada czem.

We Francyi, w Paryżu, gdy w gronie członków Centralizacyi dawał się brak piór ciętych uczuwać, brakowi temu nie trudno było na ściągającym Polaków bruku stolicy Francyi zaradzić. W Anglii atoli, w Londynie, nie poławiali się na zawołanie Polacy piszący. W gronie Centralizacyi znajdował się jeden. Darasz i Worcel posiadali umiejętność wypisywania się dobrze; ale pisanie dobre i piękne Podoleckiego udziałem było. Bez Podoleckiego *Demokrata Polski* byłby pismem czytowanym od niechcienia.

Jan Kanty Podolecki, rodem z Rusi Czerwonej (Galicyi Wschodniej), wyemigrował tym porządkiem, co Teofil Wiśniowski. Udział w spiskach zakwalifikował go, jeżeli nie na szubienicę, to na dożywotni w Kufszteinie pobyt. Nieponętny los ten uśmiechał się mu, gdyby się policyi udało było do rąk go swoich przed r. 1846 dostać. Nie poszczęściło się tej instytucyi ochronczej, dzięki czemu zajął stanowisko nie uważane za zaszczytne przez miłośników zaprowadzonych przez zaborców Polski porządków. Ponieważ nie należałem — i po dziś dzień nie należę — do miłośników tej kategorii, nie tylko więc zbrodni, jakich się dopuścił, za złe mu nie brałem, ale talentu jego pisarskiego nie oceniałem wedle wskazówek przez policyę udzielanych. Gdybym był literatury polskiej historykiem, nazwiska jego nie pominąłbym milczeniem.

Był to talent rzeczywisty, przejawiający się zarówno w prozie jak w mowie wiązanej. W Galicyi mieszkając, znał się i przyjaźnił z Wincentym Polem, z którym do spółki napisał „Jasełka“. Z utworów jego poetycznych przypominam sobie balladę p. t. „Hetman bosy“. Co do prozy, co tydzień z nie-

cierpliwością wyglądałem nowego *Demokraty Pol-
skiego* numeru dla rozkoszowania się artykułem jego
pióra, dającym się z łatwością wyróżnić wśród na chłod-
no poprawnych artykułów innych.

Niecierpliwość tak moja, jak smakujących
w dobrej prozie czytelników nie zawsze zaspokoje-
nie znajdowała. Na wyrób Podoleckiego nieraz dwa
i trzy czekać trzeba było tygodnie. Zwłoki te spo-
wodowywało z niezem się porównać nie dające le-
nistwo. W długim życiu mojem równego mu leniwa-
ca widzieć mi się nie zdarzyło.

Podolecki żywot pędził leżący. W Londynie
z łóżka wstawał rzadko. W łóżku sypiał, w łóżku
herbatę pijał, w łóżku jadał, czytał i pisał — a pi-
sywał nie inaczej, tylko w obecności większej liczby
gości. Pisać nie był w stanie, gdy pozostawał sam,
lub gdy w odwiedzinach do niego przyszło ludzi nie
więcej jak dwóch. Przed nim na stojącym obok
łóżka stole leżał dużego formatu arkuszowy kajet
papieru czystego, kałamarz i pióro obok. Po pióro
ręką sięgał, w palce je ujmował, niekiedy w kała-
marzu maczał i w rękę ważył, jakby się do pisania
zabierał, ale — nie pisał.

Przeszkadzała mu gawędka we dwóch, we
trzech. Nie przeszkadzała, kiedy się u niego
osób pięć, sześć i więcej zebrało, rozmawia-
jąc i dyskutując głośno. W gwarze pisał —
gwar dla niego ostrogą był niejako. W dyskusji
udział brał — zapytywał, odpowiadał — potwierdzał,
przeciżył — wykładał, dowodził i pisał — pisał. Im
gawęda szła żywiej, tem z pod pióra jego cięstsze
wychodziły artykuły.

Przy pisaniu, czytaniu, gawędzie, jedzeniu, pi-
ciu herbaty, z ust nie wypuszczał fajeczki glinianej,
kurząc tytoń haniebny, który sam sobie z wysuszo-
nych herbaty wygotowanej liści, zmieszanych z ty-
toniem zwyczajnym, fabrykował. Czynił to przez
oszczędność, która się powonieniem ludzkim dotkli-
wie czuć dawała, ale pozwalała dwom zarazem do-

gadzać namiętnościom: herbacianej i fajczanej. Inaczej niemożliwością dla niego by było ze szczupłutkiej — sto franków miesięcznie nie przynoszącej (zdaje się) pensyi *) — i namiętnościom tym dogadzać i żonie z dzieckiem do Paryża zasiłki posyłać.

Przywara (lenistwo) i wyżej wymienione namiętności nie przeszkadzały Podoleckiemu być człowiekiem, każącym sobie szanować i kochać. Z łóżka — wstawał niekiedy. Do ostateczności tej dwie doprowadzały go konieczności: posiedzenia centralizacyi, odbywające się w mieszkaniu Darasza, oraz wykłady dla emigrantów historii polskiej. Na posiedzenia chodził obowiązkowo; wykłady wziął na siebie z dobrej i nieprzymuszej woli i wywiązał się z nich znakomicie. Natura obdarzyła go łatwością słowa, zaprawioną akcentem, nadającym głosowi niskie, z przyjemnością słuchać się dające brzmienie. Godzinami całemi z zajęciem nieustającym słuchiwało się tego grubokościstego, ciężkiego, wzrostu miernego, nieco pochyło się trzymającego, o szerokim, jasnym, do brewni oczami oświeconem i rudawym zarostem otoczonym obliczu prelegenta, opowiadającego np. o Bolesławie Chrobrym. Bolesław Chrobry był jego szczególnie umiłowanym w dziejach Polski bohaterem.

*) Pensya członków centralizacyi stopniowo do tej doszła wysokości. Pierwotnie poprzestawali oni na pensyi, wypłacanej emigrantom polskim przez rządy francuski i angielski. Anglia dawała utrzymanie tym tylko wychodźcom polskim, co wzięli udział w wyprawie sabaudzkiej. Inni fardinga nie dostawali. Do tych ostatnich należeli członkowie centralizacyi w r. 1850 do 1851, z których jeden tylko Podolecki był przez Tstwo płatny. Z Daraszem dzielił się brat, lekarz, praktykujący w Algierze. O Worclu rodzina nie zapomniała.

W centralizacyi owoczesnej: władzy mało-
mownej a surowej, nieugiętej, wyrazem był Darasz;
stronę jej ujmującą, poezią okraszoną wyobrażał
Podolecki; rozumu przedstawicielem był Worcel.

Worcela socjaliści (dzisiejsi, czy wczorajsi? —
nie wiem) na patrona swego dlatego, że czas jakiś
był członkiem założonego w Portsmouth socjalisty-
czno-religijnego zakonu, wypromowali. Z całą rze-
czy świadomością oświadczam, że na zaszczyt ten
zasługuje on mniej jeszcze, niż Mickiewicz. Worcel
socjalistą był w sensie demokracji narodowej, przy-
znającej pracy wszystkie słusznie jej w myśl równo-
ści obywatelskiej przynależne prawa, uznającej,
miast szerszenia w społeczeństwach przez wyzywanie
do walk klasowych nienawiści, potrzebę szczepienia
braterstwa, stawiającej na stanowisku przewodniem
wolność, ogarniającą zarówno ustroje społeczne
i polityczne.

Takimi były Worcela społeczne i polityczne
z gruntu na wskrós patryotycznego wystrzelające
ideały.

Świadczą o tem stale — wespół z Lelewelem,
W. Zwierkowskim, Winc. Tyszkiewiczem i innymi,
w pierwotnych wyemigrowania uczestników powsta-
nia listopadowego momentach — przedsiębrane prze-
zeń starania i zabiegi około zorganizowania emigra-
cyi; świadczy udział jego w Zjednoczeniu, z którego
się nie wykreślał, gdy towarzystwu portsmutskiemu
służył; świadczy w końcu i to, że ze Zjednoczeniem
wraz z Lelewelem, Zwierkowskim i innymi w roku
1846 do Tow. demokratycznego wstąpił.

W Tow. dem., na stanowisku członka centrali-
zacyi, niczem — powtarzam — na zaszczyt patro-
nowania dzisiejszemu, walkoklasowemu, międzynaro-
dowemu, a raczej beznarodowemu socjalizmowi nie
zasłużył.

Stanisław Worcel pochodził z Wołynia — ze
Stepania nad Horyniem; był członkiem jednej z trzech

rodzin polskich, przez cesarza Pawła grafskim obdarzonych tytułem *).

Nauki pobierał w Krzemieńcu. Po skończeniu nauk ożenił się, należał do za zezwoleniem rządu zrazu założonej, następnie tolerowanej, w końcu zakazanej loży masońskiej i gdy powstanie wybuchło, wziął w niem udział w charakterze posła rówieńskiego. Po upadku powstania wyemigrował, pozostawiając w kraju żonę i syna, oraz brata starszego właściciela majątku ziemskiego.

Na szczegóły te uwagę zwracam, wykazują one bowiem dowodnie, że Polak może być nie tylko szlachcicem zwykłym, nie tylko szlachcicem ukarmazynowanym, nie tylko z Radziwiłłami, Sanguszkami, Potockimi zparantelowanym, nie tylko nawet przez cara uhrabionym — i mimo to stać się wzorem demokracji, miłującego Polską duszą całą i sercem całym. Worcester przekonaniowo i faktycznie z hrabstwa i szlachectwa się wyrwał, całego siebie na usługi sprawy polskiej oddając. Żywot pędził jak najskromniejszy, na użytek osobisty z nadsyłanych mu przez rodzinę zasiłków, zatrzymując tyle jeno, ażeby głodu i chłodu nie doznawać. Za mieszkanie służył mu pokoik jeden, będący zarazem sypialnią, jadalnią, salonem i pracownią. Jadło przyrządzała dla niego gospodyni: herbata z tartiną rano, kawałek mięsa z jarzyną i szklanka piwa *half and half* (czytaj: *half and half*) na obiad, herbata wieczorem — oto jak odżywiał się człowiek, któryby na większe pozwalać sobie mógł wygody zwłaszcza, że takowych nietęgie, z astmą się moczujące i kaszlem gwałtownym wiałą postać jego szarpiące zdrowie wymagało. Jedyńm, jakiego się dopuszczał, zbytkiem była tabaka, którą zawzięcie zażywał i która na wąsach, brodzie i odzieży charakterystyczne mu pozostawiała ślady.

*) Dwiema innemi były rodziny Stroynowskich i Ilińskich.

Emigracyi młodej udzielał się odczytami —
wykładał teorię perspektywy.

W obcowaniu towarzyskiem miły był i resur-
sów pełen. Nie zapomnę kilku z nim i ze znającym
okolice jego rodzinne świetnym stosunków sąsiedzkich
opowiadaczem, Mikułowskim, spędzonych wieczorów.
Worcel ożywiał się — rozochacał — rozpytywał,
opowiadał. Posiedzenia te stawały się przesuwaniem
przed oczami naszymi obrazów żywych, obejmują-
cych Wołyń, Podole, Ukrainę, a doszykowujących
się do Polesia wołyńskiego. Pamiętam je! — o! —
i ze czcią głęboką wspominam tego demokratę
polskiego.

WIKTOR HELTMAN.

Tym, których Polski się tyżące, polityczne i społeczne interesują sprawy, radzę odczytywać od czasu do czasu, z Poitiers r. 1836 datowany, *Manifest Towarzystwa Demokratycznego Polskiego*. Dokument to ważny we względie historycznym i ciekawy — ciekawy dla tego mianowicie, że w tytule wyraz jeden — przymiotnik „demokratyczny“ — ludzi zgrozą czasu onego przejmował. W czwartym w. XIX. dziesięcioleciu szlachcie Polskę zamieszkującej demokracja przedstawiała się pod postacią czegoś zbrodniczego. Stawiano ją na równi z farmazonstwem. Pojęcia: farmazonia, demagogia, demokracja, bliskiem ze sobą wiązano pokrewieństwem. Takie wyrazów tych pojmowanie zrobiło się pod wpływem akcyi rządów zaborezych. Znamiennym jest wpływ ów. Kto z Polaków nie wie i przekonany nie jest, że pochodzi on od ich ojezyzny, ich bytowania narodowego wrogów?... Wiedza ta, to przekonanie nie przeszkadzają jednak przyswajaniu sobie głównych i narzucających przez nieprzyjaciół wierzeń. Wynosi je młodzież ze szkół, przejmują ludzie dojrzałi jedni pod naciskiem strachu, inni ulegając lenistwu ducha, nie dającemu nad rzeczą zastanowić się uważnie. Dzieje się to dziś, działo się od upadku powstania listopadowego do epoki rokiem 1848 zaznaczonej. Od owego momentu pamiętngo rozpoczę-

ło się stopniowo zwiększające się tolerowanie demokracji przez rządy takie nawet, jak moskiewski. Po tolerowaniu nastąpiło uznawanie i stosowanie — stosowanie z odpowiedniami tu, tam i ówdzie przyprawami, istotnej demokracji nazwę jeno pozostawiającami, dzięki czemu wstręt do wyrazu, panujący do połowy w. XIX., znikł w w. XX. całkowicie prawie. Któż dziś demokracji, po swojemu rozumianej, nie uznaje?..

Uznawania te właściwie umieć cenić potrzeba. Dla zaznaczenia potrzeby tej wyżej wymieniony manifest odczytywać radzę — oznajmiam przytem, że dokumentu tego autorem jest nazwany w tytule pisanja niniejszego: Wiktor Heltman.

„Potwór“ — mianowali go jedni; „Robespierre, Marat w intencji“ — powiadali o nim inni; powszechne w „szanujących siebie“ sferach muiemanie przypisywało mu zamiary rzeźnicze, zwrócone na szlachtę. W Wielkopolsce, która do r. 1848 w bliższych, niż inne działy Polski porozbiorowej, z emigracją pozostawała stosunkach, lepiej go znano i łaskawiej o nim trzymano.

W roku tym i Galicya z nim znajomość zabrała; ale w dzielnicy tej, zasianej hrabiami kraci austriackiej, sympatyzującymi z bajratem i stosującymi do dworu bądź cesarskiego, bądź arcyksiążęcego — gdy który z arcyksiążąt funkcyę namiestnika pełnił — w dzielnicy tej, w sferach, w których się amatorowie tytułów rodowych płodzą, twar do przy raz powziętej o tym członku Centralizacji opinii obstawano. „Farmazon, demagog, demokrata, Robespierre, Marat, rzeźnik“ — nie wychodzono z tych terminów, gdy o nim mowa była.

Nie zeszedłem się z Heltmanem w zaborze austriackim; że zaś zasady demokratyczne, gdym grunt Czerwonej Rusi po raz pierwszy deptał były mojemi, do osoby przeto demokracji *par excellence* wstrętu nie czułem. Stosownie jednak do reguły, głoszącej, że w każdej bajce musi być część pra-

wdy, prawdę odnosiłem do postaci jego, wyobrażając ją sobie groźną, surową. Musiała być przecież jakaś racya, groźbę wywołująca.

Jakżem się zdziwił, zdumiał prawie, gdym w r. 1858 w Brukseli wobec niego stanął!

Liczył naonczas lat sześćdziesiąt mniej więcej. Wzrostu słusznego, szczupły, głowa kształtna, podłużna, okryta płowym w złotawy wpadającym włossem, oczy siwe nadawały obliczu wyraz smutku, wywołującego spótczucie. Takim mi się przedstawił i zrobił na mnie wrażenie człowieka gruntownie dobrego i łagodnego. Był nim w rzeczy samej. Odnowiłem z nim znajomość w r. 1866 i przekonałem się, że wrażenie pierwsze w niczem mnie nie zawiodło.

Heltman z życia publicznego wycofał się r. 1849, raz dla tego, że wstęp do Paryża został mu wzbronionym, powtóre z tej przyczyny, że wstąpił w związki małżeńskie z kobietą, która się siłami całemi powrotowi jego na pole działalności politycznej sprzeciwiała.

Dziwne to było stadło: on demokrata — ona ultraszlachecianka, on wolnomyślny — ona bigotka fanatyczna, on mężczyzna przystojny — ona niewiasta nad wyraz brzydka. Poznali się i pokochali na długo przed wybuchem powstania listopadowego. W r. 1822 za udział w wydawnictwie *Dekady*, podejrzany o spiskowanie, Heltman oddany został za karę do wojska, do szeregów korpusu litewskiego, pozostającego na równi z wojskiem polskim, pod naczelnem pamiętnego W. ks. Konstantego dowództwem. Kwaterując na Białorusi, poznał się z panną Eleonorą Dmóchowską. On młody, ona młoda — pokochali się. Wieść o powstaniu w Warszawie oderwała kochanka od kochanki i rozdzieliła ich na lata. Postarzał on, postarzała ona; lecz afekt w sercu przechowała i jak skoro się sposobność nadarzyła, do ukochanego podążyła. Że, ujrzawszy ją, Heltman pomyśleć musiał: „Ten straszny upiór jest-

że to Aldona? — to najmniejszej nie ulega wątpliwości. Nie powiedział jej jednak tego. Ślub wzięli w Anglii — zamieszkali w Brukseli — i w Brukseli oboje wieku dożyli.

Heltman z ochotą do czynnego byłby wrócił życia; przyjaciele go wzywali, ciągnęli: niezłomne pani *veto* jak mur na przeszkodzie stało. Gościa każdego podejrzewała, że po męża jej przybywa i na wstępie, przed powitaniem, oświadczała:

— Nic z tego nie będzie... Wiktor się z Brukseli nie ruszy... Dosyć się poświęcał... i jam się poświęciła, ja, z domu Dmóchowska, córka marszałka, synowica arcybiskupa...

Z Leonem Zieńkowiczem formalną stoczyła kłótnię, w której wyrazów nie dobierała. Z jednym Zygmuntem Sierakowskim, wodzem naczelnym powstania na Litwie w r. 1863 obeszła się łaskawie, ale mu nie ustąpiła. Chciała mieć męża dla siebie wyłącznie i przy tem się utrzymywała: zrobiła z niego inwalidę w latach, w których czynnym mógł być jeszcze.

Zeszedłem się z Heltmanem w r. 1858 w intencji powołania go do służby; lecz, powitany przez panią wyrazami: „Nic z tego nie będzie“, nie próbowałem nie tylko powoływania, ale napomykania o braku jego w dokonywujących się w czasie owym czynnościach. Nie przypuszczałem, ażeby kto tak absolutnie i bezwzględnie mógł pod pantoflem żony się ulokować i to — pod jakim?..

„I na to — myślałem sobie — zeszedł człowiek o maratyzm, o szlachtofobię, o rzeźnicze posiadzany skłonności?..“

Hart jednak, który mu służył do redagowania *Dekady*, spiskowania, opuszczenia szeregów moskiewskich dla walczenia w polskich, walczenia w szeregach demokratycznych na czele hufca, na ten cel za jego zorganizowanego sprawą, emisaryuszowania, kierowania obroną zrewolucjonizowanego Dreżna przeciwko wojskom królewskim — hart ten nie opu-

ścił go całkowicie. Przejawił się — odżył pod koniec żywota pod ciekawą, jako objaw psychiczny, postacią.

W Brukseli znalazł się w położeniu wygnańca, potrzebującego zarobkować na życie. Na życie dla siebie i dla żony. Zrazu pracował w kartograficznym van der Mahlena instytucie, co uzdolnieniu jego i spółnemu z lelewelowskiem do kreślenia map i mappek zamiłowaniu odpowiadało. Kartografia, rzecz można, powołaniem jego była, przy zamiłowaniu bowiem posiadał, jak Lelewel pismo drobne i wyraźne, nadające się do znaczenia nazw miejscowości najbardziej na jaknajmniejszej skupionych przestrzeni. W zakresie tym opracował i wydał: „Tablice synoptyczne historii polskiej“, rzecz wartościowa*). — Zdrowie nadwątlone zniewoliło go instytut opuścić i innego sposobu zarobkowania się uchwycić. Jął się dawania lekcyj: języka polskiego, historii, geografii i literatury polskiej. Lekcyje te możliwą czyniła obecność w Brukseli rodzin, oraz po szkołach i pensjach dzieci polskich. I ta jednak praca wymagała zdrowia, które coraz to bardziej szwankowało. W miarę, jak siły słabły, dochody się umniejszały. Dopełnianie braków wzięła na siebie żona, ale czyniła to w sposób, wstręt w zgromadzonej po upadku powstania styczniowego w Brukseli emigracji polskiej budzący. Do żadnej nie wprawiona pracy, mająca za ubliżające sobie — córce marszałka — posługi domowe, jakimi są gotowanie jadła, pranie bielizny, w czystości i porządku utrzymywanie mieszkań, wejść musiała na drogę wypraszenia środków pieniężnych. Przychodziło jej to dosyć łatwo, dzięki temu, że w Brukseli Polacy zamożni jedni zamieszkiwali, inni w przejeździe się na króciej lub

*) U F. A. Brockhousa w Lipsku wyszła Heltmana: „Demokracya“, tom spory (str. 303) zawierający artykuły jego polityczne, ogłaszane w swoim czasie w *Demokracji Polskiej* i w innych, barwy demokratycznej pismach.

dłużej zatrzymywali. Heltmanowa rodziny polskie obchodziła i każdej opowiadała o poświęceniu się męża i swojem, o chorobie mężowskiej, o niedostatku.

Drogą tą zdobywała zasiłki. Nie było to żadnym występkiem, głód bowiem, jeżeli występków nie usprawiedliwia, to usprawiedliwia takie, jak zebrana nieprzyzwoitości. Nieprzyzwoitość, której się Heltmanowa dopuszczała, ogromną, wysłowić się nie dającą emigracyi, sprawiała przykrość. Kwestya ta wytoczyła się r. 1867 na obchodzie rocznicy powstania styczniowego. Z mowców jeden wstydem, hańbą nazwał opuszczenie przez naród zasłużonego w starości i niedostatku człowieka. Zebrana na pręde składka zaspokoila bieżące Heltmanowstwa potrzeby; obok tego, za inicjatywą przodującego zwykle w razach podobnych Erazma Malinowskiego, zawiązał się „komitet do zaopatrywania potrzeb H.“, który do emigracyi i do kraju wystosował odezwę, powołującą do uczczenia zasługi. Odezwa nie przebrzmiała bez echa — a echo w brzęczącej wyraziło się monecie, nadsyłanej z Francyi, Anglii, Belgii, Szwajcaryi przez Polaków, oraz z Polski, ale wyłącznie z zaboru pruskiego. Do zaboru moskiewskiego odezwa nie doszła; w zaborze austryackim przyjętą została obojętnie; pruski stanął za wszystkie, spłacając hojnie dług narodowy pracownikowi, który, wkładając w sprawę polską cały kapitał swój umysłowy, nie myślał o sobie. Obywatelstwo w zaborze pruskim zrozumiało to i Heltmanowi wygodne do śmierci zapewniło życie. Składki z Poznańskiego regularnie, za pośrednictwem zwłaszcza kobiet (p. p. Szczaniecka, Moraczewska, Mielżyńska i in.), napływały w wysokości, pozwalającej w miesiącu każdym część na nieprzewidziane odkładać potrzeby*). Czyni to wielki Wielkopolsce zaszczyt

*) Trwało to do śmierci Heltmana. Po śmierci jego składki ustały. Fundusz zapasowy dla pozostałej po nim wdowy, póki nie umarła, starczył, ale z deficytem, pokrytym... nie ze składek.

Dla scharakteryzowania Heltmana dokładnie i usprawiedliwienia zamieszczonego powyżej wyrzeczenia jako hart, który go był opuścił, nie opuścił całkowicie, zakończę sylwetę jego zaznaczeniem psychicznej, jaka w nim zaszła, zmiany. Poddał się był żonie bezwzględnie i bezwarunkowo, stał się wobec niej potulny, pokorny, posłuszny, uległy, posuwając uległość do tego stopnia, że to gorszyło i raziło patrzących i słuchających. A pani się wobec ludzi nie żenowała bynajmniej.

Zaproszonych do kogoś na poczęstunek, nie sadzano ich jednego obok drugiego, ażeby żona nie zabierała mężowi z talerza kawałków, co się jej smaczniejszymi wydawały. Pomiatała nim. Tak było póty, póki Heltmanowi dożywocie zapewnionem nie zostało. Jak skoro to nastąpiło, role zmieniły się z dziś na jutro. Ona spotulniała, zlągodniała, spokorniała.

On wziął nad nią górę i pomiatać nią począł — łajał ją, czy było za co, czy nie, przy ludziach i to *pa matuszkie*, po moskiewsku, jak *cziny* łaja *dieńszczików*.

Jak tę zmianę wytłómaczyć?..

Do rozwiązania zadania tego, jako dane wiadome, przedstawia się żywicielstwo. Pokora jego i pokora jej zależała od tego, które z nich funkcję żywicielską pełniło. Rozwiązanie podobne zadania możliwem jest, przypuszczając, że długie z żoną obcowanie na jej modłę Heltmana moralnie przerobiło. Faktu tego inaczej wytłómaczyć nie sposób. Heltman nigdy nikogo tak, jak pod koniec żywota swego żonę, nie traktował. Przerobił się więc i pod niczym, tylko pod jej wpływem — przerobił się na jej modłę.

Ot, co żona znaczy.

LUDWIK LUBLINER.

I żydzi wzięli w powstaniu listopadowym udział — nie taki jak w r. 1794, w którym pułk wystawili, ani taki jak w r. 1809, upamiętniony śmiercią Berka pod Kockiem na czele szwadronu ułanów, złożonego z dzieci Izraela — udział wzięli jednak. Historya nie zaznacza obecności ich w szeregach, co polowe z Moskałami staczały bitwy; ale w hufcach gwardyi miejskiej, powołanych do obrony stolicy, nie znajdować się nie mogli. Znaleźli się też i na emigracyi. Zaliczanym jest do nich czynny w sprawach organizacyjnych i publicystycznych Jan Czyński, który — zdaje się — z Frankistów pochodził. Podania ustne sławiły Byka, ten atoli, jeżeli do szeregów wojskowych należał, to jako faktor chyba, w tej bowiem funkcyi, złączonej z funkcją kolportera, pędził we Francyi wśród wychodźstwa polskiego żywot wędrowny. Żydem jednak niewątpliwym i żołnierzem niewątpliwym, podporucznikiem od grenadyerów, dekorowanym, był Ozyasz Lubliner.

Czemu Lubliner piękne biblijne Ozyasza imię zmienił następnie na pospolite Ludwika? Może się ochrzcił i następnie odechrcił. Nie wiem. Poznałem go pod imieniem Ludwika w Brukseli, w roku i w dniu nawet tym samym, co Heltmana i Lelewela.

Znajomość z nim spadła na mnie niespodzianie. Możem wiedział, a może nie wiedziałem, że mąż ten

w Brukseli przebywa. Nazwisko jego, wymawiane w tonie humorystycznym, o uszy się mi obijało, nie w taki jednak sposób, ażeby we mnie szczególne ja kieś wzbudzać miało zajęcie.

Gdym do mieszkania Lelewela drzwi otworzył i próg przekroczył, oczom moim takie przedstawiło się widowisko: przed stojącym pod oknem stołem siedział pochylony, grzbietem do mnie zwrócony, siwy staruszek; obok niego stał człowiek w sile wieku z arkuszem zapisanego papieru w ręku. Staruszek w pół się ku mnie z wyrazem niechęci w oczach odwrócił. Gdym mu, domyśliwszy się, że to Lelewel, nazwisko moje wymienił, wyraz niechęci z oblicza mu znikł, ustępując miejsca wyrazowi uprzejmości serdecznej. Od razu mnie do siebie ośmielił i oswoił ze sobą. Usiadłem przed nim; zawiązała się rozmowa łatwa, swobodna, jakbyśmy się od wieków znali. Czas ubiegał — na rozmowie upłynęła godzina mniej więcej. Nie zważałem na jegomościa, któregom był przy wejściu z arkuszem w ręku zoczył i — nie prędzej na niego uwagę, aż na schodach zwróciłem. W słuch mi wpadły następujące, z lekkim, charakterystycznym, a doskonałym mi znanym akcentem wymówione przezeń wyrazy:

— Nu... to ja nie widział, ażeby Lelewel tak kogo przyjmował...

Z akcentu domyśliłem się, kto mi towarzyszy.

— Obywatel Lubliner?... — zapytałem.

Towarzysz mi potwierdzająco odpowiedział. Na schodach, na ulicy zamieniliśmy ze sobą frazesów kilka; wskazał mi, wedle nakreślonego przez Lelewela planiku, drogę do Heltmana i gdyśmy się rozstawali, zapytał mnie, gdzie mieszkam.

Nazajutrz rano, o ósmej — nie później, zaszczycił mnie Lubliner wizytą. Przyszedł w celu zaproszenia mnie do siebie na obiad, na którym zejść się miałem z Lelewelem, Heltmanem i kilku ludźmi młodymi, w Brukseli dla studyów przebywającymi. Zaprosiny z ochotą przyjąłem — poczem spędziłem

godzin parę na sluchaniu wykładu o kwestyi żydowskiej, poruszonej artykułem w *Gazecie Warszawskiej* o koncercie panien Neruda. Sprawa ta szeroko w momencie owym ogadywana była w Warszawie, na prowincyi i na emigracyi. Lubliner okazał się rzecznikiem jej gorliwym, co mnie nie dziwiło, ani gorszyło — nie dziwiło, boć naturalną była obrona Żydów przez Żyda, nie gorszyło, albowiem podzielałem zdanie tych, co wystąpienia *Gazety Warszawskiej* nie pochwalali. Szczególnie mi się ton polemiki nie podobał. Sprawy tej atoli nie brałem tragicznie. Z argumentów, jakie Lubliner wypowiadał, żaden mi nieznanym nie był i cały dla mnie argumentacyi jego interes polegał na sposobie, w jaki wygłaszaną była.

Giesty, akcent. Lubliner był to Żyd wykształcony, inaczej nie mógłby pełnić funkcyi adwokata przy sądzie kasacyjnym w Brukseli, ani być autorem książek i artykułów dziennikarskich we francuskim i polskim języku. Wykształcenie jednak nie zacięrało, ani maskowało jego pochodzenia. Żyd mu z oczów, z ust, z nosa, z całej, wcale nie powabnej, patrzył postawy. Do patryotyzmu polskiego przyznawał się i — istnie, jak Żyd w tańcu, zapalał: w piersi się dłonią bił, podskakiwał i krzyczał:

— Polskę kocham!... Czy ja się za nią bił i krwi nie przelał?... Ranili mnie... Ja dekorowany!...

Powtórzył to razy kilka — a raz, w uniesieniu, o ranie wspomniawszy, dodał:

— I to moje szczęście... wielkie szczęście!... Gdyby nie ta rana, byłbym uciekł... A tak, wzięli mnie, odnieśli... Nu... to co?... Krew ja moją za Polskę przelał... ja Żyd!...

Z każdego jego wyrazu, z każdego giestu była szczerłość, akcentowana na manierę żydowską. We względzie tym był on typem, luboć bowiem po polsku wyrażał się płynnie i poprawnie, w mówieniu jego czuć się dawała gardlaność semicka, a niekiedy i zachlipywał się. Był on typem i w innym jeszcze

wzgiędzie: w moralnym, będąc przedstawicielem rasowej narodu wybranego pychy — pychy w tem, w odniesieniu do Polski, wyraz swój znajdującą przypuszczeniu, że Polskę żydzi zbawią, a przynajmniej, że zbawienie Polski bez nich się dokonać nie będzie mogło. Lubliner w to wierzył i wiary tej swojej, luboć chciał, ukryć ani zamaskować nie umiał. Wyrzywała mu się ona z ust niechęć. Na przykład:

Imię „Ludwik“ na siebie uwagę jego w latach 1848—49—50 zwróciło.

— Teraz górą, na przodzie, same Ludwiki — powiadał: Ludwik Bonaparte, Ludwik Koszut, Ludwik Mierosławski, Ludwik Lubliner.

Mierosławskiemu, któremu ta przywara żydowska obcą nie była, fatalną raz wyrządził psotę. Na ogłoszoną przez Aleksandra II., po zawarciu w Paryżu (r. 1856) z Turcyą i mocarstwami przeciwko Rosyi sprzymierzonymi pokoju, amnestyę emigracyi polskiej, stronnictwa emigracyjne odpowiedziały odmową zbiorową. Mierosławski do żadnej nie przypisał się odpowiedzi. Odpowiedź, wystylizowaną lapidarnie, wystosował do cara sam od siebie; ażeby zaś wiadomość o niej nie rozeszła się w Paryżu przedwcześnie i nie osłabiła efektu, posłał ją Lublinerowi, polecając mu, wydrukowanie onej w Brukseli cichaczem. Lubliner się do polecenia zastosował, z tą jeno małą odmianą, że na odpowiedzi, pod podpisem Mierosławskiego, zamieścił swój. Za zbytek ten Mierosławski posłał mu podziękowanie, zaczynające się od wyrazów: „Ośle jakiś!“ Stało się to powodem zerwania przyjaznych do czasu onego pomiędzy nimi stosunków. Na wzmiankę o Mierosławskim, Lubliner z niesmakiem usta wykrzywił, ręką od niechęcia machał i powiadał:

— Wun za dużo o sobie myszli...

Za dużo i Lubliner o sobie myślał. *Dziennik Warszawski* (wychodzący obecnie po moskiewsku i przemianowany na *Warszawskij Dniownik*) wziął

był sobie za specjalne, w siódmym i ósmym zeszłego wieku dziesięciolecia, zadanie zohydzenia emigracyi polskiej. O niej i o wybitniejszych jej przedstawicielach, takich zwłaszcza, którym na stronach słabych nie brakło, często się rozpisywał i niestworzone, w dostarczanych przez niejakiego Belinę-Młochockiego z Paryża i Stępowskiego ze Szwajcaryi korespondencyach, rzeczy wypisywał.

Lubliner spodziewał się zostać sponiewieranym jak Mierosławski, jak (pogodzony później w Słowiańszczyźnie z Moskwą) ksiądz Mikoszewski i inni — czekał na to, a doczekać się nie mogąc, sam siebie w *Dz. Warsz.* oczernił. Udało mu się to raz tylko, redakcyja bowiem pismo nosem zwąchała i po raz drugi na kawał wziąć się nie dała.

Niezapelna sylweta Lublinera z pod pióra mego wyszła, gdybym jeden z przymiotów jego milczeniem pominął. Wspomniałem o oblicza jego i postaci niepowabności. W rasie żydowskiej, arabskiej z pochodzenia, nierzadko trafiają się przepiękne płci obojej okazy. W Konstantynopolu i Bukareszcie żydówki hiszpańskie oczy iudziom blaskiem ponęt zrywają. To samo powiedziec należy o sprawczyniach ruin majątków okolicznej szlachty polskiej, żydówkach w Mohylowie nad Dniestrem. Słyszałem, że urodą zaznacza się żydzi w Warszawie. Lubliner daleko się od tych natury wybrańców odtoczył. Zaznaczała go brzydota co się zowie, tem się cechująca, że żyd, kiedy brzydki, to już brzydki. Mimo to osobliwe mu u kobiet szczęście służyło. Związki małżeńskie z powodu, że go żon parę odumarło, z innymi się rozwiodł, ponawiał kilkakrotnie, pozostawanie zaś w stanie matrymonialnym bynajmniej mu nie przeszkadzało w garnięciu się romansowem do przedstawielek płci nadobnej. Dowodziłoby to, że płeć nadobną wysoko po swojemu cenił.

Ludwik Lubliner r. 1867 czy 1868 w Brukseli umarł. Śmierć mu rak na ustach sprowadził. Na groźbie jego, na cmentarzu żydowskim, w obecności

całej naonczas w stolicy Belgii przebywającej emigracji polskiej, w imieniu jej — po mowie rabina, mowę wygłosił Lew Sawaszkiewicz. Mówił o nim, jako o szczerym i gorącym patryocie polskim, który był rzeczywiście zasługującym w zupełności na nazwę „Polaka starozakonnego“. O Polskę walczył, dla niej pracował. Materye w których pisał i drukował, sprawy polskiej tyczyły się przeważnie: o konfiskacie majątków w Polsce przez cara Mikołaja I, o prawie międzynarodowem w odniesieniu do Polski, o kwestyi żydowskiej itp. Miał wady, „bo któż jest bez wady?“, śmiesznym był w pysze rasowej. Odmówić mu jednak nie można zalet i cnót, których podzielenie przez współwyznawców jego, o! jakże pożytecznąby obecność żydów w Polsce uczynić mogło.

JOACHIM LELEWEL.

Z obawą do ręki biorę pióro, celem nakreślenia sylwety Joachima Lelewela.

Obawę nasuwa mi wielkość modelu.

Emigracya z r. 1831 w łonie swoim posiadała znakomitych mężów stanu, wojowników, uczonych, pisarzy, publicystów, posiadała wielkich, genialnych (Mickiewicz, Słowacki) poetów. Człowieka większego nad Lelewela nie posiadała. Do niego jednego dawałoby się zastosować *ecce homo!* Był on z tych, co:

„..... i wyższością sławy innych zaćmi,

I sercem spółrodaka żyje między braćmi“.

(A. Mickiewicz.)

Górował nad innymi głową i sercem, dając z siebie wzór pracy, w której bezinteresowność aż na dziwactwo zakrawała.

Mówienie w sylwecie o pracy jego nie na swoim byłoby miejscu. Scharakteryzować ją wszakże w krótkości wolno. Była ona, rzecz można, dwuimioną: naukową i polityczną. Jedna z drugą się schodziła; jedna drugą przenikała. Pierwsza mu sławę i żywot spokojny zapewniała pod warunkiem, ażeby jej nie kojarzył z drugą i nie wyprowadzał dla tej ostatniej z pierwszej wskazówek, niemilych tym, co w międzyludzkich, międzynarodowych, międzypaństwowych stosunkach prawdę i sprawiedliwość uważają za rzeczy zbyt cenne. On je jako sprawdzian

pożyteczności dla człowieczeństwa w przeszłości, jako regułę na przyszłość do prac swoich wprowadzał, przez co stawał na drodze krzyżowej, którą ze spokojem człowieka, obowiązki 'obywatelskie sumiennie pełniącego, szedł *usque ad finem*. Na drodze tej nieraz się na szwanki narażać musiał, dzięki niestosowaniu się do wyzwolonych z więzów etycznych sposobów, w działalności polityczno-społecznej, w czasach minionych i w terażniejszości praktykowanych. O tem wszystkim sylwetysta wzmiankować jeno może. Do niego należy kreślenie wizerunków w oprawie życia towarzyskiego — w oprawie wspólnej ludziom wszystkim, największym i najmniejszym.

W oprawie tej wespół z Lelewelem przebywałem krótko — dni parę zaledwie; dużo za to o nim słyszałem: jedno z drugiem dostarczy mi materiału na przedstawienie publiczności czytającej historyka naszego w szlafroku, którego on na pewne nie posiadał.

Gdym się mu przedstawił, przyjął mnie dobrze, tak dalece dobrze, że zdziwiło to obecnego przy tem Lublinera. Zdziwiłoby to było i mnie, gdyby mi był Lelewel na dziwienie się czasu trochę zostawił. Ogarnął mnie uprzejmością od razu tak, żem się upamiętać nie był wstanie. Preliminarya do niej tem się wyraziły, że po usłyszeniu nazwiska mego, do przyległego wybiegł pokoju i wnet wrócił, trzymając w rękę lewem, pomiędzy palcami, za szyjki, wraz z kieliszczykami, trzy karafneczki szklane, zawierające każda płyn koloru innego.

— A jakiej pozwolisz, pomarańczówki, kminówki, piołunówki?... — do mnie z zapytaniem się zwrócił.

Natrafiał na człowieka, do którego nalewki nie przemawiały zgoła. Nie przypominam sobie „jakiej“ się napiłem. Po poczęstunku niezwłocznie zawiązała się rozmowa. Żem przyjechał w interesie, Lelewel przeto na omówienie onego wyznaczył moment pó-

źniejszy, tymczasem zaś potoczyła się o tem i o owem gawędka, w którą nagle, tonem na poły żartobliwym, wtrącił:

— A dużo o tobie mówiła doktorowa P...

— Profesor się z nią zeszedł?... — zapytałem.

— Była u mnie i... o tobie mówiła... mówiła... powtórzył.

— Dziś się z nią widziałem...

— Nie dziwię się temu... — rzekł z naciskiem znaczącym.

Doktorowa P., młoda kobieta, na dzień przed przyjazdem moim, z mężem do Brukseli przyjechała. Z doktorostwem poznałem się w Paryżu. Doktor w specjalnie naukowych, medycznych podróżował celach. Towarzysząca mu żona również miała cele specjalne, będąc z liczby tych Polek, co się, przed wybuchem powstania styczniowego, żywo i mocno Polską interesowały. Ze wszystkimi wydatniejszymi na emigracyi osobistościami doktorowa chętnie się zaznajomiła, celem dowiedzenia się, czy i co się dla Polski robi i kiedy ona niepodległość odzyska. Bardzo ją to, bardzo obchodziło. Ona zaś obchodziła ludzi jako osobistość wykształcona, uprzejma, bardzo ładna i uwagę na siebie zwracająca tem, że natura, przy jasno płowych warkoczach, obdarzyła ją okiem jednym czarnem, drugim błękitnem. Nadawało to obliczu jej wyraz zagadkowy. Leleweł żartem prześladował nią mnie najnieśluszniej. Za każdym ze mną spotkaniem:

— Cóż pani doktorowa? — pytał.

Świadczy to o towarzyskości jego, potwierdzając zeznanie Mickiewicza o „życiu sercem między braćmi“. Taki jak on uczony — z wyżyn wiedzy zstępował na poziom stosunków powszednich i wnosił w nie dobry humor. Dokładniej objaśni to przykład jeszcze jeden.

U Lublinera Heltman, kilku ludzi młodych i ja, zeszedliśmy się na obiad proszony. Czekaliśmy na Le-

lewela. Gdy się godzina obiadowa zbliżała, lunął deszcz.

— A!... jakie pół godziny z obiadem wstrzymać się musimy... Lelewel z pewnością deszcz przeczekać zechce... — odezwał się gospodarz.

Deszcz ustał. — Lelewel nie nadchodził. Drugie pół godziny — więcej może minęło. Gospodarstwo, po naradzie, do stołu podawać kazali. Po zupie, przy pierwszym daniu półmiskowem, wchodzi Lelewel. Powstawaliśmy za jego wejściem. Lubliner z usprawiedliwieniem siebie za nieczekanie z obiadem, z wymówką do Lelewela za spóźnienie się zwrócił.

— Mój kochany... — Lelewel mu przerwał. Przyszła Maryanna... zagadaliśmy się i zapomniałem o obiedzie twoim...

— Dla Maryanny o Lublinerze zapomniał!? — wznosząc ramiona, zawołał do nas Lubliner z wyrazem wielkiej na obliczu alteracji.

Maryanna, niegdyś markietanka przy jednym z pułków polskich, zapędzona przez losy do Brukseli, utrzymywała się z prania bielizny. Podobno świetnieby stanąć mogła, gdyby grosz zarobiony oszczędzać chciała. Puszczenie grosza naprowadziło ją na inny łatwiejszy zarobkowania sposób. Przedstawiała się przez Brukselę przejeżdżającym Polakom. Dla markietanki wojsk polskich otwierały się sakiewki turystów z nad Wisły, Niemna, Dniepru. Żniwo najobfitsze miewała u wnijszcia do domu, w którym mieszkał Lelewel.

— Wielmożny pan do pana prezesa Lelewela? — zaczepiała gości, poznając Polaków po wyróżniających ich wśród narodów rysach.

Gość mową polską i zamaszystością postawy babuli ujęty, wręczał jej, zwłaszcza, gdy się o jej funkcyi wojskowej dowiedział, kilku, kilkunastufrankowy upominek. Niekiedy fr. 20 dostawała. Na cóż jej było przy bieliźnie się chlapać!..

Dla tej to Maryanny o Lublinerze Lelewel za-

pomniał. Zagadał się z nią nie o Dakach pewnie, ani o numizmatach, ani o wędrówkach Benjamina z Tudeli. Była to kobiecina bardzo gadatliwa, nie o wszystkim jednak rozprawiać umiejąca. Lelewel wszelako stosować się do niej umiał. Do niej i do każdego. Doznałem tego na sobie. U Lublinera po obiedzie zgadało się o pochodzeniu szlachty polskiej. Wziąłem w rozmowie tej udział: postawiłem hipotezę, stosownie do której snułem wywody, gdy nagle spostrzegłem się, że słuchaczem moim jest Lelewel. Zmieszało mnie to; gorąco mi się zrobiło — języka w gębie zapomniałem. Do zabrania w materii tej głosu ośmieliło mnie postawienie się Lelewela na poziomie towarzystwa, złożonego z paru ludzi dojrzałych i ze studentów. Wśród nas żaden go w zakresie wiedzy naukowej do kolan nie dorastał. Mimo to, między nami a nim najmniejsza się uczuwać nie dawała różnica. Wydawał się równym nam w każdym, w naukowym nawet względzie. Takim być on musiał w Wilnie — i tem tłumaczy się jego wśród młodzieży popularność, oraz wielki, jaki na nią wywierał wpływ.

Skromność naturalna, prostota nieudawana, brak pozy absolutny stanowiły podkład natury jego towarzyskiej, nie zmieniającej się nigdzie i dla nikogo. Na salonach burmistrza Brukseli, na których zbierał się świat elegancki, takim (jak mi powiadano) był samym, jak u Lublinera, wesołym, dowcipnym, żartobliwym. Zapraszano go tam i usiłowano zatrzymać jak najdłużej. W celu przeszkadzania, ażeby nie zniknął zawczasie, chowano mu nakrycie głowy, dla tego on z czapką w kieszeni do stołu siadywał.

Raz od Lelewela nauczka mi się dostała. Zaprosił mnie do kawiarni na piwo i dać kazał dla mnie i dla siebie po szklance fara. Faro, zdaniem Belgów, ma być piwem bardzo smacznem i najzdrowszem; zdaniem jednak po raz pierwszy je pijących, jest to napój jeden z najobrzydliwszych. Nie innym się też wydał i mnie. Ze wstrętem, szklanką o szklan-

kę Lelewela trącając, łyk po łyku przez gardło przepuszczałem. Lelewel z pod oka na mnie spoglądał i złośliwie się uśmiechał.

— Jakże ci faro nasze smakuje?... — zapytał w końcu.

— Nie bardzo... — odrzekłem.

— Czemuż pijesz?... Przez grzeczność... Czego się ludzie nieraz przez grzeczność nie dopuszczają!..

Uprzejmość, jaką mi okazywał, wytłumaczyłem sobie później. Słyszał o mnie — od Worcla może — jako o człowieku w sile wieku, mającym ochotę sprawie polskiej służyć. Miałem już za sobą i przeszłość, pozwalającą do pewnego stopnia o przyszłości wróżyć pod warunkiem, ażebym piw paskudnych nie pijał... przez grzeczność. Ten był prawdopodobnie powód szczególnej dla mnie uprzejmości jego. Wzywał mnie razy kilka do siebie — chodził ze mną. Krążąc niekiedy z nim po mieście, sprawdziłem podania o popularności osoby jego wśród mieszkańców Brukseli. Wszyscy go znali i z uszanowaniem przed białowłosym, wpół zgiętym, w szafiorową bluzę robotniczą odzianym starszkiem kościannym głowy chylili. Gdy szedł, dla spoglądania ludziom w oblicza, głowę do góry w prawo lub w lewo wykręcać musiał. Nie widział składanych mu pokłonów; wiedział o nich jednak i dlatego, w święta narodowe, kiedy się stolica tysiącami ludności prowincjonalnej zapełniła, na ulicy się pokazywać nie mógł, ukłony bowiem w tłumne i hałaśliwe zmieniały się owacye. Nazwisko jego i postać cześć w kraju całym wzbudzały.

Zdarzyło się atoli, że mu nazwisko i postać nie dopisały. Wkrótce po zamieszkaniu w Brukseli, do czego wygnanie z Paryża go zmusiło, dowiedziawszy się o ważnych dokumentach i ciekawych numizmatach, znajdujących się w Namur, wybrał się do miasta tego piechotą w towarzystwie Worcla. Po obejrzeniu dokumentów, pobraniu notat i poprzerysowaniu numizmatów, Worcel do Brukseli odje-

chał dylizanssem, Lelewel puścił się piechotą. We wsi jakiejś zwrócił na siebie uwagę żandarma, który, nie zadowolony na zadawane mu przezeń pytania odpowiedziami, o nazwisko go zapytał.

— Lelewel... była odpowiedź.

— Lelewel?... członek Rządu narodowego polskiego?!... — wykrzyknął żandarm zdumiony.

— Tak...

Przestrzegaczowi porządku i bezpieczeństwa publicznego wydało się, że odpowiadający w ten sposób mizerak jest albo oszustem, albo na umyśle pomieszanym, zaprowadził go więc do aresztu miejscowego. Władza wiejska przesłała władzy wyższej do stolicy raport o uwięzieniu włóczęgi bez paszportu, mniającego się Lelewelem. Do raportu dołączone były znalezione przy więźniu, okryte znakami rzekomo kabalistycznymi papiery, które policja wiejska uznała za podejrzaną. Awantura tem się zakończyła, że po parudniowym w więzieniu pobycie Lelewel do Brukseli kareta burmistrza powrócił.

O wypadku tym opowiadanie słyszałem z ust znającego Lelewela blisko Worcla. Częstośmy o nim mówili. Rozmów tych potwierdzeniem dosadnym było wrażenie, jakie z krótkiego z nim obcowania wyniosłem. Wierność zasadom, niezłomność przekonań, obok wyrozumiałości dla opinii przeciwnych, stanowiły grunt istoty jego duchowej — grunt, na którym z surową w stosunkach życiowych prawością łączyły się: łatwość w obchodzeniu się z ludźmi, prostota i skromność. Znanemi są śmiesznie niskie honoraria od wydawców przezeń pobierane; znana jest obojętność co do jakości i redukcya do niezbędnej ilości przyjmowanych przez niego pokarmów; znanem jest odziewanie się jego. Przeciwnicy, których miał dużo, najniesłuszniej go o afektacyę, o pozowanie obwiniali. Z natury nie elegant, chodziło mu więc tylko o odzież najwygodniejszą; nie żarłok, ani smakosz, odżywiał się w sposób najprostszy: rano mleko, raz na dzień kawałek mięsa gotowane-

go i chleba dużo — dużo dlatego, że dzielił się nim z myszami, osłaniając przez to książki przed ich żarłocznością.

Gdyby nie książki, z pewnością mieszkałby kątem, jeżeli nie w beczce wzorem Diogenesa. Dla książek potrzebował mieszkania obszernego. Zajmował apartament na pierwszym piętrze, na którym obszerny, frontowy od ulicy pokój, obstawiony półkami, był jego biblioteką podręczną. Pokój mały służył mu za sypialnię. We wchodowym pracował i gości przyjmował.

Słabą w nim, ujemną stroną stanowiło ochędóstwo. Czasu nie miał myśleć o niem. Maryanna chwaliła się opieraniem go i utrzymywaniem mieszkania w czystości. Jedno i drugie bardzo, bardzo dużo do życzenia pozostawiało. Do czuwania nad nim potrzebną była jakaś Maryanna specjalna, która raby mu matkowała. Brak takiej przy nim kobiety to sprawił, że gdy na wieść o chorobie jego dr. Seweryn Gałęzowski z Paryża do niego pośpieszył, znalazł ciało jego okryte ranami, przez brud powyżeranemi. Nie dbał o siebie, w czem podobnym był do tych z wieków średnich świętych, co ciało nędzną zwąc lepianką, za życia je robactwu na pastwę oddawali. W lepiance lelewelowskiej piękna, świetlana mieszkała dusza — dusza mędrca, wyznawcy w słowie i czynie prawdy i sprawiedliwości.

ZENON ŚWIĘTOSŁAWSKI.

Tytułowe sylwety niniejszej nazwisko wymaga powiedzenia słówka o środowisku, na którym się ono uwydatniło.

Środowiskiem była organizacya polityczno-społeczna odrębna, ultra-religijna, ultra-socyalistyczna, prawie — porównując ją z istniejącymi obecnie stronnictwami socyalnymi — anarchistyczna. Stanowiły ją dwie gminy: Grudziądz i Humań — jedna w Portsmouth, druga — później założona — na wyspie Jersey. Gmina Grudziądz tytułowała się pierwotnie sekcyą i wchodziła do składu Towarzystwa demokratycznego; lecz się z Tow. wykreśliła i gminą przezwiała dlatego, że Tow. uznawało własność osobistą i, oświadczając się przeciwko szlachcie, nie potępiało mieszczaństwa. Gminy owe przyjęły ogólne „Ludu Polskiego“ miano. Zasługującym na uwagę jest to, że podłożem ich byli włościanie: żołnierze szeregowi z armii polskiej, których Prusacy z Grudziądza, gdzie ich w niewoli trzymali, wyprawili do Ameryki na trzech okrętach. Jeden z tych okrętów zawinął do Havre, drugi do Portsmouth — jedni wygnańcy pozostali we Francyi, drudzy w Anglii. Tymi ostatnimi zaopiekowali się tacy skrajni w przekonaniach swoich, jak Krępowiecki, ks. Puławski, Dzieńicki, oraz Worcel, należący do Zjednoczenia, który się do nich przyłączył, celem przekonania się,

ażali z tej mąki nie da się chleba zrobić. Przekonał się: wykluczonym został. Cała organizacyi tej, krótko zresztą trwającej, działalność ograniczała się na: ogłaszaniu odezw i manifestów polemicznych, oraz na sporach i procesach wewnętrznych, rozstrzygających się wykluczeniem członków, o różne podejrzanych zbrodnie. Podejrzenia zazwyczaj spotykały inteligentów. Procesy do tego doprowadziły, że tę ultra-religijną i ultra socyalistyczną organizację ogłosiły z inteligencyi, z której przedstawiciele pozostało w końcu dwóch: szewc Jan Kryński i Zenon Świętosławski.

Zenon Świętosławski mieszkał w Jersey i należał do gminy Humań, która nazwała się w ten sposób dla wyrażenia uznania dla czynu ludu, co w r. 1768 w tem mieście ukraińskiem szlachtę i żydów wymordował. Pięknie się przez to zaleciła. Z czyjego do nazwy tej przyszło natchnienia? Mocno o to Świętosławski podejrzewać się daje, a to z tej racyi, że, o ile wiem, pomiędzy dziewięciu składającymi ją członkami, on jeden był z Ukrainy rodem; ojciec jego w Humańszczyźnie majątek posiadał i nie komu chyba innemu, jeno Zenonowi, w momencie wyszukiwania dla gminy nazwy, Humań i rzeź Humańska na myśl przyjść mogły. Pięknie się przeto i opowiadania niniejszego bohater zaleca.

Ale — zapoznajmy się z nim bliżej.

Biografia jego nie jest mi znaną dokładnie. Nie umiem *curriculum vitae* jego w całej rozповідzieć obszerności. Niewątpliwie w powstaniu na Ukrainie r. 1831, pod dowództwem starego generała Kołyski, udział wziął. W powstaniu jako żołnierz prowadzić się musiał dobrze, inaczej bowiem nie byłoby dla niego w gronie wychodźców miejsca a tem mniej poważania. Po upadku powstania dzielić musiał losy tych wszystkich, co przez zabór austryacki, przez Niemcy następnie dostali się do Francyi i we Francyi wsiąkli w węglarstwo, sposobiące rewolucję, ogólnoeuropejską. Po drodze rozmaite mu się do

głowy dostawały poglądy i doktryny, o których na Ukrainie może słyssał, ale uwagi na nic z pewnością nie zwracał.

Bo i jakże!...

Czy młody w epoce przedpowstaniowej Ukrainiec, szlachcic zwłaszcza i bogaty, jakim był p. Zenon, miał możność, miał zresztą czas takimi jak poglądy i doktryny tam jakieś zajmować się rzeczami? Konie, charty, jarmarki itp. pochłaniały go całkowicie. Przypuszczalnie nauki w Humanii (u Bazyljanów w Humanii) pobierał. Ale, jeżeli doszedł do klasy piątej, jeżeli nawet szkołę skończył, co się Ukraińcom w czasach owych dosyć rzadko zdarzało, to wykształcił sobie wyobraźnię bardziej, aniżeli pojmowanie.

W dawniejszych średnich zakładach naukowych literatura prym trzymała. Szkoły humańskie dały nam Bohdana Zaleskiego, Seweryna Goszczyńskiego, Aleks. Grozę, Michała Grabowskiego — wybitnych poetów, ale nie z wybitnych uczonych, w liczbie których znalazł się jeden Seweryn Gałęzowski, adjunkt przy katedrze chirurgii w b. uniwersytecie wileńskim i autor kilku cennych prac chirurgicznych. Bohater sylwety niniejszej, luboć nie wykierował się na twórcę pieśni, dum i poematów, ale wykierował się mógł na osobistość żywo się przejmującą wrażeniami i odczuwającą je szczerze i głęboko. Poetami nie tylko są tacy, co wiersze piszą, ale i tacy, co myślą, czują i wrażenia na czyn zmieniają. Ze szkoły wynieść musiał poetyczne, Ukraińcom właściwe usposobienie, oparte na twardej katechizmowej wierze religijnej, utwierdzonej udziałem w domu rodziców, w praktyce wedle przykazań kościelnych. Katechizm nakazywał mu miłować Boga w Trójcy św. jedyne go nadewszystko i bliźniego jak siebie samego. Z tym nakazem, obłogosławiony przez ojca, obłany łzami matki, która mu szkaplerze na piersi zawiesiła, konno i orężnie wybrał się na walkę w obronie ojczyzny.

Wyobraźmy sobie młodzieńca tak umystowo i moralnie przysposobionego, który się niespodzianie dowiaduje o nieprawościach, wymagających naprawy. Nie wiedział o tem. W kraju rodzinnym, pod rodzicielską pozostając ręką, ani się domyślał, że najbliżsi jego, najmiłsi mu, ojciec, matka, on sam są krzywdzicielami, wyzyskującymi lud roboczy, żywiącymi się potem i krwią jego.

— Naprawy! naprawy!! — zawołało w nim głęboko dotknięte sumienie człowieka, chrześcijanina i obywatela.

Biografia jego, którą na domysł piszę, ukazuje mi go w szeregach karbonarów, biorącego udział w wyprawie do Niemiec i do Sabaudyi. Inaczej wytłumaczyłby się nie dała jego w Londynie w r. 1833 czy 1834 nie na domyśle już oparta obecność. W stolicy Anglii w wielkim się znalazł niedostatku, w którym ratował się wzorem nędzarzy ulicznych, żywiąc się tanio sprzedawanymi skorupiakami. Nadarzyła się mu okazja dania o nędzy swojej ojcu znać.

„Mnie i kolegów sporo — pisał do ojca — losy na brzegi angielskie wyrzuciły. Złe nam, głodno i chłodno: żywić się musimy ostrygami.“

W odpowiedź na pisanie to, ojciec mógł mu niezwłocznie zasiłek pieniężny posłać. Do posyłki dołączył list, a w nim mocne wyraził zdziwienie, że syn jego na niedostatek narzeka, zjadając ostrygi, nabywane na wagę złota w Warszawie. Dziwił się oraz smakowaniu w paskudztwie takim i zapowiedział, że odeszle mu niebawem w monecie brzęczącej schedę jego pod warunkiem, ażeby z niej dobry zrobił użytek.

Po otrzymaniu od ojca zasiłku, Świętosławski przeniósł się na wyspę Jersey i w oczekiwaniu na zapowiedzianą znaczną, parękroć sto tysięcy złotych polskich wynoszącą posyłkę, próbował się w literaturze opisowej. Opisywał ojcu w listach wyspę, jakby ją opisał nie statysta, ale podróżnik, zajmujący się

nie ekonomicznymi jej właściwościami (rolnictwo, przemysł, handel), ale położeniem, malowniczością. Kwalifikował ją stale „wysepką“, wspominał o tej osobliwości, że leży bliżej Francji, aniżeli Anglii, należy jednak do Anglii i produkuje dużo jaj, przynoszących znaczny dochód, Anglicy bowiem jajami się zajądają.

Opis ten doszedł rąk ojca i posłużył mu do udzielenia synowi rad, dotyczących się zużytkowania posłanego funduszu. Stary Świętosławski radził synowi kupić Jersey, ze wzmianki bowiem o dochodzie z jaj wymiarkował, że musi się na wysepce owej rodzić zboże, bez któregoby chłopci nie mieli pośladu do hodowania kur, a którego (zboża) zbyt do Anglii łatwiejszym jest niezawodnie z Jersey, niż z pod Humania. Przytem jedna tej posiadłości zaleta szczególnie się staremu cenną wydała, a to: natura granic, broniąca od sąsiadów i od sporów granicznych, stających człowiekowi nieraz kością w gardle. Przesłał nadto Zenonowi rodzaj kwestyonariusza, odnoszącego się do chłopstwa, do pańszczyzny, daremszczyzn, propinacyi, żydowstwa i t. p. szczegółów gospodarskich.

Rzecz prosta, Zenon z rad ojcowskich korzystać nie mógł. Kupił w Jersey dom, założył w nim drukarnię, ożenił się z Jerseyką i całkowicie się sprawie ludowej oddał. Sprawa tyle zyskała, że bibliografię socjalistyczną z bogacią wydana w Jersey p. t. „Lud“, książka in 4-o maj., drobnym odbitą drukiem, zawierająca protokoły posiedzeń gmin Grudziądz i Human, manifesty, odezwy i długą pióra Zenona Świętosławskiego o sprawie ludowej rozprawę, którą, o ile wiem, nie świadczą się, ani posługują, socjaliści nasi nowocześni.

Na sprawę oddał wszystko, co posiadał, z potrzebującymi dzielił się i wszystko stracił. Najgorzej na tem wyszły dzieci, pozostawione samym sobie, matka bowiem, sprawie wraz z mężem służąc, i dzieci i gospodarstwo domowe zaniedbywała.

O Świętosławskim, co do jego wartości moralnej, dwóch nie było opinij; wszyscy, co go znali, muiowaną przyznawali mu zacność. Wadliwość ustroju społecznego i dzielącego ludzi na używających i pracujących, na bogaczy i nędzarzy, na panów i niewolników, bolała go. Traktował ją nie teoretycznie tylko: zaradzał złemu, o ile mu na to możność pozwalała. Że zaś złego znajdowało się za dużo, rychło więc rozeszły się przez ojca przysłane tysiące zł. p.

Poznałem go w r. 1850 u Worella. Przyjechał był dla mnie. Francya zamknęła się była w czasie owym dla Polaków, co w wojnie węgierskiej udział wzięli, zadenuncyowano ich bowiem jakoby sfery podejrzewające ówczesnego prezydenta Rzeczypospolitej, ks. Ludwika Napoleona Bonaparte, o zamiary nieczyste, upatrzyły ich i zamówiły na wodzów przysposabiającej się w Paryżu rewolucyi. Bez paszportu przeto ani myśleć było można o przekroczeniu granicy francuskiej. Że zaś nas do Paryża ciągnęło, trzeba więc było wynajdować sposoby na zwalczanie tej przeszkody. Usunął ją przedemną Świętosławski, wystarawszy się dla mnie o paszport jerseycki. Z paszportem sam przyjechał dla powitania w osobie mojej swego z Rusi spółziemianina.

W przywitaniu czuć się ze strony jego dała serdeczność powściągana, jakaś lękliwość, czy skromność, odpowiadająca postawie, nie pozwalającej się w nim od pierwszego oka rzutu Ukraińca domyślać. Ani śladu tego, Ukraińców zdradzającego, akcentu kozaczego; natomiast na postaci całej, na obliczu, w oczach rozlany wyraz potulności, nie liczący z ideą, hajdamaczyźnie pokrewną, co gminę Humań na wyspie Jersey do życia powołała. Szczupły, wzrostu miernego, o obliczu matową powleczone m cerą, mało mówiący, wyglądał na zgnębnego. Rozmowę w ten podtrzymywał sposób, że na zadawane mu przez Worella zapytania odpowiadał. Na zapytanie: „Jakże tam gmina?“

— A... — ręką machnął.

Nie niepowodzenia go przygnębiły, ale zawód — zawód, dzięki któremu stracił nadzieję, nie straciwszy wiary. Wierzył w potrzebę naprawy trapiących ludzkość nieprawości; liczył na to, że na właściwe, celem usunięcia ich, trafił sposoby. Doświadczenie wykazało mu sposobów tych niewłaściwości i pozbawiło go nadziei dojścia do celu. Inny na jego miejscu jakośby to sobie wyperswadował: głupiecby się zaciął i na oślep brnął dalej: doktryner wykrętów by szukał i odpowiedzialność na ludzi przewrotnych i na okoliczności zwał. Zenon Świętosławski głupcem, ani doktrynerem nie był. Wiara społeczna tą samą, co religijna weszła weń drogą i rozbudziła w nim sumienie, które nakazało mu wszystko co posiadał i czem rozporządzał w imię jej na sprawę ludową oddać, lecz nie pozwalała tym zasłaniać się wybiegiem, do którego uciekają się ludzie, co się wiarą jako narzędziem posługują: *credo quia absurdum*. Nie wiedział, czy to absurd: wiarę więc swoją w siebie wpędził — zamilkł i... posmutniał.

Świat stanął przed nim z napisem, co Danta przy wnijsciu do piekła powitał:

„Pozbądźcie się nadziei wszelakich.“

SYDOR RAWSKI.

W dwudziesto-paro-letnim, mniej więcej po upadku powstania listopadowego, czasu okresie, na emigracyi, oraz w kraju zabranym (Podole, Wołyń, Ukraina), zapanowała Ukraina — raczej Kozakomania. Objaw ten wynikał ze zwrotu literackiego, znanego pod nazwą „Szkoły ukraińskiej“. Zwrot ów ze strony swojej bez powodu dokonać się nie mógł. Dokonał się on w momencie, kiedy, wedle słów poety (S. Goszczyński): „Nad zwycięzcami, nad zwyciężonymi — trawą usłana mogiła zapadła“. Do mogiły tej wpadły Polska i Ruś. Nie wpadli jednak do niej ani Polacy, ani Rusini. Pierwsi oficjalnie postradali osobowość państwową, drudzy — również oficjalnie — narodową. *Pa siemu byl'*-owe te wyroki ani tych, ani owych nie pozbawiły bytowania narodowego i zdolności wydawania na gruncie tym owoców. Po konwulsjach długiej wojny bratobójczej nastąpił spokój wspólnej, którą sobie sami zgotowali, niewoli. Z wojen pozostały wspomnienia, zmieniające się z upływem lat w legendy, nadające się na kanwy do dzierżgania na nich wytworów wyobraźni. Do zużytkowywania ich przystąpiły strony jedna i druga, każda po swojemu — odpowiednio do stopnia uprawy, na jakim się grunt narodowy znajdował. Na gruncie ruskim pojawiły się utwory bezimienne,

opiewające heroizm kozaczy przedmiotowo, a na jedną modłę:

Kozak konia napuwaw, Dziuba wodu brała;
Kozak Dziubi zaspiewaw, Dziuba zapłakała.

Zapłakała, bo ją kozak opuścił, pojechał za Dunaj, miał wrócić, lecz nie wrócił, znalazł śmierć pod zielonym jaworem.

Takiem było tło ogólne dum heroicznych, tworzonych przez poetów, co czytać i pisać nie umieli. Tworzyli oni, chodząc po kraju z lirą pod pachą, służącą im do regulowania rytmu. Na twórczości tej polu kto wie jakieby wyrosły były arcydzieła, gdyby na niem Moskale byli porządku policyjnego nie zaprowadzili. Policyja temu tworzenia rodzajowi grunt z pod nóg usunęła i skrzydła obcięła. Zamach ów ostatecznie dokonał się po r. 1831, luboć długo jeszcze lirnicy krążyli wśród ludu ukradkiem, znajdując przed prześladowaniem osłonę po dworach i dworakach szlachty polskiej, miłującej szczerze Muzę w namyście i połykach. Z miłowania tego narodziła się w literaturze polskiej „Szkoła ukraińska“, rozśławiona przez poetów tej miary co Antoni Malczewski, Bohdan Zaleski, Goszczyński, Gośławski, Olizarowski, Groza i in., i in.; z niego też wyszła Ukraina, czyli kozako-mania.

Ukraina, czyli kozako-mania krzywo się w krajach Zabrzanych obróciła, wydała bowiem z siebie bałagunstwo. Czystość kozaczą zachowała ona zagranicą, na wychodźstwie, a to dzięki kilku typowym postaciom, zasługującym na zamieszczenie w galerji, sylwet. Inna rzecz: czy była ona na czasie? Nie dotykam materji tej w tej chwili; uczynię to później trochę, zaznaczając jeno tymczasem, że mania owa, jeżeli o czem ma świadczyć, to najwyraźniej i najdowodniej świadczy o nieistnieniu nie to nienawiści, której głoszenie stało się dziś modnem wśród Czerwonorusinów, ale nieprzyjaźni, niechęci w sercach

polskich względem narodowości ruskiej. Zamanifestowała ona — niepoprawnie może, niewłaściwie — szczerą, serdeczną dla niej życzliwość.

Objawów w kierunku tym było sporo. Wszystkich ukrainomanów nie znałem. Najwybitniejszego wśród nich, Michała Czajkowskiego, sylwetę skreślę później trochę. Zacząłem od Służalskiego, osobistego Mickiewicza przyjaciela, znakomitego rzeczy niebywałych opowiadacza, z miny i czupryny na model do malowidła się nadającego, ale znałem go z widzenia tylko i cokolwiek ze słyszenia. Słyszałem, że opłacał Francuza, przy którym służbę kozacką pełnił, że w stroju kozackim po ulicach Paryża paradował i w ulicznych głośnie wywoływał podziwy, że etc. Szkoda, że mi on za model posłużyć nie może. Zastąpi mi go Rawski.

Rawski był kozakiem zawziętym. Służalskiemu jednak nie dorównywał ani wzrostom, ani miną, mimo, że przewagę nad nim miał przez to, że z ziemi kozackiej, z województwa braclawskiego był rodem podczas, kiedy spółzawodnik jego z Lubelskiego pochodził. Rawskiemu na chrzcie świętym w rzymsko-katolickim dokonany kościele, nadano imię Izydor. Żeby jednak imieniowi nadać brzmienie kozackie, przeważał się Sydorem i pod imieniem tem kozakowanie na szeroką praktykował skalę.

Pytanie: skąd się ono wzięło?

Z kraju je wyniósł: byłoby na pytanie to odpowiedzią najprostszą. Zapewne. Nastrój ów przed powstaniem listopadowym szlacheckiej młodzieży polskiej narzucał się niejako dzięki włączeniu w kraje zabranych żywiołu kozackiego w sensie ozdobnym w życie społeczne. Bez kozaków dworu szlacheckiego nie było; na dworach zaś, w dobrach magnatów (Czartoryscy, Potoccy, Branicki, Rzewuscy etc.) pełnili oni służbę milicyi, do której z pośród poddanych dobierano mołojców, imponujących urodą. Z mołojców podobnych Wacław Rzewuski sformował hufiec orężny. Hufiec ów zasłynął znakomitem

odśpiewywaniem dum i dumek ukraińskich pod dyrekcją Padury, złożył oraz dowody waleczności w bitwie pod Daszowem.

Stary Rawski, gdy syna z domu na wojnę wyprowadził, do usługi i do czuwania nad nim dał mu starego kozaka dworskiego. Kozak powierzoną mu funkcję pełnił sumiennie; panicza ani w pochodach ani w bojach nie odstępował. Pod Obodnem, gdzie się powstańcy z dragonią moskiewską starli, taka go na widok Moskali złość zdjęła, że, nim do boja przyszło, z szeregu się wysunął, na prowadzącego dragonów majora skoczył i na dwoje mu łeb szabłą rozplątał. Ten kozaka Rawskiego czyn, znany na emigracyi, legendowego na Ukrainie nabrał znaczenia.

Nie doszły do wiadomości mojej dalsze bohaterskiego kozaka losy. Zdaje się, paniczowi na emigracyi nie towarzyszył. Pozostał zapewne w Galicyi, może zginął, a może do wsi rodzinnej powrócił i żywot pod knutami zakończył. Moskale się szczególnie nad Rusinami za udział w powstaniu polskiem znęcali. Jakby się jednak bezimiennego tego bohatera losy nie obróciły, to - pewne, że od niego Izydor przejął przekaz reprezentowania godnie kozactwa wobec Koroniarzy i Litwinów na obczyźnie. Gwoli przeto przekazowi temu, Sydorem się przewał i, nie chcąc zaś chłopskiej bohatera z pod Obodnego godności ubliżyć, wszedł do szeregów Towarzystwa Demokratycznego Polskiego.

Wszedł do T. D. P. i w szeregach jego wybył do r. 1853, nie naśladowając innych kozakomanów, trzymających się bardziej formy aniżeli treści. Izydor głównie za treścią poszedł, nie tak atoli daleko, jak grudziążanie w Porthsmouth i humańszczanie na wyspie Jersey. Poglądy jego społeczne nie wychodziły poza ramy programu demokracji polskiej — poza ramy, w których z demokratów nie jeden, Mięrosławski między innymi, nie rozumiejąc istotnego wojen kozackich znaczenia, miejsce dla chmielniczczy-

zny znajdowali. I nasz Sydor Chmielnickiego, nie przewidując zapewne, że go Moskale pomnikiem w Kijowie uczczą, na bohatera demokracji kreował. Wynikło ztąd dążenie do wznowienia chmielniczczyzny, nie przeciwko Polakom jednak, ale wraz z Polakami przeciwko Moskwie.

Przyszły emigracji polskiej z r. 1831 historyk szczegół ten zawczasu zanotować sobie powinien, szczegół ów bowiem, uzupełniając obraz działalności emigracyjnej, świadczy oraz, że emigracja hasło „za wolność naszą i waszą“ na serwo brała i, myśląc o Polsce, o Rusi zarazem myślała.

Ruś przedmiotem troski politycznej nie w samych tylko szeregach demokratycznych na emigracji była. I arystokracja żywo się nią interesowała a z tą nad demokracją przewagą, że się z Rusią łatwiej niż demokracją znosić mogła. Nazwiska magnatów (Czartoryscy, Potoccy, Rzewuscy), których majątki rząd pokonfiskował, a którzy wśród szlachty i wśród ludu dobre po sobie pozostawili wspomnienia, posiadały urok wzbudzający zaufanie*).

Niczego podobnego demokracja w rozporządzeniu swoim nie posiadała, nie ciesząc się przytem kredytem dyplomatycznym, zachowanym przez byłego ministra spraw zagranicznych w gabinecie petersburskim, ks. Adama Czartoryskiego, który w gabinetach wogóle warunkowo poważany, duże miał u W. Porty zachowanie. Że zaś Turcja o miedzę z ziemiami ruskimi graniczyła, że z kozactwem dużo do czynienia miała i Sicz ostatnia na jej znajdowała się gruncie, kozakomani przeto z poręki księcia uważani

*) Faktem jest, że w dobrach magnatów na Rusi włościanom lepiej się działo, aniżeli w majątkach szlacheckich. Chłopi wielbili twórcę i wodza Targowicy i wymawiali mu zaprzepaszczenie Polski w znanej pieśni, zaczynającej się od wyrazów:

Oj pane Potockij, wojewodzkiej synu,
Zaprodaweś Polszu i wsiu Ukrainu.

byli za przedstawicielei sprawy ruskiej bardziej, aniżeli półurzędowych. Wysoka Porta opieki im swojej używała.

Opieka W. P. Sydorowi nie przysługiwała. Kozakoman demokrata własnym ku dopięciu celu, którym było wywołanie chmielniezczyzny, podążać musiał sumptem. Kozakomani z obozu arystokratycznego wytyczali sobie cel skromniejszy. Spólnym dla działalności jednych i drugich punktem wychodnym było ostatnie Siczy przytulisko, nieustające schronisko zbiegów od poddaństwa z Podola i Ukrainy, kraina nazwę Dobrudzi nosząca, prowincya turecka, położona pomiędzy morzem Czarnem, a przedujęsciowym Dunaju ku północy i wschodowi zakrętem. W prowincyi tej Sydor ze spółzawodnikiem swoim, Michałem Czajkowskim się schodził. Dat spotkań tych oznaczyć nie umiem. Musiały one mieć miejsce przed 48, a nawet przed 46 rokiem, Sydor bowiem wziął w owoczesnych ruchach poznańskich udział i czas jakiś (lat kilka zapewne) w Wielkopolsce spędził. W Wielkopolsce ten mu się zdarzył wypadek, że go bożek miłości usidlił. Czar na niego nie Wielkopolanka jednak, ale córa ojczyzny Tella, funkcyę guwernantki w domu polskim pełniąca, rzuciła.

Z postrzałem w sercu zjawił się w r. 1853 w Konstantynopolu w momencie, gdy spółzawodnik jego, M. Czajkowski, przyjąwszy islamizm i przewawszy się Mehmed Sadykiem, rojenia swoje kozakomańskie pod postacią pułku kozaków Ottomańskich urzeczywistnił.

Spółzawodnik jego tryumfował: sądził się ze szczytu powodzenia, otwierającego na ścieżaj wrota do świątyni sławy. Był atamanem kozaczym — znajdował się na drodze wskazanej przez mężów niepospolitych.

— Czyż on nią pójdzie?... — zapytałem Sydora, który tylko wylądował był w Konstantynopolu.

Byłem z tych, co Sadyka paszy na seryo nie brali.

— Czy pójdzie?... — odparł Sydor. — A to co?...

Położył na stole nahajkę hajduczą.

— Choćby nie chciał, pójść musi... Na Dobrudzi z panem Michałem nie rozmawiałem inaczej, tylko z nahajką w ręku... O! znamy się... Niechno się z nim na rozum rozprawię... Nie sztuka pułk postawić... sztuka go poprowadzić i doprowadzić... oo...

Miał z antagonistą swoim pomówić o zadaniu tego kozactwa, co się pod egidą turecką do wojny z Moskwą sposobi, a składa się, nakształt kozactwa zaporoskiego, z narodowości wszelakich i prowadzonym jest przez Polaków po większej części. Ideą Sydora była nemezis dziejowa, dokonana przez odprzerodzoną chmielniczczyznę.

I pomówił zapewne. Jak? Nie wiem, bom się z nim już więcej na gruncie tureckim nie spotkał. Przypuszczać należy, że się z „panem Michałem“, bez nahajki w ręku rozprawił, inaczej bowiem „Sadyk pasza“ nie byłby go przyjął do pułku w funkcyi adjutanta majora, w stopniu — zdaje się — porucznika.

Ta funkcyja i ten stopień zamknęły jego o chmielniczczyźnie rojenia. Opanował go smutek. Na pocieszenie sprowadził z Wielkopolski Szwajcarkę, z której oczów zraniła go strzała kupidy, wziął z nią w Adryanopolu ślub i sprawił sobie wesele na długo, dzięki hałasowi z jakim się odbyło, mieszkańcom Adryanopola pamiętne. Małżeństwo jednak nie dostatecznie go w smutku pocieszało. Szukał pocieszenia w znanym na frasunki środka i przesadził — przesadził tak dalece, że stał się niemożliwym w szeregach, w których wielka na przesadne robaka zalewanie panowała wyrozumiałość. W szeregach tych zalewanie owo zalało niejednego, między innymi Ryszarda Berwińskiego.

Z Sydorem spotkałem się w życiu po raz dru-

gi w roku 1871 w Czortkowie, gdzie się znalazł w odwiedzinach u teścia mego. Nie poznał mnie — nie teść, ale Sydor. Ja zaś poznałem go od pierwszego oka rzutu, w osobie jego bowiem zainteresował mnie był żywo człowiek o idei, której urzeczywistnieniu poświęcił się, a której podkład na uznanie zasługiwał. Podkład był taki: „Ponieważ chmielniczczyna, wytwór Rusi, Ruś i Polskę o zgubę przyprawiła, zatem na Rusi ciąży obowiązek wypośrodkowania z łona swego takiej chmielniczczyny, któraby odrodzenie Polski i Rusi sprowadziła“.

Co?... Jak się podkład ten komu podoba?... Bądź co bądź — dużo w nim piękna, jeszcze więcej etyki, nie brak mu oraz na racjonalności, o niebo całe przewyższającej tę racjonalność, którą się powodują w czasach obecnych aranżerowie awantur uniwersyteckich we Lwowie i strajków chłopskich w Galicyi wschodniej.

Dla opromieniającej podkład ów idei nie imponująca wzrostem ni postawą, ale zamaszysta, kozacza Sydora postać w oczach mi lat siedemnaście stała. Poznałem go mimo, że zamaszystość utracił i zmarniał doszczętnie. Był cieniem Sydora tego, co się nahajką odgrażał. Nie rozpytywałem go o nic; na wszelkie możliwe, jakiebym mu zadawał pytania, znajdując odpowiedź na jego wypisaną postaci. On zaś o niczem, co się kozaczyzny tyczyło, ani o sobie, nie mówił mi — tylko, dowiedziawszy się, że z Czortkowa jadę i przez Genewę będę przejeżdżał, prosił mnie, ażeby w Genewie córeczkę jego odwiedził.

— Córeczkę?... — zdziwiłem się.

— Byłem żonaty... — odrzekł.

Wiedziałem o tem; nie wiedziałem, co się z żoną jego stało. Dowiedziałem się nie od niego, ale w Genewie od żony jego sióstr. Szwajcarce życie, jakie wśród kozactwa ottomańskiego pędzić musiała, do grobu wpędziło. Na tyle sił jej starczyło, że dziecko do sióstr odwiozła. Do męża nie wraca-

ła — nie miała po co: on się bezdomnym w najściślejszym wyrazu tego znaczeniu stał. Ruina marzeń, „snów na kwiatach“, „snów złotych“, zrujnowała człowieka. To samo spotkało pana Michała (Sadyka-paszę), który również z opałów nie wyszedł ręką obronną. Sydor przybity, złamany, szukał ratunku na ziemi ojczystej, dostał posadę dozorczy drogowego. Posada, licho płatna, od głodu by go nie broniła, gdyby mu żalowano łyżki strawy w domach polskich, p. Leona Wróblewskiego i in. Nie broniła by go od głodu i dlatego jeszcze, że potrzebował na zalewanie robaka. W mojej obecności powstrzymał się. Po moim jednak odjeździe robaka zalewał, zalewał, aż zalał i robaka i siebie.

Szkoda człowieka!

KOSTUŚ.

W emigracyi z r. 1831 nikogo zapewne nie było, co by Konstantego Zaleskiego pod zdrobniłem „Kostusia“ nie znał imieniem. Pod imionami zdrobniłemi dwóch zaznaczyło się ludzi. Nie każdy wiedział, jakie w porządku cywilnem miano nosili ci, z których jeden jako Kostuś, drugi jako Ibusz szeroką uzyskał popularność. O Ibusiu coś może później napiszę. Kostusiem zajmę się w sylwecie, w chwili tej pod mojem znajdujące się piórem.

Należy on do postaci typowych. Szczuły, wzrostu mniej trochę niż średniego, ułomny, uniżenie prawie grzeczny, potulny, na pozór z każdym zgodzić się gotów, postępowe, demokratyczne wyznawał zasady i przy nich twardo a niezłomnie stał. Pochodzenie litewskie na obliczu się mu malowało i z ust jego oczekiwać kazało właściwych Litwinom przemówień: „braciaszku“, „bracieszeńku“. Wychowanie uniwersyteckie usunęło mu z języka prowincjonalizmy lokalne, pozostawiając lekko jeno uczuwać się dający akcent. Do nieznanym, do obcych przemawiał: „panie dobrodzieju“; do bliżej znajomych: „bracie“. Moralny ze strony ujemnej duchowej istoty jego przymiot stanowiła oszczędność, posuwana do skąpstwa, nacechowanego dziwactwem. Śród emi-

grantów był jednym z tych szczęśliwców, których w zasiłki pieniężne zaopatrywała pozostała w kraju rodzina. Z Litwy, z pogranicza Prus zwłaszcza, komunikacja z zagranicą możliwą była. Posyłki monety dochodziły go regularnie i broniły od niedostatku. Nie broniły jednak od odsiadywania często za długi więzienia. Na onczas prawo to zniesionem jeszcze nie było. Kostuś od czasu do czasu srogości onego doznawał na sobie. Do więzienia wsadzały go zwykle baby: gospodyni, u której mieszkał, oraz praczka. Płacić czem zawsze miał, ale płacić nie lubił od razu, odkładał na później i, gdy, po miesiącach kilku zebrała się kwota znaczniejsza, żał mu rozstać się z nią było. Wolał więzienie. Posiedziawszy w zamknięciu czas jakiś, znudzony się osamotnieniem — płacił i u tej samej gospodyni nadal zamieszkiwał, tej samej praczce bieliznę swoją powierzał.

Szanowaniem grosza Litwini się odznaczali w ogóle, nie w takim atoli, jak Zaleski, stopniu: żyli starannie, pracowali, zarabiali, grosz ciułali, ale zobowiązaniom pieniężnym zadość jak najskrupulatniej czynili. Podatków organizacyjnych nikt akuraciej nad nich w szeregach Towarzystwa demokratycznego nie płacił. We względzie tym Kostuś nie tylko współziemianom swoim sprawy dotrzymywał, ale przewyższał ich, oddając na sprawę polską pieniądze, czas i osobę własną. Ruchliwość jego w początkach emigracyi była niezrównaną. Gdzie go nie posiano, tam się rodził, a zawsze w roli działacza rewolucyjnego, szerzyciela zasad, nawoływacza do czynu, stronnika Lelewela, psowacza krwi konserwatystów, reakcyjnistów, arystokratów. Adorator tej ostatniej p. Lubomir G a d o n, autor trzypięciotomowego dzieła p. t.: „Emigracya polska“, przedstawia go jako jednego z najbardziej na złą w potomności notę zasługującego gorszyciela napływającej do Francyi emigracyi polskiej.

W Niemczech, jak wiadomo, rozbitków powstania listopadowego z zachwytem przyjmowano. Dwo-

ma szlakami z Prus i Austrii przeprowadzano ich w tryumfie ku granicy francuskiej, którą oni większemi i mniejszemi partjami w trzech głównie przekraczali punktach: w Valenciennie (ci co przez Belgię ciągnęli), w Strasburgu i w St. Louis, osadzie z Bazyleją graniczącą, posiadającej komendę straży pogranicznej.

Znanymi są powody, dla których oni w Niemczech pozostać nie mogli. Nie zawadzi jednak przypomnieć je. Rozbiory Polski związywały Rosyę, Prusy i Austryę spólnością interesu, który z nich przechodził na Rzeszę niemiecką i nie pozwalał wchodzić do niej państwom na samodzielność polityczną. Sympatya, rozbitkom okazywana, pochodziła od narodu, od ludu, w Saksonii, Bawaryi, Wirtembergii, w Badeńskim, Hannowerze i przez rządy tolerowaną do pewnego stopnia być mogła pomimo, że niekoniecznie rządóm dogadzała. Nie dogadzała ona rządóm z tej racji, że rewolucya francuska, belgijska i polska oddziaływały na opinię publiczną w Niemczech i usposobiły ją rewolucyjnie. Dla władców przeto większych i mniejszych królestw i księstw w Rzeszy nie zupełnie pożądaną była obecność wśród ich poddanych Polaków. Przeprowadzono więc ich do Francji, dokąd oni szli chętnie, tak dlatego, że Francuzów mieli za towarzyszy broni, jakoteż dlatego, że prowadziła ich nadzieja wojny przeciwko zaborcom Polski, którym powstanie listopadowe przeszkodziło w naprawieniu dwóch kongresu wiedeńskiego pogwałceń: zmiany dynastji we Francji i oderwania Belgii od Holandji. Zachodziło pytanie: czy powstanie polskie wojnę od Francji odwróciło, czyli też ją powstrzymało tylko? W opinii całego w Niemczech i we Francji świata rewolucyjnego, a zatem i w opinii wychodźstwa polskiego, tryumf Rosji w r. 1831 był jeno półtryumfem reakcji nad rewolucjonizmem — półtryumfem, którego uzupełnienia domagały się najżywotniejsze św. przymierza interesy, spoczywające w żandarmskich cara Miko-

łaja I. i dyplomatycznych *ultra*-prześladowcy rewolucyjnego ducha, Metternicha, rękach. Wojna przeto powszechnie za nieochybną uważaną była.

Wojna ta w dwojakim, w rewolucyjnym i w dyplomatycznym — przedstawiała się kolorze i rozmaitości na nią zapatrywały się osobistości kierownicze, które nadejście gromad emigracyjnych polskich we Francyi poprzedziły: ks. Adam Czartoryski i Joachim Lelewel. Misyja polska, zawiązujące się naprędce komitety, organizacye i organizacyjki próbne szły pod jednym albo pod drugim sztandarem: pod jednym — Czartoryskiego — oddającym się pod rozkazy gabinetowe; pod drugim — Lelewela — gotującym się stanąć obok mających się niebawem porozwijać w Europie sztandarów narodo-ludowo-rewolucyjnych.

Na tak przysposobiony grunt wchodziły gromady i gromadki emigracyjne, które, wyszedłszy niedawno z pod rygoru wojskowego i przeszedłszy przez wrzawę owacyjną, witającą w nich nietylko zastępy bohaterów walki o wolność, lecz hufce wyborowe, powołane do przewodniczenia ludzkości w wyzwalaniu się z więzów wszelakich, nie umiały się na gruncie francuskim orientować wśród poglądów, zamiarów, haseł i zasad po większej części sprzecznych. Sztandarowi werbowali ochotników-zwolenników ci dła siebie, owi dła siebie. Werbunki w momencie wkraczania partyj z Niemiec, odbywały się głównie w Strasburgu.

W tym to momencie, w Strasburgu, Kostuś, w charakterze działacza demokratycznego ze skóry się wywlekał, spółzawodnicząc z działaczami arystokratycznymi. Ten przemawiał w imieniu Lelewela, ci ks. Czartoryskiego. Do lelewelczyka garnęła się młodzież, oficerstwo niższe, do czartoryszczyków szarże, sztabowcy. Generałowie, z wyjątkiem kilku (Dwernicki, Sznajde, Sierawski, Umiński, paru jeszcze) w arystokrację wsiąknęli. Sądząc po wymyślaniu Kostusiowi od intryganta przez autora „Emi-

gracyi polskiej“, powodzenie po jego znajdowało się stronie mimo utrudnień, jakich doznawał w przebywaniu w Strasburgu.

W odniesieniu do rządu, jaki sobie Francya nadała, tak się urządzić potrafił, że wkrótce po stąpieniu na ziemię francuską, wygnanym został naprzód z Paryża, następnie ze wszystkich w Europie ziem, berłu Ludwika Filipa podległych. I w Strasburgu przeto mieszkać nie miał prawa. Zamieszkał więc na prawym brzegu Renu, w Badeńskim i stamtąd, sposobem przekradanym, czartoryszczyźnie zwolenników wydzierał.

Czynność jego wzmożła się, gdy się szykowa-
ły wyprawy do Niemiec i do Włoch, właściwie zaś wyprawa jedna — włoska, ponieważ niemiecka się nie powiodła. Nie powiodła się i włoska, lecz nie przeminęła bez następstw. Blisko sześciuset ludzi znalazło się w Szwajcaryi na lodzie: wyszli z Francyi — Francya się dla nich zamknęła; o zawinięciu do Austrii, do którego z państw Rzeszy niemieckiej, do Włoch ani myśleć można było; Szwajcarya przytułku im udzielić, ze względu na Austryę, Niemcy i Włochy, nie mogła. Kantony niektóre, na ryzyko własne, cierpiały ich do czasu, okazując im gościnność warunkową. W warunkach takich wychodźcy sami sobie radzić musieli: zorganizowali się w „Hufiec święty“, przeznaczony do walczenia przeciwko nieprawościom wszelakim; wysadzili z pośród siebie Władzę wojskową (sztab), Komitet zarządzający, Radę gospodarczą i prowadzili się na podziw wzorowo, mimo że nastrój, jaki wogóle panował, nie jednegoby w państwie „porządnem“ na szubienicę poprowadził.

Niejaki Terlecki n. p. nie rozstawał się z długim, jak brzytwa wyostrzonym nożem, przeznaczonym na zamordowanie monarchy... szwajcarskiego. Gdy dłuższy „Hufca świętego“ pobyt w Szwajcaryi niemożliwym się stał, z racyi nalegań mocarstw rozbiorowych, Szwajcaryi z pomocą przyszła naprzód

Anglia, zapraszając do siebie uczestników wyprawy sabaudzkiej, następnie Francya, otwierając dla nich granice swoje. Część, w Szwajcaryi pozostała, weszła w stosunki z Józefem Mazzinim i na przedstawienie jego, na wzór „Młodych Włoch“, „Mł. Francyi“, „Mł. Niemiec“, rewolucyjnych, demokratyczno-republikańskich, obejmowanych przez „Młodą Europę“, organizacyj, założyła „Młodą Polskę“, do której wraz z Karolem Stolmanem, Feliksem Nowosielskim, Józefem Dybowskim, Franc. Gordaszewskim i in. wszedł Konstanty Zaleski.

W czasie pobytu w Szwajcaryi Kostuś sekretarował w Radzie gospodarczej, pod koniec zaś, gdy się Szwajcaryja z Polaków wypróżniać zaczęła, zawiadował założonem w Genewie, dla informowania członków emigracji polskiej, biurem korespondencyjnym.*) Razu pewnego do biura wchodzi ministya jegomość jakiś i tonem aroganckim takie Kostusiowi zadaje zapytanie:

— Tu biuro do informowania Polaków?...

— Tu, panie dobrodzieju... — odpowiada Kostuś, ręce zacierając.

— Proszę o wskazanie mi b... porządnego!...

— Hm?... To nie mój, panie dobrodzieju, • departament...

*) Biuro tę pamiątkę po sobie pozostawiło: Towarzystwo polskie w Genewie — jedyne w emigracji polskiej towarzystwo, od r. 1834 bez przerwy istniejące. Od daty onej posiadało ono protokoły, które jeden z zarządów na całopalenie po r. 1863 wskazał dla tego, że za dużo zajmowały miejsca. Do składu Tow. w Genewie z ludzi wybitniejszych należeli: Edward Żeligowski, znany w literaturze pod pseudonimem Antoniego Sowy, gen. Józef Bosak-Hauke; obecnie w liczbie członków swoich Tow. liczy profesora uniwersytetu, dra Z. Łaskowskiego. Żeligowski, który w Genewie umarł, Tow. bibliotekę swoją zapisał.

-
-
- Czyj-że?
 - Majora Rudzkiego...
 - Adres?
 - W tej chwili...

Z adresem na kartce jegomość biuro opuścił...

Nad wieczorem, używając nad brzegiem jeziora przechadzki, zoczył Kostuś zdaleka idącego naprzeciw majora. Major Rudzki, człek rosty, silnie zbudowany, postać marsowa, jeden z najpiękniejszych w armii polskiej żołnierzy, groźnie, a coraz to groźniej, w miarę zbliżania się Kostusia, czoło fałdował. Wreszcie stanął przed nim i wybuchnął:

— Cóż to znaczy!... Impertynentów mi nasyłasz?..

— Cóżes z nim zrobił?... — Kostuś na to.

— Cóż zrobić miałem!... Rznąłem w pysk i za drzwi wyrzuciłem...

— Właściem go po to do ciebie, bracie, posłał... — odpowiedział Kostuś, ręce zacierając.

Śród wychodźców r. 1831 i tacy się jak ów jegomość zdarzali żartownisie. Byli tacy, co z siebie samych drwili. Jak w królestwach zwierzęcych i roślinnych, tak w społecznościach ludzkich potworne niekiedy wyradzają się okazy. O niczem one nie świadczą i niczego nie dowodzą, a najmniej zacierały wysoką wartość moralną tych „szaleńców“, co w latach 1833 i 1834 urządzili trzy wyprawy orężne: do Niemiec, do Polski (partyzantka Zaliwskiego) i do Sabaudyi. Do czynu pobudziła ich wiara w Polskę — ta wiara, bez której Polski nie odzyskamy, a której stłumienie, zabicie w nas stanowi, śród wymierzanych przeciwko nam zaborców ojczyzny naszej usiłowań, usiłowanie jedno z najważniejszych i najdonioślejszych. Bez wiary w Polskę — cóżbyśmy byli warci?..

Ta to wiara przewodniczyła Kostusiowi w udziale jaki wziął w powyżej zaznaczonych trzech wyprawach, oraz w Młodej Polsce, z łona której wyszedł między innymi Szymon Konarski. Demokracja

dała Polsce wyznawców i męczenników w dostatecznej ilości na zbudowanie kościoła patriotycznego.

Kiedy się emigracya uporządkowała, postawiwszy się — w odniesieniu do pozbawionej głosu Polski — pod postacią podzielonego na prawicę, lewicę i środek parlamentu polskiego, natenczas Kostus nie odsunął się od spraw publicznych, ale nie wkładał w nie tyle co dawniej życia i energii. Przyczyniły się do tego z jednej strony dolegająca mu ułomność i nieosobliwy stan zdrowia, z drugiej nieufność do wyłączności stanowiska, zajętego przez kierujące ruchami politycznymi w Polsce Towarzystwa demokratyczne. W wypadkach r. 1846 udział jego nie zaznacza się już wyraźnie; w r. 1848 obecnym był na kongresie słowiańskim w Pradze. Następnie wobec agitujących się spraw publicznych zachowywał się biernie, udzielając chętnie rad zgłaszającej się do niego młodzieży — rad, rozwijających w odniesieniu do obowiązków patriotycznych temat, stosowany do obowiązków religijnych: „Wiara bez uczynków jest martwą“.

Zgłaszających się do niego miał zwyczaj zapraszać na śniadanie.

— Przyjdź do mnie, bracie, jutro... Podzielę się z tobą skromnem śniadankiem mojem...

Zaproszonego, gdy przyszedł, sadzał obok przy biurku, rozmawiał z nim i w porze śniadaniowej traktował go zeszlým z szuflady wydobytym rogaliem, który w rękę trzymał.

— Masz, bracie... rozłammy się... Połowa mnie, połowa tobie... — mówił z uczuciem.

Potrzebujący jednak rzeczywiście z próżnemi nie odchodził od niego rękami.

Skąpstwo było w nim dziwactwem i łączyło się ciekawie z przywarą smakoszostwa. Przywarę uznawał, wystrzegał się jej i znajdował dla sfolgowania w niej sobie preteksty w rocznicach rodzinnych. Gdy kto, np. schodził go przypadkiem u Vefour'a, spoży-

wającego obiadek wytworny, tłumaczył się z westchnieniem :

— Przypomniałem sobie obchodzone w domu rodziców moich imieniny stryja i uświęcam drogie mi to wspomnienie posiłkiem lepszym trochę... Ah... — wzdychał.

Wytknąwszy przywary, wykazać należy zalety. Wykazać by się dała zaleta niejedna. Poprzestane na jednej: na odwadze, nie opuszczającej go w żadnym razie. Dowody jej złożył w bojach. Na pojedynki nie rad się narażał, ale wyzwany z zimną na mecie stawał krwią. Wyzwał go był raz jakiś major belgijski za to, że został przezeń nazwany: „korzennikiem“ (*épicier*). Na placu sekundanci usiłowali ich pogodzić; Kostuś zgodził się majora przeprosić, dłoń do niego wyciągnął i z przyceiskiem przemówił:

— *Pardon, épicier...*

Ledwie nie ledwie przeprosiny te sekundanci załagodzić jakoś zdołali.

SKINDER - PASZA.

Skinderem paszą był Aleksander Iliński, młodszy z dwóch braci Ilińskich z Wołynia, co w r. 1831 w powstaniu udział pod dowództwem Karola Różyckiego wzięli. Ciekawą jest biografia jego, którą w krótkości powtórzę, nie rękując za jej prawdziwość, wziętą jest bowiem z ust bohatera sylwety — z ust, z których, jak z ust Karola panie kochanku, wychodziły relacye o rzeczach niebywałych a często i nieprawdopodobnych. Takich kilku zastępnęło na emigracyi. Biografia Ilińskiego, usuwając z niej nieprawdopodobieństwa, przedstawia się jak następuje:

Natura zbudowała pana Aleksandra na schwał i na urząd, tak, że znalazłszy się we Francyi w r. 1832, w 17 czy 18 roku życia swego, postawą, siłą, wogóle wyglądem zewnętrznym nie ustępował ludziom młodym, pełnoletnim. Obok tego też natura obdarzyła go temperamentem niespokojnym, żądnym ruchu, awantur, niebezpieczeństw. W emigracyi agitowała się wówczas, wywołana i popierana gorąco przez generała Bema sprawa legionu polskiego w Portugalii na rzecz donny Maryi, prawowitej na tron portugalski następczyni, przeciwko popieranemu przez kler uzurpatorowi, don Miguelowi. Sprawa ta Polaków ani trochę nie obchodziła i emigracya ją energicznie potępiała. Znajdowała ona poparcie w wyż-

szych, w dyplomatycznych sferach. P. Aleksandra nie obchodziło, kto ją potępia, kto popiera. Zwietrzył wojnę — tego dlań było dosyć; mimo przeto, że do formowania legionów polskich w ojczyźnie Kamoensa nie przyszło, Iliński do Portugalii pośpieszył, niosąc ramię swoje rycerskie ku obronie zaczarowanej niby królowy — donny Maryi. Nie wiem, jak ją bronił, czy o nią walczył, ale w Portugalii nie popasał długo. Pole walki znalazł w Hiszpanii, przeciwko... bykom. Lat parę w roli toreadora popisował się, aż mu się rola ta znudziła.

Nieznane mi są koleje, przez które przechodził następnie. Czy nie wojował on w Afryce przeciwko Abd-el-Kaderowi? Snadź jednak dusza w nim polska przemówiła i spostrzegł się, że ani w hufcach donny Maryi, ani na cyrkach hiszpańskich, ani wojując Arabów, nie na rzecz Polski nie ma do wskórania. Przypuszczać więc należy, że udał się do Paryża dla powzięcia języka i trafił na moment, w którym *Hotel Lambert* *) organizował swoje agencje dyplomatyczne w Rzymie i w Konstantynopolu. W Rzymie p. Aleksander nic do czynienia nie miał. Co innego w Konstantynopolu.

Tureya skutkiem traktatów w Adrianopolu (1829) i Unkiar-Skelessi (1833) wyla się z bólów w uściskach przyjaźni moskiewskiej, manifestujących się szczególnie w nastrajaniu przeciwko niej poddanych narodowości słowiańskiej. Konieczność przeciwdziałania knowaniom moskiewskim narzucała się W. Porcie. Na cel ten najlepiej nadawali się Polacy, jako Słowianie, jako nieprzyjaciele Rosyi, jako wreszcie bojownicy o wolność, których waleczność, w ostatniej okazana wojnie, zentuzyzowała pobratymców

*) Hotel Lambert — nazwa pałacu nabytego przez ks. Adama Czartoryskiego. Na emigracyi nazwa ta w tem wymawiała się znaczeniu, w jakim się mówi: Wysoka Porta, gabinet St. James itp.

ich z nad Sawy i Dunaju do tego stopnia, że sobie hymn narodowy polski („Jeszcze nie zginęła“) przy-swoili. Wdzięczne więc dla agencji otwierało się pole nie tylko nad Sawą i Dunajem, ale oraz u ujść Dunaju, na Dobrudzi, gdzie do czasów wojny moskiewskiej (1828—29) chroniła się ostatnia Sicz zaporońska i gdzie znajdowali schronienie zbiegowie z południowych prowincyj Rosyi od poddaństwa i z wojska. Okrom tego nastęrczało się jeszcze jedno do działalności na szkodę Rosyi ujście: na Kaukazie. Na Kaukazie walka trwała. Czerkiesi pod wodzą Szamyla dzielnie wolności swojej bronili. Sława obrony tej ściągała pomoc i zwabiała ochotników. Pomoc ukradkowa w dostawianiu amunicyi i broni szła z angielskiej i tureckiej strony. Ochotnicy w wielkiej garnęliby się ilości, gdyby Czerkiesi nie byli dziecżą, nie umiejącą cenić wogóle cudzoziemców, tych nawet, co im wielkie w prowadzeniu wojny oddawać mogli usługi. Mimo to odważniejsi ryzykowali przy ułatwieniach, jakie im agencya polska czynić była powinna. Pierwszym urzędowym ks. Czartoryskiego agentem był Michał Czajkowski, zainstalowany w Konstantynopolu około roku 1840.

Przy Czajkowskim znalazł się Iliński.

Agencya trudniła się wyprawianiem ochotników na Kaukaz. Wyprawiła Gordona, którego imię nosi pierwszy w Kijowie spisek studencki i który na Kaukazie zamordowany został. Temperamentowi Ilińskiego odpowiadało zahazardowanie się na przygody wojenne w wąwozach Elbrusa i na przepaści-
stych Kazbeku spadkach. Zdaje się jednak, że nie próbował tego, raz dla nienarażania się na los Gordona, bardziej zaś dla kozakomanii, która się go w towarzystwie pana Michała, pod tego ostatniego czepiła wpływem — nie w tym atoli, co Rawskiego kolorze. Nie przedstawiła mu się ona pod postacią chmielniczczyzny demokratycznej, ale organizacyi służbowej, okraszanej w odniesieniu do Rusinów ta-

kim w spotęgowaniu urokiem, jaki na Mazurów wywierają Krakusi. Możliwość zfabrykowania kozaczyzny tego rodzaju na gruncie tureckim i zwrócenia jej przeciwko Rosyi, wydawała się mężom tym tem większą, że: naprzód na poparcie rządu tureckiego liczyć mogli, że następnie, do zużytkowania w kierunku tym nadawała się nie wygasła jeszcze tradycja Siczy na Dobrudży, wreszcie uwagę ich zwrócili na siebie Kozacy dońscy z racy wieści o niezadowolnieniu i rozruchach, jakie w czasie owym z Donu się rozchodziły. Wieści te szczególnie na Ilińskiego podziały wyobraźnią. Wyobraźnia ukazała mu bunt na Donie, skombinowany z wojną na Kaukazie. Ukazywała mu jeszcze i następstwa dalsze, co zdecydowało go udać się na Don celem wywołania tam buntu przeciwko Rosyi.

Przebieranie się na Don zabrało czasu sporo, sposobem bowiem przekradanym przechodzić musiał przez księstwa dunajskie (Wołoszczyzna i Mołdawia) przez Besarabię, Podole, gubernie południowo-rosyjskie wzdłuż północnych wybrzeży Morza Czarnego, przeprawiał się przez Prut, Dniestr, Dniepr, tu i ówdzie zatrzymywał się dla wzięcia opytu. Zważywszy odległość znaczną i tę okoliczność, że podróże w czasach owych odbywały się wozem, konno, lub „per pedes apostolorum“, nierychło bohater nasz do granic Ziemi Wojska Dońskiego dobić się musiał.

O pobycie swoim wśród dońców opowiadał bez końca i miał do opowiadania rzeczy ciekawych dużo. Znalazł — jak twierdził — potęgę kozacką „silną, hulaszczą“, gościnną. Przyjęto go otwartemi ramionami, nito brata rodzonego, urządzano na cześć jego biesiady, łowy, popisy i układano na szeroką skalę sprzysiężenie, w którym udział wzięli generałowie, pułkownicy, starszyzna cała, nakaźnego atomana nie wyłączając. Rzeczy się układały jak najpomyślniej; wybuch byłby nastąpił niechybnie, gdyby nie zdrada. Spiskowych podpatrzył i podsłuchał rotmistrz z armii regularnej; wykradł okryty podpisami własnoręczne-

mi dokument, świadczący o zamiarze wojska dońskiego — dokument, który car Mikołaj I. spalił i bunt uśmierzył krótkim, w formie rozkazu, dekretem: „Aleksandra Ilińskiego powiesić“.

— I rozkaz carski został wykonany... — kończył Iliński o pobycie swoim na Donie opowiadanie, tłumacząc zdziwionym słuchaczom pozostawanie swoje przy życiu, jak następuje: — Rozkaz carski nie brzmiał: „Uśmiercić przez powieszenie“, powieszono mnie przeto z całą paradą, potrzymano na postrońku minutę, nie dłużej... spuszczone i do ucha mi szepnięto: „Umykaj teraz“...

Inna, od niego samego pochodząca, wersja podaje, że na Donie trafił na szajkę, zrewoltowaną przeciwko porządkowi społecznemu, przestrzegającemu bezpieczeństwa osób i ich mienia. Szajka ta gotową była zrewoltować, wzorem Puhaczewa, wojsko dońskie. Zamiarowi temu jednak przeszkodziła policja, która ją wytropiła i chwyciła jej członków po częła. Obrót ten rzeczy uczynił dalszy Ilińskiego na ziemi Kozaków pobyt niemożliwym.

Wersyj o tym ustępie życia jego, było więcej. Z dwóch przytoczonych prawdopodobniejszą jest druga — prawdopodobniejszą z tej racji, że Iliński rzeczywiście wyprawę za Dniestr, może i dalej, za Dniepr, robił i rzeczywiście był przez policję moskiewską w Mołdawii tropiony. Udało mu się jednak wymknąć, przeprawił się przez Dunaj i na gruncie tureckim wpadł w ręce pozostającego na żołdzie moskiewskim paszy silistryjskiego. Do apsu (więzienia) wtrącony, miał być Moskwią wydany — uratował się tem jeno, że za radą Greka, towarzysza więzienia, przyjął islamizm. Stać się to musiało w r. 1845, może w 1847⁴ — nie wiem.

W bitwie pod Temeszwarem, na Węgrzech, pod istną kul działowych i granatów austriackich ulewą, przed mostem na Bega-kanale, na trakcie, prowadzącym z Czastad do Temeszwaru, obok obserwowującego rozwój boju Bema, pojawił się na spie-

nionym koniu jeździec, który się chwilkę zatrzymał, słów kilka przez generała wymówionych wysłuchał, konia zwrócił i popędził. Żołnierze — a byli to Polacy z legionu, jednego z batalionów, postawionego do obrony mostu — widzieli co moment adjutantów, przyjeżdżających do wodza po rozkazy, i nie dziwili się temu. Ten jednak adjutant wydał się im osobliwością, głowę miał bowiem okrytą nie kiepi'm, ani czakiem, ale fezem czerwonym, z ogromnym, na tył zwisającym, kutasem, przytem konia prowadził nie na mundsztuku, lecz wprost na trenzli, na lejcach nie skórzanych, ale z taśmy kolorowej. Zdziwiło to legionistów i wywoływało domysły różne. Zagadka rozwiązała się później. Owym, inaczej wyglądającym, niż węgierscy, adjutantem, był Aleksander Iliński.

Nieznane mi są losy jego pomiędzy więzieniem w Sylistryi, a pojawieniem się na Węgrzech, obok Bema, którego już nie odstępował. Bem pamiętać mu musiał jego w odniesieniu do legionów polskich dla donny Maryi zachowanie się. Inni projekt Bema uznawali w teorii: on uznał go czynem i, luboć w Portugalii odegrał, w charakterze legionisty, rolę Filipa z Konopi, zawsze jednak na względy projektodawcy w zupełności zasłużył sobie. Względy te to sprawiły, że do armii tureckiej przyjętym został w wysokim, bodaj czy nie pułkownika, stopniu.

Wojna wschodnia (1853—56) wykazała wielką, a świetną wartość jego bojową. Był on jednym z najwaleczniejszych. Powierzono mu na początku dowództwo nad baszi-buzukami, z którymi naczelna władza wojskowa poradzić sobie nie mogła. On, Skinder-bej, raz jeden ich w boju wstępnym użył, ale dobrze: na Wołoszczyźnie podchwycił pułk huzarów moskiewskich, dowodzony przez Karamzina — pułk zniósł, dowódca jego w bitwie śmierć znalazł.

Następnie baszi-buzucy wobec piechoty i, broń Boże, artylerji ryzykować się nie głupi byli. Pod Eupatoryą, dokąd wysłano go na czele dziesiątka wybo-

rowych setni baszibuzuckich, w spotkaniu z Moskalami, poprowadził je na dragonów i doprowadził, ale one dragonom z przed nosa pierzchły, zostawiając Skindera, naówczas już paszę, w szeregach nieprzyjacielskich, pod baldachimem wzniesionych nad głowę jego szabel dragonskich. Tym razem nie byłoby mu się upiekło, gdyby nie Wójcik, adjutant jego, który, gdy mu szabla w rękę pękła, osłonił go dubeltówką za lufę trzymaną i wycofał z pewnej zapadni. Przygoda ta przyozdobiła Ilińskiego piękną przez czoło blizną.

Po zakończeniu wojny wschodniej czas jakiś przemieszkował w Konstantynopolu, w charakterze generała „en disponibilité“. Inny na jego miejscu zapróbowałby życia tureckiego, mającego strony ciękawej. Jego strony te nie obchodziły zgoła; nie obchodziły go też tyczące się wina i napojów wysokowych nakazy proroka. W niestosowaniu się do takich przesadzał nawet. Lubił towarzystwo; praktykował gościnność na szeroką skalę, i podochoćwszy sobie, jak skoro miał słuchaczy, opowiadał, opowiadał.. Niektórych z opowiadań jego samby się Panie Kochanku nie powstydział. Różnica, jaka pomiędzy tym estatnim, a rycerzem donny Maryi, przedzierzgniętym w wyznawcę proroka i obrońcę padyśzacha, zachodziła, na tem polegała, że Radziwiłłowi wena przychodziła po obiedzie, na ganku, w otoczeniu domowników, paszy zaś naszemu natchuienia udzielał widok kilku gotowych go słuchać ludzi. Następowало to zwykle u niego przy obiedzie. Do obiadu nie zasiadał nigdy sam i gdy podjadł i podpił sobie, lada przyczyna — słówko, wspomnienie jakieś, pytanie — stawała się źródłem, z którego wylewał się potok opowiadania.

Przy opowiadaniach takie się niekiedy zdarzały sceny. Iliński opowiadał, obecni słuchali — opowiadał np. o polowaniu na bawły w Ameryce. gdzie, zdaje się, nigdy nie był — i zapędził się za daleko na pole nieprawdopodobieństw. Nagle przy stole sły-

szeć się dawało prychnięcie śmiechem w kułak. Iliński opowiadanie zawieszał, wzrokiem w koło powiódł i opowiadał dalej. Za powtórnem, czasami po raz trzeci prychnięciem, zapytywał:

- Wójcik... to ty?
- Ja, generale...
- Czego się śmiejesz?
- Tak sobie...
- No... no...

I opowiadanie w dalszym szło ciągu.

Gdy zaś prychnięcie raz jeszcze się powtórzyło, natenczas Iliński do Wójcika rozkazującym zwraca, się tonem;

- Wójcik... powiedz!... czego się śmiejesz?...
- Powiedziałbym, ale generał będziesz się gniewał...
- Mów śmiało!...
- A nie będzie się generał gniewał?...
- No... nie!... mów!...
- Generał łże, aż się za generałem kurzy...
- Ach!... ty!... — wykrzykiwał Iliński, zrywał się i do koła stołu pędził za Wójcikiem uciekającym.

Po okrążeniu w sposób ten razy parę stołu, obydwu na miejscach swoich siadali: Iliński sapał, Wójcik się śmiał.

Wójcik pozwalał sobie niekiedy generała nazywać „durniem“. Obraza ta bardziej, aniżeli zarzut łgarstwa Ilińskiego dotykała.

Lat parę po wojnie beczynnim w stolicy spędził. Do wojennej w czasie pokoju służby nie nadawał się jako, ani specjalista w żadnej gałęzi, ani organizator, ani administrator, a ultra-konsomator przez proroka zakazanych napojów. Pozostawał beczynnim, brał generalski żołd i zadłużał się. Był on z tych, co jak Frejend (patrz „Dziady“ Mickiewicza, część III) „miał jakiś talencik do bicia, i mógłby kilku Dońcom grzbiety naszpikować. Ale, w pokoju?“... Wreszcie rząd wynalazł dla niego zajęcie. Posłano

go na gubernatora do Bassory, na pewną śmierć. W klimacie tropikalnym, w mieście brudnym, otoczonym trzęsawiskami, zasilanymi wylewami Czat-el-arabu, człek, nie będący w stanie obejść się bez trunków gorących, musiał żywot zakończyć prędko. Jakoż roku całego podobno nie wytrzymał na stanowisku gubernatorskiem.

Za wysłanie na tę placówkę straconą na swój sposób zemścił się na władzy. Przeciwno nadużyciom, jakie spowodowywał w Turcyi zwyczaj, nakładający na gminy obowiązek goszczenia podróżnych trzy dni bezpłatnie, rząd wydał opublikowane na wielkich arkuszach prawo, zwyczaj ów usuwające i podróżnych do opłacania popasów i noclegów zobowiązujące. Gminy do prawa tego stosowały się względem podróżnych małego kalibru. Od paszów jednak, któż by się zapłaty domagać ośmielił? Skinder-pasza więc jechał i jechał ku miejscu przeznaczenia swego bezpłatnie, aż w jakimieś w Małej Azji miasteczku służba zawiadomiła go o odmowie dostawienia prowiantu bez pieniędzy. Oburzyło go to. Kazał przywołać kajmakana (naczelnika powiatu). Kajmakan na zapytanie o powód odmowy złożył przed paszą ozdobiony u góry cyfrą sułtańską arkusz, zawierający tekst świeżo ustanowionego prawa.

„Pek ii“ (bardzo dobrze)... — odrzekł Skinder-pasza.

Kazał kajmakana rozciągnąć na ziemi grzbietem do góry, część ciała poniżej grzbietu osłonić arkuszem z cyfrą sułtańską i na arkusz ów spuścić z przyciskiem parę dziesiątków uderzeń kijem. Po tej, o poszanowaniu prawa świadczącej egzekucyi, gmina dostawiła mu prowizyj pod dostatkiem.

Był to typ narowistego, a duchem awanturnictwa przejętego człowieka. Rodzaj to nie wyłącznie polski, ani wyłącznie szlachecki, luźno dawna szlacheckość polska doskonale się z narowistością zgadza.

MEHMED SADYK PASZA.

I.

Po dwóch sylwetach typowych z Ukrainy, z których dla modelu jednej ideałem był Gonta, dla drugiej Chmielnicki, pod pióro nasuwa mi się typ „par excellence“ — pół poeta, pół rycerz, pół uczony, pół główek, pół dyplomata, pół narwaniec i do tego pół Polak. Tamci dwaj (Świętosławski i Rawski) uwlec się dali idei demokratycznej mocno odczutej, źle zrozumianej i na błędną pchniętej drogę. Jeden ugrzązł w tym mistycyzmie rewolucyjnym, co dla zbawienia ludzkości posługiwać się gotów rzeziami i stosami; drugi się rozmiłował w kozaczyźnie, która anachronizmem w w. XIX była. Dla Michała Czajkowskiego, osobistości tej samej, co wypisane w tytule sylwety niniejszej nazwisko nosiła, kozaczyzna przedmiotem marzeń i dążeń była, ale nie taka jak ta, której życie Rawski poświęcił.

Michał Czajkowski w dziejach piśmiennictwa polskiego wydatne i charakterystyczne zajmuje stanowisko. Pamiętam pojawienie się utworów jego na Rusi. Wzbudziły one zajęcie ogólne, a żywe — żywe nie tyle zrazu, dzięki obrazowości opisów i imitacji gwary szlachecko-kozackiej, co zaczepieniu w powieści p. t. „Anna“, znanej szeroko w krajach zabranych (Podole, Wołyń, Ukraina) osobistości, zajmu-

jącej z racyi majątku widne w społeczeństwie stanowisko, wslawionej jarmarcznemi w specyalności końskiej szachrajstwami i podejrzaną o pochodzenie semickie. „Anna“ Czajkowskiego jawiła się równocześnie prawie z „Maryą“ Malczewskiego. Różnica pomiędzy utworami temi zachodziła ogromna. Był jednak moment, w którym mniej się interesowano „Maryą“ niż „Anną“, a to dlatego, że tej ostatniej osnowa odnosiła się do skandaliku, należącego do rodzaju tych, co się krwią zmywają. Mówiono o pojedynku, mającym się odbyć we Francyi pomiędzy autorem opowiadania powieściowego, a obrażonym. Do pojedynku nie przyszło i o „Annie“ zapomniano.

Miehał Cz., syn Stanisława i Petroneli z Głębockich, przyszedł na świat r. 1804 na Wołyniu, we wsi dziedzicznej Halczyńce, parafii kodnieńskiej, o milę od Berdyczowa. W pierwszej w. XIX. ćwierci kraje zabrane nie były z ognisk edukacyjnych ogłocone. Komisya edukacyjna zaopatrzyła je w zachowane przez Moskwę po rozbiorach szkoły, szerzące wśród obywatelstwa oświatę. W Międzyrzeczu uczali Pijarzy, w Humanu Bazylianie, w Winnicy, i indziej, w szkołach powiatowych nauczyciele świeccy. Kto się uczyć chciał — miał gdzie. Nawet nieprzystępnymi nie były nauki wyższe, dla których Tadeusz Czacki założył r. 1805 w Krzemieńcu liceum. Panował przeto względny ognisk wiedzy dostatek. Obok tego jednak kraina zwana dawniej Kraje Zabrane, obejmująca prowincye, noszące nazwę Połola, Wołynia i Ukrainy, powitana przez Trębeckiego jako „mlekiem płynąca i miodem“, przepętnioną była ponętami odciągającemi młodzież od nauki. Młodzieniec „bene natus et possessionatus“, jeżeli nie posiadał szczególnego do książki pociągu, jeżeli nie miał nad sobą ojca, lub opiekuna, wychowującego go wedle Ducha świętego doradzającego „róźdzkę“ dla „dziateczek“ i „kańczuk“ dla kawalerów o zasiewającym się pod nosem wasie

chętniej, niż w szkole, kształcił się na jarmarkach, przy stolikach zielonych, na polowaniach, zjazdach chrzcinowych, imieninowych, weselnych, po garderobach. Okazy tego rodzaju bez liku na każdym nasuwały się kroku.

Jeżeli wierzyć temu, co p. Michał sam o sobie opowiada, kształcenie umysłu jego rozpoczęło się w Berdyczowie, skończyło w Międzyrzeczu — w Berdyczowie w prywatnej jakiegoś Anglika pensyi, w Międzyrzeczu u Pijarów. W Berdyczowie nauka udzielaną była z zaprawą zabawy, zabawa zaś polegała jakby na odtwarzaniu w ćwiczeniach odpowiednich tężyzny kozaczej. Na tle tem zaszcześcić się i rozwinąć miało w autorze „Wernyhory“ rozmiłowanie się w kozaczyźnie. Podanie to nie wydaje się z prawdą ściśle zgodnem. Berdyczów, teatr szlacheckich (polskich) i huzarskich (moskiewskich) jarmarcznych i pozajarmarcznych popisów i pohulańek, sam przez się był szkołą, uosabiającą zamiłowanie w kierunku tężyzny takiej lub innej. Do huzarów się Polacy nie garnęli, dzięki wrodzonemu zarówno do Moskali jakoteż do subordynacyi wojskowej wstrętowi. Ale wjazdy do Berdyczowa i przejazdy przez miasto karet szlachty zamożniejszej pod eskortą kozaków na dzielnych koniach, ustrojonych w kurty z wylotami, w szarawary szerokie w kołpaki z jełomami i kutasami, w seled'ce, działały na wyobraźnię i rozbudzały fantazyę.

„O, gdy wyrosnę, toż to ja sobie kozaków sprawię!..“ — marzyli i mawiali panicze niedouki.

Tak i pan Michał w latach dziecinnych marzyć musiał.

Nie dziw przeto, że gdy, po dwóch latach pobytu w Berdyczowie, przeniosła go matka do szkół w Międzyrzeczu, młodzieńca nudy i tesknota opanowały. Pijarski dozór i pijarska nauka nie smakowały mu. Niedługo też w Międzyrzeczu popasał. W ciągu, lat trzech, w czternastym mniej więcej roku życia swego, głowę swoją całkowicie w potrzebną dzie-

dzicowi Halczyniec zaopatrzył wiedzę, która — przypuszczać należy — ograniczyła się na dostatecznie biegłym władaniu językiem francuskim. W latach przed i po roku 1815, francuzczyzna w edukacji odgrywała rolę taką samą, co za czasów jezuickich łacina, z tą atoli różnicą, że łacina stanowiła wyłącznie głów męskich ozdobę, francuzczyzną zaś zarówno się płcie obie zdobiły. Z jedyną prawdopodobnie tą ozdobą wszedł Czajkowski w grono obywatelskie. „Prawdopodobnie“ powiadam, od osób bowiem, co go przed r. 1831 na Wołyniu znały, słyshałem, że uchodził za młodego człowieka wcale nie obiecującego. Nikt ani przypuszczał, ażeby się miał na autora wy kierować. Polował, jarmarkował, ale z książkami się nie wdawał.

Jakto pozory niekiedy mylą!...

Omyliły tych, co przed r. 1831 nie przypuszczali, ażeby Michał Czajkowski zdobyć się mógł na napisanie listu porządnego; omyliły po r. 1831 księcia Adama Czartoryskiego, co tegoż Michała Czajkowskiego, autora kilku powieści oryginalnych, osądził uzdolnionym do sprawowania funkcij dyplomatycznych.

A!... „errare humanum est“.

Po jedno i drugie — do kogóż miała się zwrócić, jak nie do wypadłego z łask jej sprzymierzeńców unkiar-skaleskich męża stanu, byłego ministra spraw zewnętrznych w Petersburgu, znajdującego na wylot arkany i tajemnice dyplomatyczne? Ambasadorowie jej w Paryżu i w Londynie dostali rozkaz porozumiewania się we wszystkim z księciem A. Czartoryskim i posługiwania się nim w potrzebie. Księżę na pośrednika pomiędzy sobą a ambasadą, na wiernika swego, wyznaczył Czajkowskiego, któremu powierzył zarazem umawianie się z obecnymi w Paryżu licznymi wychodźcami słowiańskimi, poddanymi tureckimi. Na polu tem zawiązała się zabierająca czasu niemało gadanina dyplomatyczna, skutkiem której ułożoną została „pomiędzy Jego Wy-

sokością księciem Adamem Czartoryskim, a Jego Wysokością księciem Wasowiczem, pretendentem do tronu czarnogórskiego konwencya“, celem przywrócenia księciu Wasowiczowi należnego mu tronu i zorganizowania w Czarnogórze siły zbrojnej polskiej. Książę Wasowicz zobowiązał się, dla dodania zapewne konwencyi owej pewności i siły, przyjąć katolicyzm, książę Czartoryski zaś zaopatrzyć go w pieniądze. Konwencya ta wydała rezultat jak najsmutniejszy. Warunki jej dotrzymane zostały w tym względzie, że ks. Wasowicz na katolicyzm przeszedł, ks. Czartoryski w pieniądze go — niewielkie, fr. 60.000 — zaopatrzył i on się z pieniędzmi temi ulotnił, zostawiając towarzyszącego mu Czajkowskiego w Rzymie bez grosza.

Wypadek ten powinien był ochłodzić dyplomatyczne zapęły i zwrócić Czajkowskiego z drogi do Paryża, do żony, którą był lat temu kilka pojął i z którą miał dzieci czworo. Sprzeciwiały się temu, z jednej strony, jego samego ochota zapoznania się z będącym w czasie owym w literaturze polskiej modnym („Sonety krymskie“, „Farys“, tłumaczenie „Giaura“ przez Mickiewicza) Wschodem, z drugiej zobowiązania względem rządu francuskiego, powzięte przez Czartoryskiego, który dla wysłańca swego wyrobił naukową, urzędową misję, czynienia studyów, tyczących się plemion słowiańskich pod berłem otomańskim. Zwrócenie wysłańca z drogi, byłoby zdrwieniem z Guizota, owoczesnego ministra oświaty. Czajkowski przeto, mimo, że przez jedną wysokość książęcą okradzionym został, musiał przez drugą Wysokość książęcą na nowo być w grosz zaopatrzonym i dokończyć podróż przerwana.

Ks. Adam był dyplomata, w wielkim stylu, usposobionym do mierzenia się z fotelu ministeryalnego z Taillerandami, Metternichami, Castlereaghami, Hardenbergami itp. mężami stanu, ale gdy się fotel ministeryalny z pod dostojnej osoby jego usunął, a Taillerandy, Metternichy etc. od niego się od-

wrócili, nie koniecznie potrafił w człowieku zwyczajnym męża stanu odkryć. Niezwyyczajność Czajkowskiego wyraziła się w powieściopisarstwie, powieściopisarstwo zaś nie daje jeszcze na mężostwo stanu patentu. Chyba książę koloryt kozacki za ekwiwalent patentowy uznał, że Czajkowskiego w charakterze dyplomatycznym na Wschód wyprawił. A do tego ta się zapewne jeszcze przyłączyła okoliczność, że zewnętrzną swoją, rysami oblicza, manierami, wydawał wybraniec książęcy człeka, należącego pochodzeniem do jednej z ras, gnieźdzących się u stóp tej góry, na której się arka Noego zatrzymała.

Wyraziłem się o M. Cz. powyżej, że jest pół-Polakiem. Byłbym nie śmiał tego o nim powiedzieć, gdyby był karyery swojej nie zakończył, jak zakończył. Zakończenie to upoważnia mnie do przyznania mu polskości przez pół tylko, sądząc o tem wedle znamion rasowych. Któż Polaka z dziada, pradziada po rysach oblicza, wyrazie oczu, kolorze cery i ogólnym postaci wyrazie od pierwszego oka rzutu nie pozna? M. Czajkowski na pierwszy oka rzut przedstawiał się jako wschodniowiec. Nos kroguleczy, włosy czarne, cera śniadawa, oczy świdrem patrzące — wyglądał na Persa, Anatolczyka, Armeńczyka. Ormianizm zwłaszcza z oczu mu bił wyraźnie, dla tych zwłaszcza, co wiedzieli o rozsypanej w moskiewskim i austryackim zaborze szlachcie polskiej, nazwisko Czajkowskich noszącej, z rodzinami polskimi spokrewnionej i skoligowanej i do Ormian się zaliczającej. Ci pana Michała o ormianizm nie podejrzewać nie mogli. Tłumaczy to, dla czego książę Czartoryski, który w zaborze rosyjskim ogromne przed r. 31 posiadał majątki, w zaborze austryackim, w ognisku niejako ormiańszczyzny, Śniatynie i w majątkach tych często się z Ormianami spotykał, który wiedział może o usługach, jakie oni w czasach dawniejszych Polsce na Wschodzie, na polu dyplomatycznym oddawali, — tłumaczy to, powtarzam, czemu książę nie komu innemu, jeno potom-

kowi (po kądzieli) Myśliszewskich, Bohdanowiczów, co do Bakcziseraju i Konstantynopola w sprawach polskich jeździli, Szymonowiczów, Zimorowiczów, co piśmiennictwo polskie wzbogacili, misję dyplomatyczną w Turcyi powierzył. Ormianin i autor powieści kozaczych — nie byłże on na ambasadora w Turcyi stworzony?

Nie ambasada wprawdzie, ale agencja polska w Konstantynopolu narzucała się w momencie, w którym emigracja polska porządkowała się we Francyi, rozpadłszy się na dwa skrajne i na trzecie pośrednie stronnictwa. Skrajne rozebrały pomiędzy siebie działalność — demokracja wśród ludów, arystokracja w gabinetach. Gabinety atoli dla reprezentacyi narodowej, nie opierającej się o żadne państwo, zamknęły się z wyjątkiem dwóch: kuryi rzymskiej i Wysokiej Porty. Kuryę obchodził, prześladowany w Rosyi jawnie i zagrożony w Prusiech katolicyzm, wymagający z jej strony zabiegów na drodze nieregularnej i nieoficyjalnej. Wysoka Porta, po traktacie w Unkiar-Skalezi, uczuła gwałtowną potrzebę zabezpieczenia się przeciwko uzyskanemu traktatem tym sprzymierzeńcowi, usuwając możliwe ruchy wewnętrzne i reorganizując swoją siłę zbrojną. We względzie tym potrzebowała ona wskazówek i pomocy.

II.

I pan Michał pojechał, raczej popłynął r. 1841 do Konstantynopola. Ciągnęło go tam... przeznaczenie niby. Ks. A. Czartosyski, zrażony do jego zdolności dyplomatycznych rezultatem negocyacyj z Jego Wysokością ks. Wasowiczem, rad by go był z drogi zawrócił — nie mógł — nie wypadało. Czajkowski się później Wasowicza wyrzekł, zwałając całą za awanturę tę odpowiedzialność na hrabiów Władysława Zamoyskiego i Cezarego Platę. Nic atoli bardziej, aniżeli podania Czajkowskiego, na niedowierzanie zasługuje. Na emigracyi był on jednym

z trzech (Służalski, Czajkowski, Mierosławski), znanych powszechnie ze zdolności przekręcania prawdy. Wasowicza przeto historia całkowicie na jego zostawić powinna sumieniu. Z tym też na sumieniu grzechem działalność dyplomatyczną na Wschodzie rozpoczął i prowadził.

Rozpoczął on i prowadził działalność tę wbrew — jak się domyślać należy — życzeniu skompromitowanego przezeń w oczach emigracji polskiej i kuryi rzymskiej księcia. Wyprzec się jednak wysłańca własnego, zaopatrzonego za staraniem księżcem przez rząd francuski w charakter urzędowy, przez ambasadora tureckiego w Paryżu i znakomitości francuskiego świata oficjalnego w listy polecające do dostojników tureckich i wpływowych w Konstantynopolu osobistości, sposobu na razie przynajmniej nie było. Odwołanie odłożyć należało na później — do pretekstu dyplomatycznego pierwszego lepszego. Z takim wszelako, jak pan Michał majstrem, sprawa łatwą nie była. Pretekst się znalazł niebawem: złudzenie rządu lennego naonczas księstwa serbskiego gotowością W. Porty przyznania księstwu niepodległości za pomocą jednorazowej skapitalizowanego haraczu spłaty. Rzecz ta, przedstawiona jako umówiona w Belgradzie, pokazała się ani pomyślaną w Konstantynopolu. Wynikła stąd nowa na polu dyplomatycznym kompromitacja, którą jednak dwie inne zamaskowały roboty: Zaporozie i Kaukaz.

Zaporozie zwłaszcza — Zaporozie bowiem przedstawiło się, jako pole współzawodnictwa z demokracją, z którą w owym właśnie czasie Hotel Lambert gorącą toczył walkę.

Mowa tu o Zaporoziu nie-istniejącem. Istniało ono do r. 1829 na Dobrudzi; lecz w roku tym ataman Hładkij zaprzepaścił je zdradą Turcyi, na rzecz Moskwy dokonaną. Pozostały po niem wspomnienia, ożywiane świadectwem zbiegów z pod komendy Hładkiego, którym zamiana wolności tureckiej na moskiewską nie wydała się korzystną, ożywiana oraz

obecnością, zbiegów od pańszczyzny i z szeregów armii rosyjskiej włóścian z Podola i Ukrainy. Zbiegowisko to, złożone z materyałów, które niegdyś służyły do zasilania Zaporozża na ostrowach dniewprowskich, nadawało się do snucia zamiarów, mających na celu wskrzeszenie tej specjalnie w dziejach zaznaczonej organizacji militarnej. Wytropili je najpierwsi demokraci emigracyjni, którzy jak skoro znane założyli Towarzystwo, wnet rozpoczęli walkę o niepodległość Polski przysposabiać i w celu tym emisaryuszów na wsze rozsyłali strony. Jeden z traktów, którymi oni ku Polsce podążali, przechodził przez księstwa naddunajskie. Mołdawię zapełniali wychodźcy i emigranci (emigrantów nazwa odnosiła się naonczas wyłącznie do wychodźców politycznych) polscy. Ci, w stronach tych krążąc, o Dobrudżę się ocierali, gdzie zetknęli się z chroniącem się tam wychodźstwem rusińskim, rozżalonym na Moskwę za wzmacnianie poddaństwa, oraz za zniesienie rejestrowego, zwłaszcza zaś niżowego kozactwa, którego sławę głosili zaporozżce, zbiegli z pod komendy Hładkiego. Wskrzeszenie Zaporozża przeciwko Moskwie nie mogło nie wstrząsnąć wyobraźni tych, dla których walka przeciwko Moskwie jedynem była życia zadaniem. W celu tym na Dobrudżę zaglądali wysłańce demokratyczni. Było ich — nie wiem ilu; do wiadomości mojej doszły tylko nazwiska: Mikulskiego (później księdzem został), Izydora Rawskiego, Ludwika Zwierkowskiego. Najruchliwszym i najczynniejszym wśród nich był ten ostatni, znany pod nazwiskiem paszportowem Lenoir'a.

Pod osłoną paszportu wędrował on swobodnie po Mołdawii i Turcyi, bywał w Konstantynopolu i znał się z tameczną kolonią polską, składającą się z rozbitków powstania listopadowego i wychodźstwa przemysłowego. Z pierwszymi Czajkowski zejść się musiał — zeszedł się więc z Lenoir'em. Od niego się o stosunkach naddunajskich i o Dobrudży dowiedział i — co było rzeczą całę ważną — potrafił go dla

spraw i zamysłów, w Hotelu Lambert urabianych, pozyskać.

Pozyskaniem Lenoir'a, tę grubą Hotelowi Czajkowski oddał przysługę, że Lenoir była to siła demokracji wydarta. Dzięki przysłudze tej poprawiła się mocno zachwiana p. Michała reputacja dyplomatyczna. Dla utrwalenia jej na Dobrudżę się wybrał, ciekawy zakątek ten zwiedził i z wyprawy tej raport księciu panu przesłał. Raportu nie czytałem — żadna okazyja nadzwyczajna w ręce mi go nie wsunęła; okazyje zaś zwyczajne, przebywające za programi wysokimi Hotelu Lambert, zdaleka obchodziłem. Nie wiem przeto, co Czajkowski do głowy stronictwa arystokratycznego pisywał. Znając jednak autora z pism, z czynów, i osobiście, nie pomyłę się, twierdząc, że działalność swoją przedstawiał w świetle pożyteczności, wymagającej pozostawienia go na stanowisku, jako działacza samodzielnego. Podania mówią, że samodzielność przypisać mu. w pierwszych jego na Wschodzie krokach, można tylko we względzie pozyskania Lenoir'a. I to — pytanie: czy nie wchodziła do tego kobieta?... O kobiecie będzie później, tymczasem zaznaczę, co się niewątpliwem wydaje, że do stawiania pierwszych na nieznanem polu kroków służyły mu skazówki, jeżeli nie wyłącznie, to przeważnie Lenoir'a. Lenoir wiedział o zabiegach emisaryuszów z obozu demokratycznego, wiedział o Rawskim i za jego to sprawą nastąpić musiało zejście się tego demokraty z Czajkowskim i rozmowy ich, które Rawski — jak powiadał — toczył z nahajką w ręku. Może to i prawda, Rawskiemu bowiem tajną być nie mogła dezercya Czajkowskiego z obozu demokratycznego, o czem świadczą pierwsze członków T. D. spisy. Traktował go więc z góry na gruncie, na którym tak jeden, jak drugi nie znalazł tego, czego szukał: urzeczywistnienia ideału kozaczego — ideału, upatrywanego przez Rawskiego w Chmielniczczynie, przez Czajkowskiego w kozactwie nadwornem.

Ideał swój nakreślił Czajkowski obrazowo w powieści p. t. „Wernyhora“, w której legendowy Wernyhora ginie, a na plan pierwszy wysuwa się Nekrasa. Ów to Nekrasa, w odzieży z wylotami, w kołpaku z kutasami, frenzlami i kitami, harcujący na koniu dzielnym, również ozdobnie przystrojonym, bohater nad bohater, waleczny, piękny, posiadający przymioty nadzwyczajne, kochający straszliwie, bohater ów był jego rojeń i pragnień przedmiotem, jego pożądań celem.

Z tem rojeniem w wyobraźni, z tem pragnieniem w sercu, z tem pożądaniem w umyśle wyjechał Czajkowski na Wschód i przebywał na Wschodzie. Z tym też imaginacyjno umysłowym bagażem, stanął na ziemi dobrudzkiej, wśród zbiegów ruskich, oko w oko z Nekrasowcami.

Z Nekrasowcami zdarzyło się mu wedle przysłowia: „Słyszał, że gdzie dzwonią, nie wiedział, w którym kościele“ — i stworzył sobie Nekrasę, do którego Nekrasowców dorobił i dobrał. O prawdziwych pojęcia nie miał. Pewnym był, że to Rusini. Łatwo więc wyobrazić sobie, jakim zdziwienie jego być musiało, gdy pod nazwą Nekrasowców nie Rusini, ale najprawdziwsi mu się przedstawili Moskale. Podkopali mu oni i zwichnęli rojenia, ale na żadną go nie narazili stratę. Przeciwnie. Ideał ideałem pozostał; urzeczywistni się — dobrze, nie urzeczywistni się — drugie dobrze, co zaś do zyskania było, to się zyskało.

O wskrzeszeniu na nowo za zezwoleniem W. Porty w dobrudzkim zakątku Zaporozża, po tak niedawnej (r. 1829) Hładkiego zdradzie i po tak niedawnym (r. 1833) w Unkiar Skelezi z Rosyą przy mierzu, ani myśleć było można. W. Porta tem mniej zezwolić na to mogła, że na Dobrudży przebywali Zaporozców spółzawodnicy i nieprzyjaciele*), Turcyi

*) Nieprzyjaźń pomiędzy Zaporozcami a Nekrasowcami doprowadzała nieraz do rozpraw orężnych.

wierni Nekrasowcy, posiadający samorząd pod warunkiem służenia w razie potrzeby państwu Otomańskiemu orężnie. Warunki takie przysługiwały przed laty i Zaporozcom. Tak samo, jak ci ostatni, Nekrasowcy, zorganizowani i uporządkowani, wybierali starszyznę, na czele której stał ataman. Zatrudnieniem ich były: uprawa roli, rybołówstwo, pijawkołówstwo i handel. W pobliżu Babadagu i jeziora Razelm zamieszkiwali kilka dobrobytem kwitnących osad. Do Rosyi, jako starowiecy, ze względu na prześladowanie ich wyznania przez rząd rosyjski, odnosili się wrogo.

Samorząd, przysługujący im w gminnych i religijnych sprawach, nie uwalniał ich od zależności od W. Porty i działających z jej ramienia administracyjnych i sądowych urzędników, powołanych do utrzymywania ładu w kraju wśród różnonarodowej i różnowierczej ludności, pochopnej do sięgania po własność cudzą i mącenia porządku. Zamożność Nekrasowców wzbudzała ochotę dzielenia się nią z nimi w sposób nieuprawniony: w ichże wiary odmiennych spółziomkach (Bezpopowcach, Skopcach i in.), w posiadających prawa podobne Tatarach krymskich, w kolonistach niemieckich, w Bułgarach, Rumunach, Grekach, Turkach, Żydach, Rusinach, w najrozlicniejszej, a jak najmocniej z etyką poróżnionej ze świata całego zbieraninie. Przeciwno napastnikom tego rodzaju osłona i obrona znajdowała się w rękach urzędników tureckich, nie pogardzających, wzorem czynowników moskiewskich, obdzierającymi nie rzadko ludzi ze skóry łapówkami, znanymi w Turcyi pod nazwą: bacziszów. W odniesieniu do wszystkich tych, kieszeniom ich zagrażających gromad i osobników, potrzebowali oni pewnej i skutecznej wobec sfer wyższych i najwyższych obrony.

Obrona taka nastąpiła się im w osobie Michała Czajkowskiego, wiernika księcia Adama Czartoryskiego, zaopatrzonego w paszport francuski i charakter urzędowy, poleconego dygnitarzom ture-

ckim i osobom wpływowym zagranicznym w stolicy Turcyi, posiadającego względy szczególne, mającego głos w sferach rządowych bankiera (Aleona) i poparcie, nie bijącej jeszcze na onczas przed carami pokłonów ambasady francuskiej. Taki właśnie mąż w r. 1841 może 1842, a może 1843, stanął przed oczami opłacających haracze panom, kajmakanom, muftim, agom, zaptijom i wszelakim figurom urzędowym Nekrasowców.

W sposób ten Czajkowski stał się, jako sprawujący interesy Nekrasowców, w Konstantynopolu potrzebnym. Czy jednak, jako taki, był on oraz, jako sprawujący interesy Hotelu Lambert, w stolicy Wschodu potrzebnym?... Był — zapewne — wedle składanych przezeń księciu panu raportów.

Są dane, pozwalające przypuszczać, że księżę, zrażony konwencyą czarnogórską i negocyacyą serbską, raportom niekoniecznie dowierzał i Czajkowskiego do powrotu wzywał, do żony i dzieci, do pełnienia obowiązków ojcowskich powoływał. Napróżno jednak. Sprawy publiczne, obowiązki — wedle mniemania autora Werzyhory — od ojcowskich ważniejsze, nakazywały mu głuchym na wezwania i powoływania pozostawać.

Do sprawowania interesów nekrasowskich dołączyły się kraje kaukazkie. Znajdowały się one pod pieczę i w rękę duszą i ciałem im oddanego Anglika, Urquardta. Urquardt pieniądze na walkę Czerekiesów przeciwko Moskwie zbierał, broń i amunicję kupował, oficerów werbował, efekty i ludzi na Kaukaz przekradał. Pomagali mu w tem Turcy; lecz niemniej pewnymi przedstawiali się mu w tej sprawie Polacy. Jak skoro przeto doszła go w agencji polskiej w Konstantynopolu wiadomość, wnet zwrócił się do niej i znalazł ją chętną w użyczeniu mu rad, wskazówek i wszelkiej innej pomocy. Sprawa ta w raportach księciu inaczej zapewne, niż tu o niej mówię, przedstawiona, wzmocniła potrzebę obecności Czajkowskiego w Konstantynopolu.

W czasie owym, w roku mniej więcej 1843, kiedyśmy w kraju się w utworach Michała Czajkowskiego rozczytywali, jak się obecnie w utworach Henryka Sienkiewicza rozczytujemy, rozeszła się była wieść, że Moskwa zaalarmowana agitacją Czajkowskiego wśród ludów i narodów naddunajskich, wystąpiła wobec Turcyi z żądaniem wydania go, a przynajmniej wydalenia. Nie wiem, jaką wieść ta wpływ w hotelu Lambert wywarła. U nas na gruncie polskim, na Podolu, wywarła ona wpływ taki, że nietylko wyniosła Czajkowskiego na wyżyny powieściopisarskie niedojrzalne — przekonani byliśmy, że powieściopisarza nadeń lepszego w Polsce nigdy nie było i nigdy nie będzie, aleśmy go jeszcze i — niemal... na zbawcę Polski z góry pasowali.

III.

„Cherchez la femme“. Regułę tę, której się trzymają sędziowie śledczy w dochodzeniach kryminalistycznych, zaznaczyłem poprzednio, mówiąc o samodzielności w czynnościach Michała Czajkowskiego na Wschodzie. Winienem przytoczenie reguły tej usprawiedliwić. W losach Czajkowskiego kobieta przeważną odgrywała rolę.

Kto nie zna niedokończonego Juliusza Słowackiego poematu p. t. „Podróż na Wschód?“ O nieznamość utworu tego nikogo z łaskawych „Sylwet“ moich czytelników podejrzywać nie śmiem; śmiem jednak przypuszczać, że nie każdemu, po strofie w pieśni drugiej, mówiącej „poetycznym Laurom“ i „sawantkom“ o szkole wstawionej „biednej Safo skokiem“, zrozumiała jest strofa następująca:

„Znałem... lecz szczęściem uleczoną z żalu
Safonę bardzo podobną do greckiej.
Ta się nieszczęściem kochała w Moskalu;
A Moskal zginął na wojnie tureckiej;
Ta poszła zabrać na Warneńskim polu
Zwłoki...“ etc.

Dalej poeta opowiada o odciętych przez Turków uszach kochanka, po które Safona owa pojechała do Konstantynopola, o jej młodościach, które lekarze usuwali pigułkami z chleba, o oznaczającym ochotę samobójczą targowaniu się z lekarzami „o krwi troszeczkę i jeszcze miseczkę“, o romansie z oficerem angielskim; nie opowiedział atoli o szkielecie ukochanego, zamkniętym w trumnie, towarzyszącej kochance w podróżach i lokowanej przy jej łóżku sypialnem wszędzie, gdzie się zatrzymywała na dłużej. O pierwszym opowiada poeta, o drugim podanie. Safona owa ostatecznie osiedliła się w Konstantynopolu — to fakt, do którego podanie dodaje, że w lat dużo później pożar domu, w którym mieszkała, pochłonął trumnę i ulubioną charcicę i, że charcica żalowaną była bardziej, aniżeli trumna z zawartością swoją. Podaniom można wierzyć, albo nie wierzyć, wolno je nawet brać za plotki, mimo podkład prawdopodobieństwa, na którym się zrodziły, ale nie wolno przeczyć faktom dokonany, faktom, które w odniesieniu do strof, Safonie przez Słowackiego poświęconych, wyraziły się w sposób, żywo autora: „Podróżny na Wschód“ obchodzący. Kim była Safo owa? Była nią Ludwika Śniadecka, córka Andrzeja, profesora uniwersytetu wileńskiego, znakomitego uczonego i gorącego patrioty polskiego. Rozkochała się ona w Moskalu, Korsakowie, oficerze od gwardyi, rozkochała się zapewne wbrew życzeniu ojcowskiemu. Ale... „miłość nie sługa“, a za to w służbę bierze tych, co się z nią wdadzą. Po zwłoki ukochanego wybrać się mogła dopiero po śmierci ojca i otrzymaniu przypadającej na jej dolę części majątku, jaki zostawił po sobie. Sprawy spadkowe długo się zwykle wloką, ponieważ przeto Andrzej Śniadecki zmarł w r. 1838, nie mogła więc wcześniej, jak w r. 1840, albo 1841 wyjechać. Daty te nasuwają na myśl uwagę, tyczącą się miłości panny — Ludwiki — miłości, dochowywanej nieboszczykowi przez lat najmniej dwanaście, oficer ów bowiem zginął przy pa-

miętnym szturmie Warny r. 1828. Rzeczy takie nie zdarzają się codziennie. Odszukała na warneńskim polu zwłoki i — co z nimi zrobiła? Nie odwiozła do kraju; nie odesłała rodzinie; nie pogrzebała ich w Turcyi nigdzie: podanie przeto o trumnie przy łóżku, w której przechowywane były, jest bardzo podobnem do prawdy, odpowiadając nastrojowi romantycznemu, który duszę tej kobiety przenikał i nie pozwolił jej po śmierci marnego jakiegoś oficerzyny moskiewskiego, przenieść miłości na genialnego poetę polskiego.

Kochał ją, jak wiadomo, Juliusz Słowacki. Kochał ją i odezwał się do niej o niej:

„I powiedz, czyli duszę mam powszednią
Ja, co przebiegłszy świat, kochałem jedną“.

Zakochanie się Słowackiego nastąpiło w dobie brzasku młodości jego — liczył lat nie więcej jak siedemnaście. Ona dużo od niego starsza, w momencie, kiedy on do jej serca po młodzieńczemu kołatał, z „oficerem na potęgę romansowała i... dla studencika łaskawą była“. Stosunek ten, we dwa lata później, zerwał się: studencik do Warszawy wyjechał, oficer na wojnę poszedł. I jeden nie wrócił i drugi nie wrócił. I stało się: oficerowi wierną pozostała ona, dla niej wierność w studenciku się rozbudziła.

Jak się zdaje, często i gorąco — tak gorąco, jak w strofach, rozpoczynających się od wyrazów: „Kłębami dymu niechaj się otoczę“ — wypowiedana z obczyzny przez Słowackiego miłość dla niej przyszła retrospektywnie, we wspomnieniach, na skrzydłach tego gołębia, co wieści nosił, drogą poetyczną. Upostaciował on w niej, imieniem jej nazwał ideał, w rzeczywistości nie istniejący.

Ona się tego ani domyślała. Utwory jego, gdy w ręce jej wpadły, nazwała „wierszami szklanymi“. Przybyła „nad brzegi Marmora“ z popiołami

Moskala i rozkochała w sobie... autora „Kirdzalego“.

Rozkochała — zapewne; trafniejszym jednak będzie wyrażenie: opanowała.

Była to kobieta do panowania.

Mówię to z całą rzeczą świadomością — ze świadomością, zdobytą naprzód osobiście, następnie od dwóch na zupełne i całkowite zaufanie zasługujących świadków, których po imieniu i nazwisku w pamiętnikach, co się po śmierci mojej przypuszczalnie ukaza, wymienię.

Osobiście miałem zaszczyt przed obliczem jej, przez nią wezwany, stanąć. Działo się to w r. 1863, w czasie kiedym w Tulczy, na Dobrudzi, oddział powstańczy organizował i w interesie oddziału tego do Konstantynopola na dni parę przyjechał. Wezwała mnie dla rozmówienia się ze mną, w materji dla niej i dla mnie nad wyraz drażliwej — a tem drażliwszej, zem był autorem książki, towarzysza jej dozgonnego sądzącej bardzo — bardzo niepoehlebnie.

Przed obliczem jej stanąłem i doznałem wrażenia takiego, jakiego — przypuszczam — doznawać muszą czciciele monarchizmu, gdy się po raz pierwszy wobec jakiej cesarzowej, a przynajmniej królowej znajdują. Nie przykląknęm wprawdzie, ani czoła do podłogi nie uchyliłem, ale doznałem czegoś naksztalt porażenia od majestatu, z oblicza i postawy kobiety tej bijącego.

Liczyła wówczas lat mniej więcej sześćdziesiąt; z pod czepca na czoło jej i skronie włosy śnieżnej wysuwały się białości, tworząc ramy dla oblicza o rysach regularnych, oświeconego oczami pogodnie i dobrze patrzącymi, a z wyrazem takim, w którym tały się obietnice grozy lub słodyczy, kar lub nagród. Klasycznie ukształtowanej głowie odpowiadał wzrost więcej trochę niż średni, przy postawie szykowej, o ruchach swobodnych, nie zdradzających wieku późnego.

Powitała mnie z tą uprzejmością łaskawą a ujmującą, która najbrzydsze zdoła kobiety, i ukazawszy mi siedzenie obok siebie, zawiązała rozmowę, zaczynając ją od wyrażenia nadziei, że nie rozejdziemy się pogniewani. Rozmowa zabrała nam czasu bez mała godzinę, luboć interes na samym początku prędko załatwiony został. Po załatwieniu interesu, gdym ruch do wstawania wykonał: „Czemu się pan śpieszy?“... — zapytała. Mówiliśmy o stanie sprawy polskiej, o nadziejach, prawdopodobieństwach, o stanowisku politycznym W. Porty, o „generale“ — tak Sadyka-paszę tytułowała, nie nazywając go „mężem“ swoim. Materyę najdelikatniejszą i najdrażliwszą stanowiła książka moja i ta materya dotkniętą została. Rozstałem się z nią przez nią oczarowany, wynosząc to przekonanie, że Michał Czajkowski nie jest przecie takim lichym, za jakiego uchodzi, człowiekiem. Przekonanie to, które w książce pióra mego, „W Galicyi i na Wschodzie“, wyraziłem, ona we mnie wmowiła. Chodziło o dezertarów, którzy z pułków kozackiego i dragońskiego, znajdujących się pod dowództwem Czajkowskiego, do formującego się w Tulczy oddziału polskiego się zgłaszali. Umówienie na tem polegało, że Czajkowski z popędu własnego, przez wzgląd na sprawę polską, poszukiwać ich nie chce, gdy w istocie rzeczy popęd ów pochodził od sprzyjającego powstaniu polskiemu rządu tureckiego.

Pozostawałem pod kobiety tej urokiem, który na mnie podziałał chwilowo; na Czajkowskim zatrzymał się, a opanować go musiał od razu. Opanowany, oderwać się od niej nie był w stanie. Zamieszkała w Konstantynopolu na warcie przy trumnie; on w Konstantynopolu pozostał na warcie przy niej, nie jako kochanek, ale w charakterze sługi, w poddaństwie.

Potrzeba obecności Czajkowskiego w Konstantynopolu, w charakterze agenta politycznego, bardzo była względna — przeważnie informacyjną. Mógł go zastąpić kto inny, mniej w tworzeniu, pod firmą

sprawy polskiej, nedorzecznosci pomysłowy. Cóż ze sprawą naszą za styczność mieli Nekrasowce n. p.? Jaką agencją, nie rozporządzającą funduszami znacznymi, pomoc użyzyć mogła Anglikom, w podtrzymaniu wyniszczającej Rosyę z Czerkiesami wojny? Jedynie stosunki z wychodźstwem rusińskim na Dobrudzi mogłyby trzymanie agencji polskiej na Wschodzie usprawiedliwić, gdyby na agenta trafił się był kozakoman, ale nie szlachtoman, jakim był autor „Wernyhory“. Przypuszczać się godzi, że sam Czajkowski, sparzywszy się na konwencyach i negocyacyach południowo-słowiańskich, nie znalazłszy dla siebie zajęcia odpowiedniego ani na Dobrudzi, ani na Kaukazie, byłby się na stanowisku znudził i wezwał pierwotnych do powrotu do Francyi posłuchał, gdyby nie panna Ludwika Śniadecka.

Panna Ludwika, od pierwszego z Czajkowskim zejścia się, czar na niego rzuciła, opanowała go, upoddaniła, stała się najważniejszą sprawą dyplomatyczną, tą sprawą, z której trysło źródło bogate natchnień do pisania nie poezyj, nie powieści, ale raportów. Tworzone w natchnieniu tem raporty przekonały Hotel Lambert o nieodzowności zastąpienia go kim innym niemożliwości. Dla ugruntowania przekonania tego w umysłach dyplomatów Hotelu, dla zabezpieczenia się przeciwko przystaniu mu do Konstantynopola żony i dzieci, jeździł do Francyi, zabawił w Paryżu miesięcy kilka, powrócił — i nie puścił się już (przepraszam za trywialność wyrazu) spółnicy panny Ludwiki.

Służył jej, literalnie służył, usługiwał, jak panna służąca, jak lokaj, wiernie, niezmiennie, od pierwszej skojarzenia się z nią chwili do jej śmierci. Na stosunek ten zgoła nie wpłynęło dygnitarskie, jakie w świecie tureckim zajął, stanowisko. Za jej zezwoleniem, jeżeli nie na jej rozkaz zmużłmanił się; bez jej zezwolenia byłby się nie chwycił sposobności, jaką mu nastęrczyła wojna wschodnia

(1853—56), urzeczywistnienia ideału swego kozakomańskiego. Tak samo jednak muzułmanin Mehmed-Sadyk, tak samo generał-pasza turecki, jak dawniejszy Michał, jej, o ile go obowiązki służbowe od domu nie odrywały, posługiwał. Nie kto inny, tylko on, drewka przynosił i ogień na kominku w pokoju sypialnym rozpalał, nie kto inny wodę, tatły (konfityry) i kawę do łóżka podawał, nie kto inny psy faworytalne dozorował, nie kto inny przynosił, wynosił, odnosił wszystko, co dla niej do przynoszenia, wynoszenia i odnoszenia było. Pełniąc posługi wszelakie, z cierpliwością wzorową znosił kaprysy, które, wedle podań świadków wiarogodnych, przepełniały moralną pani istotę. Dzięki temu nie nader słodko się jej z mężem stosunki układały. Mąż atoli znosił, znosił, cierpiał i rad był temu. Ale dzieci? — córki zwłaszcza?...

Generałowa wiedziała, że generał ma dzieci we Francji. Pozostawianie ich w oddaleniu źle wyglądało w oczach Turków nawet. Sama przyzwoitość sprowadzić je nakazywała. Jeden tedy z kursujących pomiędzy Marsylią a Stambułem statków parowych, przywiózł dwóch młodych panów Czajkowskich i dwie dorosłe panny Czajkowskie. Synowie do szeregów wojskowych wstąpili; córki, póki zamaż nie powychodziły (jedna za Suchodolskiego, oficera od kozaków, druga za dra Gutowskiego), przemieszkiwały przy ojcu i, lekceważone przez niby macochę, ze wstrętem i obrzydzeniem przypatrywały się temu, jak ona nim pomiatała.

Rozpatrując się we wpływie kobiety tej na Czajkowskiego, nie można nie uznać smutnych wpływu tego rezultatów. Zabił on w nim znajdujący się w fazie rozwoju talent i przyczynił się do urzeczywistnienia, będącego skończoną niedorzecznością, piastowanego przezeń ideału kozaczego. Epopeję dla ideału owego spróbował Sadyk napisać p. t.: „Kozaczyzna w Turcyi“ -- tom spory, wydany w Paryżu w r. 1857. W tym bez składu i ładu utworze

rzucają się czytelnikowi w oczy mundury. Opowiadania, wszystkie, z wyjątkiem firmanów sułtańskich, kłamane, są niczem; mundury wszystkim.

Znając wodza pułków, kozackiego i dragońskiego, ze strony psychicznej, jasnym się staje, że do ideału jego w znacznej części wchodziły żywioły krawiecki i czapniczy. Świadczą o tem wyloty i kołpaki z jełomami i kutasami na kozakach, czapki czerkieskie na dragonach; objaśnienie zaś najdokładniejsze daje na czele dzieła umieszczony wizerunek samego wodza, Mehmed-Sadyka paszy. Mundur z wylotami, lampasami, belkami i nieużywanymi w Turcyi epoletami; kołpak z jełomem i kutasem z jednej strony, z kutasem, galką, ale bez jełomu z drugiej strony, frenzla do koła po środku, gwiazda i półksiężyc na wierzchu, na gałecznej podstawie kita z tyłu. Wszystko to w sam raz do cyrku. Pokazuje się, jak różnemi ideały ludzkie chodzą drogami... Ten, co się w umyśle Czajkowskiego wytworzył, wystrzelić musiał z podłoża tych rojeń chaotycznych, które się w jego na piśmie i ustnych przebiegały opowiadaniach. Sadyk pasza gości polskich przyjmował u siebie w musafirlyku (izba gościenna), siedząc z podgiętymi po turecku na sofie nogami i prawicę im duby smalone.

— A dajcież mi z waszym Sadykiem czysty pokój! — zawołał Padalica (Zenon Fisz) — wracając z wizyty u niego. Wyobraźcie sobie, cały czas bawił mnie opowiadaniem wspomnień, jakoby Mikołaja Kamińskiego z czasów, kiedy, nim człowiekiem na drodze metempsychicznej*) został, przeżywał istnienia krowy i jendyka. Opowiadanie to przeplatał porykiwaniem krowiem i bełkotaniem jendyczem.

Słowem, panna Ludwika Śniadecka, kobieta, co czar ze siebie wydzielala, nie zasłużyła sobie

*) Pułkownik M. Kamiński towianizm wyznawał.

za zaczarowanie Michała Czajkowskiego na wdzięczność narodu.

Wszelako, gdyby go za wcześnie była nie odumarła, z pewnością nie pozwoliłaby mu karyery zakończyć tak nędznie i marnie, jak zakończył.

Słówek jeszcze. Co to dla nas za szczęście, że się z tą „Ludką“ nasz „Julek“ nie skojarzył!...

ROMAN CZARNOMSKI.

Gdzie i kiedy mąż, którego imię i nazwisko w tytule sylwety niniejszej figuruje, na świat przyszedł — nie wiem. Kilkakrotniem go o to zapytywałem, — nigdy wyraźnej nie otrzymywałem odpowiedzi. Pochodził może z Krajów Zabrzanych, nie dla tego atoli, ażeby pochodzenia tamecznego cechy na sobie nosił, — zewnętrzny wygląd jego raczej Mazura zdradzał. W dawnem województwie Braclawskiem, zbogacona przy Potockich w epoce rozbiarów kraju, rodzina Czarnomskich, na Pobereżu się obkupiła i duże tam do dziś posiada dobra ziemskie. Wspominałem mu o nich; nie zapierał się pokrewieństwa z nimi. W Krajach Zabrzanych, przed powstaniem listopadowem bywał, nie zapędzał się snadź jednak w kierunku południowo-wschodnim aż do sąsiadującego z majątkami Czarnomskich miasteczka Piszczana, o którym jest, nie przynosząca wielkiego świekrom zaszczytu, piosneczka ludowa:

Kudy jidesz opętany?
Na jarmarok do Pyszczauy.
Szczu tam budesz torhuwaty?
Budu teszczu prodawaty.

Należał on w charakterze członka do remonty, wysyłanej z Królestwa dla zaopatrywania w konie

ćwiczanej przez W. ks. Konstantego Pawłowicza jazdy polskiej. Remonta polska w Kodniu pod Berdyczowem miała kwaterę główną. Instytucję tę obchodziły jarmarki końskie nietylko w Berdyczowie i Jarmulińcach, ale w Bałcie zwłaszcza, gdzie znajdowano do wyboru wierzchowce ze stadnin ukraińskich i tatarskich. Droga z Kodnia do Bałty prowadziła t. zw. szlakiem szpakowym, ocierającym się o Piszczanę, a zatem i o majątki Czarnomskich. W Bałcie więc nasz p. Roman bywać musiał, lecz do imienników, czy krewnych swoich nie zajeżdżał, osobiście ich nie znał, w opowiadaniach o okolicach i ludziach tamecznych nigdy o nich nie wspominał.

Opowiadaczem był świetnym — całemi z przyjemnością słuchało się go godzinami. Ulubionym relacją jego z pobytu w krajach zabrzanych przedmiotem była stolica królika ukraińskiego, Tulczyn, gdzie wesoło czas upływał, dzięki balom, przedstawieniom teatralnym, popisom muzycznym i rozlicznym innym rozrywkom, wtórującym ciąglej grze w karty, której teatrem był pałac wspaniały, na frontonie którego widniał dużemi złotemi literami nakreślony napis: „Oby zawsze wolnych i cnotliwych był mieszkaniem“. Napis ten wyryć kazał wódz konfederacji targowickiej — cnotliwy... zdrajca ojczyzny. Wnuk jego sprzedał Tulczyn Moskalom. Rzecz ciekawa, czy Moskale napis ów zachowali.

Świetne dla miasta tego czasy minęły. R. Czarnomski był jednym z ostatnich świetności tej świadkiem. Szkoda, że nie pozostawił pamiątek po sobie. Gdyby tak pisał, jak opowiadał, pamiątki jego ogromnieby ciekawe były ze względu nietylko na Tulczyn i na Kraje Zabrane, ale i własne jego przygód pełne życie. Wrodzona ciekawość i ruchliwość ciskały nim, niby piłką, wybierały atoli zawsze cel, mający Polskę na widoku.

Przed powstaniem służył w szeregach jednego z pułków ułańskich. Po wybuchu powstania, kiedy się nowe, piesze i jezdne tworzyły hufce, wykomen-

derowany został do nowoformujących się krakusów. Mało kto zapewne wie o tem, że to on pod Stoczkiem, bez rozkazu, podkomendnych swoich do ataku poprowadził i przyprowadził „cztery harmaty i Moskali, jak bydła“. Gdy, wnet po czynie dokonanym, Dwernickiemu o wzięciu harmat, z dwoma przy daszku od kaszkieta palcami, meldował, Dwernicki chmurny zapytał:

— Wziąłeś harmaty?

— Wziąłem, generale...

— Wsadźże je sobie w... ucho!

Relacya ta, z ust jego długo po wypadku, bo w Turcyi w r. 1855 czy 1856 słyszana, wątpliwości podlegać nie może, służąc do pierwszego stopnia do scharakteryzowania we względzie typowym tak Dwernickiego, jak jego: — Dwernickiego, który nie postąpił sobie jak Manliusz Torquatus, co za stoczenie wbrew jego rozkazowi bitwy zwycięskiej syna własnego ściąć kazał; jego, który się na własną rozporządził rękę.

P. Roman miał do conceptów własnych popęd, radząc się tylko wiatrów. W którą, wedle jego meteorometrów myślowych, wiatr wiał stronę, w tę on szedł. Trafiło mu się to raz po raz. Pamiętny snadź jednak na gniew generała — gniew, który na siebie ściągnął za czyn świetny, ale bez namysłu dokonany, za każdym razem, gdy do zmiany kierunku przychodziło, myślał, namyslał się i zawsze tak wypadło, że znów o nowej kierunku zmianie myśleć potrzeba było. W następstwie wynikło stąd przechodzenie na emigracyi z obozu do obozu. Był to umysł niespokojny, szukający drogi, na której najjaśniej zbawienie Polski świeciło, nie poczuwający się do odkrywania dróg nowych, lecz o tyle sobie samemu ufający, że na każdej o przewodniczenie mu chodziło. Powodzenie pod Stoczkiem dawało mu tę pewność, że byle on prowadził, to każde powodzeniem uwieńczone zostanie przedsięwzięcie.

Niestety — w żadnym z obozów, do jakich na

emigracji wchodził, na czoło się wydstać nie mógł. Zależało to w obozie każdym od wyborów. Ani on się wyborcom umiał zalecić, ani się wyborcy na nim poznać umieli. Spotkało go to w Węglarstwie, w Towarzystwie demokratycznym, w Zjednoczeniu, w grupie przy generale Rybińskim przez Ibusia Ostrowskiego pod nazwą Towarzystwa wojskowego zorganizowanej, słowem, wszędzie. Nie doszedł do wiadomości mojej sposób, w jaki zawody te znosił. Wiem tylko, jak szeregi Masonów porzucił.

Masonerya, przez wielu zalecana, wyobraźnię jego i umysł opanowała była. Podobało się mu w niej to mianowicie, że członkowie jej wedle zasług z niższych na wyższe awansują stopnie i przepisane mundury mają. Nie wątpił, że go czeka wielkie mistrzostwo, które na rzecz sprawy polskiej wyzyskać potrafi. Złudzenie to trwało póty, póki się w Polsce ruchy ze znamięm powstańczem przejawiać nie zaczęły. Rok 1846 zelektryzował go i to sprawił, że chętne ucho dał księdzu jakiemuś, który mu masoneryę w jak najczarniejszych przedstawił kolorach. Słowa księdza tak na niego podziały, że na ziemi usiadł i zapłakał — następnie wypowiedział się. Siadaniem na ziemi i oblewaniem łzami każdy, jaki na niego spadał, spotykał zawód.

Masonerya przeszkodziła mu wziąć w wypadkach r. 1846 udział. Wynagrodził to sobie w r. 1848. Jeden z pierwszych do Wielkopolski pośpieszył i pod wodzą Mierosławskiego się zaciągnął. Okoliczności nie nastęrczyły mu sposobności wykazania wartości swojej na polu bojowem. Wyznaczone mu zadanie tyczyło się organizowania w jednym z powiatów siły zbrojnej przy spółdziałaniu jednego z oficerów b. armii polskiej. Nie rostrzygniętą pozostawała kwestya, który z nich: Czarnomski, czy ów X, (nazwiska nie znam), przewodniczyć i w jakim stopniu będzie. Chodziło podobno o stopień majora.

— Wiesz, Xowi śniło się, że nominacyę na majora dostał.. — ktoś Czarnomskiemu oznajmił.

— O!.. — Czarnomski na to. — Przecież to rzecz pewna, że on podemną dołki kopie...

Zdaje się, że z ruchawki poznańskiej bohater z pod Stoczka wyszedł ze stopniem majora.

Czemu dla potwierdzenia i okurzenia stopnia swego prochem na polu bitew nie zajrzał do Węgier?

Po wojnie węgierskiej w lat cztery wybuchła wielka wojna wschodnia. Na teatrze jej Czarnomski zjawił się w momencie, kiedy, skutkiem nieporozumień pomiędzy Sadykiem-baszą a g-lem Władysławem Zamojskim wynikłych, przyszło do dwóch polskich organizacyj wojskowych: jedna pod firmą turecką, pułki kozacki i dragoński; druga pod firmą angielską, dywizya polska, złożona z piechoty, jazdy i artylerji.

Zamojski, który na emigracji miru nie posiadał, niemałe miał trudności w zwabianiu do dywizji swojej oficerów, wyższych zwłaszcza. Z piechotą poszło mu jako-tako. W artylerji los wielki wygrał, zwerbowałszy wskławionego przez Mickiewicza Ordona (z „Reduty“). Do kawaleryi zagiał parol na Władysława Ponińskiego, puł-ka z legionu polskiego na Węgrzech, oraz na puł-ka Mikołaja Kamińskiego (potomka, według Sadyka-baszy, krowy i jendyka), towiańczyka, buntującego się jednak przeciwko „mistrzowi“ w tym względzie, w którym „mistrz“ (Towiański), podobnie, jak ks. St. Stojałowski, zabraniał wyznawcom swoim stawiać się nieprzyjaźnie wobec cara, zesłańca bożego i przelewać bratnią krew moskiewską. We względzie tym — mówiąc nawiasem — zbuntowali się przeciwko niemu Mickiewicz, Stowacki i inni.

Zbuntowany tedy przeciwko „mistrzowi“ Kamiński, znakomity kawalerzysta, przyjął propozycje Zamojskiego; gdy atoli z przybyciem, również jak Poniński, zwlekał, Zamojski powierzył tymczasowe dowództwo nad jazdą Słubickiemu, oficerowi od piechoty, pomijając Czarnomskiego, który do dowództwa prawo rościł. Zamojski by z ochotą roszczeniu żoł-

nierza, dobrze w poezyi zanotowanego, zadość uczynił, gdyby nie to, że żołnierz ów potrafił sobie na reputacyę narwańca w emigracyi zarobić. Narwaństwo jego w rozmaity przejawiało się sposób. Powyżej zanotowałem zwyczaj jego siadania na ziemi i wylewania łez w razach, gdy go zawody spotykały. Do zanotowania jest jeszcze przybrane z wiekiem głośne myślenie. Myśli, gdy mu nagle fałą o mózg uderzyła, nie umiał w głowie zatrzymać i dla siebie zachować — na język się wnet parła i w słuchy ludzkie wlewała. Z takimi przywarami nie można go było na czele jazdy stawiać (dwa pułki: ulani i strzelcy). Żeby jednak nie zrażać człowieka, posiadającego ogromne bojowe zalety, Zamojski mianował go instruktorem w stopniu pułkownika. Stopniowi rad był, ale służenie pod piechurę mocno mu zawadzało. Niezadowolenie swoje często głośno wypowiadał. Raz udało mu się wypowiedzieć je w toaście, wygłoszonym przezeń przy obiedzie danym przez oficerów, przy okazji imienin dowódcy pułku. Najstarszemu i wiekiem i stopniem, jemu wypadło toastowanie zapoczątkować. Wstał więc z kieliszkiem w rękę i tak przemówił..

— Naszemu czcigodnemu, szanownemu, zacnemu, kochanemu pułkownikowi Słubickiemu... — głowę nieco zwrócił i na stronie wygłosił: — dureń od piechoty... bodaj go dyabli wzięli!... Niech nam żyje!... — zakończył.

Narwańcem był w całym wyrazu tego znaczeniu. Nie przeszkadzało mu to mieć serce i praktykować uczynność bezinteresownie względem osobników, pozostających ze sobą w jawnej a zawziętej nieprzyjaźni.

Spotkałem się z nim po raz pierwszy w stolicy Wschodu. Poznaliśmy się i zaprzyjaźnili do pewnego stopnia. Przedstawiał on mi naiwność, przebijającą się ku wyżynom. Stopień pułkownika bardzo go zadawałał, ale w dumę nie wbijał. Awans ten uważał za rzecz od dawna mu należną; przyjął ją,

jak się odbiera dług od dłużnika w wypłatach trudnego.

— Teraz generalstwo... — myślał sobie nie zawsze po cichu.

Ci, co myślenie to słyszeli, nie przypuszczali, ażeby Czarnomski na tym szczeblu ku wyżynom kiedy stanął.

Otóż stanął.

Generałem został w komunie. Po zdobyciu Paryża przez wersalczyków, aresztowany, oddany został pod sąd. Nieznaczną snac̄ była odegrana przezeń w wypadkach tych rola, kiedy go skazano nie na śmierć, ale na galery. Po odsiedzeniu kary do Paryża powrócił i umarł. Na krótko przed śmiercią widziałem go raz ostatni. Zestarzał się, schudł, zmierzniał i wyłysiał, ale miny żołnierskiej nie stracił i na wspomnienie Polski brwi fałdował, a w oczach przejawiały się mu te połyski, z którymi Krakusów na harmaty prowadził.

JÓZEF JAGMIN.

Litwin z krwi, kości i ducha, potomek zapewne po kądzieli Podbipięty, jak skoro w r. 1831 na Litwie powstańcze poczęły się szykować oddziały, do oddziału najbliższego wstąpił niezwłocznie. I sumiennie obowiązki powstańcze pełnił, mordując Moskali, gdzie ich jeno dopaść mu się udało. Doczekawszy się wkroczenia wojsk z Korony, dostał się pod dowództwo Dębińskiego i pod generałem tym wziął udział w odwrocie, niewiele ustępującym odwrotowi dziesięciu tysięcy Greków pod Ksenofontem. Przybywających w momencie owym do Warszawy Litwinów, spotkało — jak z dziejów wiadomo — entuzjastyczne ze strony mieszkańców stolicy przyjęcie. Niebawem później przyjęcie podobne towarzyszyło powstańcom litewskim w nowym, smutnym niestety, odwrocie z Polski do Francji przez Niemcy. Niemcy z zachwytem przeprowadzali bojowników za wolność. Ugruntowało to w umyśle i sercu Litwina pojęcie o wysokim boju za wolność Polski znaczeniu. Przejął się niem, pokochał je, przyjął na się w odniesieniu do pojęcia tego obowiązki ślubu zakonnego.

Natura też zakonnym obdarzyła go wyglądem, dawszy mu wzrost duży, kości grube, ruchy niezgrabne, oblicze o rzadkiem na policzkach, brodzie i wardze górnej zaroście, jakby na przekór głowie,

gęsto płowym poszytej włosem, oczy bez wyrazu, minę pokorną. Chodząc, szyję nieco wyciągał, co mu, ponieważ go habit zakonny nie okrywał, dawało pozór sługi księzęgo. Żołnierskością się zgola wygląd jego nie zalecał, ale mówił o uporze nie do złamania.

Upór stanowił grunt moralnej jego istoty, nie podkarmionej wiedzą naukową, Są na Litwie Jagminowie bogaci, mogący sobie pozwalać na edukację wykwinną, nauką podszytą. On był nie z tych; snadź kształcić go umysłowo nie było za co, wszedł więc w środowisko Europy ucywilizowanej, wynosząc z Litwy skromną czytania i pisanania umiejętność, opartą, jak na skale Piotrowej, na przekonaniu o konieczności naprawienia na drodze orężnej krzywdy, Polsce i Litwie zadanej, a na pozbawieniu ich wolności polegającej. W przekonanie to wlał się jego upór; z nim do Francji przyszedł, do Towarzystwa demokratycznego dla tego, że cel jego wyrażnie wojnę o niepodległość wskazywał, wstąpił i w fabryce jakiejś do roboty stanął. Pracował, zarabiał, oszczędzał, na posiedzenia sekcyjne, co sobota regularnie się stawał, regularnie podatek płacił, „Demokratę Polskiego“ czytał i „Regulaminu“ wojskowego na pamięć się uczył, dołączając do teorii praktykę musztry, jaka się w pierwszych latach pobytu emigracji polskiej we Francji, po zakładach odbywała.

Pracował, uczył się, podatek płacił i na zawołanie do walki czekał, nie mieszając się do owych osławionych i dziś jeszcze osławianych sporów i kłótni emigracyjnych, bez porównania we względzie kolorytu, jaskrawości i wyrazistości bledszych, łagodniejszych, aniżeli obecne dziennikarskie i parlamentarne spory i kłótnie, wiedeńskie zwłaszcza. Nie uznawał arystokracji, wielką miał do niej pretensję za wyprawianie emigrantów do Portugalii na uczestniczenie w wojnie domowej, do Algieru na pozbawienie wolności Arabów, do Ameryki na wygnanie bezpowrotne. Inaczej nie obchodziła go ona.

Za wzór demokracji podawany, Jagmin czekał, czekał — czekanie mu praca skracała — i doczekał się. Nadszedł rok 1848. Wiadomości o organizowaniu gwardyi narodowej, do Galicyi go pociągnęły. Z tornistrem na plecach i z Regulaminem w tornistrze, z zaoszczędzonym w trzosię groszem do Polski pociągnął. Wyruszyli we dwóch — obaj Litwini. Podróż im poszła pomyślnie. Wkrótce po przybyciu ich do Galicyi zadeklarowała się wojna pomiędzy Węgrami a Austryą i rozeszły się o formowaniu Legionów polskich słuchy. Ponieważ nie zanosilo się na to, ażeby gwardya narodowa Rosyi wojnę wydała, Jagmin do Węgier się udał i do Legionu w Budzie wstąpił, w przyznanym mu przez weryfikatorów stopni oficerskich we Francyi stopniu podporucznika.

Bywają żołnierze z prezencją, pokorni, waleczni, ale lepszych i waleczniejszych nad Jagmina nie znaleźć chyba. Służbę znał na wylot mimo, że po krótkiej w oddziale powstańczym praktyce, przez lat siedmnaście nie postał w szeregach wojskowych. Radził sobie jednak. Codziennie rano, przed wyjściem z mieszkania, ustęp z regulaminu odczytywał i zastosowane do zaznaczonych w ustępie tych obrotów komendy wygłaszał. Odnośnie do komend tych, w wyobraźni, przed oczami jego przesuwały się w obrotach odpowiednich składowe jednostek bojowych części: sekeye, pół plutony, plutony, kompanje, dywizjony, rozwijały fronty, formowały kolumny, rozsypywały tyraliery, kształtowały czworoboki. Ćwiczenia te powtarzał codziennie rano, naprzód we Francyi przez lat siedmnaście, następnie w Konstantynopolu pomiędzy wojną węgierską a wschodnią (1853—56), dalej pomiędzy tą ostatnią a powstaniem polskiem (1863—64), wkońcu od powstania do ostatniej wojny moskiewsko-tureckiej.

Sposób prowadzenia wojen terażniejszych rzadko daje okazyję odznaczania się ludziom pojedynczym. Mechanizm masowy zabija inicjatywę indywidualną. Mimo to Jagmin odznaczał się — odznaczał

się: nieznużonością, gorliwością, formalizmem, no i odwagą ślepa, niepowściągnioną.

W marszach forsownych, kiedy żołnierze nogami ledwie plątali i ze znużenia upadali, zwłaszcza gdy marsz taki w słotę się trafił i w błocie grzęznąć trzeba było, jemu nic do kroczenia swobodnie nie przeszkadzało. Trzymając się wyznaczonego regulaminowo miejsca, krokiem miarowym szedł w szeregu, gdy zaś z szeregu wyjść na chwilę musiał, wychodził, odliczał w bok, jak regulamin nakazuje, kroków ośm i po chwili, krokiem zdwojonym na miejsce swoje wracał. W obozach, gdy dowództwo kompanii objął, żadna kompania tak porządnie miejsca nie zajmowała i służby nie pełniła, jak jego. Dopilnował wszystkiego: znoszenia drew i słomy, rozpalania ognisk, fasowania żywności, kolei wart, broni w kozłach — wszystkiego i więcej nawet, bo gdy w kompanii jego przy którym z karabinów sprzężyna osłabła, lub osada lufy w łożu się zluzowała, póty spokoju nie miał, póki ukradkiem karabinu tego na niepopsuty w kompanii innej nie wymienił. O podkomendnych swoich dbał, upominał się o nich, troszczył się o to, ażeby nakarmieni, wypoczęci i zdrowi byli. W swój jednak, osobliwy sposób, choroby traktował. Na tej podstawie, że wszystkich ich siedliskiem jest żołądek, utrzymywał, że tak zapobieganie chorobom, jak leczenie onych na czyszczeniu żołądka polega. Ponieważ zaś pomiędzy rądem a żołądkiem takie zachodzi pokrewieństwo, że co pierwszy zaczyna, to drugi kończy i ponieważ rądle czyszczą się popiołem, zatem i żołądki popiołem czyszczone być winny. Każdemu przeto cho-remu radził: kieliszek wódki z popiołem, doświadczeniem własnem ręcząc za niechybną lekarstwa tego skuteczność.

Udział Polaków w kampanii węgierskiej trwał od listopada r. 1848 do sierpnia r. 1849. W dowodzonej przez Jagmina kompanii pozostawałem do maja r. 1849, całych pięć miesięcy. Razem do boju

kilkanaście stawaliśmy razy — o jego przeto zachowywaniu się na placu bitwy mówię, jako świadek naoczny. W niego waleczność wcielała się w sposób, jaki wciela się w lwa n. p., w istotę, nie zdającą sobie z niebezpieczeństwa sprawy. W kul ulewie chadzał, jakby o tem, że kule zabijają, nie wiedział. Oblicze jego jak w marszu, jak na placu musztry, jak na przechadźce, zachowywało spokój i cechujący go wyraz pokory, wyraz, który się szczególnie uwydatniał, gdy się bitwa rozpoczęła i po uszykowaniu linii bojowej, następował moment wykomenderowywania tyralierów. Wówczas Jagmin do majora podchodził, dwa palce wyciągnięte do góry podnosił i nastrajając minę potulnie, głosem niepewnym, lękliwie o wysłanie go w tyraliery prosił. Wygląd miał studenta, doznającego bólu brzucha, proszącego nauczyciela o pozwolenie wyjścia z klasy, a wstydzącego się do powodu prośby przyznać.

— Panie majorze...

— A co tam?...

— W tyraliery...

— No, no... idź, idź... — odpowiadał mu zazwyczaj, brodą siwą wzorem francuskim przystrzyżoną, naprzód rzucając, Czernik, dowódca batalionu.

Nam, podkomendnym jego, podobało się to raz, drugi; za każdą jednak bitwą było tego dla nas za wiele z powodu bieganiny, jakiej tyralierka wymaga. Protestowaliśmy. Protestu wysłuchał, ale swoje robił.

Niekiedy się zapałowi uwlekać dawał, nie okazując tego po sobie. Zapał nie wybiegał mu na twarz, nie bił z oczów, krył się w istoty jego głębi i pchał go naprzód. Przejawiał się tem jeno, że się rozszerzały jego kroki. Porwał go w pierwszej, jakąśmy na Węgrzech stoczyli, bitwie polowej, pod Solnokiem. Najmocniej atoli istotę jego przeniknął pod Hatwań'ią, gdzie na huk bliskiej, a z powodu

zasłaniających perspektywę domów niewidnej bitwy, postradał umysłu przytomność. O przepisach regulaminowych zapominając, z oczów kolumnę stracił, biegiem pluton naprzód uwlóki, wpadł na rynek, z którego bataliony węgierskie nie śmiały na zrywany pod ochroną strzelającej kartaczami baterii austriackiej nawet nosa wytknąć i pod kartacze nas poprowadził. Przy okrzykach: „Eljen a Lengiel! — eliure!... Es leben die Polen! — vorwärts!“... (znajdował się tam bowiem jeden batalion niemiecki) na most rzuciliśmy się, owachlarzeni kartaczami pontonierów, spędziliśmy i zmusiliśmy wojska austriackie do przyspieszenia odwrotu. Za świetny ten, w rozkazie dziennym zaznaczony czyn, Jagmin za karę na maszerowanie dzień cały bez pałasza przy boku wskazanym został.

W czasie wojny wschodniej (1853—56) zaszła w przekonaniach jego zmiana, tem spowodowana, że demokracja udziału w niej nie wzięła. Z demokratycznego przeto do arystokratycznego przeszedł obozu i w stopniu majora wstąpił do piechoty w polskiej na żołdzie angielskim dywizji, formowanej przez generała W. Zamojskiego. Dywizya ta nie występowała na linię bojową.

Z kolei przyszło powstanie. Jagmin — mimo, że mu się to mocno, z racyi zgwalcenia porządku awansów, nie podobało — pod mojem znalazł się dowództwem, pod dowództwem demokracji, nie pytającego tych, co do walczenia o Polskę do szeregów śpieszyli, jaką, kto religijną, polityczną, społeczną, filozoficzną, etc. wyznaje wiarę. Pod dowództwem mojem bez zarzutu się do boju i w boju prowadził.

Następnie znów się do nowej o Polskę wojny sposobił, regulamin codziennie zamiast pacierza powtarzając, i czekał. Doczekał się ostatniej wojny rosyjsko-tureckiej, na linię bojową z garstką kilku dziesięciu ludzi, nazwaną legionem polskim, wystąpił i zginął.

Niechże przynajmniej pamięć o nim nie zaginie!...

FRANCISZEK SOKULSKI.

Zdaje się, że F. Sokulski padół ziemski powitał w Galicyi, w Brzeżańskim, na lat jakich dwadzieścia kilka przed wybuchem powstania listopadowego. Zdaje się, że powstanie listopadowe powitał nie w Galicyi, ale w Królestwie, może nawet w szeregach wojska polskiego. Jego samego znam blisko i dobrze; biografia jego jednak znaną mi jest piąte przez dziesiąte. O tem, że obecnym mógł być w czasie wybuchu powstania listopadowego w Królestwie, a może i w szeregach wojskowych, stąd wnioskuję, że należał do tego korpusu oficerskiego, który pod dowództwem Chłapowskiego wykomenderowanym został na Litwę, w znaczeniu kadrów dla mających się formować z powstańców litewskich batalionów i szwadronów. Spóźniona ta wyprawa smutno się skończyła. Sokulski dostał się do Francyi, wykształcił się na inżyniera drogowego, służył w biurze i przy robotach w polu; na polu zaś służby obywatelskiej pełnił gorliwie obowiązki członka Towarzystwa Demokratycznego i, jako taki, wędrował po Polsce w charakterze emisaryusza. Szczegóły te przytaczam w sensie podać wiarogodnych. Mówiono o tem w jego obecności, mówiono po za jego plecami i ani on, ani nikt temu nie przeczył. Mówiono oraz, że nie była to głowa tęga.

Brak tęgości głowy, jeżeli istniał (o czem po-

świadczycie nie mogę), wynagradzały sownie: tęgość serca i piękność duszy. W długim życiu mojem miałem sposobność spotykać ludzi zacnych i Polaków dobrych dużo; znałem takich, co Sokulskiemu w jednym i drugim nie ustępowali; ale takich, którymby on ustępował — nie znałem. Sumiennie powiadam, że we względzie czysto etycznym był to człowiek bez zarzutu. Co się zaś rozumu tyczy, nie zaliczał się do mędrców, ani do uczonych, nie posiadał szczególniejszych jako pisarz lub mówca talentów, lecz znaczenie wiedzy i rozumu pojmował, poznawał się na nich, cenił je i szanował. Grunt istoty jego moralnej stanowiło przekonanie, sformułowane i w duszę wchłonięte wedle tej starej demokracji polskiej, która stosunki społeczne łączyła ze sprawą polityczną i pragnęła Polski oczyszczonej z wszelakich niesprawiedliwości, nieprawości i nieprawd, praktykującej obowiązki obywatelskie w rozciągłości całej, słowem wzorowej. Taką przedstawiał sobie Polskę, nie przypuszczając, ażeby, gdy na roli uprawy demokratycznej wykwitnie, inną być mogła. Przekonanie to stanowiło oś umysłowości jego, odnoszącej wszystko do Polski i dla Polski na wzór i podobieństwo pszczoły, zbierającej z kwiatów najrozmaitszych materiały na wosk i miód i znoszącej go do ula na użytek i pożytek spólny.

Niech atoli z czytelników łaskawych nikt nie myśli, że w osobie Sokulskiego przedstawiam wyjątkowego na emigracyi z r. 1831 człowieka. Wcale nie. Takich jak on było więcej. We wspomnieniach przesuwają się mi postacie: Rufina Piotrowskiego, Karola Borkowskiego, Filanowicza, p-łka Gawrońskiego, kapitana Stryjeńskiego, Aloizego Przedzieckiego i in., i in., wielu innych. Demokracja polska, skupiona około idei niepodległości Ojczyzny, pojmowanej szczytnie, a mającej być osiągniętą na drodze jedynie ofiarnej, oddziaływała moralizująco na ogół emigracyjny. Miałbym do zesylwetowania nie jednego, gdybym ich znał był bliżej. Znamiona bohaterstwa

pamięci narodowej przekazują: Kasper Dziewicki, Artur Zawisza, Szymon Konarski, Teofil Wiśniowski. Spis zmarłych emigrantów od r. 1831 do 1842 włącznie wykazuje emisaryuszów 29, egzekwowanych w zaborze moskiewskim. A iluż to ich na Syberyi się oparło i tam śmierć znalazło!

Sokulskiego przeto nie przedstawiam jako osobistość wyjątkową. Poznałem się z nim bliżej niż z innymi — i ten jest powód, dla którego osobistość jego wziąłem za model do skreślenia typu wzorowego emigranta politycznego z lewicy wychodźczej.

Z Sokulskim spotkałem się po raz pierwszy na Węgrzech, w r. 1849, w Kieresztur, dużej osadzie, na drodze do Szegiedynu. Zdarzyła się tam była sprawa niemiła. Dwaj oficerowie z legionu skrzywdzili sierżanta; ten ich oskarżył i ja dostałem rozkaz rozpatrzyć skargę. Z przesłuchania stron wypadło, że wina znajdowała się po stronie oficerów. Stosownie do tego, sprawę w raporcie przedstawiłem pułkownikowi, który w czas jakiś później do siebie mnie wezwał dla udzielenia mi nauki moralnej. Strofował mnie z powodu raportu, ubliżającego — jak twierdził — oficerom w ogóle.

— Wina po ich była stronie... — tłumaczyłem się.

— Wiem o tem... — odparł pułkownik. — Nie mniej przeto zbłądziłeś, osłabiając wobec podkomendnych powagę oficerską... Przestrzegać powinniście prestige epoletów...

Pułkownik lat ośmnaście we Francyi mieszkał, z Francuzką się ożenił i często się francuskimi w rozmowie posiłkował wyrazami.

Gdym od niego wyszedł, ujrzałem idącego naprzeciwko mnie oficera, nieznanego mi. Widywałem go z daleka, szedłem więc ku niemu w myśli, że się minimy, jak się mijać zwykli nieznanomi. Trochę mnie więc zdziwiło, że się on przedemną zatrzymał i zapytał:

— Porucznik Miłkowski?...

Odpowiedziałem mu potwierdzająco. On dłoń mi podał i rzekł:

— Winszuję...

— Czego?.. — zapytałem.

— Raportu w sprawie O. i Ch... Była o nim u pułkownika mowa...

— Pułkownikowi się on nie podobał...

— Rzecz gustu... Sprawiedliwość przedewszystkiem.

Nastąpiły potem marsze forsowne, bitwy duże (pod Szegiedynem, Temeszwarem), wymarsz z Węgier na tulaćkę w świecie — straciłem Sokulskiego z oczów na długo. Aż znów się z nim zeszedłem w Szumli za pośrednictwem Łękawskiego, syna księdza ruskiego z Galicyi, przezwanego Czarnym Ułanem, człowieka starszego, co brał udział w robotach spiskowych przed r. 1848 i w charakterze emisariusza demokratycznego przebywał na Podolu rosyjskiem, w Szpikowie, jako technik w cukrowni Leona Szwejkowskiego. Nie przypominam sobie, przy jakiej z nim zeszedłem się okazji; zbliżyło nas to, żeśmy mieli spólnych w okolicach swoich rodzinnych znajomych. Był przytem dla mnie ciekawą z tej racyi osobistością, że uzupełniał wiadomości o działalności Towarzystwa Demokratycznego, zaczerpnięte przezemnie dorywczo w Odesie i w Kijowie z przekradanych numerów „Demokraty Polskiego“, z broszur i książek na emigracyi wydawanych. Owóż razu pewnego zapytuje on mnie:

— Nie chciałbyś należeć do Towarzystwa Demokratycznego?..

— I owszem... — odparłem.

— Wprowadzę cię dziś...

— Co?... jak?... — zdziwiłem się.

— Zobaczysz...

Jakoż w ciągu dnia zostałem członkiem sekcji T. D. P., założonej w Szumli przez Sokulskiego. W mieszkaniu jego odbywały się zgromadzenia, na których obradowaliśmy. Udział w nich brali: Żarski

(z r. 1831), Łękawski, Lewandowski i paru jeszcze, których nazwiska z pamięci mi wypadły. Trwało to dla mnie niedługo — miesiąc może. W marcu roku 1850, po powrocie Fuaba-paszy z Petersburga, dokąd jeździł celem ułagodzenia „niezapomnianego“ Mikołaja I, domagającego się wydania mu nas przez Turcyę, zwolnieni zostaliśmy z interny. Część większa legionistów polskich pozostała w Turcyi; część podała się do wyjazdu do Anglii — jedyne w Europie ucywilizowanej państwa, które granic swoich dla bojowników wolności w Węgrzech nie zamknęło. Byłem z tych, co wyjechali.

Sokulski pozostał, zamieszkał w Konstantynopolu, wyjednał dla siebie protekcyę Stanów Zjedn. A. P. i, zarabiając na życie dorywczo to korespondencyami do amerykańskich i francuskich dzienników, to pracami w biurach inżynierskich, był przedstawicielem polskiej na Wschodzie demokracji i, jako taki, pozawiazywał stosunki z emigrantami politycznymi francuskimi, włoskimi i rumuńskimi, których dużo w stolicy Wschodu przebywało. Jako z takim widziałem się z nim, kiedy w r. 1851, w charakterze emisaryusza Centralizacyi T. D., przez Konstantynopol przejeżdżałem. Zawiadomionego o wyprawie mojej, spotkałem go przy wylądowaniu i, ponieważ pobyt mój w Konstantynopolu należało przed ciekawymi osłaniać, przyszedł na brzeg z jednym z Rumunów, w towarzystwie którego wyprawił mnie na jedną z Wysp książęcych dla przeczekania w oddaleniu od kolonii polskiej do dnia, w którym parowiec Lloyda do Gałacu odchodził. W ciągu pobytu mego śród Rumunów dowiedziałem się o szacunku, jakim się Sokulski cieszył ze strony międzynarodowej emigracyi rewolucyjnej.

Znów się z nim, aż do wybuchu wojny wschodniej (1853—56), rozstałem. W wojnie tej wzięta emigracya udział nie taki, jakby sobie życzyć i spodziewać należało. Odpowiedzialność za to nie na nią całkowicie spada. Ona zrobiła, co w jej było mocy:

ofiarowała orężne ze swojej strony spółdziałanie, które dyplomacya sprzymierzonych przeciwko Rosyi dworów na uwięzi do końca wojny trzymała. Zapoczątkowanie wyszło od Sokulskiego, który, jak skoro się na wojnę zaniósł, zwołał przebywające w Konstantynopolu wychodźstwo polskie i w imieniu jego w przededniu wybuchu wojny (28 maja r. 1853) w podanym ministrowi spraw zagranicznych memoryale, przedstawił korzyści, jakieby Turcyja osiągnąć mogła, gdyby Polaków zaopatrzyła w oręż i pozwoliła im zorganizować się wojskowo do walczenia w przymierzu z armią turecką przeciwko Rosyi. W. Porta memoryał przyjęła i decyzję odłożyła na później. Memoryał ten poruszył emigracyę we Francyi, Anglii, Belgii, wszędzie, wywołując jedną myśl, jedno pragnienie: Legiony. Centralizacya sprzeciwiła się temu. Głos jej nie znalazł odgłosu. W Paryżu zawiązało się Kółko, które zarządziło głosowanie na pełnomocnika do ułożenia się o organizacyę Legionów z W. Portą. Jednogłośnie prawie wybranym został Józef Wysocki, generał z czasów wojny węgiersko-austriackiej, dowódca Legionów pol. na Węgrzech. Wysocki, po dokonaniu wyborów i wydaniu odezwy, przybył do Konstantynopola, gdzie, czyniąc starania odpowiednie, z górą rok (od 2 stycznia 1854 do 22 stycznia 1855) zabawił. W staraniach tych i zabiegach głównym, gruntu dokładnie świadomym a gorliwym przewodnikiem i pomocnikiem jego był skromny, naprzód niewysuwający się Sokulski.

Gdy na pole to wkroczył Hotel Lambert w charakterze spółzawodnika, milej przez dwory z Turcyją natenczas sprzymierzone widzianego, aniżeli obóz demokratyczny, ten ostatni usunął się, nie wtrącając się do zatargów, jakie się pomiędzy Hotelem a Sa-dykiem-paszą wywiązały i nie nader zaznaczyłnie udział Polaków w wojnie wschodniej zaznaczyły. W smutnej historii tej demokracya palców nie umacziała. Wysocki wyjechał, zajmując opuszczoną dla sprawy publicznej posadę w Marsylii, w biurach ko-

lei „Paris-Lyon Mediterranée“; wyznawcy demokracji nie opuszczali prac na kawałek chleba; przedstawicielowi zaś jej, Sokulskiemu, W. Porta powierzyła budowę najpierwszej w Turcyi linii telegrafu elektrycznego.

Budowa ta na szczególne zasługuje wspomnienie tak z tego względu, że ów najpierwszy w Turcyi telegraf jest wyłącznie dziełem Polaków, jakoteż z powodu zdumienia w kołach urzędowych tureckich, w jakie koła te wprawił finansowy robót rezultat. Że Sokulski, cały do wytyczenia linii i prowadzenia robót, na przestrzeni od Konstantynopola do Niszu, inżynierski i dozorczy personal ze spółziomków swoich złożył, w tem nic nie mogło być dziwnego. Powód do wywołania zdumienia w następujący wyrodził się sposób: W Turcyi, jak wszędzie zresztą, dla robót rządowych układa się kosztorys, do którego wykonawcy stosować się winni. Wykonawcy stosują się, bacząc zazwyczaj na to, ażeby się w rubryce wydatków coś nie coś na ich osobistą okroiło korzyść. W posiadłościach padyszacha władza wykonawcza także, jak pod berłem hanów, carów, cesarzy i innych mniej lub więcej samowładnych bereł dzierżycieli, wysokie posiada poważanie, a wolno jej więcej niż gdzieindziej z racyi niezbyt wysokiego w biegłości rachunkowej stopnia. Z racyi tej suto się wszelacy robót rządowych wykonawcy obławiają — dobrze, jeżeli w granicach kosztorysu.

Sokulski miał roboty w pewnym oznaczonym skończyć terminie. Nie skończył, uzyskał jednak przedłużenie, które w wysokich sferach rządowych, obłożonych przez szyjących Sokulskiemu buty spółzawodników do robót następnych, wzbudziło niezadowolnienie. W W. Porcie na przybycie jego oczekiwano, celem udzielenia mu dymisyi, do której pretekst w rachunkach wynaleźć się spodziewano. Przyjeżdża oczekiwany nareszcie; witany drewnianym oblicz przełożonych swoich wyrazem, składa rachunki — rachunki wykazują niewydaną kilkudziesięciu ty-

sięcy piastków (piastr równa się jednej piątej franka) kwotę.

— Co to znaczy?... — rozległo się wśród wysokich urzędników tureckich zapytanie.

Jeden rezultat ten przypisywał głupocie, drugi uczciwości. Przypuszczać należy, że sam minister do tego ostatniego przychylił się zdania, albowiem Sokulski nadal w służbie w charakterze mehendysa (inżyniera) zatrzymany został, nie przestając sprawie polskiej służyć wiarą i prawdą demokratyczną.

Nie wiem, jak się, jako mehendys, sprawował; co się jednak służby sprawie polskiej tyczy, doznałem w roku 1863 gorliwości Sokulskiego.

Działalność na rzecz powstania styczińskiego na gruncie tureckim wcale łatwą nie była. Utrudniała ją stanowisko, zajmowane na nim przez Hotel Lambert, który się do rozkazów i poleceń Rządu Narodowego stosował, ale stronniczo. Rząd Narodowy np. nakazał skombinowany ruch, obejmujący: powstanie na Rusi (Różycki), wkroczenie z Galicji (Wysocki) i wkroczenie z Turcji (Miłkowski). Hotel z Turcji urządzał wyprawę na Kaukaz i organizował do operowania na Morzu Czarnem flotę polską. Trudno było jedno z drugim godzić, a tem trudniej, że do przewodniczenia wkroczeniu z Turcji przeznaczonym był człowiek, nie cieszący się łaską Hotelu w ogóle i niemiły agentom jego w Konstantynopolu w szczególności. Gdzie przeto znaleźć należało pomoc, tam znajdowano przeszkody, których usuwanie na barkach Sokulskiego spoczywało. Usuwał je, rozwijając gorliwość w każdym względzie i w każdym kierunku: u wielkiego wezyra wyjednał patrzanie przez palce na organizację zbrojną oddziału polskiego w Turcji i sprowadzenia dla niego karabinów z Grecji, kołatał do ministerstw i biur rozlicznych, utrzymywał stosunki z Włochami (z Garibaldim), z Rządem Narodowym, z osobistościami pojedynczemi, bądź biorącemi w akcji powstańczej udział, bądź też mogącemi się do jej powodzenia przyczynić —

i to wszystko bezinteresownie. Wyraz ostatni nie odnosi się do jakiegoś pieniężnego, albo dostojnościowego wynagrodzenia. On o tem ani myślał, niczego podobnego nie wyglądał — innych naprzód wysuwał, sam się na uznanie zasługującymi czynkami krył i o to mu jeno chodziło, ażeby z dobra publicznego nic się nie uroniło, ażeby na rzecz i korzyść sprawy polskiej praca ze stron wszystkich i wszystkimi wielkimi i drobnymi kanałami ustawicznie, bez zatrzymania się na najdrobniejsze źródlicy mgnienie, płynęła.

Pracowników dla Polski czczył, a miał szczególną do poetów słabość. Wie coś o tem Karol Brzozowski. Gdyby żył, mógłby temu świadectwo dać i Henryk Jabłoński. We względzie tym tych starych zepsuł Mickiewicz.

Rząd turecki mimo, że Sokulski względem niego nie mniejsze niż inni mehendysi położył zasługi, obszedł się z nim niegodnie, pozostawiając go na bruku po r. 1878. Że on zaś miał zwyczaj dzielenia się z potrzebującymi bliźnimi pokolenia polskiego wszystkim co posiadał, więc na zabezpieczenie starości nie pozostawało mu nic. A ponieważ już i zarabiać nie mógł, na zakończenie więc pielgrzymki ziemskiej udał się do kraju rodzinnego. W Galicyi dano mu posadę dozorcę drogowego w Peczyniżynie. Zarabiał — nie świetnie podobno, lecz i tym skromnym zarobkiem dzielił się jeszcze... ze Skarbem Narodowym. Starość go jednak zmogła w końcu i zmusiła przyjąć gościnę w domu zacnego obywatela (p. Jaroszyńskiego, jeżeli się nie mylę) u którego dokończył żywota.

Po raz ostatni widziałem się z nim we Lwowie, na wystawie — pożegnaliśmy się: „do zobaczenia... t a m“, jeżeli „t a m“ istnieje.

Był to typ — wzór niepoprawnego w kochaniu Polski Polaka.

AUGUSTYN.

Jak się on wedle rodziny zwał — nie wiem. Czy sam wiedział? — pytanie. Nazywał siebie Augustynem i wszyscy go tak nazywali. Na Wschodzie znaczenia nie mają nazwiska rodowe, a i w Polsce klasa ludności najliczniejsza rodowitości swojej wyżej niż pokolenie ojców przed laty nie wyprowadzała. Augustyn do klasy tej należał i był jednym z mnóstwa wychodźców z Polski nadwiślańskiej, w Azji zachodniej rozsypanych. Wychodźce z Rusi szli za Prut, za Dunaj, rozchodzili się po księstwach rumuńskich, rozdzielonych jeszcze natenczas, po Turcji europejskiej; wychodźtwa z Kongresówki Azją w pierwszej XIX. wieku połowie zapełniło. Zjawiska tego powodem było wkluczenie, po poskromieniu przez Moskwę powstania listopadowego, żołnierzy z armii polskiej do szeregów wojska rosyjskich, walczących na Kaukazie. Polacy do Czerkiesów uciekali, Czerkiesi zaś Persom ich i Turkom sprzedawali. Następnie sprzedawali Moskalom, lub mieniali na swoich, znajdujących się w niewoli moskiewskiej i wówczas dezercya ustała. Nim ustała atoli, dużo Polaków w Azji się zaprzepaściło w sposób rozmaity.

Razu pewnego, w porze roku, w której amatorowie, zwani po niemiecku „Sonntagsjäger”ami“ z miast ze strzelbami w dniu świąteczne w pole wybiegają, wybraliśmy się o dnia świtaniu we dwóch, Karol Brzo-

zowski i ja, (on strzelec zawołany, ja fuszer) z Konstantynopola, na upatrzonego. Gdyśmy się za miastem znaleźli, zdziwiła nas niespodzianka, na którąśmy się natknęli. Wyprzedziły nas seciny amatorów, posuwających się na rozlegających się w zachodniej stronie miasta błoniach długim szeregiem, utrzymanym w porządku przez zaptijów (policyantów).

Jak skorośmy się zjawili, wnet do szeregu wejść musieliśmy i, nie uszliśmy kroków dwudziestu, gdy z jednego ze skrzydeł słyszeć się dała pukalina. Paf, paf, paf. Strzałów, ku nam się zbliżających, padło ze trzydzieści, może więcej. Obok mnie strzelił Brzozowski i chybił. Jam się od strzelania wstrzymał, ujrzawszy bowiem Brzozowskiego na cel biorącego, pewny byłem, że lecące wzdłuż szeregu stworzenie skrzydlate trupem padnie. Stworzenie to było dudkiem. Zdaje się, że i następne strzały o śmierć stworzenia tego nie przyprawiły; ujście atoli przez nie śmierci z ręki Brzozowskiego, wprawiło wielkiego strzelca, znakomitego poetę, w humor fatalny. Splunął i krótko, tonem rozkazującym rzekł:

— Chodźmy stąd!...

Posłuchałem w milczeniu rozkazu. Wyszliśmy z szeregu, poza szeregiem wzięliśmy się w prawo, ku lasom belgradzkim i w milczeniu szliśmy godzin kilka: B. milczał, trawiony wewnątrz przez konfuzję, jaka go spotkała z racyi dudka; ja milczałem, nie chcąc zaczepiać go w obawie, ażeby nie strzelił do mnie. Próbowałem trafić do niego sposobem milczącym, za pomocą papierosa, który skręciłem i pokazywałem mu z boku w przypuszczeniu, iż politowanie w nim wzbudzę, że zapalić nie mam czem. Nie rozruszało go to. Nasepiony, nasrożony, szedł, szedł i milczał, aż gdyśmy się znaleźli w okolicy śród ogrodów, winnic, papierośnicę z kieszeni wyjął i papieros kręcić zaczął.

— A... no... — pomyślałem sobie.

Papieros skręcił, zapalek szuka — szuka i od-
zywa się:

— Ot, zapaliki wziąć zapomniałem... Nie
masz ty?..

— Nie mam... — odrzekłem.

Oglądamy się. W niewielkiem oddaleniu uka-
zuje się nam człowiek, przechadzający się z dużym
w ręku drągiem, co oznaczało wartownika dozorują-
cego plantacyi jakiejś — winnicy, jeżeli mnie pamięć
nie zawodzi. Podchodzimy do niego i bieglejszy ode-
mnie w mowie tureckiej Brzozowski, o zapaliki go
zapytuje. Wartownik mu pudełeczko daje. Brzozow-
skiemu naraz język się rozwiązuje. Przemówił do
mnie, ja mu odpowiedziałem; zamieniliśmy ze sobą
frazesów kilka i zwracamy się z podziękowaniem do
wartownika — patrzymy, a on płacze. Łzy mu
po policzkach strumieniami płyną.

— Co ci? — pyta go B.

— Mówicie, jak ja niegdyś mówiłem..

— Mówimy po polsku...

— Była to mowa moja...

Zapomniał mowy rodzinnej, a wzruszenie, jakie
w nim dźwięk jej wywołał, nie dozwoliło mu o lo-
sach, które go do Konstantynopola sprowadziły, opo-
wiedzieć.

Augustyn we względzie tym oporniejszym się
od wychodźcy tego okazał. Po polsku nie zapomniał;
język wprawdzie skaził, ale go nie zapomniał całko-
wicie i w końcu naprawił, gdy się pomiędzy swoich
dostał — wyrazów jeno niektórych przekreślonych,
odkręcić później nie mógł. Stało się to naprzykład
z dawanem przez Persów chrześcijanom mianem *nazareni* (Nazareńczycy), które przez zmianę zgłoski
za i głoski *e* wymawiał w sposób, nie nadający się
do pisania dla druku w języku polskim.

— Co wyplatacie, Augustynie!... strofowano go.

— Cóż ja temu winien, że nas katolików tak
Persy nazywają!... — usprawiedliwiał się.

Zesłany na Kaukaz wprost z szeregów wojska

polskiego, zdezerterował i Persowi sprzedanym został. Pobyt u Persa był wstępem do wędrówki, którą rozpoczął, jak skoro mu się od właściciela swego uciec udało. Zrazu się z deszczu pod rynnę dostał, wpadłszy w ręce Kurdów, którzy go do cięższej, niż Pers niewoli zaprzegli. Ale i z tej się wyzwolił. Doświadczenie nauczyło go unikania niewoli i zarabiania tak i inaczej. Tu do dorywczej stawał robotniczy, ówdzie służbę przyjmował, a służywał najchętniej przy osłach, mułach, koniach, przy wielbłądach także. Obszedł w zygzak krainę na przeczu Tygrysa i Eufratu, u podnóża gór Libańskich. Nie można jednak było z dorywczych opowiadań jego zmiarkować, jakimi traktami, przez jakie przechodził miasta, nazw bowiem miejscowości albo nie pamiętał, albo je przekreślał. O Jerozolimę np., o Palestynę nie sposób go się było dopytać. Domyslać się należało, że deptał ruiny Babilonu, a nawet Palmyry, o ruinach bowiem prawil — o jednych, nad wielką rzeką, Fradem (Fratem — tak Turcy Eufrat zwa), położonych, o drugich piaszczystą otoczonych pustynią. O kraju, roślinności i żywności jego, o faunie rozповідаł chętnie i dużo, a w opowiadaniu materiały mieszał się mu. Przypomina mi się np. rzecz o drzewie, takim rozłożyłem, że w cieniu gałęzi jego zasiąść może ludzi „i sto i tysiąc“, a na gałęziach „ptactwa... jej jej — nie zliczyć“. Wymieniał ptactwa rodzaje i zapędziwszy się, od ptaków przerzucał się do czworonożnych, od gołębi do tygrysów, lwów, zamieszkałych na gałęziach.

— Jakto!.. — słuchacz mu przerywał. Tygrysy, lwy na gałęziach?..

— Co panu do głowy przyszło?.. — odpowiadał Augustyn. Któż widział, ażeby tygrysy i lwy na gałęziach siadały!..

Po długiej, długiej, dwudziestokilkuletniej wędrówce, w epoce wojny wschodniej, krymską zwanej, dotarł do Gypsu.

— Do jakiego Gypsu?..

— Do jakiegoż?... do tego, co za morzem Czerwonem.

Gypsem Egipt przeżywał.

W Egipcie zeszedł się z Polakami.

— To przedtem, w Azji, nie schodziliście się z nimi?...

— Czemu nie!... Schodziłem się, i nie raz, ale z takimi jak ja sałdatami, co od Moskali uciekli...

— O wojnie przeciwko Moskwie nie słyszeliście?...

— Słyszałem... Cóż z tego!... Nijak dojść było...

W Egipcie służył przy koniach hr. Władysława Kościelskiego, który rzadkiej w polskiej sferze szlacheckiej dokazał sztuki, zrobienia majątku z niczego — w przemyśle, ale nie handlowym, nie fabrycznym, nie zaznaczonym w żadnej ekonomii politycznej, politycznym jednak — znakomitość w rodzaju swoim.

Znakomitość ta Augustynowi do gustu jakoś nie przypadła, trzymał się jej bowiem póty, póki go z końmi do Konstantynopola nie wyprawiła. W Konstantynopolu od niej przyszedł do Sokulskiego, gdy ten robotę telegrafu rozpoczął i koni parę — jednego pod siodło, drugiego pod juki — trzymać musiał. Zima wstrzymała roboty w polu i sprowadziła do Konstantynopola komendę mehendiów polskich. Z nimi przybył i Augustyn, z którym wówczas znajomość zabrałem.

Sokulski dwupokojowe obszerniejsze, aniżeli emigranci zwyczajni, zajmował mieszkanie. Schodziliśmy się u niego wieczorami na herbatę, pogadankę, oraz dla omawiania spraw ważniejszych. Ja codziennie prawie rano, kiedy Sokulski przebywał w biurach W. Porty, zachodziłem dla dzienników polskich, które pod jego przychodziły adresem. Czytałem dzienniki; Augustyn w apartamencie uprzątał.

Razu pewnego, gdym o poręcz krzesła plecami oparty gazetę przed sobą trzymał, Augustyn za mną ze szczotką w rękę stanął i rozłożonemu a zadru-

kowanemu arkuszowi przez ramię mi się przypatrywał. Czując go za sobą, zapytałem:

— Chcecie czytać?...

— Chciałbym, ale nie umiem...

— A przypatrujecie się?...

— Bo radbym wiedzieć, co tam stoi...

Opowiedziałem mu treść artykułu wstępnego w krótkości.

— A nie pisze tam, proszę pana, kiedy Polska wolną będzie?... — zapytał.

— Nie... — odrzekłem.

— E!... — ręką machnął — to czytać nie warto...

Polska go mocno obchodziła. Przekonałem się o tem w dziesięć lat później, kiedy w interesie organizacji oddziału zbrojnego z rozsypanych po Turcyi wychodźców polskich do Konstantynopola na dni kilka przyjechał. O Augustynie nie myślałem, gdy niespodzianie wczesnym rankiem u mnie się zjawił. W przekonaniu, że są to odwiedziny po dawnej znajomości, serdecznie go powitał.

— Cóż tam, Augustynie... jak się macie, zdrowie służy?... — zacząłem.

— Oh!... Ja zdrow... zdrow... — odrzekł z przyciskiem. Ja zdrow... Pan major mówi, że nie wytrzymam, ale wytrzymam... o! wytrzymam...

— O cóż to chodzi?...

— O co?... Taże o powstanie...

— Iść chcecie?...

— A jakże... jakże... Ja bym pójść nie miał?... mój Boże!...

Obrzuciłem go wejrzeniem. Budowa jego do rodzaju krępych należała; wyglądał czerstwo, ale głowę okrywała siwizna, a wypukłości policzkowe osłaniała siatka niby, usnuta z przebijających się przez skórę nitczek czerwonych, starość znamionujących.

— Ile wam lat?... — zapytałem.

— Czy ja wiem! Może ze sześćdziesiąt...

— W którym was roku do wojska wzięto?...

Oczy do góry wznosił; przypominał sobie; ja mu głośniejsze z przed r. 1830 przypominałem zdarzenia: w sposób ten, że najmniej na lat dziesięć przed wybuchem powstania listopadowego wstąpił do szeregów wojskowych — liczył więc lat sześćdziesiąt z okładem. W wieku tym nigdzie na świecie ludzie do szeregów nie biorą. W latach sześćdziesięciu prawo, zwane „Limite d'âge“, wydała ze służby czynnej generałów. Jałem się więc Augustynowi perswadować, przedstawiając mu, że walka, jaką z Rosją toczy, to nie wojna regularna, nie posiadamy ani pociągów, ani ambulansów, brak nam rzeczy najpotrzebniejszych, od broni zaczynając, a mamy do czynienia z przeciwnikiem okrutnym, pastwiącym się nad rannymi na polu bitwy. Przedstawiłem mu marsze fersowne, które wytrzymać zdołają tylko siły młode.

— Nie wytrzymacie, Augustynie...

— Wytrzymam, panie!... wytrzymam pułkowniku, generale!...

— Tyrałeś się życie całe...

— Cóż z tego!... alem sobie życia gorzałką nie psuł, alem zdrów, ale wypocząłem na starość.. Ale ja niczego innego, tylko zabrania mnie do Polski, nie potrzebuję: sztucer mam, odzież, buty dobre mam, żołdów żadnych nie chcę, bo mi zapasik grosza starczy na wszystko... Chcę — ryknął płaczem — w Polsce kości złożyć!...

Do nóg mi się z płaczem rzucił.

Odmówić mu prawa nie miałem. Wszedł do formującego się w Tulczy oddziału i następnie wziął udział w marszach fersownych, które wytrzymywał; w bitwie pod Kostangalją sprawował się, jakby na grzbiecie dźwigał lat o połowę mniej, niż liczył.

Po rozstaniu się ze sformowanym i dowodzonym przezemnie oddziałem, Augustyna na zawsze z oczu straciłem. Mówił mi o nim nieboszczyk Zima. Spotkał się z nim w Galicyi, gdy starzec ten wy-

bierał się w Lubelskie z jednym z oddziałów wkra-
czających. Pragnieniu jego stało się zapewne zadość:
kości swoje na ziemi polskiej złożył.

Kreśląc sylwetę jego, miałem w myśli strofę
ostatnią wiersza Wincentego Pola: „Na śmierć ge-
nerała Sowińskiego“:

„Takich Polska miała synów,
Takich wodzów sprawa święta“.

Wiersz ten, ze zmianą wyrazu „wodzów“ na
wyraz „żołnierzy“, literalnie się do Augustyna odnosi.

A nie do samego tylko Augustyna. Trzy czwarte
oddziału mego składały się z Augustynów młodszych:
z chłopów naszych, niepiśmiennych, byłych żołnierzy
rosyjskich, co czasu wojny krymskiej przez wojska
sprzymierzone w niewolę wzięci, do szeregów mo-
skiewskich wracać nie chcieli, w Turcyi pozostali
i, gdy powstanie przeciwko Moskwie wybuchło, do
zmierzenia się z Moskalami darli się. Literalnie:
darli się na „sprawę świętą“ i siebie i zarobki swoje
oddawali.

„Takich Polska miała synów“ — i ma ich,
i mieć w potrzebie będzie pod warunkiem, ażeby ci,
co „uświadomienie“ ludu polskiego na siebie biorą,
nie podszywali uświadomienia warunkami społeczno-
ekonomicznymi. Sprawiedliwość społeczno-ekonomiczna
drogą swoją, Ojczyzna swoją. Augustyn i koledzy
jego nie o kolektywizm, ani o dzień ośmiogodzinny,
ani przeciwko kapitalizmowi, ale o Polskę przeciwko
Moskałom do powstania się garnęli.

JÓZEF WYSOCKI.

I.

Od szeregowca (Augustyna) przechodzę do generała. Zarzuci mi kto może, że to skok za wielki. Wcale nie. W generale szeregowiec tkwić powinien, generała bowiem wartość na tem polega, ażeby posiadał wodza rozum, szeregowca uczucia i to uczucia takie, jakie przejmowały takiego Augustyna i takich eks-soldatów moskiewskich, co z nim razem do powstania poszli, czyste, bezinteresowne, bezwarunkowe. Interesy osobiste oskrzydłają się warunkami, ale te uczucia szpecą i rozумы krzywią.

Powszechnemi są skargi na generałów polskich, co r. 1831 wojskom naszym przewodniczyli. Skargi na nich są słuszne, a powód, dla którego na nie zasłużyli jest ten, że jednych zepsuł rutynizm służbowy, w drugich uczucia zagasły pod naciskiem warunków klasowych. Czyżby Chłopicki w grudniu jeszcze roku 1830 nie przerzucił był armii polskiej na Litwę, a Skrzynecki w kunktatora się, po objęciu dowództwa naczelnego bawił, gdyby się byli w rutynie nie zestupajczyli? Czyżby Zamojski pociągnął był Romarina do wyprowadzenia, po przeprawieniu się Paskiewicza przez Wisłę pod Toruniem, wyborowego korpusu dla tego, że obrót spraw powstańczych przeciwko widokom arystokracji się zwracać począł?

Gdyby w każdym z tych wodzów generałów, pułkowników tkwił taki, jak Augustyn szeregowiec, co „brał działa czarnemi od pługą rękami“; gdyby w każdym z nich gorzał ten ogień miłości Ojczyzny, który piersi takich Augustynów — eks-soldatów moskiewskich -- rozsadzał; z pewnością żaden Chłopicki, żaden Zamojski, żaden z generałów naszych nie dopuściłby się zarzuconego mu przez historię „błędu“ (?).

Dwaj generałowie, Iliński i Czajkowski, posłużyli mi już za modele do sylwet. Byli to Polacy, ale generałami polskimi nazwać ich nie można. Józef Wysocki stopień swój zdobył nie w Polsce, lecz ponieważ stopień ów przez rząd polski uznanym i potwierdzonym został, ponieważ ze stopniem tym w gradzie kul zaborców kraju chodził, jest przeto generałem polskim prawdziwym, mianowanym na polu walki trudniejszej, aniżeli inni generałowie zwyczajni.

Rodem on był z Podola rosyjskiego, z okolic Tulczyna. Data przyjścia jego na świat nie jest mi znana; wiem jeno, że nauki pobierał w Krzemieńcu, że w r. 1828 wstąpił do artylerji w wojsku polskim i w czasie wojny r. 1831 służył w kompanii raketników. Następnie, dalszy biografii jego ciąg rozwija się na emigracyi: zaciąga się do szeregów Towarzystwa Demokratycznego, którego kosztem odbywa zaszczytnie nauki w szkole wojskowej w Metz, na życie zarabia w biurach dróg żelaznych francuskich, bywa wybierany do Centralizacyi, pisze i wydaje dzieła wojskowe („Zasady sztuki wojskowej“ i in.) i w latach 48 i 49 czynny a wybitny w wypadkach owoczesnych udział bierze.

Do czasu onego znałem go jeno ze słyszenia, oraz z „Zasad sztuki wojsk.“, w których się rozczytywałem w Odessie i w Kijowie. Tajemne biblioteki studenckie posiadały wydawnictwa emigracyjne, a i na prowincyi po dworach i dworkach szlacheckich znaleźć je było można. Dzieła, o sztuce woj-

skowej traktujące, na Rusi krążyły i chętnie były przez Polaków czytane. Tą drogą popularyzowały się wśród nas, w zaborze rosyjskim, nazwiska młodych — Mierosławskiego, Wysockiego — co obiecująco w rzeczy wojskowej w opinii publicznej stawali. Gdym się w r. 1848 w Galicyi znalazł, objażyło mi się o uszy często nazwisko Wysockiego, przedstawiciela emigracji polskiej w Krakowie, podejrzanego przez generalicyę austryacką o intencye rewolucyjne, o zamiary stawiania barykad i o tym podobne okropności, rozbudzające zapęły rycerskie do zabawienia się w zbombardowanie miasta. Podnosiło to w oczach młodzieży wziętość jego; gdy zaś rozeszła się we wrześniu, czy w październiku r. 1848 wieść o tem, że wyjechał do Pesztu, celem porozumienia się z rządem węgierskim o udziale, jakiby Polacy wziąć mieli i mogli w wojnie przeciwko Austrii, jednego z mocarstw, napiętnowanych w dziejach ludzkości rozbiorami Polski, ochotnicy pogarnęli się w ślad za Wysockim w tem przekonaniu, że legiony formowane zostaną i że on na czele stanie.

W liczbie ochotników i jam się znalazł. Dostawszy się, po przekradzeniu granicy, „per pedes“ do Preszowa, następnie wraz z innymi, fetowany po drodze i wieziony forszpanami do stolicy Węgier, w koszarach „Drei Hasen Kaserne“, gdzie ochotników polskich ulokowano, dowiedziałem się, że sprawa legionów polskich jest przedmiotem układów, które obrócić się na ich niekorzyść mogą. Legionom mocno i stanowczo sprzeciwiał się świeżo z Wiednia, po zdobyciu onego przez Windischgrätza, przybyły Bem. Bemowi udało się wymknąć ze stolicy Austrii i w sposób ten losu Edwarda Jełowickiego i Roberta Bluma uniknąć.

Dla Węgier była to gratka nielada, pozyskanie takiego jak Bem generała. To też opinia jego dużo w sprawie legionów ważyła. Był on tego zdania, ażeby ochotników polskich wcielać pojedynczo do batalionu, szwadronów i baterij węgierskich, nie

formując z nich korpusów oddzielnych. Dziwiło to oficerów z r. 1831, których kilku zeszło się w Peszcie, dziwiło to zwłaszcza demokratów, mających w pamięci zawzięte generała zabiegi o legiony polskie w Algierze i w Portugalii. We Francyi, z wyjątkiem stronnictwa Hotelu Lambert, cała emigracya polska sprzeciwiała się temu, ażeby Polacy walczyli bądź przeciwko broniącym wolności swojej Arabom w Afryce, bądź w obojętnej dla nich sprawie na półwyspie Iberyjskim. W Węgrzech jednak rzecz się przedstawiała inaczej. Tam Bem przeciwko ogółowi był za logionami, tu wbrew wszystkim legionów nie chciał. I tam, i tu większość ogromną na siebie oburzył. We Francyi oburzenie wyraziło się strzałem do niego z pistoletu Pasierbskiego (17 lipca 1833 r. w Mehun o 15 kil. od Bourges), na Węgrzech — strzałem z pistoletu Kołodziejskiego (w miesiącu października 1848 r. w Peszcie).

Wypadek ten mocno obecnych w Peszcie Polaków zaniepokoił, rzucając z jednej strony nie nader korzystne na ochotników światło, z drugiej kompromitując Bema. Kompromitacya tego ostatniego na tem polegała, że wyjaśnić się nie dawał powód opierania się jego legionom. Zrozumiał to Bem sam i uprzedzając prawdopodobne ofiarowanie sobie przez rząd dowództwa naczelnego, zażądał powierzenia mu zadania militaryjnego najtrudniejszego. Ofiarowano mu odpadły już niemal od Węgier Siedmiogród. Bem na odzyskiwanie orężem utraconej a siły zbrojnej węgierskiej całkowicie bez mała pozbawionej prowincyi wyjechał. Po wyjeździe jego rząd w rzeczy sprawy legionów spuścił się na ochotników, którzy, na odbytem w koszarach zgromadzeniu, zawotowali legiony, wodzem obrali Wysockiego i organizacyą, oraz nominacye stopni wojskowych na niego bezwzględnie, poręczyszy mu od siebie posłuszeństwo bezwzględne. Dodać winienem, że taki obrad rezultat wynikł za sprawą paru oficerów z r. 1831, Czernika, Mateczyńskiego i in. Przemawiał i Wyso-

cki, raz w ciągu obrad, powtóre dziękując za wybór i przedstawiając potrzebę subordynacyi.

Przy okazji tej oglądałem go po raz pierwszy. Wzrostu prawie małego, siwy, cery czerwonej, niepozorny, nie zaimponował mi ani postawą, ani wymową. Mina zdradzała człowieka skromnego, niemal potulnego. Wedle Kościuszki jednak sądząc, my Polacy nie mamy dobrej racyi oglądania się na wodzów miniastych. Mimo, że mu miny zamaszystej brakło, pozyskał podkomendnych zaufanie, które go przez ciąg całej wojny nie opuściło. Myny jego wyrazem charakterystycznym był absolutny brak pozy. Gdy na generała awansował, generała się w nim ani domyślić było można. Wyglądał na śmiertelnika zwyczajnego, najzwyczajniejszego, trochę nawet śmiech wzbudzającego. Huzarzy go na koniu zrozumieć nie umieli. W Węgrzech, na polu zapasów wojennych, debiutował w stopniu majora, na czele pierwotnie sformułowanego batalionu piechoty z dwóch kompanij, liczących trzystu kilkudziesięciu szeregowców, podoficerów i oficerów. Jako major przewodniczyć musiał batalionowi konno. Nie wiem na jakiej podstawie powiadano, że w prezencie od matki chrzestnej sztandaru legionowego, siostry Koszuta, dostało mu się siwe, stare, ogromne, ciężkie konisko, na którym siedział jako — przepraszam za zbanalizowane przyrównanie — pies na płocie. We względzie tym tracił ogromnie na porównaniu z generałami, pułkownikami, majorami Węgrami, których postawa na koniu zachwyty wzbudzała. Huzary przedrzeźniali go: garbili się, nogi rozstawiali, łokciami poruszali, dodawali jednak:

— Ale to człowiek... o!... — i w czoło sobie palcem stukali.

Dodatek ten w ustach Węgrów pojawił się po pierwszej połowej wespół z legionem bitwie pod Solnokiem, w której naczelnie dowodził Damianicz — generał choć go maluj.

Gdy wojsko austriackie do boju wystąpiło,

Damianicz, mający pod sobą dwa tylko bataliony regularne, reszta honwedzi-piechota, przez oficerów opuszczonych szwadronów kilka jazdy, oraz przez oficerów improwizowanych dowodzona artylerya, — zawahał się.

Obawę wzbudzało w nim niepowodzenie, któreby fatalny we względzie moralnym na rozpoczynającą się kampanią wiosenną wpływ wywrzeć musiało. Lękał się tego i odwrotu nie nakazał, skutkiem jedynie namowy Wysockiego, który już w uzyskanym za kierownictwo blokadą Aradu stopniu pułkownika, dowodził brygadą*) i odpowiedzialność za bitwę wziął na siebie.

Bitwę rozstrzygnął atak oskrzydający, dokonany przez trzeci batalion honwedów, poprowadzony osobiście przez Wysockiego do miasta; zwycięstwo uzupełniła świetna, pod dowództwem Władysława Ponińskiego, szarża świeżo sformowanego szwadronu ułanów polskich. Bitwa ta ustaliła reputację legionu i Wysockiego. Rozpoczęła ona szereg zwycięstw — i po zwycięstwie każdym, w którym legion. udział wziął, w zwyczaj niejako weszły okrzyki batalionów i szwadronów węgierskich:

— Eljen a Lengiel (niech żyją Polacy)!... eljen a Wysocki (niech żyje Wysocki)!...

— To człowiek!...

Udział jego w bitwach wyraźnie się zaznaczał dzięki Damianiczowi, który Wysockiego umyślnie niejako naprzód wysuwał, trzymając go przy sobie i rad jego zasięgając głośno. Pod Isaszek byliśmy narady nagłej, a krótkiej świadkami. Korpus nasz poszedł

*) W armii węgierskiej nowo formowana piechota dzieliła się nie na pułki, ale na brygady, składające się z trzech, czterech, niekiedy pięciu batalionów; dwie brygady stanowiły dywizję, dwie dywizye 1 korpus, do którego w zasadzie wchodziło batalionów dwanaście.

w lewo dla wzmocnienia korpusu Klapki, wydobywającego się z lasów przeciwko armji austryackiej, przyjmującej bitwę na zaopatrzonem w szańce polu. Dwa jeno bataliony z korpusu naszego — legjon i Waza (regularny) — pozostawione zostały na górze pod lasem i posuwały się demonstracyjnie powoli ku lewemu skrzydłu pozycyi austryackiej, w oczekiwaniu mającego nadciągnąć trzeciego korpusu węgierskiego. Tuż obok nas jechał sztab, Damianicz i Wysocki na czele. — Damianicz okazały, duża, czarną przyozdobiony brodą, niby Bóg-Mars w postaci człowieczej, na dzielnym koniu, Wysocki marny, na siwej handrydze rozczepierzony. Posuwamy się. Wodzowie od czasu do czasu lunety do ócz podnoszą, przyglądając się szykom austryackim, widnym gołym okiem. Powietrze rozbrzmiewa podchwytywanemi przez echa leśne hukami wystrzałów działowych austryackich z szańców, węgierskich z lasów. Mamy przed oczami pod sobą widowisko armji w szyku bojowym, wyrzucającej dymy, układające się w wały szare, ku którym my idziemy noga za nogą, zatrzymując się co moment. Nie spieszo nam — z dali demonstrujemy tylko, o siebie spokojni.

Nagle w spokój nasz, niby piorun z jasnego nieba, wpada z prawej strony w rozsypce, pędem całym, wysłany na zwiady pluton huzarów z okrzykiem:

— Niemcy!... Niemcy!...

Pluton ów wysłany był na spotkanie oczekiwanego korpusu węgierskiego Guyona, jeżeli mnie pamięć co do nazwiska generała nie myli.

Zamiast spotkać korpus węgierski, natknął się na korpus austryacki Szlika. Huzary w szaloną rzucili się ucieczkę. Za przybyciem ich zatrzymaliśmy się. Zatrzymał się sztab.

Położenie, rokujące zwycięstwo, naraz groźnem się zrobiło. Las stał się kluczem pozycyi, prowadził bowiem na skrzydło prawe i na tyły armii węgierskiej, wpadającej na wypadek, gdyby go Au-

stryacy przeszli, we dwa ognie. Ratunkiem na to było doczekanie się korpusu Guyona, broniąc do upadłego lasu, póki on nie nadciągnie. Zadanie obroncze spadało na dwa bataliony — nasz i Waza — przeciwko ośmiu austryackim — w tej liczbie strzelcy tyrolscy.

Cały niebezpieczeństwa rozmiar nam — rzecz prosta — nieznanym był. Niektórzy jednak, między innymi i ja, domyśleć się go mogli. Byłem już podoficerem, zajmowałem stanowisko po za szeregiem i, w momencie wpadnięcia z okrzykiem „Nemet“ huzaarów, podniosłem wejrzenie na Damianicza. Zastanowiła mnie nagle na obliczu jego bladość; w słuch wpadły mi następujące z ust jego wyrazy:

— Teraz nie wiem, co czynić...

— Ja wiem... odrzucił mu Wysocki i w tejże chwili, znalazłszy się przed frontem naszego batalionu, z wysokości siwego, taki przez nos wygłosił nam rozkaz:

— Na lewo w tył — zwrot!... Do lasu w tyraliery!... Bronić mi lasu póty, póki wam ostatnia żywa zostanie noga!...

Taki sam rozkaz dostali Wazowie.

Rzuciliśmy się w las, rozsypali w tyraliery i, spędzani przez tyralierów austryackich, spędzaliśmy ich z kolei. Był to rodzaj wodzenia się za bary zapasników, z których ani jeden, ani drugi pokonanym się uznać nie chce, — pada, zrywa się i znów się za bary z przeciwnikiem chwyta. Zabawka ta rozpoczęła się o dziewiątej rano. Od Wysockiego, który się przy brygadzie swojej znajdować musiał, co pół godziny, częściej niekiedy, nadbiegał adjutant lub galopen z zapytaniem, „Czy się trzymają?“ — i z rozkazem trzymania się do ostatka.

Trzymaliśmy się od dziesiątej rano, póki nie nadszedł korpus Guyona, który nadciągnął.. o dziewiątej wieczorem.

Dzięki temu, że Wysocki wiedział co czynić,

Węgrzy pod Izaszek odnieśli jedno z najświetniejszych w wojnie r. 1849 zwycięstw.

Wojna węgierska była dla Wysockiego egzaminem generalskim — egzaminem, który, zdany po uniwersytecku na stopień doktorski, zaopatrzyłby go w dyplom „magna cum laude“. Zdał on egzamin ów całkowicie zadowalniająco w zakresie pierwszym zależał od rozkazów przełożonych swoich, względem których bywał najczęściej tym dobrym duchem, co natchnienia narzuca i wskazówki daje. Trzymiesięczną blokadą Aradu dowodził Mariaszi, kierował Wysocki i czynił to w sposób taki, że nie wzbudzał w dowódcy uczucia zawiści, wywoływanego zazwyczaj w przełożonych przez podkomendnych bardziej od od nich do prowadzenia rzeczy ukwalifikowanych. Następnie, w czasie kampanii polowej, przy Damianiczu pełnił funkcje mentora. Wykazałem to powyżej w dwóch wypadkach; w innych zaś bitwach, w każdej brygada najprzód, dywizya następnie Wysockiego ruszała się i przypadające na dolę jej zadanie pełniła niby z nót.

W bitwach łączył Wysocki znajomość rzeczy ze spokojem, krwią zimną i z tą rzutów oka trafnością, która w rozwoju ruchów nieprzyjacielskich wskazuje moment do podchwycenia i punkt odpowiedni do zadania przeciwnikowi ciosu o rezultacie rozprawy decydującego. Przymioty te w wysokim posiadał stopniu i zapewne dowody ich składał — dowody, których przytaczanie jest dla mnie bardziej niż trudnem, będąc bowiem trzy czwartych czasu wojny podoficerem i jedną czwartą podporucznikiem, znać nie mogłem sprężyn, wywołujących następstwa. O jednym atoli jeszcze fakcie poświadczyć jestem w możności. W sylwecie Jagmina wspomniałem o wzięciu przez nas zrywanego przez pontonierów austriackich mostu, do którego przystępu wojskom węgierskim nie dopuszczały kartacze baterji, ustawionej nieopodal, a pozostającej pod przykryciem piechoty, rzygającej ogniem ze swojej strony. I my zo-

staliśmy przez kartacze i kule karabinowe przywitani. Wnet atoli po przywitaniu, działa pośpiesznie zaprzodkowane pędem odjechały, piechota cofnęła się krokiem zdwojonym. Na razie przypisaliśmy to naszemu zuchwalstwu. Jakże! — w sile ludzi trzydziestu kilku, w otwartym polu, wystąpiliśmy przeciwko baterji ośmiu dział i towarzyszącemu jej batalionowi piechoty. Później rzecz się wyjaśniła. Wysocki, z wyżyny za miastem badając naturę gruntu, na którym się bitwa toczyła, zoczył dwie rzeczy: stanowisko zajmowane przez strzelającą do nas baterję i załom rzeki poniżej zdobytego przez nas pod dowództwem Jagmina mostu. Na załom ten szybko wprowadził dwa działa, ustawił i strzelać kazał. Kule z dział tych poszluzem brały baterję austryacką — obrót rzeczy dla artylerji nie do wytrzymania. Spozrzegłszy tę rejteradę, Jagmin wnet we front pluton uszykował i zakomenderował:

— Krok zdwojony... marsz... marsz!...

Powziął zamiar ścigania cofającego się nieprzyjaciela. Po chwili jednak na myśl mu snać przyszło, że gdyby ściganemu do głowy strzeliło wykonać przeciwko nam, jeżeli nie batalionem całym, to kompanją jedną, zwrot zaczepny, byłoby bardzo z nami kręto. W porę zmiarkował, że rejterującemu kilkunasto, a może kilkudziesięcio-tysięcznemu korpusowi trzydzieści kilka karabinów rady nie da. Nie pierwszy Mac-Mahon, po zdobyciu Małakowa, kiedy go z zajętej ściągnąć chciano pozycyi, odrzekł: „J'y suis, et j'y reste“. Na zajętej pozycyi Jagmin się zatrzymał i na niej na rozkaz — „na piśmie“ — czekając, do późnego trzymał nas wieczora. Świadczy to, że walecznego tego żołnierza „rzutem oka“ natura nie obdarzyła. Gdyby się na miejscu Wysockiego znajdował, nie byłby baterji austryackiej poszluzowym ogniem pozdrowił i nas od katastrofy zasłonił.

II.

Że na polu bitwy „rzut oka“ generalski Wysocki posiadał, to najmniejszej nie ulega wątpliwości i że korpus Damianicza nie jedno przymiotowi temu wodza legionu zawdzięcza zwycięstwo, to śmiało za pewne podać można. Inne, zdobiące go przymioty, wymienilem powyżej. Do nich dodać winienem jeszcze jeden: dobry humor. W bitwach batalion polski zawsze spotykał wesoło, słów kilka przemawiał i, gdy co do zalecenia miał, zalecał od niechcenia niby. Przypomina się mi bitwa jedna z większych pod Nagy-Szarlo, do której wystąpiliśmy, nim poranek świtać zaczął. Wraz z zarumienieniem się na niebie jutrzeńki, na prawo, w dali, słyszeć się dały luki wystrzałów działowych. Z wieczora dnia poprzedniego wiedzieliśmy, że na prawo mamy korpus Klapki. Przed nami rozlegała się płaszczyna, a na niej, w pomroku porankowym, ukazywały się w sposób widmowy wieże niby. Posuwaliśmy się naprzód powoli w kolumnie batalionowej, zajmując lewe linii bojowej skrzydła i nie widząc na prawo batalionów węgierskich. Nagle pojawia się Wysocki, słów kilka zamienił z majorem (Czernikiem), — i gdy ten batalionowi zatrzymać się kazał, do nas się zwrócił i w te odezwał się słowa:

— Chłodny poranek... Klapka dobrze zaczął

i korpus jego już się rozgrzewa... Niebawem i wy rozgrzewać się będziecie... Widzicie te wieże? — palcem wskazał. To wieże w Nagy-Szarlo, to klucz pozycyi bojowej, który Austryacy albo już obsadzili, albo niebawem obsadzą mocno... Trzeba ich uprzędzić, a jeżeli już w Nagy-Szarlo są, odebrać im je... Idźcie krokiem zdwojonym wprost na wieże!...

Ręką nam na pożegnanie skinął. Okrzyknęliśmy go: „Niech żyje pułkownik!“ i ku wieżom ruszyli. Nagy-Szarlo było już zajęte. Zdobyliśmy je bagnetem i odparli dwa wściekłe ataki austryackie, zszadziwszy przy tej okazji ze srokiego konia generała księcia Jabłonowskiego, który, dowodząc brygadą z pułków galicyjskich złożoną, odgrażał się:

— Moim Maćkom po kieliszku wódki dam, to oni panów legionistów na bagnetach rozniosą...

Pogróżka ta na marne poszła. Wypłoszyliśmy go z Wacowa, a w dni kilka później srodześmy komendę jego pod Nagy-Szarlo potłukli i jego samego zranili. Rzeczą jest przypuszczalną, że go postrzelił jeden z byłych jego podkomendnych. W Wacowie dużo z pułków galicyjskich zbiegów szeregi legionu pomnożyło. Powtarzało się to w każdej bitwie, w której pułki galicyjskie przeciwko nam stawały. Legiony Dąbrowskiego, Kniaziewiczza — czy inaczej się rekrutowały?...

Dostatecznie — zdaje się — zaznajomiłem czytelnika z Wysockim w zakresie taktycznym, jako przewodnika hufców bojowych na polu bitew. W zakresie strategicznym musiał on zapewne w naradach sztabowych udział brać i udział ów wpływ wywierał. Samodzielnie sposobność do popisu nadarzyła się mu na czasu przeciąg nie długi: od momentu wkroczenia wojsk rosyjskich do Węgier północnych, do połączenia korpusu jego z południową armią węgierską.

Gdy Moskale do Galicji weszli, celem wzięcia udziału w wojnie węgierskiej (Mikołaj I twierdził, że bierze na siebie we względzie Austrii rolę Sobieskiego), Wysockiego rząd postawił naówczas na

czelę armii północnej, składać się mającej z dwóch korpusów, IX i X. Zadaniem jej było: stawianie Moskalom oporu. Korpus X nie doszedł do połączenia z IX-ym, dziewiąty zaś sam, prawie całkowicie polski, i nie koniecznie dobrze w rynsztunek wojenny zaopatrzony, za słabym był do opierania się kilkakrotnie silniejszemu nieprzyjacielowi, Pod Wysockim było nie więcej nad 10.000 ludzi. Na niego szło, na przelaj mu zabiedz i obsaczyć usiłowało tysięcy 60. Strategiczne w takich warunkach zadanie polegało na wyprowadzeniu tej garstki bez straty na ciele i na duchu, czyli, okazując przeciwnikowi, że się przed nim nie ucieka, lecz dąży do wykonania planu z góry ułożonego i wszechstronnie obmyślnego. Plan ten nakreśliła sama rzeczy natura, wynikająca z konieczności doprowadzenia korpusiku małego do przyłączenia go do sił większych, zdolnych nieprzyjacielowi czoło postawić.

Strategiczne jednak Wysockiego zadanie nie tem się tylko ograniczało. Powinien on był jeszcze cały ciężar najazdu moskiewskiego trzymać na sobie póty, pókiby się siły węgierskie w ilości dostatecznej i w miejscu odpowiednim nie skupiły. Było to zadanie nie lada. Ażeby mu odpowiedzieć, należało we właściwie upatrzonych pozycjach ku nieprzyjacielowi frontem stawać z miną, znamionującą bądź ochotę zwrotu zaczepnego, bądź zamiar zmiany kierunku rejterady. Upalne czerwcowe dnie manewrowanie w tym sensie ułatwiały. Korpusik marsze dla chłodu odbywał nocami, około dziesiątej rano zatrzymywał się i, w szyku bojowym spoczywając, oczekiwał nieprzyjaciela, który nad wieczorem nadciągał, rozwijał się — artylerya z jednej i drugiej strony koncert rozpoczynała; noc zmuszała walczących do odkładania zapalów bojowych na później.

Z nastaniem nocy korpus polski w dalszą puszczal się drogę, poprzestając na wysyłaniu we dnie w stronę nieprzyjaciela łudzących go podjazdów. Razy parę trafiło się, że nieprzyjaciel znużony

dniówkę sobie urządził i z wieczora nie nadciągał. W razie takim na dniówkę się i korpusik polski zatrzymywał. W sposób ten, ten ostatni na grzbiecie swoim dodźwigał Moskali do pobliza Pesztu, gdzie zatrzymać się musieli dla operujących na skrzydle ich w komitatach północno-zachodnich wojsk węgierskich, oraz dla nadciągającej z Wiednia pod dowództwem pamiętnego Haynaua armii austriackiej. Wysocki zadanie swoje dla siebie i dla podkomendnych swoich zaszczytnie spełnił i dalej swobodnie powierzone sobie wojsko w całości na punkt zborny do Czegledu doprowadził.

Jak widzimy przeto, krokami jego zarówno na taktycznem, jakoteż na strategicznem polu kierowały: spokój i zimna krew.

Na przymiotach tych żołnierze doskonale się poznają i wysoko je w wodzach cenią. W odwrocie od granicy galicyjskiej, gdyby był Wysocki niepokój okazał, z pewnością armię jego najmniej o połowę umniejszylaby dezercya.

Zaufanie żołnierzy posiadał całkowite pomimo, że się z nimi nie poufalił: ani gawędek nie prowadził, ani się na biwakach do kociołków żołnierzy nie przysiadł. Żołnierstwo mu tego za złe nie brało, nic w tem bowiem żołnierz dla siebie ubliżającego nie widział, ani odczuwał. Odnoszenie się jego do podkomendnych naturalne i swobodne nie wykluczało przystępności. Wszyscy w ogóle, jak każdy z osobna miał prawo do osoby jego w każdej zwrócić się potrzebie. Przystępność taka nie zawsze na dobre wychodzi, otwierając pole donosom i plotkom. Zapobiegał temu Wysocki w ten sposób, że plotki lub donosu ofiarę do siebie wzywał i powiadał jej, o co jest oskarżoną, oraz kto ją oskarża. Odebrało to raz na zawsze najniepoprawniejszym donosicielom i najznakomitszym plotkarzom ochotę dawania językom folgi. Gniewano się za to i o naiwność generała oskarżano.

O naiwność oskarżano go jeszcze z racyi rzad-

kiej w ogóle u ludzi wysokie, w jakiejbądź służbie publicznej gałęzi zajmujących stanowiska, prostoty. Gdy o czymś z rzeczy i kwestyj fachowych nie wiedział, przyznawał się do tego otwarcie. „A no... nie wiem. Dowiedz się i mnie powiedz“. Któryżby generał na coś podobnego się zdobył?

Nie przeszkadzało to jednak temu, że w razach trudnych doskonale sobie radzić umiał. Na usprawiedliwienie tej jego właściwości wystarczy przytoczenie faktu następującego.

Po świetnem przez wojska węgierskie pod Nagy-Szarlo zwycięstwie, i pobita i zwycięska armia do Komorna, potężnej w rękach węgierskich znajdującej się twierdzy, pomaszerowały: pierwsza dla wzmocnienia korpusu oblężającego i apioszami bardzo już zbliżona szaniec przedmostowy nad Dunajem ściskającego, druga dla odsieczy — dla oswobodzenia fortecy od oblężenia. Wojska cesarskie przez Dunaj się przepawiły; wojska węgierskie przez żadną się przepawić nie potrzebowały rzekę, ale droga wypadła im przez zalewy wiosenne rzek kilku (Waag, Neutra) wpadających pod Komornem do Dunaju (raczej do odłamującego się pod Preszburgiem ramienia, tworzącego z Dunajem dużą wyspę Schütt). Na ostatniej przed Komornem etapie, w dużej wsi, której nazwa z pamięci mi wypadła, zatrzymano nas, na ciasnych kwaterach, na noc i na dniówkę. Byliśmy pewni, że we wsi tej noc następną spędzimy i na zajutrz w dalszy ruszymy pochód. Pewność tę wzmacniała w nas pora fatalna: zimno w połączeniu z tak zwanym kapuśniaczkiem, do żywego przez odzież przenikającym ciała. Aniśmy przypuszczali, pod wieczór zwłaszcza, ażeby nas ruszyć miano. Stało się wbrew największe za sobą podobieństwo do prawdy mającym przypuszczeniom. Nagle i niespodzianie o zmroku już prawie, marsz nam nakazano.

Mocno się to nam nie podobało. Ale to nic jeszcze. Czyśmy to w deszcze ulewne, w błocie, pod gołym niebem nocy nie spędzali?... Maszerujemy.

Noc zapada, deszczyk nie ustaje, zimno do pośpiechu w chodzie popędza mimo, że nie wiemy dokąd idziemy. Gdyśmy tak półtorej mili mniej więcej uszli, zatrzymują nas. Stoimy z kwadrans, dygocąc od zimna. Wtem zjawia się Wysocki, — nie widzimy go, ale głos jego słyszymy, — przemawia :

— Idziemy do Komorna... Na drodze do przebrnięcia mamy trzy wylewy... wody po kolana ...Czy chcecie przejść je w nocy, czy po dniu?... Gdy zdecydujecie się przechodzić po dniu, musicie tu, na tem miejscu doczekać rana i następnie przechodzić pod doniosłością strzałów działowych austriackich; gdy zaś pójdziecie w nocy, rano staniecie w Komornie i wypoczniecie na kwaterach...

— Idźmy zaraz!... idźmy!... idźmy!... — zabrzmiała odpowiedź jednogłośnie.

— Dobrze robicie... — odrzekł Wysocki. — I Węgrzy w nocy idą...

Poszliśmy. Wody w wylewach okazało się nie po kolana, ale po pas. Nadto, wylewów było nie trzy, ale ośm i to całe rozległych. Cośmy z jednego wybrnęli, to wnet w drugi włązili. Rozpacz nas ogartywała. Nakoniec z topieli się tej wydobywszy, prowadzą nas na stoki bastionu i nieopodal od rowu stać nam i broń w kozły złożyć rozkazują.

Zziębniętych, wodą ociekających, obdartych, zczerniałych witają nas z wałów głów skinieniem i uśmiechem przyjaznym szyldwachy dobrze odziani, tłuściutcy, rumiani, wypoczęci. Łatwo sobie wyobrazić, jakie widok ten uczucia w nas budził, tem bardziej, że się dłużyło a dłużyło na obiecane kwatery czekanie. Czekamy, czekamy i doczekujemy się jakiegoś oficera, oznajmającego nam, że tu na stoku biwakować mamy, że wkrótce drzewo, chleb i mięso dostaniemy.

— Nie chcemy waszego drzewa, waszego mięsa, waszego chleba!... — odezwały się ze stron wszystkich oburzeniem nabrzmiałe okrzyki.

Oficer odjechał.

Po odjeździe jego zaimprovizował się sejmik dla zformułowania odpowiedzi na pytanie: co robić? Odpowiedź się sama przez się niejako zformułowała w sensie zbiorowego podania się o dymisyę. Jakoś atoli na zziębnięcie i na głód zaradzić trzeba było. Z legionistów, któryś zaproponował: broń z kozłów rozebrać i z bronią w ręku kwatery sobie zdobyć. Zadeklarował się bunt — przez oficerów i przez rozważniejszych (do których — pochwalić się muszę — i ja w liczbie nie wielu należałem) ledwie nieledwie zażegnany. Wywiązały się następnie pertraktacye. Oficerowie węgierscy i polscy (sztabowi), co chwila nadjeżdżali i o cierpliwość wzywali, oznajmiając nam, że się o nas Wysocki u sztabu upomina. Pozostawaliśmy wówczas pod naczelnem dowództwem Gergeya, niekoniecznie na Polaków za ich demokratyzm i republikanizm łaskawego. Przytem sztab również, jak i my noc bezsennie spędził i wypoczywał zapewne, sennego używając wczasu. Na rozwiązanie przeto sprawy czekać trzeba było. Czekaliśmy — aż około drugiej, trzeciej z południa sprawa nasza w ten rozstrzygnięła się sposób, że poprowadzono nas na wygodne, ciepłe, doskonałe kwatery, na których spędziliśmy dni trzy.

To jednak poczucia krzywdy doznanej nie usunęło, zwłaszcza, że krzywda tego rodzaju zdarzyła się nie po raz pierwszy. W Wacowie, który legion szturmem wziął, miało miejsce to samo. Nie oszczędzono nas ani w bitwach, ani w marszach, ale nam wypoczynków skąpiono. Postanowienia więc podania się o dymisyę legioniści nie zaniechali. Nazajutrz wybrana przez większość delegacya do pułkownika się udała z żądaniem dymisyi zbiorowej. Pułkownik żądanie przyjął i odpowiedział na nie wystosowanym do legionu rozkazem, stawienia się nazajutrz bez broni na placu przed jego kwaterą. Rozprawa odbyła się krótko. Na komendę: „Formuj koło!” — żołnierze się w koło uszykowali; pułkownik, major

i paru oficerów w środku. Wysocki w te mniej więcej przemówił słowa :

— Otrzymałem podanie o dymisyę, podpisaną, o ile wnioskować mogę, przez większość legionu... Krobicki ma rozkaz wydawania dymisyi każdemu, co się o nią zgłosi... Tym zaś, co zostają, oświadczam, że jak ich dotąd nie oszczędzałem, tak nadal oszczędzać nie będę... Dowiodę tego zaraz jutro... Stawiamy dziś na Dunaju do szanca przedmostowego most pontonowy w pozycyi, wystawionej na ogień baterij nieprzyjacielskich... Tych, co dymisyi nie wezmą, choćby ich więcej nad dziesięciu nie było, na most jutro poszlę...

Ze słowem tem koło pożegnał, życząc dymisyonowanym powodzenia.

Następstwem przemówienia pułkownika było to, że ze zgłaszających się o dymisyę Krobicki nie doczekał się nikogo, nazajutrz przy apelu w szeregach nie zabrakło nikogo i legion w całości wziął zaszczytny udział w bitwie, która korpus oblegający zmusiła od obleżenia odstąpić, pozostawiając w rękach Węgrów cały park artyleryi oblężniczej.

Sztukami takimi Wysocki buntowniczy duch polski w garści trzymać umiał.

Do scharakteryzowania go w ramach sylwety niewiele mi już brakuje. O działalności jego, jako pełnomocnika emigracyi polskiej, w czasie wojny wschodniej, to jest jeno do zaznaczenia, że się z teatru działalności usunął, jak skoro spostrzegł, że zesłała ona na pole spółubiegania się o przewodnictwo. Na polu tem, na takim, jak turecki gruncie, kroku bez intryg postawić nie sposób. Nie jego to była rzecz. Wolał pozostawić to komu innemu, w materyi dyplomatycznej bieglejszemu i milej przez rządy mocarstw sprzymierzonych widzianemu, aniżeli on demokrata. I Sadyk-pasza i hr. Zamojski więcej od niego mieli szans, więc im z drogi ustąpił, a uczynił to i dlatego jeszcze, że w naturze swojej nie

posiadał pragnienia zaszczytów przewodniczych. Mam na to dowód następujący:

Komitet centralny, przygotowując w zarysach głównych plan powstania, ponaznaczał naczelników do prowincjonalnych działów Polski. Na Rusi na wodza naznaczony był Edmund Różycki, którego nazwisko, jako mieszkającego na Wołyniu, przechowywane być musiało w tajemnicy do momentu, w którym faktycznie na czele stanąć będzie mógł. Że jednak nazwisko czyjeś, rozbudzające gorliwość do przygotowań powstańczych ogłosić na czas jakiś przed wybuchem należało, komitet uwagę na osobę moją, na Rusi popularną, zwrócił, i w tym celu do Warszawy mnie powołał. Nie zachwycała mnie ta rola. Przyjął ją jednak i gdy wybuch nastąpił przedwcześnie, wystąpić w charakterze „naczelnika siły zbrojnej na Rusi“, na gruncie Rusi galicyjskiej musiałem. Na gruncie tym spotkałem się z przykrościami i trudnościami dla zwykłego śmiertelnika nie do przełamania. Jak skorom się przeto o przyjeździe Wysockiego do Krakowa dowiedział, niezwłocznie do Krakowa popędził i, przedstawivszy mu stan rzeczy, prosiłem go o zajęcie stanowiska mego. Wysocki, na którego dział wypadki sprowadziły Langiewiczza, zgodził się na to pod warunkiem, jeżeli go Rząd N. zamianuje, a mnie dymisyę da. Wnet się do dymisyi podałem — i ta odrzuconą została. Rozpacz mnie opanowała.

— Generale co ja pocznę teraz!...

— A cóż!... pozostaję „en disponibilité“: pod twojem dowództwem stanę i pomagać ci będę... Do Rządu o tem napiszę...

Napisał on i ja napisałem, podając się do dymisyi powtórnie. Skutkiem tego dopiero, Wysocki naczelnikiem siły zbrojnej na Rusi zamianowanym został.

Takim był Wysocki. Nie podaję go za geniusza, ale za dobrego, nawet bardzo dobrego generała, za człowieka przytem prostoty iście gołębiej. Stronę

jego słabą stanowił brak zdrowia, powodujący niekiedy rozporządzenia niewłaściwe i kroki błędne. Chorym będąc, pospieszył na pole walki r. 1863. Nie powiodło się mu. Kombinacja ruchów trzech oddziałów w bitwie pod Radziwiłłowem była błędem, któregooby napewne nie popełnił, gdyby plan tej bitwy nieszczęsnej sam zamysłem swobodnym był układał. Podobnie kombinowane ruchy nie nadają się zgoła do takiej, jakąśmy w r. 1863—64 toczyli wojny. W bitwie tej śmierci szukał, jak Kościuszko pod Szczekocinami — nie dziw.

— „To człowiek“... — powiadali o nim żołnierze węgierscy.

Postać Wysockiego zasługuje na pamięć u potomstwa. Miłował on Polskę gorąco i był demokratą przekonanym, nie monopolizującym demokracji dla siebie i od zaszczytu służenia ojczyźnie nie usuwającym nikogo.

HENRYK DEMBIŃSKI.

I.

Z góry czytelnika łaskawego uprzedzam, że w sylwecie niniejszej przedstawiam postać typową, Polaka, a raczej szlachcica polskiego na wzdłuż i na poprzek, oraz na wylot, ze wszystkimi, w dodatkiem i ujemnem znaczeniu uwydatniającymi na tle dziejowem ten wytwór społeczny, przymiotami. Nie znałem go z bliska, nie obcowałem z nim; z opowiadań jednak ustnych i na piśmie i z kilkakrotnego zetknięcia się osobiście, zaczerpnąłem dostateczny do nakreślenia sylwety jego materiały. Wszak sylwety nie są to obrazy wykończone.

Dembiński urodził się w r. 1791, w momencie kiedy wszyscy „prawdziwi“ (jak się to dawniej mówiło) Polacy, pewni byli, że Polska na drogę pomyślności weszła nareszcie. Zdaje się, że na świat w ziemi krakowskiej przyszedł. Biografia jego, której się radzę, nic o tem nie mówi; mówi natomiast o testamencie, w którym ojciec jego, wzorem Amilkara, przekazującego synowi (Hannibalowi) walkę z Rzymem, przekazał mu orężną konstytucyi 3 maja obronę. Z dobrego więc wyszedł gniazda. Pokazało się to w siedemnastym życia roku. Matka, wychowująca syna w kierunku testamentowego przekazu ojcowskiego, oddała go do wojskowej szkoły inży-

nierskiej w Wiedniu. Gdy uczniom tej szkoły ofiarowane zostały w r. 1809 oficerskie w armii austriackiej, sposobiące się do wojny przeciwko Francji i Księstwu Warszawskiemu, stopnie, Henryk stopnia nie przyjął, do szeregów polskich na prostego szeregowca w piechocie wstąpił i następnie, walcząc w czasach napoleońskich zaszczytnie, zdobywał stopnie. Kampanię r. 1812 rozpoczął w randze porucznika i w tymże roku pod Smoleńskiem Napoleon I. mianował go na placu boju kapitanem. Po upadku Napoleona na wsi gospodarzył; do szeregów wojskowych w r. 1830 w stopniu pułkownika powrócił.

Znanym jest udział jego w wojnie r. 1831 Odwrót z Litwy, zaznaczony rozbijaniem wojsk rosyjskich, co mu drogę zabiegały i prowadzony przez ten korpusik pokonać usiłowały, wstawił go. W tej atoli wojnie objawiła się ujemna w temperamentie jego strona, zdradzająca skłonność do kłótni, podsztyłą kapryśnością. Pokazało się to w miesiącu sierpniu (1831) w Bolimowie, gdzie skutkiem zbiegu okoliczności fatalnych, dostało się mu dowództwo naczelne. Jak skoro to wysokie i odpowiedzialność ogromną za sobą pociągające stanowisko zajął, wnet działalność swoją rozpoczął od tego, że się z członkami rządu i ze sztabem własnym poróżnił. Nie wróżyło to następstw pomyślnych. Wiadomości o niezgodach pomiędzy wodzami, rozchodziły się w obozie polskim, skąd dostawały się do Warszawy i wywoływały wśród ludności zaniepokojenie. W obozie szczepiły niesubordynacye, w mieście przysposabiały zaburzenia. Wiedziano o nich i w armii rosyjskiej, stojącej nieopodal, pod Łowiczem, za Bzurą i pocierpającej na myśl, że Polakom ochota zaatakowania jej przyjść może. Po świeżo dokonanej, luboć bez żadnej ze strony przeciwnika przeszkody, przeprawie, znajdowała się ona jeszcze w stanie nieładu, niepozwalającego jej na stoczenie bitwy walnej. Moskale, celem zabezpieczenia się na wszelki

wypadek, sypali szańce polowe; Polacy, tracąc czas na niedoprowadzających do rezultatu układach pomiędzy rządem a wodzami, pozwalali im wzmacniać siły nadciągającymi dzień po dniu dywizjami piechoty i jazdy, parkami z amunicją, pociągami z żywnością dla ludu i koni, z efektami niezbędnymi dla utrzymania wojska w stanie gotowości do przyjęcia bitwy. Jak historycy wojny r. 1831 twierdzą, sztab rosyjski w razie, gdyby był do boju wyzwany, miał zamiar cofnąć się — cofnąć się poza osłony Bzury i szanów, aż za osłonę granicy pruskiej. Sztab polski nie miał czasu o zaczepianiu nieprzyjaciela pomyśleć, wódz bowiem myślał o czem innym.

Zapewniało to Moskalom spokój, nie dając spokoju Warszawie. Stolica wrzała, — wrzenie w niej co moment w potęgę wzrastało, wzrastało, — w końcu d. 15 sierpnia spowodowało wybuch, uilustrowany wieszaniem osobników... o szpiegostwo lub zdradę podejrzanych.

Kto temu winien? Pewnem jest, że do wywołania rozruchów sierpniowych przyczyniły się w części znacznej wieści z obozu pod Bolimowem: o bezczynności wojska, o szerzeniu się niesubordynacji wśród żołnierstwa i oficerów, o powodującej stan ten niezgodzie pomiędzy wodzami, w której rolę główną Dembiński odegrywał. Dembiński jednak o rzeczy tej sądził inaczej. Zdaniem jego odpowiedzialność całkowicie spada na Lelewela.

W latach 1858—59 krążyłem pomiędzy Paryżem, Brukselą, Londynem. W czasie owym, przy nastroju moralnym, powstanie w perspektywie ukazującym, w kolonii polskiej w Paryżu dużo się o powstaniu listopadowym, o przebiegu walki orężnej i o powodach upadku mówiło.

W rozmowach tych często zapewne powtarzać się musiało nazwisko wodza, co w roku 1831, zaszczytnie dokonał odwrotu z Litwy i niekoniecznie poprawnie odegrał rolę swoją na czele armii w Bo-

limowie. To ostatnie dotknęło Dembińskiego. W zbiorach dokumentów historycznych przechowuje się zapewne protest jego, w którym, „z wysokości patriotyzmu swego“, czyni Lelewela za rozruchy sierpniowe odpowiedzialnym.

W emigracji, po niegłośnym udziale w wojnie pomiędzy Turcyą a Egiptem, po stronie Mehmet-Alego, Dembiński zajmował się w sposób doświadczalny studyowaniem elektryczności, co, ile wiadomo, nie wyszło poza obręb domowy.

Że część — znaczna może nawet — odpowiedzialności za rozruchy sierpniowe w Warszawie r. 1831, na Dembińskiego spada, świadczy o tem wystąpienie jego na teatrze wojny w Węgrzech. — Rząd powitał go, ofiarowaniem mu dowództwa naczelnego. On je przyjął i plan świetny kampanii wiosennej ułożył, plan, przy którego wykonaniu pokłócił się z generałami podkomendnymi. Klótni tej następstwem było przegranie pod Kapolną bitwy, której samo stoczenie dowiodło trafności pomysłu strategicznego, stało się bowiem, łącznie z odniesieniem przez korpus Daniewicza pod Solnokiem zwycięstwem, wstępem do szeregu zwycięstw, które kraj, z wyjątkiem fortec kilku (Arad, Temeswar, Buda), z nieprzyjaciela oczyściły. Przegrana pod Kapolną nasuwa pytanie :

Kto temu winien?

Generałowie węgierscy obwiniają Dembińskiego tak jednak w odniesieniu do rzeczy rzemiosłowej — wojskowej niewyraźnie i nieracjonalnie, że za rację najważniejszą odmówienia wodzowi naczelnemu posłuszeństwa uznać należy dumę narodową, nie dozwalającą Węgrom pod cudzoziemcem służyć. Rację tę podawano dla usprawiedliwienia generałów tak wobec opinii publicznej, jakoteż wobec Dembińskiego. Nie zdaje się jednak, żeby to być miała racya istotna. Duma narodowa nie przeszkodziła generałom węgierskim ślepo słuchać rozkazów Bema, nie wyrządzała im przykrości w słuchaniu po ka-

źdej prawie bitwie „alien'ów“ żołnierstwa węgierskiego, wygłaszanych wobec generałów na cześć majora naprzód, następnie podpułkownika, pułkownika, generała Wysockiego. O! nie — nie to chyba pod Kapolną bunt generalski przeciwko Dembińskiemu spowodowało. Czy nie traktował on tych generałów ludzi młodych, smarkaczów w oczach jego, tak — nie przymierzając — jak ekonomów w majątku swoim?... Biorąc na uwagę w temperamentie jego pochopność do wybuchów kłótniowych w połączeniu z fanaberyjnością szlachecką, przypuszczenie to wielce jest prawdopodobnem.

Po awanturze kapolnieńskiej, Dembiński do dymisyi się podał; dał się jednak uprosić i pozostał w Debreczynie, naonczas stolicy węgierskiej, przy ministerstwie wojny doradcą nieurzędowym. Nie wiem jak i ile na kierunek wojny wpływał. Z rad jego jedna tylko, legionu się tycząca, do wiadomości naszej doszła.

Po sformowaniu pierwszego szwadronu ułanów, Wysocki przesłał do ministerstwa wojny żądanie zmienienia dla nich, gwoli skutecznego ich głów okrycia, krakusek na kaski. Ministerstwo o zdanie we względzie tym zapytało Dębińskiego. Dębiński kaski odradził, motywując radę swoją twardością czaszek polskich, mogących się bezpiecznie bez kasków obchodzić. I pokazało się, że rację miał. W bitwie pod Solnokiem szwadron ów szarżował w krakuskach cztery szwadrony austriackie — dwa dragonów, dwa kirasyerów, które go otoczyły i ułanów po łbach ciężkimi szabliskami waliły. Po bitwie porąbanych znalazło się trzydziestu dwóch, zarażanego ani jednego; w szpitalu zaś umarł jeden tylko i to nie zupełnie z ran, ale dla tego, że się upił.

W dalszym wojny ciągu, aż do wkroczenia Moskali, Dembiński udziału osobistego nie brał. Nazwisko jego od czasu do czasu o uszy się nam obijało. Kiedyśmy się w Miskolcu z ran wylizywali, reorganizowali i kadry nasze uzupełniali, częściej o nim

była mowa z racyi pogłosek o zawarciu przez Austryę przymierza z Rosyą, o możliwości wkroczenia wojsk rosyjskich i o radach Dembińskiego, dotyczących się uprzedzenia pomocy moskiewskiej za pomocą zajęcia Galicyi. To ostatnie ogromnie nam się podobało. Ponętnie się nam perspektywa zmierzenia się orężnie z Moskalami uśmiechała.

Myśląc dziś o tem na zimno, wyznać należy, że był to pomysł rozumny, mogący zmienić postać rzeczy przez naprawienie błędu, jakiego się Węgrzy dopuścili, idąc, po zwycięstwie pod Komornem, nie do Wiednia, dokąd drogę mieli otwartą, lecz zwracając się w tył do Budy, której zdobycie zadowalniało próżność narodową, ale znaczenia militarnego nie miało żadnego. Zajęcie przeto Galicyi tę by przedewszystkiem dało korzyść, iżby Węgrów zasililo żołnierzem najlepszym wśród tych, jakich Austrii znajdujące się pod jej berłem kraje koronne dostarczają, następnie, dzięki ufortyfikowaniu szancami połowymi punktów ważniejszych na drogach, prowadzących przez Karpaty, dałoby Moskalom twardy do zgryzienia orzech, Węgom zaś czas i możność utrudnienia im operacyj na południowym stoku Karpat tak, iżby Mikołajowi I odechciało się bawić w Jana Sobieskiego, 'ratującego monarchię Rakuską. Że jednak gadanie o przymierzu austro-rosyjskiem było początkowo domysłem, rząd przeto węgierski, w obawie wywołania wilka z lasu, nie uwzględnił rad gen. Dembińskiego. Ostrożność ta wilka w lesie nie zatrzymała. W Galicyi Moskale nas uprzedzili. Dembiński dostał upoważnienie i nominację wodza armii północnej, składającej się z dwóch korpusów, Wysockiego i Kazińczego, liczących razem karabinów tysięcy mniej więcej 15, szabel tysięcy ze trzy, artyleryi nie wiem ile, ogółem tysięcy około 20, z których u podnóża południowego Karpat, na linii bojowej zabrakło połowy, ponieważ Kazińczy z korpusem swoim w porę nie nadciągnął. W warunkach takich Dembiński nominacyi na wodza ar-

mii północnej nie przyjął. Dostała się ona Wysockiemu.

Na spotkanie Moskali wszystko, co w Miskolcu pod bronią było, na linię bojową wyruszyło, za wyjątkiem tego batalionu polskiego, w którym służyć miałem zaszczyt. Batalion nie był pełny. Oczekiwaliśmy na mających nadejść ochotników — eks-żołnierzy austriackich. Z kadrów, liczących nie więcej, jak po trzydziestu—czterdziestu ludzi w kompanii, wyszykowano kompanię jedną i ta poszła. Z tego, co pozostało (oficerowie i podoficerowie, szeregowców trochę), sformowano oddział, który wyprawiono do Pesztu tak na spotkanie skierowanych do stolicy ochotników, jakoteż dla odkonwojowania magazynów, parków i chorych. Naczelną wyprawą tej komendy dostała się choremu podpułkownikowi Czernikowi, mnie — funkcyą kwatermistrza.

W funkcyi tej, przybywszy — zdaje się — do Gyöngyös i rozpisawszy kwatery, zmęczony i zgłodniały zaszedłem dla posilenia się do oberży w rynku. Obszerną — jak zwykle na Węgrzech — izbę gościnną, zastałem bitkiem nabita przedstawicielstwem płci obojga i wieków wszystkich, od starości zgrzybiałej do młodości w pieluchach. Była tu gromadna przed Moskalami ludności zamożniejszej ucieczka. Uciekinierzy tak stoły obsiedli, że niepodobienstwem wydawało się znalezienie miejsca swobodnego. Wsrubowałem się jakoś jednak i, gdym na zamówione jadło czekał i czekał, w progu ukazał się w atyli węgierskiej i w kepi mężczyzna niemłody, nie wyższym trochę niż mierny wzrostem, ale rycerską imponującą postawą. Wszedł, zatrzymał się, wzrokiem po stołach powiódł i zoczywszy mnie, jął się w kierunku miejsca, które zajmowałem, przez tłum przeciskać. Na parę stołów odległości w słuch mój następujące, czysto po polsku wygłoszone uderzyło wołanie:

— Kolego!... a nie znajdzie się koło ciebie miejsce dla mnie?...

Na wołanie to jeden z poboczników moich, jak-
by wyrazy zrozumiał, a może wołającego postawą
uderzony, usunął się trochę. Po chwili wojskowy ów
miejsce obok mnie zajął i usiadłszy, odezwał się:

— Głodnym jak pies... Do jedzenia co tu
mają?

Nazwałem zażądaną przezemnie potrawę z tym
dodatkiem, że na nią od pół godziny czekam...

Ku niemałemu memu zdziwieniu, wnet nadbiegł
kelner i począł jego, a przytem i mnie, z pośpiechem
obsługiwać.

Zauważyłem, że się na niego uwaga obecnych
nagle zwróciła. Przy stołach szeptano, podnoszono
się i spoglądano ku niemu. Domyśliłem się, co to
za jeden; niedomyślić się nie mogłem, nie tyle ze
zwrócenia na niego uwagi ciżby, co z rozmowy, ja-
ką ze mną zawiązał:

— Kolega z legionu?...

— Tak... — odrzekłem, usprawiedliwiając obe-
ność moją nie na linii bojowej.

— Co o korpusie Wysockiego słyhać?

— Cofa się... Nocami maszeruje, dniami spo-
czywa...

— To trochę ryzykowne... — rzekł. — Noc
natura dla ludzi na spoczynek przeznaczyła... Za-
wsze ci lepiej w nocy, niż we dnie wypoczywać...
A przytem Moskale przy niewielkim z ich strony
wysiłku, w dzień niespodzianie zaatakować mogą...

— Przypuszczać należy, że się nasi pilnują —
odparłem.

— Zapewne... — i dodał: — Wysocki rozwa-
żny... wie, co robi.

Nie pamiętam, o czemeśmy więcej mówili, nie
pamiętam, cośmy jedli, to jeno przypominam sobie,
że domyśliwszy się w sąsiedzie moim Dembińskiego,
nie śmiałem go tytułować generałem, w przypuszcze-
niu, że zachowuje „incognito“. Przypuszczenie
to stąd pochodziło, że opinia publiczna za złe mu od-
mowę stanięcia na czele armii północnej brała. Nie-

bawem dowiedziałem się, że ostrożność moja racy nie miała. Razemeśmy branie posiłku skończyli, razem od stołu wstali i, gdyśmy na szersze nieco wydostali się miejsce, wnet idącego przodem Dembińskiego — i mnie z nim — otoczyły kobiety. Z tłumu wychodziły wołania:

— Generale, Moskale!... generale, nieszczęście!... generale, ratuj!...

Wyrazy ostatnie powtarzały się najczęściej. Na obliczach kobiet w większej części młodych i ładnych, malowało się przerażenie w połączeniu z wyrazem błagalnym.

— Generale, ratuj!...

Dembiński razy parę ręce podnosił, jakby dawał znak, że przemówić chce, rozglądał się, uśmiechał, przemówił wreszcie:

— Uspokójcie się, panie!... W czasach ostatnich ucywilizowali się trochę... kozacy nawet... Paniom oni nic złego nie zrobią... Bądźcie spokojne!...

— Generale, ratuj!...

— Będziem sobie z nimi radzili, jak zdołamy... Ale, panie, nie trwożcie się!...

Wykonał ruch ku wyjściu, gdy jakaś bardzo ładna kobiecina za rękę go pochwyciła i głosem na pół błagalnym, na pół rozkazującym, zawołała:

— Generale, pobij Moskali!...

— Postaram się... postaram... — odpowiedział. Ja sam bardzo tego pragnę...

Wydobyliśmy się wreszcie z pośród niewiast. Przed oberżą, opodał trochę, stał wózek węgierski, parą koni zaprzężony, a przy nim huzar, młody człowiek, blondyn dorodny.

— O... są i konie, jest i Wierzbicki... Dobry to oficer...

Wyrazy ostatnie wymówił jakby sam do siebie. Głową mi na pożegnanie kiwnął, przy pomocy oficera na wózek wsiadł, oficer się przy nim przysiadł — odjechali.

II.

Po przypadkowem z Dembińskim w miasteczku, leżącym na drodze z Miszkolca do Pesztu, zejściu się, straciłem go z oczu i z myśli na tygodni kilka. Było bo wówczas tyle do myślenia, mówienia, a i oglądania! Wojna z Austryą faktycznie była skończoną. Rozpoczynała się znowu z przeciwnikiem z którym nie było żartów. Do tej wojny nowej przysposobić się należało starannie, z całym energią pod materyalnym i moralnym względem wytężeniem. Przynosił się Węgrzy; przynosił się i my.

W Peszcie zabawiliśmy dni kilka — doczekaliśmy się części jednej ochotników, zabraliśmy ich i po część drugą poszliśmy do Keresztur, gdzie pod dowództwem generała Perczela z rekrutów formowały się wojska, mające wejść w skład armii południowej. Perczel chciał koniecznie batalion nasz, z regularnego i dobrze uzbrojonego złożony żołnierza, do swego wcielić korpusu. Nie daliśmy się. Po uciążliwym przez trzęsawiska marszu, złączyliśmy się w obozie pod Czeględem z korpusem naszym, z którym razem już, mając na karku armię austriacką, pod dowództwem wsławionego później porażką w Londynie, na podwórzu browaru Barclay and Perkins, Haynausa, pomaszzerowaliśmy do Szegiedynu. W marszu tym dowiedzieliśmy się, że nominalnie dowodzi

nami Messaroszu, przy którym funkcję szefa sztabu pełni Dembiński; rzecz jednak miała się odwrotnie: dowodził Dembiński, szefostwo sztabu znajdowało się przy Messaroszu. Byli to rówieśnicy, koledzy podobno z Teresianum, którzy się mocno ze sobą przyjaźnili. Musi to być prawda, ci dwaj bowiem do końca się nie poróżnili.

Pod Szegiedynem weszliśmy w szançe przygotowane dla nas, celem stoczenia w nich wiszącej nad nami bitwy walnej. Na radzie wojennej wypadło inaczej. Dlatego zapewne, że szanse wygranej z powodu, że w armii naszej, liczącej w szeregach głów tysięcy sześćdziesiąt, część czwartą, jeżeli nie więcej, stanowili uzbrojeni w dzidy rekruci, słabo się nam uśmiechały, że zatem w razie przegranej, spotkałaby nas ostateczna na brzegu prawym Cisy klęska, zapadło postanowienie przepłynięcia się na brzeg lewy. Przepława, rozpoczęta na dzień przed nadciągnięciem nieprzyjaciela, ciągnęła się w dniu następnym, w którym nad wieczorem jeden z dwóch na tratwach zbudowanych mostów, został zerwany, na drugim zaś, gdy batalion nasz, będący ostatnim w aryergardzie, przezeń przechodził, pontonierzy deski pomostowe z pod nóg nam zrywali i do wody rzucali. Na brzegu lewym ukazał się nam oddział jeźdźców. Był to sztab, na którego czele, w całym wodza naczelnego majestacie, w oczy rzucił się mi Dembiński. Dowodzący batalionem naszym major Englert, oficer z r. 1831, do niego podjechał, salutował mu, rozkaz od niego otrzymał i, wskutek rozkazu tego mnie z plutonem na brzegu pozostać kazał. Po rozstawieniu, stosownie do wytkniętego mu przeznaczenia, plutonu mego, na miejscu sztabu ujrzałem pustkę — w oczach mi jeno pozostawała postać wodza, świetnie na dzielnym koniu, na czele połyskującego złotem i barwami hufca jazdy, wyglądająca.

Postać ta, w ciągu trzech dni następnych, w odmiennem jednak wyglądaniu, co godzin kilka-

naście, przed oczy mi się nasuwała. Oglądałem ją na kopcu wysokim, wznoszącym się na wale, usypanym w niewielkiem oddaleniu równolegle od brzegów Cisy, celem zabezpieczenia kraju od wiosennych rzeki tej wylewów. Za wałem biwakowały w obozach wojska nasze, wysyłając kolejno kompanie wartownicze pod wały, na których ustawione w odstępach odpowiednich baterie węgierskie, odpowiadały bateriom austriackim, zasypującym nas kulami i granatami. Strzelanina ta zawiązała się, jak skoro noc w dniu przeprawy naszej zapadła.

W momencie tym odprowadzałem — stosownie do rozkazu — pluton mój z nad brzegu do obozu. Przechodziliśmy pod ruchomem wiązaniowem sklepieniem gwizdzących, huczących, warczących i krzyżujących się nad głowami naszemi, pełnych i wydrążonych pocisków, przy iluminacyi, sprawianej przez połyski wystrzałów działowych, odbijających się błyskawicowo w nurtach rzeki i oświetlających fantastycznie krenelowane mury, blanki i baszty, wieże i kopuły kościołów, prywatne i publiczne budowle grodu starożytnego.

Na łądzie i na morzu widywałem rozmaite piękna groźne; żadne z tem, które nam wówczas w marszu towarzyszyło, w porównanie iść nie może. Składały się na nie obrazy cudne i muzyka grzmiąca. Ponieważ nam żadne nie groziło niebezpieczeństwo, szliśmy powoli, zatrzymując się i oglądając.

Strzelanie ustało koło dziesiątej zapewne wieczorem. Wznowiło się nazajutrz. Gdy na nas kolej iść pod wał nadeszła, Dembiński ukazał się nam na kopcu. Stał sam z lunetą w rękę, którą od czasu do czasu do oka podnosił i powodził nią powoli po bliższych i dalszych widokach na brzegu przeciwnym.

Artylerya austriacka szalała — takim nas pocisków gradem zasypywała, chcąc nam zapewne w pobliżu brzegu lewego Cisy, tej najbardziej węgierskiej rzeki, stanowisko obrzydzić. Szczególnie — jak się zdaje — chodziło jej o Dembińskiego, do-

patrzonego snadź przez szkła, na niego bowiem specjalnie nastawiono baterię całą, której kule raz po raz wrywały się w kopiec z przodu i ryły go ze strony jednej i drugiej, niżej i wyżej, — niekiedy pomiędzy nas wpadały. Dembińskiego to nie obchodziło ani trochę. Obserwacyi lunetą czynić nie przestawał, nadbiegającym zaś konno adjutantom na kopiec wjeżdżać nie pozwalał; schodził do nich kroków kilka, raportów wysłuchiwał, rozkazy dawał i na stanowisko swoje powracał. Że w tem trochę junakieryi było, jest to rzecz przypuszczalna, należąca do rodzaju dziwactw, co się największych czepiają ludzi.

Na rachunek jednak Dembińskiego przytoczę nie jedno dziwactwo przezemnie osobiście sprawdzone. Kompania moja na drugą noc wartę z kolei pod wałem trzymała. Warta w ten dokonywała się sposób, że trzech plutonów żołnierze spali z karabinami w rękach, jeden przed frontem stał pod bronią pod dozorem oficera. Około północy na mnie kolej dozoru wypadła. Chodziłem przed szeregiem, o karabiny opartych drzemiących żołnierzy, przedłużając przechadzkę, coraz to dalej i dalej, w stronę lewą i prawą. Na prawo ciągnął się prostopadle do wału płytki rów, poprzedzający okop, towarzyszący wybrzeżu wpadającej do Cisy naprzeciwko Szegiedynu, Maroczy. Raz doszedłem do rowu, w którym zaintrygował mnie przedmiot, mający pozór okrytych czemś ciemnem ciał, w rowie leżących. Przypatrzyłem się bliżej, rozpoznałem płaszcze żołnierskie i, powziąwszy podejrzenie, że dla uniknienia budzenia miejscy to do przespania się należycie wybrali sobie dwaj z kompanii naszej żołnierze, jąłem się budzić ich najprzód wołaniem, potem trącaniem ręką, w końcu szturchaniem nogą:

— Ktoś ty?... wstawaj!..

Na szturchnięcie mocniejsze z pod płaszcza wysunęły się naraz dwie głowy, obie siwe, i o uszy moje obilo się po polsku zapytanie:

— Co tam?

Poznałem Dębińskiego.

— Przepraszam, generale!... — wykrzykną-
łem.

— No... nic... Idź już, idź!

Ten, co obok niego spoczywał, był to Messarosz.

Takie głównej kwatery na przespanie się nocy owej ulokowanie, nie było chyba dziwactwem. Nocy tej nic nadzwyczajnego stać się nie miało. Dalsza wojenna armii pod dowództwem Messarosza działalność, zależała od ruchów armii pod dowództwem Görgeja, operującej przeciwko Moskalom i ściągającej się z komitatów zachodnio-północnych na lewy brzeg Cisy. Armię pod Messaroszem od armii pod Görgejem oddzielała rzeka Marosz, płynąca wśród rozległych od Aradu do ujścia swego trzęsawisk, wśród których jedyny możliwego przez rzekę przejścia punkt, znajdował się w miasteczku Mako. Do zajęcia punktu tego militarnie i oszańcowania go odpowiednio, ministerstwo, skutkiem rady wojennej w Szegiedynie, wezwało Görgeja. Na tem opierały się dalsze armii południowej czynności wojennych plany. Dla nich, w obozie naprzeciw Szegiedynu, oczekiwano wiadomości z Mako.

Czekano i doczekano się zawiadomienia, że Mako zajęli Moskale. Niespodzianka ta armię postawiła w położeniu bardzo niebezpiecznym, z którego wyjście wymagało cofania się śpiesznego.

Dembiński wyprowadził nas z tego położenia i poprowadził armię traktem ku Temeszwarowi, ażeby, nie dochodząc do tej, w rękach austriackich znajdującej się fortecy, zwrócić się ku północy i pójść do Aradu, celem połączenia się z armią pod dowództwem Görgeja. Połączenie to wytworzyłoby siłę blisko dwakroćstotysięczną wobec Paszkiewicza na północy i Heynaua na południu, słabszych od złączonych wojsk węgierskich każdy z osobna, a rozdzielonych trzęsawiskami Maroszy. W razie takim

pobicie jednego a następnie drugiego, nie było rzeczą niemożliwą.

Dla uniemożliwienia tego, zaszczyt autorowi czyniącego pomysł, pomaszerowaliśmy z pod Sze-giedyna do Aradu drogą obchodnią, ażeby się nie natknąć na boczny, przeprowionej w Mako dywizji moskiewskiej atak. Wyminęliśmy Moskali, którzy się z armią austriacką złączyli i wspólnie z nią nam po piętach deptali.

W ciągu marszu tego, razy parę widzieć mi się zdarzyło Dembińskiego. Raz kompanię piątą z naszego, w aryergardzie ciągle maszerującego batalionu na drodze zatrzymał, zatrzymał oraz dwa działa, z dwóch stron drogi ustawione, odprzodkować i nabić kazał i sam naprzód w kierunku nadciągającego nieprzyjaciela dosyć daleko wyjechał.

Nie straciliśmy go jednak z oczu. Po niejakiś czasie wrócić, działa zaprzodkować i nam za armią maszerować nakazał. W innym znów miejscu, znów kompanię piątą (strzelecką była — dodać winieniem) na drodze, ale bez dział, zatrzymał i obok nas, nie mówiąc, na koniu stał. Staliśmy tak z pół godziny. Przed nami widniała droga, na lewo zieleńiały ogromne wysokiej kukurudzy, lasu pozór mające łany. Nagle w dali ukazała się w hełmach błyszczących jazda austriacka i słyszeć się dała komenda:

— Na lewo w tył zwrot!... marsz!...

Zwróciliśmy się i poszli.

Znów komenda:

— Stój!... Na lewo w tył, zwrot!

Po zwróceniu się, ujrzeliśmy przed sobą idący ku nam klusem szwadron kirysyerów czy dragonów, nie pamiętam. Czekałem na rozkaz przysposobienia karabinów do strzelania, gdy nagle z kukurudzy wypchnęła się ława dymu i huknęła salwa karabinowa. Szwadrony, po krótkim zamieszaniu, zostawiając ranne i zabite konie, rannych i zabitych ludzi, poniosły się w tył. Z kukurudzy wysunął się w ogromnych bermycach i w mundurach austriackich

batalion grenadyerów włoskich, złożony z ludzi przepięknych, pod względem wzrostu i postawy dobrych. Batalion poważnie nas minawszy, pomaszerował dalej.

Dembiński, po wystrzale Włochów, na widok skutku przez wystrzał ten w hufcu jazdy austriackiej sprawionego, rzekłszy: „Dobrze im tak!... Oberwali... Mają za swoje“... — konia zwrócił.

Nam znów słyszeć się dało:

— Na lewo w tył... zwrot!... — z dodatkiem: krok podwójny... maaarsz... marsz!...

Nie spotkałem i nie widziałem już więcej na Węgrzech Dembińskiego. W parę dni po urządzeniu przezeń na podjazd austriacki zasadzki, imię jego zagłuszyły okrzyki wydawane przez armię w marszu na cześć Bema. Z hufca do hufca przenosiły się gromkie „elien'y“ węgierskie, „e viva“ włoskie, „es lebe“ niemieckie, „niech żyje“ polskie, budząc uradowanie i zapal.

Gdyśmy dochodzili do Temeswaru, nadjechał Bem z rozkazem rządowym objęcia nad armią południową dowództwa. Po otrzymaniu zawiadomienia tego, armia niezwłocznie do boju się uszykowała — do boju, rozpoczętego z pewnością odniesienia zwycięstwa, zakończonego przegraną zupełną. Zostaliśmy rozbici doszczętnie, nie z winy atoli — dodać pośpieszam — Dębińskiego, który stoczenia nieszczęsnej tej bitwy odradzał, niemożność wyjścia z niej nie to z tryumfem, ale ręką obronną, jak na dłoni wykazywał, wreszcie usunął się od niej, powiedziałszy Bemowi:

— Chcesz zrobić głupstwo, rób je sam!

Później Dembiński ukazał mi się dwa razy jeszcze: raz na koniu w postaci modelu dla rzeźbiarza lub malarza na hetmana, gdy nas z Widdynia Turcy pod wartą wojskową za miasto wyprowadzili w zamiarze odeskortowania rozbitków z wojny węgierskiej do Szumli, drugi raz na pokładzie tureckiej fregaty parowej, na której Dembiński i kilku Polaków

obywateli francuskich, odjechali z Warny do Konstantynopola i z Konstantynopola do Francji, my zaś, przez wszystkie łańd stałego państwa za zapowietrzonych uważani, na Malte do Anglii. Gdy ze statku zeszedł do kaiku tureckiego, straciłem go z oczu na zawsze.

Dziś, myśląc o nim, postać jego nietylko fizyczna ale i moralna we wspomnieniach i w myśli mi odżywa. Ten szlachcic popędliwy, kłótnik, chimeryk, bez wartości nie był. Posiadał rozum i uczucie. Rozum przejawiał się specjalnie w zdolnościach strategicznych, uczucie — w ukochaniu ojczyzny, ale w ukochaniu specjalnem, szlacheckiem. Kochał Polskę nie dla osobistych widoków, czy korzyści, ale w imię obowiązku szlacheckiego, nakazującego Polsce służyć i wszczepiającego to przekonanie, że zbawić ją, uratować, nie kto inny, jeno szlachcic powinien i może. Tem się zarozumiałość jego wyrażała. Wierzył w rodzaj pomazania szlachty na przewodniczenie narodowi i stąd zapewne poszła niechęć jego do Prądzyńskiego, nie szlachcica, przystawionego przy nim przez rząd w Bolimowie, w sierpniu, r. 1831, do wskazywania mu dróg.

— Czy szlachcicowi potrzebne są wskazówki jakie?...

Tkwiła w tem obraza stanu szlacheckiego.

Nie on jeden tego był przekonania. Odnosi się ono do pierwotnego w Polsce ustroju społecznego, ustanawiającego stan rycerski, przeznaczony wyłącznie do obrony kraju. Obrona Polskę stworzyła i stąd stanu tego znaczenie do ogromnych doszło rozmiarów. Znaczenia tego doniosłość pokolenia przekazywały pokoleniom. Stan z upływem czasu, dzięki zmianie stosunków, potrzeb i wyobrażeń, na wartości stracił, ale poczucie nabytych przed wiekami praw pozostawało, wytwarzając Dembińskich, wierzących w specjalne szlachty powołanie.

Tacy Dembińscy, takich Lelewelów znosić nie mogą, nie biorąc na uwagę tego, że co w czasie

swoim potrzebnem i pożytecznem było, to po wie-
ków upływie zbędnem a nierzadko szkodliwem się
staje. Siła rzeczy wykazuje, w czem szkodliwość
owa tkwi i usuwa ją, usuwając faktycznie wyją-
czność stanową. Dziś Dębińscy są jeszcze możliwy-
mi, ale znaczenie ich upadło — nawet się już na
„Hrabiego Henryka“ nie zdobędą.

JÓZEF BEM.

Rodzina Bemów pochodzi z Prus. Bemowie pisali się Behmami i Böhmmami, są szlachtą polską herbową: pieczętują się herbem własnym „Bem” — tarcza z góry na dół na dwoje rozdzielona, w prawem białem polu gryf wspięty w lewo, w lewem czerwonym baran wspięty, w prawo zwrócony, nad tarczą korona, na której gryf i baran, wspięte tak samo, jak na tarczy, patrzą na siebie. Historii herbu tego herbarze nie podają. U Niesieckiego (wyd. d. N. Bobrowicza) czytamy, że „W wielkim kościele kwidzyńskim, widać chorągiew z tym herbem zawieszoną, a z niej napis „Petrus Behm Regni Poloniae civis”. Kuropatnicki w §. V. w ekstrakcie „legitimatorum Galiciae et Lodomeriae inter equites sine voce”, umieszcza Wincentego Behma 17 września 1782 r. W przypisku, odnoszącym się do daty wydania herbarza Niesieckiego 1839 w Lipsku, wymienionym jest w Krakowskim, gdzie żył w czasach ostatnich, Jędrzej Bem „herbu Bem (podobno sędzia), ten miał żonę Agnieszkę Gołuchowską, po której śmierci pojął Maryannę Ostafińską, z której w r. 1795 miał syna Józefa dotąd żyjącego, ten w stanie wojskowym, jako generał artylerji, dzielnie się odznaczył”. Inne źródło, (Encyklopedia powszechna S. Orgelbranda 1860.) z którego wiadomości o pochodzeniu rodziny Bemów czerpałem zaznacza: jednego Bema

Balcera, pisarza miejskiego krakowskiego w w. XV. drugiego Bema Michała, rajcę gdańskiego w w. XVI. i trzeciego Bema Józefa, urodzonego r. 1790 w Tarnowie z ojca, który w tej stolicy Rusi (?) był profesorem matematyki i dał mu staranne wychowanie.

Data przyścia na świat znakomitego generała naszego pewniejszą się u Orgelbranda, aniżeli w lipskim do herbarza Niesieckiego dopisku, wydaje. Józef Bem, w r. 1812, t. j. w roku 22 życia swego, był w artylerji podporucznikiem. Podporucznik — w artylerji zwłaszcza, — dwudziestodwuletni, możliwszym jest, aniżeli siedemnastoletni — co się Bema tyczy, możliwszy tembardziej, że gdyby się był w r. 1795 urodził, byłby się w czternastym życia swego roku do sformowanej w r. 1809 baterji Włodzimierza Potockiego zaciągnął.

Nasuwa się tu konieczność wtrącenia nawiasowo słówka pod adresem agitatorów rusińskich, nie badających — jak się widzi — świadectw, potwierdzających i rozszerzających ich historyczno-etnograficzne pretensye. Obok niewątpliwie prawdziwej daty urodzenia Bema, nie wolno chyba w wątpliwość podawać, nazwania Tarnowa „stolicą Rusi“. Cóż to znaczy?... Nie świadczyż to, że zachodnią Rusi granicą jest nie San, ale Dunajec? Nie świadczyż to, że hakatyzm polski działał na długo przed wystąpieniem Chmielnickiego?...

Na pewne ludność, zamieszkująca połąć kraju pomiędzy Sanem a Dunajcem, są to Rusini spolonizowani, których odpolonizowania rzecznicy Rusi tak ukraińskiej, jak wszechrosyjskiej domagać powinni. Nie można rzeczy takich Polakom płazem puszczać, nie można im na takie narodu ruskiego wyzyskanie pozwalać, ażeby w stolicy Rusi, rodzili się i wychowywali znakomici generałowie polscy.

Zamykam nawias. Bem przeto, wedle brzmienia nazwiska, o niemieckie posądzony pochodzenie, był, uznawał się i czuł Polakiem. Do artylerji, do baterji Włodzimierza Potockiego zaciągnął się przeciwko

Austrii, której był poddanym i walczył przeciwko niej i przeciwko zaborcom Polski póty, póki mu sił i życia starczyło. Po upadku Napoleona I. i przero-bieniu Księstwa Warszawskiego, nazwane kongreso-wem, Królestwo Polskie, złączone z Rosją w tym celu, ażeby je następnie do Rosyi wcielić, pozostał w armii polskiej, w stopniu kapitana artyleryi.

Był czas jakiś adjutantem generała Bontemps, był profesorem w szkole artyleryi.

W wojsku zostawał do r. 1827, w którym zmuszonym został dymisyę wziąć i do Galicji się z powodu pojedynku, zakończonego śmiercią prze-ciwnika, wynieść.

W trzy lata później znów się w szeregach armii polskiej, w artyleryi, znalazł.

W wojnie polskiej r. 1831 odznaczył się wpro-wadzeniem nowego na polu bitwy używania artyle-ryi. Uruchomił tę broń, uczynił ją bardziej giętką, sprężystą, zuchwalszą. Pod Iganiami do zwycięstwa się przyczynił; pod Ostrołęką, wystawioną na nie-ochybną zgubę armię uratował. Ostrołęka imię jego głóśnem w Europie uczyniła.

W pierwszym jednak dniu (6 września) szturmie do Warszawy, zachowywanie się Bema, któremu — już natenczas generałowi — powierzonom było czu-wanie nad odpowiednią szanćów obroną, grzeszyło niepoprawnością.

Opuszczał na wieży kościoła luterskiego stano-wisko obserwacyjne i dlatego na zagrożone ważniej-sze punkty na linii obronnej posiłki z rezerw arty-leryi i piechoty w porę nie przybywały. Z jego wi-ny upadła broniona przez Sowińskiego Wola, będąca kluczem, otwierającym dla Moskali Warszawę. Wy-kazywało to, że uzdolnienia jego nie były wszech-stronne, że przeważała w nich zaczepność — że nie były zaczepno-odpornemi, potrzebnemi w wodzu, po-wołanym do prowadzenia wojny samoistnie. Bemowi, po przeprawieniu się przez Wisłę pod Toruniem, przy pomocy Prusaków a bez przeszkody ze strony

polskiej, armii moskiewskiej, dwukrotnie przez rząd ofiarowanem było dowództwo naczelne — odmówił... i dobrze zrobił. Dobrze dla siebie, przyjęcie bowiem dowództwa w warunkach, jakie w sierpniu i wrześniu otoczyły sprawę polską, byłyby go pozbawiły sławy, uzyskanej pod Iganiami i Ostrołęką.

Na emigracyi Bem rozwinął agitacyjną działalność ogromną, działalność, mającą na celu utrzymanie wychodźstwa polskiego w korbach wojskowych. Powodował się w tem — jak się zdaje — przykładem Henryka Dąbrowskiego, twórcy Legionów polskich we Włoszech. I jemu o legiony chodziło — o legiony bądź co bądź. W tem był błąd. Bem nie brał na uwagę odmienności warunków politycznych pomiędzy latami 1797 a 1831. W ostatnich, wieku XVIII, latach „poselstwo Filipa“ nie liżało jak w roku 1830 stóp cara moskiewskiego. Francya na kontynencie europejskim toczyła z zaborcami Polski to z jednym, to z drugim, to z dwoma, to znów ze wszystkimi trzema razem, wojnę nieustającą prawie. Legiony przeto miały rację bytu dotykającą niemal, a na czasie. Racya bytu istnieć nie przestała i za cesarstwa, znajdując potwierdzenie i usprawiedliwienie w wojnach z Polską, na gruncie polskim w latach 1806—7, 1809 i 1812. Wznowila się w 1848 do 1849 w Węgrzech. Mogła jeszcze być miejsce znaleźć w czasie wojny wschodniej, krymską zwanej. W roku atoli 1831 i w następnych przedstawiały się, dzięki działalności towarzystw tajemnych, wybuchy rewolucyjne, w których udział regularnych wojskowych hufców polskich przydatnym być nie mógł.

W wyprawie Zaliwskiego na nic by się nie przydały legiony, których i w r. 1846 wprowadzanie do Polski ukradkiem niemożliwym by było. Zawziętą przeto agitację Bema usprawiedliwiały po części na wojnę europejską widoki; większe zaś dla niej usprawiedliwienie tkwiło w potrzebie sfer emigracyjnych dyplomatycznych ochętniania gminu emigracyjnego,

w łonie którego zakwitły idee sprawiedliwości społecznej, znane w Polsce od dawna (Kazimierz Wielki, Frycz Modrzewski, śluby Jana Kazimierza), lecz tłumione i gwałcone przez wadliwy Rzeczypospolitej ustroj wewnętrzny. Tego właśnie ustroju wyrazem były sfery dyplomatyczne. Zawadzał im mocno coraz to silniej rozwijający się ferment demokratyczny, który słusznie z ich punktu widzenia ująć w karby subordynacyi wojskowej pragnęły. W sfer tych przeto interesie i w ich imieniu agitował Bem, werbując ochotników do legionu w Portugalii i popierając myśl legionów zagranicznych w Algierze. Zakłady emigracyjne jeden po drugim protestowały przeciwko tej agitacyi; ks. Czartoryski deklaracją z d. 21 lipca r. 1833 oświadczył się za użytecznością legii portugalskiej. Deklaracya Czartoryskiego nie poprawiła sprawy legionu, która takie wywołała oburzenie, że spowodowała zamach na życie Bema. Młody jeden człowiek, Platon Pasierbski, strzelił z bliska do niego i byłby go zabił, gdyby do lufy pistoletu włożył był nabój silniejszy. Kula przebiła surdut, nie przebiła żebra. Mimo to Bem dalej z ambasadorem portugalskim prowadził układy, które ostatecznie nie doprowadziły do niczego.

Działalność w tym kierunku sprzęgła go z tą mniejszością, co się Hotelu Lambert trzymała. Że zaś ta mniejszość nie sama przez się nie działała, ale przez tę mniejszą mniejszość, która się po części z „bożej łaski“ wytworzyła, owej przeto mniejszości większej zadanie ograniczało się na wyczekiwaniu, aż „godzina wybije“. Dla Hotelu i dla adherentów jego rzeczą obojętną był zegar, na którym wybić ma oczekiwaną „godzina“. Nie oni go dozоровali, nie oni się o rodzaj i gatunek sprężyn, kółek, cylindrów, wskazówek troszczyli, nie oni go nakręcali. Oni.. oczekiwali, umilając sobie oczekiwanie karceniem demokratycznej na emigracyi większości za to, że się „niepowołana“ koło zegaru krzątała.

Przypuszczać można, iżby się z większością tą chętnie krzątał chętnie Bem, gdyby się w oczach jej wyglądającą na kondotyeryzm agitację w sprawie legionów na rzecz donny Maryi nie był skompromitował. Kompromitacja ta popchnęła go w objęcia Hotelu, któremu się nie posiadając uzdolnień ani publicystycznych ani dyplomatycznych, do niczego nie nadawał. Damy hotelowe trudniące się dobroczynnością i edukacją, próbowały w tym użytkować go kierunku. Proba ta nie wiodła się. Bem pozostawał na bruku, utrzymując się ze szczupłej, wypłacanej przez rząd francuski emigrantom polskim pensyi — zadłużał się — zapewne nie wielkie niosły mu dochody zatrudnienia przy zakładzie sztucznego wylęgania kurcząt.

Jako dodatni w moralnej Bema istocie rys do zaznaczenia jest to, coby dzisiejsi ugodowego autoramentu patryoci, szowinizmem nazwali. Generał na polu bitew zostawiony, specjalista w broni wielkiem w sztuce wojennej cieszącej się poważaniem, w każdej armii, nie wyjmując rosyjskiej, a tem mniej pruskiej lub austriackiej, znalazłby pomieszczenie dla siebie. Ani myślał o tem, Polakiem się czuł i Polsce tylko służyć pragnął, hodując kurczęta w oczekiwaniu na sposobność walczenia o nią.

Sposobność nastęczyła się w r. 1848. Rewolucye tym, co oręż w r. 1831 zawiesili, wstęp do dwóch otworzyły zaborów: do pruskiego i do austriackiego. Do Prus nie pobięł dla stanowiska, jakie tam zajęła demokracja z Mierosławskim na czele. Luka się otworzyła w Austrii, w stolicy państwa, nie omieszkując więc, wszedł w nią i jak skoro Windischgrätz na czele hufców orężnych pod murami Wiedobony się pojawił, w obronie jej udział wziął.

Obrona Wiednia nie lepiej się mu od obrony Warszawy powiodła — gorzej nawet, dla uniknięcia bowiem losów Bluma i Jełowickiego, musiał ucieczką się ratować. Szczęśliwie dostał się do Pesztu. W Peszcie rząd od razu ofiarował mu dowódz-

two naczelne — dowództwo, które byłby przyjął, gdyby nie legiony.

Legiony we Francyi od większości emigracyjnej go odsunęły; legiony w Węgrzech dowództwo naczelne mu wydarły.

Na legionach, w odniesieniu do osoby Bema, ciążyła fatalność jakaś.

W domaganiu się ich dla Portugalii ta — przez wielu Polaków i przez Francuzów (Lafayette) uznawana — była racya niby, że legiony owe posłużyłyby jako kadry dla armii polskiej przy wznowieniu się o Polskę wojny. Ta racya wymagałaby niemożliwego ze strony Portugalii zobowiązania się trzymania pod bronią hufców polskich w nieskończoność. Na Węgrzech hufce polskie nadawały się niezwłocznie do walki przeciwko jednemu z zaborców, w warunkach, w jakich się we Włoszech formowały legiony, w których do zapełnienia szeregów służyli zbiegowie z szeregów przeciwnika. Sprzeciwianie się przeto Bema w Peszcie formowaniu onych, pochodzić musiało z powodów nie militarycznych. Tak też było w rzeczy samej.

Powód istotny tyczył się demokratyzmu ściągających się z Galicyi ochotników, od których, jako od ochotników, zależał wybór wodza. Bem pewnym był, że nie on, ale Wysocki, wybranym zostanie. Rządowi przeto węgierskiemu, będącemu w miesiącu listopadzie r. 1848 rządem legalnym, działającym w imieniu króla, a układającym się o legiony z Radami narodowymi lwowską i krakowską, przedstawiał niestosowność umawiania się ciała legalnego z ciałami rewolucyjnymi, odmawiał charakteru urzędowego wysłańcowi tych Rad, Józefowi Dzierzkowskiemu i o Wysockim, jak o podporuczniku z lekceważeniem się odzywał.

Jedyny militaryczny powód, na uwzględnienie niejakie zasługujący, polegał na radzie rozmieszczenia ochotników polskich po batalionach, szwadronach i bateriach węgierskich, celem zmilitaryzowania ich

przez Polaków, żołnierzy z urodzenia. Oburzyło to pragnących wojska polskiego, ochotników i jeden z nich, chłopak młodziutki, Ksawery Kołodziejski, nie pytając nikogo, bez opowiadania się komubądź, korzystając z tego, że miał w posiadaniu swem pistolety, poranku pewnego u Bema się zameldował i strzelił do niego. Losy znów nad nim czuwały. Znów za słaba w naboju ilość prochu, udaremniła zamach. Kula się od kości policzkowej odbiła. Kołodziejski aresztowany, pod sąd oddany został. Bem skompromitowany, odmówił przyjęcia funkcji wodza naczelnego, prosząc o powierzenie mu najtrudniejszego w okolicznościach istniejących zadania. Rząd zamianował go wodzem naczelnym w Siedmiogrodzie.

Zadanie uspokojenia zaburzeń, oraz otwartych rumuńskich i saskich buntów, w uważanym już za odpadły od Węgier Siedmiogrodzie, odpowiadało w zupełności militarnym i organizacyjnym Bema uzdolnieniom. Buntury uspokajał wynalezionym przez siebie na przemawianie do zbuntowanych tonem. Ułatwiał mu to wydzieranie panowania nad krainą władzom austriackim, panującym ręką orężną. Przeciwno nim potrzebował wojska, istniejącego w szczególnej pod względem liczby i słabo do pełnienia służby wojennej wyrobionej straży pogranicznej, noszącej nazwę Szeklerów. Wojsko to zgromadzić, zmienić je w gibkie a sprężyste narzędzie bojowe, uczynić z niego pestkę siły orężnej, było — rzecz można — dziełem momentu jednego. Siłę zbrojną organizował i, organizując, na prawo, na lewo, przed sobą, za sobą pobijał usiłujące go bądź otoczyć, bądź naganiać, bądź na przelaj mu zabiegać, oddziały wojsk austriackich. Na nawykłe do ruchów regulaminowych hufce, zaczepność ta gorączkowa, spadła niespodzianie, rozstrajała je, szarpała i do traktowania przeciwnika na seryo zmusiła. Dowództwo naczelnie powierzonem zostało generałowi Puchnerowi, mającemu operować od południa; genera-

łowi Urbanowi czy Hurbanowi, nakazano od północy posuwać się ostrożnie ku południowi, celem wzięcia w kleszcze i zduszenia awanturnika. O wprowadzeniu planu tego w życie, ze strony północnej istnieje opowiadanie anegdotyczne aptekarza z miasta Bystrzycy, gdzie korpus austriacki miał dniówkę.

Ponieważ w Bystrzycy najporządniejszym w roku 1849 domem była apteka, w aptecę przeto zakwaterowano generała Hurbana. Generałowi przez cały pobytu w tem mieście czas, służył humor jak najlepszy. Przy wieczery u aptekarstwa, w wigilię wymarszu drogą do Klauzenburga, podżartowywał z Bema, znajdującego się już — jak twierdził — w matni.

— Nie wymknie się ptaszek... — zapewniał. Puchner go ze swojej dojeżdża strony; ja się do niego zabiorę ze swojej...

Wykładał rzecz tak jasno, że aptekarstwo sprzyjające sprawie węgierskiej, szczerze się z góry nad oczekującym Bema losem litowali.

Nazajutrz rano wojsko otuchy pełne, generał, wesoło w dalszy ruszyli pochód na zginiatanie Bema.

Wyszli rano; wrócili wieczorem, ale w rozsypce, bez dział, bez parku amunicyjnego. Generał kwaterą w aptecę znów stanął. Tym razem jednak na witające go na progu gospodarstwo ani spojrzął; posiłku przyjąć nie chciał; w przewidzianej dla niego izbie zamknął się i, odzieży z siebie nie zdejmując, spać się nie kładąc, noc całą przechodził, rzucając od czasu do czasu z ust klątwę.

— B....a Ostrołęka!...

Ostrołękę po węgiersku klął noc całą. Słyszeli to aptekarz, aptekarzowa, dzieci ich i służba, nie rozumiejąc o co generałowi chodzi. W dniu następnym, gdy miejsce wojsk austriackich zajęły węgierskie, a zamiast generała Urbana, w aptecę zakwaterował Bem, zagadka rozwiązana została.

Bem odnosił zwycięstwa cudowne. Do takich należy pobicie w jednym dniu rano dywizyi moskiewskiej pod Hermanstadem i wieczorem wojsk austriackich pod dowództwem Puchnera na drodze z Hermanstadu do Devy, gdy tak dywizya moskiewska jak wojsko austriackie, każde z osobna o dwa razy od korpusu, który Bem prowadził, było silniejsze. Po tem ostatniem zwycięstwie Moskale i Puchner odgradzili się od Bema granicą rumuńską. Powiadają, że gdy przed sobą szyki moskiewskie ujrzał, oczy i dłonie do góry wznosił i podziękował Bogu, że mu pozwolił z Moskalami się zmierzyć. Nie szwinnizm-że to!..

Pod Hermanstadem dorywczo się mu Moskale pod gromiącą nasunęli prawicę; drugi raz wyparł ich do Mołdawii i na Mołdawskim pobił gruncie.

Lecz — i na niego kreska przysła. Po zawarciu austriacko-moskiewskiego przymierza, wkroczyli Moskale do Węgier z Galicyi i na Siedmiogród, pod dowództwem Lidarsa z Rumunii. Siedmiogród załazy wojska rosyjskie. Puchner wypoczęty z Wołoszczyzny powrócił. Za wielka na szczupłe siły zbrojne węgierskie, zwała się przemoc w Siedmiogrodzie. Podobnej przemocy z trudnością opierały się armie węgierskie, cofające się na lewy brzeg Cisy, jedna na północ, druga na południe w odniesieniu do dzielącego je koryta Maroszy. Obie podążały do Aradu dla złączenia się, w którem widzieć się dawała możliwość obrony, pod warunkiem postawienia na czele siły zbrojnej męża, posiadającego całkowite wojska i narodu zaufanie. Czy wojna austriacko-węgierska, czy trwająca całych miesięcy dziewięć walka orężna, postawiła w Węgrzech na widowni męża takiego?

Postawiła dwóch: Görgeja i Bema. Obydwa do momentu pojawienia się na teatrze wojny korpusów rosyjskich, szli w górę, rośli w sławę. Obydwóch pomoc moskiewska z widowni ich popisów spędziła:

Görgeja z komitatów północno-zachodnich, Bema z Siedmiogrodu.

Bema, który w miesiącu sierpniu, w stanie rozporządzalności się znalazł, rząd pospiesznie wodzem armii południowej na miejscu Messarosza zamianował — a zamianował go w tem przypuszczeniu, że Dembiński przy nim szefostwo sztabu zachowa. I byłoby to przypuszczenie nie zawiodło, gdyby nie ta okoliczność, że cały armii południowej, podążającej do Aradu, park amunicyjny, wysłany przodem, znajdował się w momencie objęcia nad armią przez Bema dowództwa, w trzymilowem od niej odaleniu. Dembiński mu to, jako najważniejszą do stoczenia bitwy przeszkodę, przedstawił. Bem się przekonać nie dał. Liczył zapewne na to, że szykowanie się do bitwy nieprzyjaciela zajmie godzin parę, że amunicya działowa w jaszczkach i karabinowa w ładownicach, wystarczą na doczekanie się powrotu parków, po które niezwłocznie gońce wysłani zostali, że zresztą zapal, z jakim go armia przyjęła, zastąpi w potrzebie chwilowy amunicyi brak.

W rachubie tej z punktu każdego była zawadność. Nieprzyjaciel krok w krok za armią węgierską idący, do uszykowania się do boju tyle co ona potrzebował czasu; powrotu parków, wiozących ciężary i posuwających się powoli, rychlej niż wieczorem oczekiwać nie było można; zapal? — na wystawiony na próby i pozostawiony samemu sobie zapal w boju bezwzględnie liczyć nie można. To też, póki artylerya węgierska strzelała, póty bitwa szła dobrze, markując nawet po stronie węgierskiej na lewem skrzydle przewagę. Około trzeciej-czwartej popołudniu, baterye jedne po drugiej strzelać przestawały, około piątej artylerya węgierska na linii całej zamilkła; około szóstej Bem raniony został; prawe skrzydło zaatakowała świeżo przybyła pod Paniutinem dywizya moskiewska; armia pozostała bez amunicyi i bez wodza. Nastąpiła klęska — klęska, która w danych warunkach nieuniknioną była.

Za nią całkowicie na Bema odpowiedzialność spada.

Do czego mu ta bitwa potrzebna była?

Potrzebnem mu było zwycięstwo. Dla zwycięstwa zaryzykował bitwę, licząc chyba na gwiazdę swoją — na to, że go gwiazda ta do Aradu ze świeżym u czoła doprowadzi laurem — z laurem, z którego na Węgry całe, na Europę całą, strzeli do opinii publicznej zapytanie:

„Görgej, czy Bem?”

Dzięki przegranej pod Temeszwarem, losy wojny dostały się w ręce nie Bema, ale Görgeja, ten zaś, za pośrednictwem Paszkiewicza, złożył je w ręce Haymana, wsławionego przy okazji tej przykładem, danym wszelakim Murawiewom, Bergom i innym porządków różnych obrońcom — w wieszaniu bohaterów narodowych.

Bem bitwę pod Temeszwarem ryzykując, dopuścił się błędu strasznego, charakteryzującego jego podkład duchowy, często zdolnościom wojskowym towarzyszący — podkład zwany: próżnością. Próżność zawsze wojowników na bezdroża prowadzi. Czy nie ona Napoleonowi drogę do Moskwy w roku 1812 wskazała?

Pod Temeszwarem Bema po raz w życiu mojem pierwszy oglądałem. Przez cały obecności jego na polu bitwy czas, co moment wejrzenie na niego zwracałem. Przed mostem, którego obrona batalionowi naszemu powierzona była, stał na gniadym spokojnym koniku.

Wyrwijące nam z szeregów żołnierzy kule, granaty, szarpnele, zasypywały trakt. Do każdego, obok padającego granatu, konik łeb wyciągał i wachał. Bem na pociski nie zważał. Raz mu się na policzku pokazała krew; drugi raz z konia spadł i wnet, w pobliżu snadź znajdująca się podjechała karetka, która rannego (czerep od granatu obcejczyk mu złamał) zabrała.

Po raz wtóry, bliżej aniżeli pod Temeszwarem

w jego bowiem mieszkaniu, oglądałem go w Szumli, Udałem się do niego w towarzystwie Kozieradzkiego, oficera od ułanów, jako spółdelegowany w sprawie, obchodzącej ogół internowanych w fortecy tej Polaków. Bem przyjął nas uprzejmie, załatwienia sprawy podjął się i załatwił. Gdyśmy po zakończeniu misji naszej ku wyjściu się mieli, zatrzymał nas i gawędkę z nami zawiązał. Przedmiotem rozmowy — rzecz prosta — co innego, jeno wojna węgierska, być nie mogło. Z rozmowy tej w pamięci dwa mi zdania Bema utkwily. O sobie samym rzekł, że panem bitwy w zupełności wówczas się czuje, gdy ma pod sobą nie więcej nad cztery tysiące ludzi — czemuż o tem pod Temeszwarem nie pamiętał? Co do sprawy węgierskiej zapewniał, że Węgrzy prędzej-później wojnę z Austryą wznowią.

— Niech się tylko huzarzy odżywią trochę... — słowa jego.

Mówił z łatwością, zdobiąc mówienie stosownie umieszczanymi dowcipami. Ludzi z sobą nie oswajał od spotkania pierwszego, z powodu nieponętności oblicza, jakim go natura obdarzyła. Miał rysy zmięte jakoś, okryte maską, pozszywaną niby. Było to następstwem wypadku, zdarzonego w czasie, kiedy wykładał w szkole wojennej w Warszawie. Przy doświadczeniach z prochem strzelniczym, wybuch o twarz mu uderzył i całą z niej skórę zdarł. Szczupły, wzrostu miernego, marnie wyglądał — w postawie swojej rycerskiego nie miał nic.

Wartość jego militarną stanowiły zdolności partyzanckie, którym śmiało można i należy przypisać genialność.

Z operacyj jego niektóre zdumiewają ścisłością obrachowań i szybkością ruchów. Odbywało się to w drobnych rozmiarach.

W obrotach na szeroką skalę gubił się. Doświadczył tego na sobie, obejmując nad armią południową dowództwo naczelne. Mimo to zapragnął — licząc na nieochybną wojnę pomiędzy Turcyą

a Moskwą — dowództwa naczelnego nad armią tu-
recką. Dlatego islamizm przyjął.

Popchnęła go do ku temu rachuba na szeroką
skale, rachuba, do której jako dane wiadome wcho-
dziła: miłość Polski w złączeniu z nienawiścią dla
jej wrogów.

Miał rację poeta z Hotelu Lambert, który
wiersz na śmierć jego (w Aleppo, 10 grudnia 1850
roku) zakończył wyrazami:

„I stanął śmiało przed Bogiem pokoju,
Jak prawowierny syn Polski... w zawoju“.

SURMACKI.

Znano go jako pułkownika Surmackiego. Czy kto wiedział, jakim było jego imię chrzestne, gdzie mianowicie i kiedy ten padół płaczu i zgrzytania zębami powitał? Może kto wiedział, ja nie wiedziałem, pomimo, że z nim w Konstantynopolu czasu sporo przeżył i w Paryżu się z jego bratem rodzonym, uczestnikiem powstania r. 1831, poznałem. Z biografii jego to jeno powszechnie wiadomem było, że i on w powstaniu r. 1831 udział wziął, licząc naówczas lat nie więcej jak ośmnaście. Tacy jednak, jak on, w latach ośmnastu, nawet siedemnastu, pokaźnie już w wojskowych figurują szeregach i trudy wojenne znoszą z łatwością. Natura obdarzyła go grenadyerskim — wedle miary dawniejszej — wzrostem i postawą rycerską. Był to człowiek słuszny, dobrze zbudowany, o rysach oblicza, poszukiwanych przez Roberta Fleury na modele do odtwarzania na płótnie ułanów polskich, przyozdabiający oblicze długimi, na dół zwisającymi wąsami, spoglądający na śmiertelników zwyczajnych z góry, przez ramię, z tym akcentem, z jakim spogląda człowiek, przejęty wygórowaniem godności własnej poczuć. Tak wyglądał pułkownik Surmacki, zwany inaczej Zurmajem.

Nazwisko Zurmaja przybrał w Galicyi, w roku 1831, może 1832, gdy po upadku powstania, chro-

nić się przed zwycięzcami musiał za granicami zaboru moskiewskiego. Może z Galicji dostał się na Węgry i tam zetknął się z tak zw. werbunkoszami, wabiącymi ochotników do szeregów wojsk węgierskich. Przed rokiem 1848, obok rekrutacyi, istniały w krajach korony św. Szczepana, jako czasów dawniejszych zabytek, werbunki, które w formy estetyczne ujął Betlen Gabor, twórca huzarów. Nastawiały one po miasteczkach, w czasie jarmarków, z muzyką, przyśpiewkami i wystawą tężyzny żołnierskiej, samotrzaski ponętne, w które się łapała młodzież. W sposób ten złapać się dał Surmacki do huzarów i w szeregach jednego z pułków, pod nazwiskiem Zurmaja, zrazu szeregowiec, dalej podoficer, następnie (najdłużej) wachmistrz, w końcu podporucznik, przesłużył do r. 1848. Pułk jego stał nateczas w Galicji wschodniej.

Ruch, jaki wypadki owoczesne w kraju wywołały: zawiązywanie Rad narodowych, organizowanie gwardyj narodowych, pisanie po dziennikach o Polsce, gadanie o niej, mundury polskie, kaszkiety ułańskie, pobrzękiwania pałaszami, ostrogami, przypomniały Zurmajowi że jest Surmackim, Polakiem i że on Polsce przydać się może.

Przydać — jak? — w jakim względzie?...

Nie w innym — rzecz prosta — tylko w wojskowym. W broni? — jakiej? — nie w innej — naturalnie — tylko w kawaleryi.

Wziął więc z huzarów, w stopniu podporucznika, dymisyę, pojechał do Lwowa i naszukawszy się dla siebie napróżno zajęcia odpowiedniego, do huzarów wrócić postanowił.

Możeby postanowienia tego był nie powziął, gdyby nie zadeklarowanie się na Węgrzech kroków wojennych króla węgierskiego przeciwko cesarzowi austriackiemu. Dwa szwadrony z pułku w którym służył, stały we wstawionym obroną kniazia Jaremy w r. 1649 przeciwko Kozakom i Tatarom, a sławnym niegdyś z wyrobu kielbas, Zbarażu; w je-

dnym z tych dwóch szwadronów, przez lat dziesiętek w stopniu wachmistrza funkcyonował i w nim na oficera awansował.

Zakorciło go: czemu szwadrony te na Węgry nie idą! Dla gruntownego w tej ważnej dla niego kwestyi zbadania, pocztą na noc całą do Zbaraża pojechał i równo z dnia świtaniem przejeżdżając mimo koszar, ujrzał przed koszarami szwadrony w pogotowiu do wsiadania na koń. Na widok ten z wozu pocztowego zeskoczył i przed szwadronami stanął. Z szeregów ozwały się okrzyki powitalne; wachmistrz, który go zastąpił, dłoń mu uściśnął i na powitanie jego, co tu robia, odpowiedział:

— A cóż!... na musztrę, jak zwykle, szwadronom wystąpić kazano... Na oficerów czekamy...

— Czyście nie słyszeli, co się na Węgrzech dzieje?

— Słyszeliśmy...

— Czemuż w Zbarażu siedzicie?

— Bo niema nas prowadzić komu...

— A ja!?

— Prowadź!... Prowadź!... zabrzmiał okrzyk jednogłośny.

W chwilę później, Surmacki na wyprowadzonego dla niego ze stajni konia wsiadł, przed szwadronami „do wsiadania“ komendę wygłosił, następnie:

— Czwórkami od prawego!... marsz!...

Na czoło wyjechał i Węgrów do Węgier poprowadził.

Za nimi w pogoń posłano piechotę, która ich doścignęła u przeprawy przez Dniestr, w Koropecu. Przeprawę ułatwił im Mysłowski i zaopatrzył w przewodników, którzy szwadrony bezpiecznie przez Prut u źródeł i przez Beskidy, na stronę węgierską przeprowadzili.

Na stronie węgierskiej rozpytujacym o nowiny huzarom, opowiadano cuda o Bemie. Zniewolilo to Surmackiego do Siedmiogrodu wejść tem bardziej,

że teatr wojny był dla niego w stronie tej najbliższym.

Bem huzarów z radością przyjął, Zurmajowi, zamianowanemu majorem, powierzył dowództwo dywizjami, wachmistrzów mianował rotmistrzami, dwóch najinteligentniejszych i najzasłużeńszych podoficerów porucznikami, czterech najinteligentniejszych podporucznikami, komplet podoficerów uzupełnił i miał dwa szwadrony konnicy doskonałej, na której mu brakło. Konnica ta duże razy kilka oddała mu usługi. O jednej opowiem, powtarzając z pamięci słowa razy nie pomnę ile, z ust pułkownika Surmackiego słyszane.

„Rozbili nas w puch Austriacy. Zdarzało się nam to niekiedy. Piechota się rozbiegła; z dział sześciu zabrano nam cztery; — z dwoma Bem uszedł, poleciwszy mi zasłaniać odwrót. Zepchnąwszy szwoleżerów co się za nami byli posunęli, cofałem się ustępami: szwadron jeden stawiałem frontem ku nieprzyjacielowi, podczas, kiedy drugi uchodził, następnie ten drugi frontem się zwracał i pierwszy uchodzący zasłaniał. Obejście nas w okolicy górzystej trudnem było, więc mi się rejterowanie wiodło bitym wśród gór gościńcem, prowadzącym do mostu murowanego, rzuconego nad rzeką w głębokim płynącej korycie. Do mostu przylegało a raczej od niego rozpoczynało się miasteczko X.*), składające się, jak część większa miast górskich, z jednej długiej ulicy, dochodzącej do miejsca, w którym się góry rozstępowały i na którym poza domami długa stała szopa. Szczegóły te dobrze mi znane były, z tego bowiem miasteczka wyszliśmy po to, ażeby po uszach oberwać. Rejterując przeto, myślałem sobie:

„Na moście szwadronowi ustępującemu zatrzy-

*) Pułkownik miasteczko nazywał, alem ja nazwę zapomniał.

mać się każe, sprowadzę szwadron, co był frontem ku nieprzyjacielowi zwrócony i licząc na to, że się Austriacy przed mostem zatrzymają, wyszła podjazd, miejscowość zrekonoskować zechcą, pójdą dalej spokojnie i gdzieś Bema z dwoma działami i ze ściągającą się piechotą dopędzę.

„Tak też zrobiłem. Pozostawiwszy na moście w aryergardzie z podoficerem pięciu ludzi, z rozkazem, ażeby, w razie, gdyby się nieprzyjaciel nie pokazał, w pół godziny za mną gościncem ruszyli, sam na czele szwadronów przez miasto pociągnąłem.

„Na połowie mniej więcej długości ulicy, parzę, przed jednym z domów przechadza się Bem.

„Z konia zsiadam, do generała podchodzę, raport mu zdaję i taki od niego dostaję rozkaz:

„Niech szwadrony za miastem z drogi na lewo zejda, w kolumnę plutonową, frontem do miasta zwróconą uszykują się, i z koni nie zsiadając, czekają. Ja z tobą pójdziem za nimi.

„Huzarzy poszli; my za nimi iść poczęliśmy powolutku, powoluteńku, krok za krokiem. Bem zawiązał nie pamiętam o czem rozmowę, z której wywiązała się rzecz o sztucznem wylęganiu kurczą. Zajęło mnie to zrazu, lecz się wlekło za długo i zatrzymywało czas na drodze, którą wpaść mogła zwiada nieprzyjacielska i zabrać nas. Na myśl tę ciarki mi poza skórą przeszły. Powziąłem postanowienie generałowi przedstawić niebezpieczeństwo i potrzebę śpiesznego uchodzenia. Zdobyłem się na odwagę, zatrzymałem się i zdanie moje wygłosiłem. Bem spokojnie słów moich wysłuchał, gdym skończył, pomilczał trochę i z giestem, który mi się wydał teatralnym, trzymaną w rękę szpicrutę — oręż jego jedyny — do góry podniósł, a zniżając ją do ziemi w sposób rozkazujący, z mocą wyrzekł:

— „Tu zginę, albo zwyciężę!...”

„A jam pomyślał: zwaryował.

„Na ten „casus“ jednak rady nie było, chyba

generała na plecy wziąć i odnieść prędzej za miasto. Mógłbym się odważyć na coś podobnego!

„Idę więc dalej z niepokojem w sercu, słuchając ale nie słysząc, ciągu dalszego opowiadania Bema o hodowli kureząt.

„Ciężar mi wreszcie spadł z serca, gdy za miastem ujrzałem po jednej stronie gościńca uszykowaną kolumnę huzarów, po drugiej, pod szopą, dwa działa odprzodkowane, przy nich kanonierów i u dwu z nich w rękę lonty dymiące się.

„Bem zamilkł. Zwróciłem na niego wejrzenie. Przez lunetę pilnie w głąb ulicy patrzałem. Popatrzyłem i ja gołym okiem — zamajaczyło mi coś w dali, coś, co się zbliżało, uwyrażniało i uwyrażniło się nareszcie pod postacią pompatycznie maszerującej kolumny piechoty. Bem, mruknąwszy pod nosem: „dumme Kerls“, ku działom ręką kiwnął; kanonierzy je natychmiast przytoczyli i po dwóch stronach gościńca wylotami w kierunku ulicy ustawili. Bem pomiędzy nimi po środku stanąwszy, wnet na na prawo ustawione działo palcem wskazał i huknął:

— „Ognia!“

„Po wystrzale zakomenderował: „Nabijaj!“ i na działo na lewo stojące, huknął:

— „Ognia!“.

„Wystrzały szybko jeden po drugim następowały; za każdym Bem pięść zacieśnioną nagle roztwierając i ręką naprzód rzucając, powtarzał, raz „Da habst Lumpen!“, znów „Da habst Bagagen!“

„Po trzech, czy czterech wystrzałach, krzyknął:

— „Husaren hin!“...

„Poskoczyłem do szwadronów i na ich czele w jednej chwili wsiedliśmy na karki zmitrężonej, zmieszanej, panicznym strachem przejętej piechoty, która rzucała karabiny, tornistry, rozbiegając się, na most się cisnąć. Most zapchały pociągi po przejściu artylerji. Zdobyliśmy działo kilka, odbiliśmy działa nasze — odnieśliśmy zwycięstwo zupełne.“

Surmacki Bema ubóstwiał i dużo miał o nim

do opowiadania. Miał go nietylko za generała znakomitego, ale i za człowieka wszechznającego, nieomylnego, tworzącego nietylko żołnierzy ale i lekarzy.

W czasie jednej z bitew, w baterii węgierskiej, niekorzystnie ustawionej, zdemontowano dział parę. Bateria, działa zdemontowane opuszczając, miejsce zmieniła. Jedno jednak z dział opuszczonych strzelać nie przestawało. Zdziwiło to Bema — podjeżdża i cóż widzi? Działo leży na kłodach, przy niem się kilku ludzi uwija — z rozbitego jaszczyka naboje noszą, nabijają i strzelają; dowodzi niemi młody jakiś chłopiec. Manipulacja ta podobała się Bemowi; woła chłopaka i dowiedziawszy się od niego, że jest studentem medycyny z Koloswaru, przypomina sobie, że przy sztabie lekarza brak, mianuje go lekarzem sztabu.

— „Umiałeś sobie poradzić z harmatą, to potrafiś chorym radzić...”

— Doskonały był z niego lekarz... — zapewniał Surmacki, który tego był mniemania, że — ponieważ pod Bemem służył — na niego przeto z Bema nieomylność przeszła.

Z racji tej stosunki z nim nie koniecznie były wygodne, a nawet bezpieczne. Idąc np. w towarzystwie jego przez miasto, człek nie był pewien, ażali nie natknie się na awanturę jakąś, nie znośli bowiem tego, ażeby mu kto z drogi nie ustąpił — nieustępującego strącał bez ceremonii, uspokajając tych, coby się gniewać chcieli, mrozącem gniew wejrzeniem z góry. Nie znośli oraz, ażeby się kto osmielił innego być aniżeli on zdania. Z racji tej nie małe dyskusya z nim przedstawiała trudności, tem bardziej, że uważał siebie za upoważnionego do zabierania głosu rozstrzygającego w każdej, chociażby najbardziej naukowej kwestyi. Na to sobie i Bem nie pozwalał; zachodzi jednak pytanie, czy nie przyznawał sobie nad Bemem w zakresie naukowym wyższości, ze względu, jeżeli nie na co innego,

to na postawę i wygląd. We względzie tym — co za porównanie pomiędzy Bemem a nim! — to chuchro, a to mąż pokaźny, wąsaty, marsowaty. W wysokiej też cenie byli u niego ludzie o wąsach zawieszistych, ci mianowicie, co w kawaleryi, zwłaszcza zaś w huzarach i do tego węgierskich służyli. W odniesieniu naukowem, dla nadania sobie powagi tem większej, rad bądź wtrącał przekręcone nierzadko wyrazy łacińskie, bądź też wyrazom polskim nadawał zakończenie na „us“. Morze Czarne stałe zwał „Pontus Euxinus“, Dunaj „Dunajus“, a z Bosforem był w kłopotcie.

Zdarzyło się raz, że mu się w kieszeni od kamizelki fosfor zapalił. Wypadek ten miał miejsce nad Bosforem, w Konstantynopolu, dokąd Surmacki przyjechał był w r. 1854 w zamiarze ofiarowania usług swoich Turcyi przeciwko Rosyi. Zamiar spełzył na niczem, z powodu, że się z W. Portą porozumieć nie mógł. Konstantynopola jednak nie opuszczał, z Polakami się poznał i w przyjaznych z nimi pozostawał stosunkach.

Wśród nas znajdował się człowiek wesóły, żartowniś, ś. p. Henryk Groppler, który wysłuchawszy opowiadania Surmackiego o tem, że mu się w kieszonce zapalił „fosforus“, zauważył:

— Chyba pułkownik powiedzieć chce „bosforus“...

— A tak, omyliłem się, „bosforus“.

I z tego bałamuctwa wyść nie umiał, zwłaszcza wobec Gropplera, poważnie go poprawiającego, ile razy Bosforu nie nazwał fosforusem, a fosforu Bosforusem.

W sposób ten z rozmaitemi obchodził się kwestyami. Złe wychodził, kto się przy nim historią świadczył. Zdaniem jego, historya na wiarę nie zasługuje.

— Ja temu tylko wierzę, na co własnymi patrzałem oczami i co własnymi słyszałem uszami.

Wojna wschodnia (1853—1856) żywo go i mo-

eno zajmowała. Pilnie wedle gazet za wypadkami śledził, krytykując czynności wojenne i polityczne i wnioskując o następstwach.

Gdy kongres paryski zwołany został, nie przypuszczał, żeby kongres ów pokój sprowadził. Rano, w dniu obwieszczenia o zawarciu pokoju, zanim wiadomość tę do Konstantynopola drut telegraficzny przeniósł, spotykam go na Perze i witam przypuszczeniem pokoju.

— A!... — odparł. To być nie może... Ci panowie w Paryżu do tego stopnia jeszcze nie pogłupieli. Anglia przecie... Anglia na to nie pozwoli... A Napoleon?... Czyżby on o stryju i o roku dwunastym zapomnieć mógł?... To być nie może...

W tymże samym dniu przy huku dział, oznajmających światu nowinę radosną, znów spotykam Surmackiego.

— A co, pułkowniku!... — odezwałem się.

— Czy nie mówiłem? — odrzekł. — Zawszem tego był zdania, że po tych gałganach wszystkiego się spodziewać można... Ale będą oni za swoje mieli. Nie skorzystali ze sposobności wyrzucenia Rosyi z Europy, to ich Rosya za łeb weźmie...

I przepowiedział następstwo, ogromnym obecnie kamieniem na polityce kuli ziemskiej ciężące.

Rozgoryczyło go to.

Póki wojna trwała, póty liczył na to, że w niej udział na czele pułku jazdy weźmie. Po wojnie pomyślał o zabezpieczeniu sobie życia na starość. Póra była myśleć o tem... liczył lat czterdzieści kilka. Przypomniał sobie o Węgierce, która go rannym pielęgnowała (kula mu czerep przedziurawiła — dziurę blaszka cienka zasłaniała). Napisał do niej. Odpisała, że z nim dozgonnie połączyć się gotowa. Wobec przeto małżeństwa w perspektywie, uważał za rzecz wskazaną coś stale dochód pewny niosącego przedsięwziąć.

Rozpatrując się w Konstantynopolu, uznał, że warunki te posiada przedsięwzięcie kawiarniane,

urządzone i prowadzone na sposób węgierski. Mówił o tem, zapewniając, że będzie to kawiarnia, jakiej jeszcze nigdy i nigdzie nie bywało. W celu tym wynajął lokal na głównej ulicy, na Pera — wyporządził, urządził i otworzył. Byłoby mu zapewne poszło dobrze, gdyby gości traktował, jak się traktuje w zakładach podobnych. Wymagał po nich, ażeby prosili a nie rozkazywali, gdy zaś który napój lub pieczywo zgañił, śmiałku takiego za kołnierz miał i za drzwi wyrzucał. Interes, tak prowadzony, utrzymać się nie mógł.

Zeszedłem się z Surmackim następnie w Paryżu, w czasie wystawy r. 1867. Po dawnej znajomości podjąłem się cycleronowania mu, do spółki ze starszym bratem jego, emigrantem z r. 1831. Przewodniczenie moje zadawałniało go, z wyjątkiem Louvre'u. W Louvrze wszystko mianował lichotą. Malowidła?... rzeźby?... — porównania — zdaniem jego — wytrzymać nie mogą z malowidłami i rzeźbami w pałacach i galeryach magnatów węgierskich. Wenus?... Milo?... Na widok jej splunął.

— Tfi!... bez rąk?... Któż widział rzeczy podobne na widok publiczny wystawiać?

Kiedym mu powiedział, że posąg ten w tym stanie w wykopaliskach w mieście Milo znalezionym został, odpowiedział:

— Czyż we Francji niema komu rąk dorobić?

Nie wiedziałem, coby mu takiego, coby uznanie jego zyskało, pokazać, albowiem i mumie egipskie nie zajęły go — na Węgrzech je widział.

Aż weszliśmy do sali, zapełnionej pamiątkami po Napoleonie I. Oczy jego wnet wyraz zmieniły, jak skoro ujrzał siodła, czapraki, mundury, ostrogi, szpady, pistolety i inne, stan żołnierski znamionujące przedmioty — przedmioty zwłaszcza do takiego jak Napoleon I należące wojownika. Dość powiedzieć, że Napoleona na równi z Bemem cenił.

Pułkownik Surmacki był żołnierzem, nie czem innym tylko żołnierzem. Wojna węgierska z szere-

gów go wytrąciła i na pole walki o wolność wprowadziła — na pole, na którym odżyła w nim polskość. Nie był orłem, zdziwaczał, ale z zacięciem węgierskiem był całą duszą i całym sercem Polakiem. Z takich, na pierwsze po polsku: „do broni„, zawołanie, moskiewska czy niemiecka skóra od razu opada.

MIKOŁAJ KORWIN KAMIENSKI.

Pod pióro nasuwa mi się towiańczyk — człowiek, któryby nie powinien był w szeregach towianizmu figurować. Sprzeciwiały się temu dwie racje: ta, że był żołnierzem, nie zrzekającym się korzystania z każdej okazji wystąpienia orężnie przeciwko zaborcom Polski, oraz ta, że go urodzenie, pokrewieństwo i koligacye do arystokratycznej przywiązywały sfery.

Towianizm, przejaw emigracyjny, mimo, że wrazenie sprawił, mimo, że się o nim mówiło i pisało dużo, a nawet i obecnie przedmiotem uwagi bywa, mimo to emigracyi za sobą nie porwał. Nie licząc obojętnych, nie poszły za nim: ani większość demokratyczna, ani mniejszość arystokratyczna. Jedna i druga względem niego stawały nieprzyjaźnie. Arystokracja nie dziwi: ją, monarchicznemi przejętą przekonaniem, trzymał kościół panujący, jakim w Polsce był katolicki. Ale demokracja?... Jeżeli takich demokratów skrajnych, jakimi byli na katechizmie wychodowani członkowie gromad Grudziądz i Humań, nawskróś religijny przejmował mistycyzm, to tem bardziej, również katechizmowo nastrojony ogół emigracyjny podatnym się okazać był powinien na przylgnięcie do mistycyzmu, przyniesionego przez obywatela z Litwy, a przyjętego i zalecanego przez

poetów — i to przez jakich! — Mickiewicz, Gołszczyński.

W żadnym narodzie poeci równem nie cieszą się (może — nie cieszyli się) poważaniem, jak w polskim. Po dziś dzień mianujemy ich, jak się nie mianują nigdzie, „wieszczami“ — prorokami.

Improwizacya Konrada („Dziady“, część trzecia) świadczy, że Mickiewicz uznawał prorocze poetów powołanie. Z jego przeto strony naturalnem było danie się pociągnąć doktrynie mistycznej, mesyjanizmem zaprawnej. Za Mickiewiczem poszli inni, biorący mistycyzm w sensie niekatechizmowym jako ogół wychodźstwa, lecz w filozoficznym (Rettel, Nabelak i kilku jeszcze). Ci pociągnęli takich, co im na słowo wierzyli.

W sposób ten sformułowała się gromadka towiańczyków nie liczna, ale imieniem „wieszcza“ głośna — imieniem autora takich jak „Konrad Wallenrod“, „Dziady“ (część trzecia), „Reduta Ordona“, „Ustęp“ (poświęcony przyjaciółom Moskalom) i innych utworów, które Polaków zachwycaly. W gromadce tej stan żołnierski przedstawiali dwaj pułkownicy: Karol Różycki i Mikołaj Korwin Kamiński — pierwszy stowiańszczony do cna, nie myślący o sprzeciwianiu się woli bożej, przez porywanie się do oręża przeciwko tego, co Mikołaj I rodzaju Mesyaszom; drugi, wzorem Mickiewicza i Słowackiego, wylamujący się we względzie tym z ram doktryny, ile razy się okazała walczenia przeciwko któremu z zaborców Polski nastęrczała.

Z okazji takiej Kamiński skorzystał w r. 1848 we Włoszech.

Po raz wtóry sposobność podobną nastęrczyła mu wojna wschodnia, „krymską“ zwana. Złamanie w tym razie praw towianizmu, charakteryzuje tego towiańczyka, każąc podejrzewać go o takie dla znamionujących doktrynę kolumn duchów różnobarwnych odnoszenie się, jak wachmistrz Dorosz, z gawędy W. Pola, odnosił się do „ducha czasu“, powiadając

o nim: „Co to znaczy, wiedzą kaci: u mnie duch, co dobrze bije“. Pokazuje się, że i towiańczycy niektórzy wierzyli w dobre ducha bicie.

Nim jednak wiarę tę w Kamińskim ze znanych mi kolei życia wyprowadzę, winienem o kolejach owych opowiedzieć w krótkości. Powtórzę o nich rzeczy słyszane i czytane, znałem się bowiem z pułkownikiem z daleka, z bardzo daleka; zbliżyłem się do niego raz jeden, ale w sprawie, która sama jedna o moralnej człowieka wartości stanowi.

Mikołaj K. Kamiński, urodzony r. 1799, pochodził z Wołynia jako członek rodziny, skoliigacyjnej i spokrewnionej z arystokratycznymi rodzinami polskimi. Do wojska wstąpił wczesnie i był jednym z oficerów jazdy, należących do rodzaju „świetnych“ pod względem tak znajomości rzemiosła, jakoteż prezencji salonowej.

Po wybuchu powstania r. 1830, dwukrotnie wpadł był wielkiemu księciu w ręce i dwukrotnie śmierci uniknął dlatego tylko, że w książkę zląkł się następstw, jakieby z rozstrzelania jego wynikły.

Niedawno w którymś z pism polskich (czy nie w „Kraju“ petersburskim?) czytałem wyjątek z opowiadania pamiętnikowego o podróży Konstantego Pawłowicza, w grudniu, r. 1830, z Mokotowa do Brześcia Litewskiego.

Pamiętnikarz pisze o Kamińskim, chwali jego grzeczność, unosi się nad wspaniałomyślnem obejściem się z nim w. księcia i oburzają go Polacy za niegodziwe bratu carskiemu wywdzięczenie się za jego dla nich miłość.

Ów grzeczny oficer polski walecznie się następnie w czasie wojny sprawował, wynosząc z niej reputację żołnierza nietylko walecznego, ale i fach swój gruntownie znającego. Na emigracyi w piśmiennictwie wierszem i prozą się próbował. Na polu tem atoli laurów nie uszczknął, co wzbudzając w współzawodnikach zawiść, nie pozbawiało go przyjaźni ludzkiej. Należał on do śmiertelników tego rodzaju,

co nieprzyjaciół nie mają. Na emigracyi z ludźmi rozmaitych schodziłem się przekobań — nie słyszałem, żeby się o Kamińskim kto źle odezwał. Zwa-
no go powszechnie człowiekiem zacnym i kawalerzy-
stą znakomitym.

Co się zaś jego przystania do towianizmu ty-
czy, nie wszyscy brali to na seryo. Niektórzy przy-
puszczali, że towianizm wybrał jako grunt neutralny,
z któregooby w danym razie przyłączyć się mógł do
stronnictwa, dającego największe w moralnym i w po-
litycznym względzie rękojmie. Świadczyłoby to, że
należał do rodzaju ostrożnych, wahających się, wy-
czekujących, nie chcących się zobowiązywać do ni-
czego, ani żadnej na siebie brać odpowiedzialności.
Tacy wahali się, wyczekiwali, z Francuzkami się
żeńili, rzemiosła lub fachu jakiego imali i pozosta-
wiali potomstwo Francuzów pochodzenia polskiego.
Coś podobnego przytrafiło się i pułkownikowi nasze-
mu, żonatemu nie z Francuzką nawet, ale z Polką
(Potocką?), którego syn (Mieczysław) po polsku le-
dwie rozumiał (w szeregach francuskich pod Magen-
tą zginął).

Pułkownik w r. 1848—49 służył w wojsku wło-
skim. Wabiony przez Mickiewicza na wodza sformo-
wanego przezeń legionu, zwabić się nie dał. Był
to legion zanadto poetyczny, przydatny na materiały
do jasełek, czyniących zaszczyt wyobraźni poety,
ale nie do boju. Kamiński wiary w doktrynę nie
posunął tak daleko, ażeby miał się zaryzykować na
dowodzenie garstką legionistów, szesnastu (nie dwu-
nastu, jak twierdzi Wyspiański w poemacie udrama-
tyzowanym p. t. „Legion, scen dwanaście“), pomimo,
że każdy z nich przedstawiał kolumnę duchów.

Po zakończeniu wojny włoskiej w r. 1849 kłę-
ską pod Nowarą, w wojsku włoskiem pozostawał
w stanie rozporządzalności. Gdy wybuchła wojna
wschodnia (1853—56), nie kwapił się z ofiarowaniem
W. Porcie usług swoich.

Generałowi Wysockiemu, wybierającemu się do

Konstantynopola w celu tentowania w charakterze pełnomocnika emigracyjnego o wdarcie się na teatr wojny przeciwko Moskwie z legionem polskim, na zapytanie, czy na niego liczyć może:

— Owszem... Czemu nie... — odpowiedział — jeżeli tam co porządnego postawić się wam uda...

Przez wzgląd na Austryę, dla której wojna na krymski półwysep przeniesioną została, państwa sprzymierzone nie dopuściły do organizowania legionów polskich. Natomiast stanęły dwie w znaczeniu surogatu legionów organizacje wojskowe: jedna rządu tureckiego pod nazwą „Kozaków sultańskich“, pod dowództwem Sadyka-baszy; druga, „Dywizja kozaków sultańskich w służbie angielskiej“ (dziwna nazwa — co?), pod dowództwem generała Władysława Zamojskiego. Ta druga, pozostając na żołdzie angielskim, rozwijała się prawidłowo i porządnie. Organizacja zakrojona została na pięć pułków numerowanych, jak następuje: 1 piechota, 2 szasery, 3 strzelcy piesi, 4 piechota, 5 ułani. Szasery stanowili brygadę jazdy, liczącą ludzi 750, rozkwaterowanych w Warszawie i okolicy. Kadry w początkach r. 1856 były prawie pełne. Brakowało dowódców pułkowych i dowódcy brygady. Następcą się wprawdzie i do zajęcia stanowiska tego ogromną miał ochotę pułk. R. Czarnomski, lecz rzeczą było niemożliwą funkcji tej powierzenie takiemu, jak on, narwańcowi. Dla nas, w Konstantynopolu przebywających, a w organizacjach tych udziału nie biorących, stanowiły one przedmiot ciekawości. Krążyło wśród nas pytanie: jak też Zamojski z rozwiązaniem kwestyi wódzów w kawaleryi sobie poradzi? Jazdą tymczasowo, ku wielkiemu Czarnomskiego zgorszeniu, dowodził pułkownik od piechoty, Słubicki.

W książce pióra mego p. t. „Udział Polaków w wojnie wschodniej“, str. 186, przyznaję się do tego, że nie umiem odpowiedzieć na zapytanie: „Dlaczego Kamiński zaciągnął się do dywizji K. S.

(kozaków sułtańskich)?“ Dziś umiem. Racya nieuwmiienia a raczej przemilczenia w r. 1857, kiedym to pisał, odnosiła się do ludzi, do osobistości w grę wchodzących, do Kamińskiego mianowicie, stanowiąc obciążające go świadectwo we względzie jego, co do zasad towianizmu, prawowierności. Mógłżem go wówczas — dla prostej wesołości serca — kompromitować?

Rzecz się miała tak:

W pierwszych dniach grudnia r. 1855, powróciłem był z Dobrudzi, gdzie dla zaopatrywania w obrok i mąkę oblężającej Sewastopol armii francuskiej, magazyny budował, do Konstantynopola. W Konstantynopolu zastałem w trumnie zamknięte zwłoki Mickiewicza i nierozwiązaną kwestyę dowództwa jazdy w dywizyi K. S. w Sił. Ang., istniejącej już faktycznie, a stanowiącej przedmiot sporu zawziętego pomiędzy Sadykiem baszą z jednej generałem Zamojskim z drugiej strony — sporu, o usunięcie którego napróżno starał się Mickiewicz. Spór ów wikłała zagadkowość tej militarnie wyżej niż Sadykowska stojącej, dobrze płatnej, dostatnio żywionej, nie po komedyancku umundurowanej i nie wiadomo dlaczego „sułtańskiej“ organizacyi wojskowej. Zagadka ta rozwiązała się później nieco. Ciekawość tymczasem na osobistości się zwracała.

Razu pewnego przychodzi do mnie Włodzimierz Kozłowski z oświadczeniem, że ma ze mną do pomówienia. Kozłowski w roku każdym pod jesień, jeździł dla widzenia się z rodziną na Zachód i przywoził z Paryża, który regularnie odwiedzał, wiadomości i wskazówki. Na krótko przed moim z Dobrudzi powrotem, powrócił i on. Przychodzi więc do mnie i pyta:

— Wiesz, kto nad jazdą formacyi Zamojskiego dowództwo obejmie?

— Nie wiem...

— Mikołaj Kamiński...

— O?!.. — zdziwiłem się — Towiańczyk?

— Z tych, co towianizm niekiedy na stronę usuwają...

— Śnać go pociągnął przykład Mickiewicza — zauważyłem.

— Nie... Widok pewien, w którym liczy na ciebie.

Zdziwiło mnie to bardziej jeszcze, niż wiadomość o objęciu przezeń dowództwa. Słyszałem o Kamińskim najwięcej z relacyj o żartach, jaki na jego rachunek Sadyk-basza płodził; ale ani przypuszczałem, ażeby posłuch jaki o mnie dójść mógł do uszów jego.

Jakoż posłuch ów był daty bardzo świeżej, albowiem do uszów Kamińskiego dostał się przez usta Kozłowskiego i, co więcej, zdecydował Kamińskiego na przyjęcie ofiarowanego mu przez Zamojskiego dowództwa. Wahanie się jego rozstrzygnęła na stronę przyjęcia udzielona mu przez Kozłowskiego wiadomość o istnieniu Polaka, znajdującego ujście Dunaju i przeprawy przez tę „słowiańską“ rzekę. Polakiem tym byłem ja. Losy na wiosnę r. 1853 rzuciły mnie były do Tulczy, dokąd w czasie mego w tem mieście naddunajskim pobytu, przysłany został z Konstantynopola, z seraskieratu młody oficer, nazwiskiem Ali-bej, sturczony Niemiec, uczeń tureckiej szkoły inżynierskiej, z poleceniem sprawdzenia na gruncie mapy ujść Dunaju. Przysłano go bez pomocników i bez instrumentów. Znalazszy się na miejscu i nie wiedząc co począć, zwrócił się do przebywających tam Polaków i ci wskazali mu mnie, jako osobnika, mogącego w rzeczy tej przydatnym być. Wzięliśmy się we dwóch do roboty z jedną starą jakąś mapą w ręku.

Rozpytując przewoźników, rybaków, łapaczy pijawek, myśliwych i kogo się dało, zwiedziliśmy, zaczynając od Isakczy, trzy główne ramiona ujściowe Dunaju, oraz objętą przez nie przestrzeń ogromną, złożoną z porośniętych wierzbina, łożyną, oczeretami i wszelakiem wodnem zieleń, mokrzydeł, podzielo-

nych na wyspy, poprzerzynane kanałami i napełnione jeziorami i jeziorkami.

Zabrało to nam czasu sporo, oznajmiło nas jednak wcale dokładnie z tym labiryntem dunajskim. Chwaliłem się tem przed spółziomkami w Konstantynopolu. Ztąd o osobliwości tej wiadomości Kozłowski mógł Kamińskiemu udzielić. Ale — cóż w niej wahającego się pułkownika pobudzić do przyjęcia dowództwa mogło?

— Kamiński — tłumaczył mi Kozłowski — kiedyś mu perswadował, że wypada, ażeby Polak rzetelny i człowiek ani za żołdem, ani za karierą goniący, w tej bądź co bądź polskiej organizacji stanowisko wpływowe zajął, odpowiedział mi, iżby to uczynił, gdyby zachodziło jakie do prawdy podobieństwo, że organizacja ta przyda się na co...

— Na wkroczenie do Polski... — odrzekłem mu.

Kamiński się we mnie wpatrzył, a jam mu wykładał, iżby to się zrobić dało z Warny, skąd przemarsz do Dunaju nie jest bardzo daleki.

— Pomiędzy Austryaków?... — wtrącił.

— Nie, pomiędzy Moskałami... — odrzekłem i opowiedziałem mu o swoich z Ali-Bejem studiach przepraw na Dunaju.

Kamiński zapalił się do myśli wyrządzenia sprzymierzonym zbytka przez wprowadzenie pułków jazdy na Podole i wywołanie na Rusi prawodnieprskiej powstania, którego powodzenie umożliwiały dwie równie ważne rzeczy: usposobienie ludu rozjątrzonego na rząd skutkiem nieludzkiego poskromienia r. 1865 buntu chłopskiego na Ukrainie, oraz оголошение prawie zupełne kraju z wojska. Powstanie w warunkach takich, musiałyby na kierunek i tok wojny oddziaływać tem mocniej, że Niemcy dzisiejsze były wówczas jeszcze skromnemi Prusami, Rosya zaś nie doszła była, dzięki nie tyle przyjaźni francuskiej, co francuskim pieniądzom, tej powagi i takiego znaczenia, jakiem się cieszy obecnie.

Znaczenie jej owoczesne nie obniżało znaczenia sprawy polskiej w opinii publicznej świata cywilizowanego.

Powstanie przeto w Polsce było tak w r. 1855 jak w r. 1856 (przed podpisaniem w Paryżu pokoju), na czasie. Jest to dowód jeden więcej, że się nam nastęrczają okazyje, z których — niestety — korzystać nie umiemy. Winniśmy to przypomnieć sobie.

Celem wykorzystania więc okazyi, Kamiński przyjął propozycję Zamojskiego, przyjechał do Konstantynopola i z Konstantynopola udał się do Warny, gdzie objął dowództwo dwóch pułków jazdy. Za jego przykładem na dowódcę ułanów przyjechał wstawiony na Węgrzech Władysław Poniński. Pułki pod naczelnikami takimi zyskały od razu na — jeżeli tak wyrazić się wolno — akcencie, jakiego nadać nie byli w stanie kozakom i dragonom sultańskim formowani wedle modelu Nekrasy (z romansu p. t. „Wernyhora“) przez Sadyka baszę wodzowie.

Ci, gdyby się byli na Ukrainie z dobrą pojawili nowiną, byłiby, jeżeli nie co lepszego, to to przynajmniej sprawili, że w Paryżu nie zapomnianoby, a raczej nie przemilczano umyślnie o Polsce i o jej do bytowania samoistnego prawach — a może i o dostatecznem praw tych ubezpieczeniu.

Kamiński myślał o powstaniu i energicznie się około postawienia pułków na stopie zupełnego pogotowia wojennego krzątał.

O przejeździe jego przez Konstantynopol nie wiedziałem nawet i nie widziałem się z nim. Czekiałem na wezwanie, które dojsć mnie miało przez Kozłowskiego. Dochodziły mnie tymczasem takie z Warny wieści:

— Oto pułkownik!... Oto kawalerzysta!... Ten prowadzi... nol...

Poprowadziłby z pewnością, gdyby mu w poprzek nie stanął pokój... zawarty za zbyt pośpiesznie nietylko wobec zamiarów powstańczych Ka-

mieńskiego i interesu Polski, ale i wobec interesów ludzkości. Obrady kongresowe w Paryżu miały na względzie gabinety, ale nie narody.

Pokój ów zirytował Kamińskiego. Jak skoro się o nim dowiedział, wnet się do dymisyi podał i na wzbraniającym się dla jakichś machinacyj dyplomatycznych udzielić mu jej Zamojskim gniew spędził.

Skutkiem zajścia jakie stąd wynikło, nakazaniem mu zostało wyjechać z granic państwa ottomańskiego. Do wyjazdu pozostawał mu dzień jeden oczekiwania w Konstantynopolu na odejście statku i w tym dniu wieczór cały spędziłem z nim w towarzystwie Kozłowskiego. Przy powitaniu ten jeno zamieniliśmy ze sobą wyraz:

— „Nie udało się“...

Mówiliśmy następnie o różnych rzeczach, między innymi i o towianizmie, ale krótko, pobieżnie. Przypominam sobie, że Kamiński reklamował dla świata duchowego należne mu prawa, czemuśmy nie przeczyli.

Raz jeszcze w życiu spotkałem się z nim w r. 1863 na bulwarze włoskim, gdym po wyprawie mojej kostengalskiej, na Paryż wracać, na teatr powstania musiał.

— Ah! dobrze, zem cię spotkał... — zawołał, dłoń mi ściskając. Mam ci słów parę powiedzieć.

I mówił mi o używaniu w ataku lancy.

Postać jego w pamięci mi pozostała pomimo, zem go raz wieczorem przy świecy, drugi raz przełotnie na ulicy widział. Są jednak postacie ludzkie, w pamięć się wrzynające. Mikołaj Kamiński, mąż wzrostu średniego, rysów oblicza nie frapujących, w oczach mi stoi z wyrazem dziwnie ujmującej dobroci, w przeglądającym z siwej źrenicy wejrzeniu.

Pod koniec żywota, jak o tem z drukowanych u Żupańskiego w Poznaniu r. 1872, jego „Wspomnień starego żołnierza“ wnioskować można, z towianizmu otrzymał się zupełnie.

LEONARD RETTEL.

Towiańczyk po towiańczyku, po żołnierzu — uczony. Kamieński przypomniał mi Rettla, z którym się blisko znałem i któremu tytuł uczonego należy się słusznie. Może nawet wśród towiańczyków był on — nie czyniąc wyjątku dla wielkich naszych — najuczeńszym. Przypuszczenie to czynię ściśle w znaczeniu przypuszczenia, bez najmniejszej do orzekania stanowczo pretensyi. Towiańczyków znałem nie wielu. Zetknąłem się razy kilka z Bońkowskim, zrazu bardzo dla mnie uprzejmym — tak uprzejmym, że go podejrzewał o chęć zwabienia mnie do szeregów. Nabelaka nie znałem, a z dokonywanych przezeń i drukiem ogłaszanych tłumaczeń, oraz z kilku oryginalnych prac piśmiennych, dokładnego o uczoności jego pojęcia powziąć nie można.

Kogoż jeszcze z grona tego znałem? — a! Rustejkę; moja z nim jednak znajomość odnosiła się do epoki, w której on, świeży z uniwersytetu dorpackiego zbieg, o towianizmie nie myślał jeszcze; następnie spotykałem go w Paryżu ulezonego, jak się zdaje, z towianizmu. Mickiewicza, Słowackiego, Goszczyńskiego, widzieć zdaleka nawet zaszczytu nie miałem. Z jednym Rettlem losy mnie zbliżyły tak, żeśmy ze sobą po koleżeńsku byli. Nastąpiło to w r. p. 1866 czy 67.

Emigracya, po upadku powstania styczniowego, była się na wzór i podobieństwo rozwiązanego Towarzystwa demokratycznego zorganizowała, w towarzystwo pod nazwą *Zjednoczenia*. Zjednoczenie posiadało organ własny „*Niepodległość*“, redagowany przez komitet. Gdym w r. 1866 w Brukseli zamieszkał, komitet redagowanie pisma tego mnie powierzył. Objąwszy redakcyę, poszukiwałem współpracowników. Nie przypominam sobie kto wskazał mi Rettla, nauczył, jak się z nim rozmówić mam i ostrzegł, ażebym mu na honorarium zaliczek nie dawał.

Nie pamiętam kiedym i jak z nim po raz pierwszy znajomość zabrał. Wspólnego pomiędzy nami było to, żeśmy obaj w „*Gazecie Warszawskiej*“ naszych myśli przedzę i naszych uczuć kwiaty, o ile na to cenzura pozwalała, składali. Zdaje mi się przeto, że kiedym się w grudniu r. 1863 obroną z więzienia austriackiego wydostał ręką i do Paryża przybył, już Rettla osobiście znałem. I nietylko go znałem, ałem się z nim schodził. Smakowało mi towarzystwo tego belwederczyka, powierzchownością swoją nie zdradzającego ani rycerza, ani spiskowca. Rycerskości nie odpowiadała postawa: wzrostu prawie małego, pękaty, bez chmurnych na czole fałdów, bez groźnego na obliczu wyrazu, śmiesznieby czy to w pancerzu, czy też w mundurze, do miecza przywiązany, wyglądał. Postawa oraz, w połączeniu z akcentem, jaki jej nadawały: drobna twarz, nie wysokie czoło, rudawy zarost i złośliwością uśmiechnięta, przez małe przegładająca oczki, dobroduszość, nie pozwalały go o spiskowość podejrzewać. Za każdym prawie razem, gdym na niego patrzył, przychodziło mi na myśl zapytanie: „I ten to człowieczek spiskował — i porwał się na... zamordowanie tyrana?“

— Czyś ty krzyczał: „śmierć tyranowi!“, wpadłszy do Belwederu? — pytałem go razy parę.

Na zapytanie to odpowiadał uśmiechem fluternym.

Zdaje mi się, ba, pewny tego jestem, że w r. 1864 zagiął był na mnie parol, albowiem na towianizm mnie wyraźnie namawiał. Wymawiałem się mu oczekiwaniem, aż łaska boża na mnie spłynie, na co mi raz odrzekł:

— Eh... nic lepiej...

— Więc ci powiem otwarcie — powiedziałem — nauka wasza do mnie nie przystaje... nie rozumiem jej...

— Chcesz, żebym ci wytłumaczył?..

— Owszem...

— Przyjdę do ciebie na jaką godzinę... Dobrze?

— Ależ bardzo dobrze!..

Umówiliśmy się o dzień i godzinę. Dostałem od niego pozwolenie zaproszenia na wykład ten wuja żony mojej, Aleksandra Potockiego, o którego ciekawości zapoznania się z doktryną towianizmu, wiedziałem.

Zeszliśmy się i Rettel doktrynę nam wyłożył. Nie wyłożył, ale wykladał z górną godzinę. Za wstęp do wykładu służył pogląd na uznawany przez moralistów wogóle za smutny stan moralny ludzkości, zwłaszcza zaś świata chrześcijańskiego.

Stan ów pochodzi od przewagi, jaką sobie zdobyło ciało nad duszą. Powinno być przeciwnie dlatego że taką jest wola boża, którą Bóg, pozostawiający człowiekowi wolę czynienia dobrze lub źle, objawia w momentach, gdy zepsucie dochodzi stopnia oslepiającego, jakiego doszło było w momencie największej cesarstwa rzymskiego potęgi.

Wolę swoją wówczas Bóg objawił przez zesańca swego, Chrystusa, którego poprzedził Mojżesz. W przerwach, momenty takie dzielących, Bóg zsyła ostrzeżenie, dokonywane przez ludzi bądź nauczających, bądź karzących: pierwszym udziela natchnienia, drugim daje różgę w ręce. Do pierwszych

należą apostołowie, ojcowie kościoła, męczennicy za wiarę, do drugich naczelnicy państw, monarchowie, często tyrani.

Punkt ten, któremu ortodoksja religijna nie — jak się zdaje — do zarzucenia nie ma, posłużył mu za wstęp, usprawiedliwiający przyjsie Towiańskiego, natchnionego duchem bożym *m e s y a s z a*, powołanego do nauczania w momencie, gdy miarka zepsucia wyrównywa tej miarce, jaka spowodowała przyjsie Chrystusa. Dla odmalowania miarki owej przytoczę przyrównanie, do którego się Rettel uciekł. Ludzkość, składająca się w części ogromnie większej z ludu pracującego, krzywdzonego, wyobrażeniem którego jest najnieszczęśliwszy z chłopów chłop litewski, przedstawił pod postacią ciągnącego ciężar olbrzymi, zbiedzonego, wychudłego, zgłodniałego, spragnionego konia. Ciężar ciągnie koń — pokorny, w nadziei, że się doczeka garstki siana i trochę wody. I ludzkości, wydanej na pastwę rozpusty lub, jak Polska, w niewolę babyłońską oddanej, nadzieja obroku duchowego przyświeca. Z obrokiem tym, będącym tą dobrą nowiną, która duszę wzmacnia, przyszedł Andrzej Towiański. Nie zamierza on nic zmieniać, przerabiać, tylko chrześcijaństwo podnieść, poprawić, uduchowić, zapewnić duszy należną jej nad ciałem przewagę.

Potąd przykład jego był zrozumiałym. Zacieśniły go szczegóły, odnoszące się do duszy, a tłumaczące się za pomocą tonów, drgnień, barw duchowych, pokutniczych dusz wędrówek itp. osobliwości, odróżniających towiańczyków od śmiertelników zwyczajnych.

Nie pomyślałem wówczas, ażeby mi się kiedyś przydać mogło podanie wykładu tego do wiadomości publicznej, nie znotowałem więc tych przenośni, porównań i przypowieści, jakimi on przepełniony był. To jeno dokładnie pamiętam, że mnie te, w labirynt niby wprowadzające, przenośnie, porównania i przypowieści ani nie przekonały, ani oświeciły, pomimo,

żem je w milczeniu, z natężoną słu­chał uwagą. Po­tockiego zadawał zapytania; ja­m się nie odzywałem. Pod koniec w gło­sie Rettla wzruszenie czuć się dawało. We wzruszeniu po­żegnał nas.

Po odejściu jego milczeliśmy chwilę sporo. Milczenie przerwał Potocki zapytaniem:

— No i cóż?... zrozumiałeś?...

Ramionami wzruszyłem.

— Bom i ja nie zrozumiał nic a nic... — od­powiedział, jakby niema, moją odpowiedź potwier­dzając.

Tak na nieopanowane przez mistycyzm i nie lubujące się w odgadywaniu zobrazowanych w Apo­kalipsie zagadnień umysły, jakie gnieździły się w móz­gach pana Aleksandra i moim, oddziaływała mesya­nistyczna przez Towiańskiego wprowadzona doktryna. Była ona zagadkową i niejasną i dlatego niewybrań­ce, którzy stanowili ogół emigracyjny, na nią, jak ja, ramionami wzruszali. Nie można jednak mówić, ażeby ona po sobie śladów nie zostawiła. Mistycyzm czepia się umysłów niespokojnych, trapiionych zaga­dnieniomanią, jakim się stał, najbogatszą i najpotęż­niejszą wśród poetów naszych wyobraźnią obdarzo­ny umysł Słowackiego, gdy się w cielesnym organi­zmie jego suchoty rozwinęły.

Utwory autora „Beniowskiego“, „Ojca zadzu­mionych“, „Kordyana“, „Grobu Agamemnona“, z cza­sów mocno towianizmem podszytego, stanu jego cho­robliwego, stały się obecnie dla zasilanego obficie suchotami i newrozją modernizmu poetycznego ewan­gelii. Udzieliło się to znów jednak, jak w czterdzie­stych i pięćdziesiątych XIX wieku latach, wybrań­com tylko — wybrańcom, różniącym się od dawniej­szych tem, że tamci nie chcieli, ci zaś chcą, ażeby ich nie rozumiano.

Rettel szczerze chciał dać się dwom osobni­kom, bądź co bądź nie idiotom, zrozumieć i nie do­kazał tego nie z winy własnej, ani z winy słu­chaczy, ale z tej racji, że słuchacze jego nie posiadali

tęgo w duszy narządu, co, jak w instrumentach muzycznych, nadaje się do nastrajania. Narzędem tym jest wiara, a raczej skłonność do wierzenia. Skłonność tę jedni posiadają, drudzy nie (tym drugim wiara nakazywać się daje). Rettel ją posiadał, jak Mickiewicz, Słowacki, Goszczyński, Nabelak, Bońkowski i inni, ale nie wszyscy, a w drobnej jeno mniejszości śmiertelnicy.

Doktryny tęgo, co mesyanizm rodzaju, nie rozumienia, lecz wiary wymagają. Wiara zaś nie wyrozumowuje się, ale nastraja, przelewa, rozbudza. Rozbudzenie przeto wiary zapomocą dowodzeń rozumowych, takiemu nawet jak Rettel, człowiekowi rozumnemu, powieść się wobec ludzi, niezaopatrzonych w narząd odpowiedni, nie mogło.

W trzy lata później, gdym redakcyę organu Zjednoczenia objął i zamówić Rettla na współpracownika zapotrzebował, radzono mi, ażebym się do tego brał ostrożnie dla dwóch głównie powodów: 1) dla zaliczek, o których Rettel zapomina, 2) dla Towianizmu, zabraniającego adeptom swoim bawić się w literaturę.

— Przecież Rettel pisuje do „Gazety Warszawskiej“.

— Tak... zapewne; jest to „le secret du polichinelle“; zawsze jednak sekret, wymagający rozmówienia się na stronie i po cichu.

Wiedziałem, gdzie się z Rettlem zejść można. W pobliżu „Jardins de plantes“ istniała dziurka (tak nazywano po polsku jadłodajnie gatunku podlejszego), której właściciel, człek stary, po grenadyersku zbudowany i po dragońsku wyrazów w rozmowie nie dobierający, był, będąc Francuzem, patriotą polskim. Patriotyzm praktykował, kredytując Polakom.

Karola Pieńkowskiego, który w Warszawie z głodu umarł, w Paryżu zaś, zadłużywszy się w dziurce, na umarcie do łóżka się położył, z łóżka ów Francuz, „bydlęciem“ go nazywając, wyciągnął i od śmierci głodowej uratował. W tej to dziurce

w godzinie obiadowej zastałem Rettla. Nie widzieliśmy się lat trzy z górą, przy przywitaniu przeto mocnośmy sobie dłonie uścisnęli.

— A więc... powracasz do nas... — zagabnął mnie.

— Namiot mój w Brukseli rozbiłem...

— Czemu nie w Paryżu?..

— Bo... — odpowiedziałem, ilustrując odpowiedź gestem, podobnym zapewne do tych, „genialnych“ gestów, jakimi w drugim akcie „genialnego“ dramatu, „Wyzwolenie“, maski dyalogi swoje akcentują.

W obecności paru Polaków obiadujących, zawiązała się rozmowa, w ciągu której przyznałem się do redagowania pisma i znalazłem sposobność dania oczami i brwiami znać Rettlowi, że z nim do pomówienia mam. Po obiedzie wyszliśmy razem i w którejś kawiarni, przy „dmitasce“, gdy on kurzył „briulgelkę“, ja — nie „papierosa“ ale — papieros, o współpracownictwośmy się ułożyli. Układ nie nastąpił bez zastrzeżeń.

— Ale, słuchaj... — wtrącił on: tajemnica... Rzecz zostaje pomiędzy nami dwoma...

— To się rozumie... — odparłem.

— Ale, słuchaj... — odezwałem się ja — z „Niepodległości“ nie zrób, broń Boże, tego, co Mickiewicz z katedry w „Collège de France“ zrobił...

— Za kogóż ty mnie masz?... — odparł.

I współpracowaliśmy ze sobą lat parę w zgodzie zupełnej. Opracowania jego tchnęły duchem tej garstki, co wieczorem dnia 29 listopada r. 1830, przebiegała z karabinami w ręku, z okrzykiem: „Śmierć tyranowi!“, opustoszałe, ciszą strachu zalane komnaty w Belwederze. W „Niepodległości“ propagował walkę o niepodległość Polski „usque ad finem“.

Po latach tylu trudno mi wskazać pisane przezeń artykuły. Pamiętam jeno rozbiór obszerny dzieła p. t. „Henri de Valois“, przez E. V. H. markiza

de Noailles, żonatego z Polką, Lachmanówną, i voto Szwejkowską, dla której się po polsku nauczył i napisał wyżej wymienione dzieło, zatytułowane imieniem tego króla francuskiego, co od tronu polskiego ucieczką się ratował. Na tej markiza de Noailles pracy podpisanem być powinno, obok nazwiska autora wymienionego, nazwisko pracownika, który część pracy trudniejszą: wyszukiwanie i zestawianie źródeł, zestosowywanie następstw z przyczynami, układanie treści, wiązanie całości — odrobił.

Pracownikiem tym był nasz pan Leonard. Jako towiańczyk nie przyznawał się do udziału, jaki wziął w napisaniu książki, która w czasie swoim wrażenie w świecie naukowym sprawiła.

W czasie owym, na emigracyi, i nietowiańczycy do tego sposobu zdobywania kawałka chleba uciekali. Wieści krążyły, że opracowywaniu dzieł naukowych, wydawanych nie pod jego nazwiskiem, oddawał się sławny Ibusz (I. B. Ostrowski), dla którego towianizm był przedmiotem najzjadliwszych złośliwego pióra jego wycieczek.

Rettel w towianizmie był prawowiernym, należał jednak do tolerantów — do tolerantów tej zdaje się kategorii, która wyznaje, że z niebem układać się można (il y a des accommodements avec le ciel). Bienkowski do kategorii tej nie należał. Zdarzali się wśród nich i fanatycy.

A i na Rettla napadały niekiedy momenty, zrozumieć się nie dające.

Wkrótce jakoś po obchodzie pięćdziesiątej wybuchu powstania listopadowego rocznicy, znalazłem się w Paryżu. Obchód dla Belwederczyków, których przy życiu w momencie owym paru jeszcze pozostawało — Rettel, Paszkowski — urządziło miasto Lwów. Rettel do Lwowa był pojechał. O powrocie jego dowiedziałem się od Duchńskiego, który zaprosił mnie na obiad dla spotkania się z również zaproszonym Rettlem. Państwu D. znane były zach-

dzące pomiędzy nim a mną zażyłe stosunki. To też zdziwienie ich było wielkie, moje zaś jeszcze większe, gdy Rettel tym razem w ich domu nie przywitał się ze mną i przez cały, przed obiadem, przy i po obiedzie czas udawał, że mnie nie tylko nie zna ale nie widzi. Nie rozumiałem, coby to znaczyć miało, ale się do tego zastosowałem; wnet też po obiedzie gospodarstwo pożegnałem, nie zwracając na gościa ich uwagi. Schodzę z trzeciego czy z czwartego piętra powoli. Nimem na następne zeszedł piętro, o słuch mój uderzył szybki za mną chód. Oglądam się: Rettel! Biegiem schodzi i mnie dosięgnąwszy, z okrzykami: „kochany! drogi!“ w objęcia mi się rzuca.

— Zwaryowałeś!... co?... — zawołałem, gdyśmy się wyściskali.

— No... no... Nie!... Później... później ci opowiem...

Nie mi później nie opowiedział. Dotychczas nie rozumiem tej odegranej ze mną u Duchyńskich komedyi.

JÓZEF BOHDAN ZALESKI.

Niech to łaskawych sylwet moich czytelników nie dziwi ani gorszy, że do obrazków tych opowiadanych wtrącam osobistość moją. Czynię to z konieczności rzeczy. Na modele do sylwet biorę wyłącznie uczestników powstania listopadowego i to tych tylko, których znałem osobiście, z którymi się bodaj momentalnie stykałem. Reguły tej trzymam się z powodu, że kreślenie sylwet głównie opiera się na wrażeniu; wrażenie zaś osobiste jeno może być rzetelnem.

Nie byłbym w stanie pieśniarza naszego ukraińskiego sylwety nakreślić, gdybym go był przemocą prawie do niego pociągnięty, nie poznał osobiście..

Przemocą mnie pociągnąć trzeba było dlatego, że wielcy poeci, wielcy uczeni, wielcy ludzie, przemawiali mnie czią, nakazującą trzymać się od nich zdaleka. Skąd to się wzięło? Z wychowania może poszło. W dzieciństwie mojem wchłaniałem w siebie cześć dla wielkości polskich, a w sercach tych, co cześć tę we mnie wszczepiali, dla Mickiewicza ołtarz stał. Korzyłem się przed nim, nie śmiejąc się o niego ocierać. Od Mickiewicza przytem oddalał mnie towianizm, nie przemawiający ani do przekouania ani do serca mego. Oddalał on mnie i od Goszczyńskiego, a z nimi dwoma i od poetów innych, którym

składanie hołdów ubliżałoby do pewnego stopnia tamtym. Gdy przeto r. 1858 do Paryża przyjechał, o oddawaniu wizyt znakomitościom naszym, poetom zwłaszcza, ani myślałem. Znalazł się jednak osobnik, co o tem myślał. Osobnikiem tym był Stefan Kraszewski, synowiec Józefa Ignacego, urodzony medyator, współzawodnik we względzie tym Stefana Bobrowskiego. Zamierzył on był do jednego arystokrację i demokrację sprowadzić mianownika i wziął się na mnie, a widząc niemożność przeprowadzenia tego otwarcie, próbował drogi pośredniej, zbliżając wybitniejsze w jednym i drugim obozie osobistości „gente Rutheni“, w fachu literackim.

— Znasz Karola Sienkiewicza? — zapytał mnie z nienacka razu pewnego.

— Nie... — odrzekłem.

— Jakto?... Karola Sienkiewicza nie znasz?... Karola z Kalinówki... wiesz?...

— Wiem... Tłumacz „Pani Jeziora“...

— Toć on nasz... z Podola... I nie znasz go?

— Nie...

— Powinieneś pójść do niego...

— Nie mogę... Czartoryszczyk...

— Eh... — stęknął. — A u Zaleskiego byłeś?

— U którego?... U Bohdana?

— U Bohdana...

— Nie znam go...

— Bohdana?!... — wykrzyknął zdumiony. —

Toć przecie nasz, ukrajiniec... nasza sława, nasza chluba... Jutro jedziemy do niego...

Zawstydził mnie. Wymówić się nie mogłem.

Zaleski z rodziną mieszkał wówczas w Fontainebleau. Zajmował niewielki z ogródkiem domek piętrowy. Zastaliśmy go w domu. Przyjął nas w saloniku na dole. Niebawem zeszła pani.

Nie byłem już pierwszym lepszym, miałem bowiem na sumieniu „Wasyla Hołuba“, „Handzię Zahornicką“, „Z pamiętników włóczęgi“, grzechy w tym rodzaju różne inne, a szczególnie „Udział Polaków

w wojnie wschodniej“, z powodu którego krążyły wieści i plotki o pojedynkach, mianych przezemnie w Konstantynopolu i oczekiwanych w Paryżu. Uchodziłem za coś w guście spadasena i mimo, że się do tej skłonności nie poczuwałem, na wyzwania oczekiwałem. Czyniło mnie to osobistością podwójnie, w literackim bowiem i politycznym względzie, ciekawą. Z tej racji, a i z tej jeszcze, że z Zaleskim miałem — zaprzeczane nam obecnie przez Rusinów galicyjskich — prawo Ukrainę matką zwać, spotkało mnie u Zaleskich przyjęcie uprzejme, serdecznością naakcentowane. Zatrzymali nas na herbatę. Udział pani ożywił rozmowę, toczącą się około polityki i literatury. Państwo Z. wyznawali przekonania demokratyczne, których pani zwłaszcza, Warszawianka bardzo wykształcona, dobra muzyczka, kobieta bardzo miła, była nietylko wyznawczynią, ale i szerzycielką gorliwą.

Schodziła więc mowa i na arystokrację i demokrację emigracyjną, wywołując dyskusję spowodowaną medyatoryzmem Kraszewskiego. Bohdan, powściągliwy zrazu, na dobre się rozgadał, dzięki następczej bodaj czy nie przezemnie materji, tyczącej się głośnego naonczas listu do Juliusza Strużyńskiego, którego autorem był Michał Grabowski. Z Grabowskim Zaleski i w Humaniu i w Warszawie kolegował, znali się i przyjaźnili; miał o nim sporo do opowiadania: o jego charakterze, gustach, skłonnościach, o pierwotnej gorącości patryotyzmu polskiego, o zdziwieniu, jakie w nim, Zaleskim, wywołała wiadomość o liście owym.

— Nie chciałem temu zrazu wierzyć... — powtórzył razy parę.

Widocznem było, że bolał go postępek kolegi, uważany dziś, w mniemaniu różnych „krajowych“, „czasowych“ i innych „ejusdem farinae“ kierowników opinii publicznej za rzecz dopuszczalną a nawet chwalebłą, który jednak w czasach owych za

z d r a d ę uchodził. Powiadano niegdyś, że „ginał jak pies, kto zdradą zaczynał“.

Do kategorii mężów psim zagrożonych losem, zaliczano w szóstym XIX-go wieku dziesięcioleciu: autora listu „d'un gentilhomme polonais“, autora „Listopada“ i innych, dziś rozgrzeszonych. Nie rozgrzeszali ich Zaleski i jego pani, nie rozgrzeszałem ja, nie rozgrzeszał nawet usiłujący demokrację z arystokracją do jednego sprowadzić mianownika i wybaczący z łatwością grzechy pomniejsze, Stefan Kraszewski.

Materya ta przyćmiła dobry humor, który się następnie, gdy na stół poezya wytoczoną została, odnalazł — i znów się obniżył. Obniżenie ja — niestety — sprowadziłem, nie domyślając się tego. Na szczęście stało się to w momencie, gdy powracającym z Fontaineblau do Paryża trzeba się było na pociąg już wybierać. W wagonie Kraszewski zapytał mnie o wrażenie, jakie na mnie Bohdan Zaleski sprawił.

— Dobrze... — odrzekłem. Bardzo dobrze... tylko...

— Zdziwiło cię jego nagłe spochmurnienie... — podchwycił.

— Taak...

— Wiesz, skąd to poszło?...

— Nie wiem...

— Zagadałeś o Słowackim. Gdybym siedział obok ciebie, byłbym cię trącił, ażebyś Słowackiemu dał pokój... Wielcy nasi mocno się na niego krzywią. Mickiewicz za to, że się mu zaćmić nie dał, znieść go nie mógł. Zaleski wybaczyć mu nie może wystosowanej pod adresem Rzymu do Polski apostrofy: „Krzyż twym papieżem jest, twa zguba w Rzymie“.

— Ph!... — pod nosem bąknąłem.

— Cóż chcesz!... — w sensie obroku duchownego odezwał się Kraszewski. Ludzie ludźmi: najwięksi mają słabości swoje... Czy myślisz, że ludzie bez zółci dużo na świecie?...

Pierwsza u Bohdana Zaleskiego bytność moja mimo, że od czasu onego lat czterdzieści pięć upłynęło, w pamięci i w oczach żywo mi stoi. U nas bowiem, na lewobrzeżnej w odniesieniu do Dniepru Rusi, Bohdan w wysokiej był cenie. Jak Litwa się Mickiewiczem, tak Ruś Zaleskim chlubiła. Przyjęcie, jakiegom w domu jego doznał, za wielki miałem sobie zaszczyt — wpatrywałem się w niego, wsłuchiwałem się w mowy jego tony. Było to nie studyowanie, jakiemu oddają się znawcy wobec dzieł znakomitych pędzla lub dłuta, ale wbijanie sobie w pamięć fizygnomii znakomitości, którą szczyci się cała jedna duża ojczyzny naszej dzielnica.

W Paryżu, mnie nie licząc, znajdowało się w czasie owym czterech „gente“ Rusinów, piórem władających: Goszczyński, Karol Sienkiewicz, Olizarowski i Bohdan Zaleski. Od Goszczyńskiego zdaleka się z racyi towianizmu trzymałem; z Olizarowskim zeszedłem się był, alem nie znalazł w nim Olizarowskiego takiego, jakim przedstawiałem sobie autora „Zawieruchy“, „Topir-góry“, lecz z powodu zapewne trzymania się kłamki Hotelu Lambert, obywatela sfilistrzałego. Stefan Kraszewski zaciągnął mnie do Sienkiewicza, u którego przyjęcia doznałem uprzejmego i piłem herbatę, podawaną mi przez panią z takim w oczach i na obliczu wyrazem, który mówił, iżby wołała nigdy fizygnomii mojej nie oglądać. Pozostawał więc jeden, jedyny Zaleski, w którym odczuwałem duszę swojaczą, ożywiającą lepiankę doczesną Ukrainca rzetelnego, Ukrainca, co w młodych latach „nocą na rumaku zbiegał pysznej Kafy gruzy, step tumanny Kataj-Uzy, aż do mętnych pól Budziaku“; na starość zaś, z lirą w rękę chodził od wsi do wsi, siadywał na przyźbach włościńskich i wystosowawszy do gospodarza chaty apostrofę: „Ne żury sia, mij chozaju, ja za datkom ne idu, Ot tak sobi zaspivaju, zaspivaju, ta pidu“ — w otoczeniu parobczaków i dziewcząt wiejskich, w dumkach własną wspominał młodość, „gdy wcie-

lona fantastycznych krain córa, czarodziejka, lekko-
pióra, sama zbiegła mu w ramiona“.

W r. 1858 Zaleski liczył wieku lat pięćdzie-
siąt sześć — wyglądał już na starca, ale na starca
krzepkiego. Tej samej co on porody starców w kla-
sie chłopskiej widywałem mnóstwo, a ponieważ pa-
mięcią sięgałem czasów powstanie listopadowe po-
przedzających, w oczach więc mi podobni do niego
stawali i dotychczas stają lirnicy. Prześladowanie
ich przez Moskwę, usiłującą Polaków i Ruś zmo-
skalić, jak Niemcy usiłują Polaków i Czechów zniem-
czyć, rozpoczęło się naprawdę dopiero po r. 1831.
Przedtem po kraju krążyli swobodnie i w lat dzie-
sięć po opuszczeniu przezemnie ściślejszej ojczyzny
mojej, typ ich w Fontainebleau przedstawił się mi
pod postacią poety polskiego.

Lirnika ukraińskiego był on obrazem żywym.
Wzrostem nie duży, krępy w sobie, barczysty, osobą
swoją nie wydawał cechującej i charakteryzującej
utwory jego lekkości pyłkowej. Język poetyczny pol-
ski zawdzięcza mu giętkość i śpiewność, w czem mu
wielcy nasi nie dorównali; poeci zaś doby ostatniej,
którzy technikę wierszowniczą do najwyższej dopro-
wadzili doskonałości, nie przewyższają go. Nie wiem,
czy on utwory swoje opracowywał, ogładał. Gła-
dzenia na nich nie znać. Czytelnikowi takie sprawa-
wiają one wrażenie, jakby tworzył je na nutę melo-
dyi powietrznej, wygrywanej na instrumencie o stru-
nach z promieni księżycowych.

Dopókim żywemi oczami nie popatrzył na Jó-
zefa Bohdana Zaleskiego, na „Bohdanka“, na „sło-
wiczka ukraińskiego“, wyobrażałem go sobie takim
lotnym, lekkim, jak jego utwory, zaopatrzonym nie
jak my, śmiertelnicy zwyczajni, w cielesne, ciężkie
ruchu organy, ale w „piórka“, które, jak sam o nich
powiedział, po nim u mogiły jego zostaną, a które
czasu jego na ziemi pobytu, „ku niebu go wznosi-
ły“...

Wznosiły w rzeczy samej, nie cielesną jednak,

ale duchową istotę jego, tę, co wytwarzała dla niego ideał „wiary, cnoty i miłości i swobody“. Cieleśnie nie różnił się on od tysięcy innych Ukraińców, Podolaków, Wołynian, którym matka-natura pieśniotwórczego nie udzieliła daru, których jednak obdarzyła zamięłowaniem pieśni.

Dzięki zamięłowaniu temu, niewypowiedzianie wdzięcznym byłem Kraszewskiemu za to, że mnie do Zaleskich zaprosił. Po powrocie od nich przemyślałem nad powtórzeniem wizyty. Ułatwił mi to Zaleski sam, rewizytując mnie. Począłem więc u pp. Zaleskich bywać, co dało mi możność rozpatrzenia się nieco w trybie ich życia domowego.

Panią zajmowały dzieci, małe natenczas — najstarsze liczyło lat dziewięć najwyżej, a było tego bodaj czy nie czworo: trzech chłopców i dziewczynka. Chłopcy odznaczali się swawolnictwem niezrównanym, wymagającym nieodstępnej nad nimi czuwania. Raz w obecności mojej jeden, schodząc ze schodów na rękach nogami do góry, upadł i nos sobie rozbił, drugi, wślazszy do zawieszzonego pod strzechą przybudówka w ogrodzie wiaderka, z wiaderkiem się urwał i srodze się potłukł.

Do Fontainebleau przyjeżdżałem pociągiem południem i po dwóch godzinach odjeżdżałem z powrotem. Niekiedy nie zastawałem Bohdana, spędzałem więc czas z panią. Zwykle z gości nie zastawałem nikogo i nie domyślałem się, ażeby okrom dwojga państwa Zaleskich, ich dzieci i służącej, kto więcej w piętrowym z ogródkiem domku zamieszkiwał. Razu pewnego przyjeżdżam, dzwonię i od służącej co drzwi otworzyła dowiaduję się, że ani pana, ani pani, ani dzieci w domu niema.

— „Partis pour Paris...“

Miałem już na lewo w tył zwrot wykonać, celem błędzenia godzin parę po miasteczku i okolicy, gdy służąca dodała:

— „Le vieux monsieur est là...“

— „Un polonais — zapytałem?”.

— „Mais oui...”

Wszedłem. Dziewczyna mnie na piętro wprowadziła i drzwi pokazała. Zapukałem; na wołanie: „entrez!” — wszedłem i znalazłem się wobec stojącego na środku siwego, słusznego, o minie marsowej jegomościa, który mi dłoń podał. Pozdrowiwszy go dłonią moją uściskiem, powiedziałem mu nie literackie, ale rodowe nazwisko moje. Jegomość odstąpił kroków parę, zmierzył mnie wejrzeniem od stóp do głowy i zapytał:

— Czy nie syn Józefa?...

— Józefa... — odrzekłem.

Imienia tego wymienić jeszcze nie zdążyłem, gdy szyję moją ramiona jegomości otoczyły i do piersi swojej mnie przycisnęły. W uścisku tym słyszałem wyrazy:

— Kolega!... kolega!... Szesnasty... ułanów...

W wyrazach tych głębokie czuć się dawało wzruszenie, którego powód dokładnie później się mi w rozmowie wyjaśnił. Jegomość był to Józef Zaleski.

Z podań o Bohdanie wiedziałem o dwóch Zaleskich: Józefie Bohdanie i Józefie, uchodzących z razu za braci, a trzymających się jeden drugiego silniej niż bracia rodzeni, na wzór bowiem zrosłych ze sobą braci Siamskich. Nie rozstawali się, nie ruszali jeden bez drugiego. Głęboko religijni, silnie wierzący, gdy po upadku powstania listopadowego, do Francji się wraz z innymi dostali, o losy Polski zrozpaczeni, ratunek dla niej widzieli nie w dyplomatyczno-legalnych zabiegach, nie w demokratyczno-rewolucyjnej działalności, ale jedynie i wyłącznie w modlitwie. W przekonaniu tem, powzięli postanowienie wstąpienia razem do klasztoru, wybierając zakon reguły jednej z najostrzejszych — Trapistów. Na przeszkodzie w wykonaniu postanowienia tego stanęła — któżby inny? — niewiasta, panna Rosengarten z Warszawy, córka wynalazcy sła-

wnych w czasie swoim, „rozensgartenowskiemi“ zwanych, pierogów. Urokowi jej uległ Bohdan. Starszemu od niego i przed powstaniem jeszcze z Ponia-towską (jeżeli się nie mylę, może z Hołowińską) ożenionemu Józefowi, na rozstanie się z nim siły i odwagi zabrakło. Ci się pobrali; on przy nich na zawsze, w charakterze zakonnika świeckiego, w roli brata starszego pozostał. Rola brata następnie, gdy Bohdanostwu dzieci rodzić się poczęły, zmieniła się na rolę dziadunia.

Dziadunio — częściej „petit père“, „petit papa“ (dzieci bowiem Zaleskiego, jak dzieci Mickiewicza i wszystkich prawie z r. 1831 tych wychodźców. którym losy z Polkami pożenić się pozwoliły, albo język polski z francuska kaleczyły, albo po polsku wcale nie mówiły) pędził żywot modlitwie i dobrym oddany uczynkom. Od towarzystwa usunął się zupełnie niemal, zajmując w odniesieniu do swoich stanowisko Miecznika, „jakie ten zajął po śmierci córki („Marja“ Malczewskiego): „Mniej z ludźmi, więcej z Bogiem — a zresztą jednaki“.

Z ojcem moim kolegował i przyjaźnił się w postawionym kosztem dwóch obywateli z Wołynia — Rzyszczeńskiego i Marcina Tarnowskiego — szesnastym pułku ułanów. Razem odbyli kampanie 12 i 13 r. Gdy ojciec mój, zamieszkawszy i gospodarząc na Podolu, do Kijowa na kontrakty jeździł, w podróżach tych zajeżdżał w odwiedziny do mieszkającego w majątku własnym, położonym nieopodal od traktu, kolegi. Ojciec mój z nim kolegował w wojsku, ja z synem jego w szkołach. Ostatnia ta racya stała się „raison de plus“ zbliżenia się naszego. Po pierwszym spotkaniu, gdym w zamiarze odejścia na pociąg na zegarek popatrzył:

— O!... — zawołał — nie puszczę dziś ciebie...

Ten dzień — i następny i, po następnym, jeszcze jeden w Fontainebleau mnie zatrzymał. Z nim wyłącznie prawie czas ten spędziłem. Oprowadzał

mnie po okolicy. Przesiadaliśmy w sławionym przez paryżan lesie, na długich o sprawie polskiej, o obowiązkach naszych, o ułodzieży, o przyszłym powstaniu, o stosunkach na emigracyi i w kraju i o religii z punktu filozoficznego rozmowach. Poznałem w nim człowieka światłego, czytanego, przejętego wiarą religijną dziecinną i nad wyraz wszelki skromnego. Bohdanem się zastonił, a raczej zanim się ukrył — przez niego i dla niego żył. Domyślać się, a może przypuszczać się godzi, że w tem służeniu Bohdanowi tkwiła intencya służenia przez niego Polsce. Największe, chlebem powszednim nie zasilane, talenty marnieją.

Józef z powstania wyszedł ze stopniem majora. O majorze Zaleskim ludzie słyszeli; mało go kto osobiście znał. Po wybuchu powstania styczniowego żywo się nim zainteresował. Zalescy natenczas przenieśli się byli do Paryża, zamieszkali na Bati-gnolach. Józef na zdrowiu zapadł; odwiedzałem go w r. 1864 i odwiedziłem w dniu, w którym skonał.— W momencie konania, gdy mnie przed sobą ujrzał, ręce wyciągnął i, dłonie modlitewnie składając, wołać począł:

— Nie mordujcie!... na Boga, nie mordujcie!..

Odnosiło się to do szpiegów, których w czasie owym liczba nie mała pod sztyletami żandarmeryi powstańczej padała.

Pożegnał mnie znakiem krzyża.

Po śmierci Józefa, czasu bez oglądania Bohdana upłynęło mi sporo — lat z górą dwadzieścia. Odwiedziłem go w Villepreux. Owdowiały po żonie i osierociały po córce, wydanej za dra Okińczycza, mieszkał z wnuczką przy tym ostatnim, powtórnie z panną Krechowiecką, siostrą księdza i redaktora „Gazety Lwowskiej“ ożenionym. Był to już, o osłabionym wzroku i przytępionym słuchu, starzec — starzec zgrzybiały. Do połowy pierś obfita zasłaniała mu broda, nadając osobistości jego charakter typowej dziada ukraińskiego postaci. Dziady podobni dawniej

z lirami chodzili, albo, gdy im zdrowie służyło, funkcję pasieczników pełnili. Dziś rządy ojcowskie (?), o szczęście przezywanych Rosssyanami Rusinów dbające, lirę im z rąk wydarły. Pasieczników z pasiek wygnały ule Dzierżona, wprowadzając na miejsce ich entomologów.

Entomologowie wielkie zapewne w pszczelnictwie niosą korzyści; czy jednak który z nich potrafiłby, jak pasiecznik z pod Kaniowa, u którego, jak podanie głosi, wychował się Bohdan Zaleski, wyhodować poetę?... Żal zbiera, gdy się pomyśli o pieczołowitości rodzicielskiej Moskwy, która dla dobra (?) Rusi wygubiła w niej lirników, oraz o tej gałęzi naukowej, która z pasiek ukraińskich kazki, bajki i pieśni wypłoszyła.

SEWERYN GAŁĘZOWSKI.

Śród emigracyi polskiej w r. 1831 postacią jedną z najwybitniejszych był dr. medycyny i chirurgii, Seweryn Gałęzowski. Zeszedłem się z nim po moim z Konstantynopola do Paryża przyjeździe (r. 1858) w jakimeś — dobrze nie pamiętam, interesie publicznym, o którym był uprzedzony, albowiem na mnie u siebie w mieszkaniu o godzinie porannej czekał. Gdy się w obec niego znalazłem, od pierwszego nań oka rzutu, byłbym w nim, chociażbym o tem nie wiedział, poznał profesora. Słuszny, szczupły, o wyrazie oblicza znamionującym pewność siebie, wzbudzał cześć, tem mocniej mi się uczuwać dającą, że był jednym z przedstawicieli nauki, którą cześć od dzieciństwa mnie nauczono, o ile — rozumie się — przedstawiciel onej Moskalem nie był. Profesorów uniwersytetu Polaków rzadko mi się w życiu spotykać zdarzało. Znałem Zienowicza i Andrzejowskiego krzemieńczanów, na katedrze widziałem Fonberga, po nich, nim do Lelewela trafiłem, najpierwszym był Gałęzowski — słuszny, imponujący, ogolony (w czasach owych w sferze mężów nauki wasy, broda, bokobrody nawet uchodziły za rzecz zdrożną).

Interes, co mnie do niego sprowadził, tyczyć się musiał obchodzących mnie bardzo stosunków z Rusią, zwłaszcza zaś z Rusią pod panowaniem

moskiewskiem. Z Gałęzowskim znosili się w sprawach polskich obywatele krajów zabranych (po dzisiejszemu, gubernii południowo-zachodnich) tej sfery, w której nie łatwo poławiają się ludzie, skłonni zajmować się taką, jak polska, sprawą, na wielkie nie-raz śmiertelników, bezpieczeństwo własne i wygody miłujących, narażając przykrości. Jednym z takich, co bezpieczeństwa przestrzegali i wygodami nie pogardzali, mimo to od służenia sprawie polskiej się nie odwracali, był cieszący się nie małym śród obywatelstwa polskiego na Rusi, którą sobie Moskwa przyśadziła, mirem, sędziwy pułkownik, Marcin Tarnowski. Pułkownik z Gałęzowskim nie w innych tylko w publicznych znosił się sprawach. Ponieważ o tem wiedziałem, ponieważ dużo o Tarnowskim od ojca mego, który pod dowództwem jego kampanię r. 1812 odbył, dobrego słyszałem; ponieważ w sąsiedztwie Podhorzec (własności i miejscu zamieszkania jego) miałem kolegów uniwersyteckich i przyjaciół, na których współdziałanie w robotach politycznych liczyłem: te przeto powody mnie do zabrania z drem G. znajomości skłoniły. Przytem — i to mnie jeszcze do niego zbliżało, że pochodził z Ukrainy. Na świat r. 1800 przyszedł we wsi Kniaża Krynica, leżącej na porzeczu Tykicza w powiecie Lipowieckim gub. Kijowskiej, niedaleko od Bałabanówki, którą wstawił kowal, majster od rusznic z napisem: „Se gut, se bon, se Sagalas London, se Iwan kowal de Bałabanówka“. Jeszcze i przysłowie Bałabanówkę wspomina: „Gdzie Krym, gdzie Rzym, gdzie Bałabanowiecka karczma“.

Kniaża od tego siola sławnego oddaloną jest o wiorst 10. A i Human nie za górami: o mil ukraińskich pięć i pół, ludzkich ośm. Dzięki też tej — przypuszczać należy — nie wielkiej stosunkowo od Kniaża odległości Humania, bardziej zaś może dzięki sławie szkół humańskich, edukacya doktora i profesora przyszłego rozpoczęła się u Bazylianów. Zdaje się, że szkoły humańskie skończył wcześniej, niż na-

sze znakomitości literackie: Bohdan Zaleski, S. Goszczyński, Mich. Grabowski, Aleks. Groza i inni, nie przypominam sobie bowiem, ażeby nazwisko jego obok ich nazwisk w relacjach o szkołach bazylian-skich w Humanu wymienianem było.

Z Humania wprost udał się do Wilna, wstąpił na wydział medyczny, doktoryzował się i w tymże uniwersytecie wykładał chirurgię jako adjutant profesora, głośnego w swoim czasie, Pelikana. Powołany następnie do Warszawy, wysłany został przez uniwersytet warszawski za granicę, celem wystudowania nowych w chirurgii wynalazków. Do stolicy powrócił po wybuchu powstania listopadowego; sztab departamentu wojny przydzielił go do szpitalów wojennych.

Skompromitowany w sposób ten w oczach rządu rosyjskiego, mając skutkiem tego przed sobą zakończenie kariery medycznej na Syberji tem pewniej, że u niego złożonym był akt detronizacji Mikołaja I, opuścić wraz z innymi Polskę musiał. Zamiarem jego było pozostać w Niemczech, gdzie rozprawy jego, treści chirurgicznej, ogłaszane w wydawanym przez Graefe'go i Waltera „Journal der Chirurgie“, wyrobiły mu wziętość w świecie naukowym.

Lecz Rosya ścierpieć obecności w położonym o miedzę z nią kraju, przechowywacza dokumentu carowi jej ubliżającego, nie mogła. Gabinet petersburski zażądał wydania Gałęzowskiego. Ostrzeżony przez przyjaciół w Hamburgu, przyjął propozycję kompanii, eksploatującej kopalnię srebra w Meksyku, a potrzebującej lekarza i odjechał do Ameryki. Kompania zakontraktowała go na lat trzy, po odświeżeniu których i zdaniu egzaminu w Meksyku, mieście stołecznem, osiadł w stolicy jako lekarz-chirurg.

Praktyka poszła i szła mu pomyślnie, szykując dla niego w Ameryce świetną, we względzie zwłaszcza majątkowym, przyszłość. Stało się z nim jednak wedle wyrazu filozofii narodowej, zawartego w przy-

słowi: „Natura wilka ciągnie do lasu“. Na wieść o wypadkach r. 1848, który się z wiosny dla Polaków zapowiedział na podobieństwo tego roku, o którego wiosnie Mickiewicz powiada, że „jedną tylko miał w życiu“.

Dla „zrodzonych“ później niż autor „Pana Tadeusza“ „w niewoli, okutych w powiciu“, wiosny podobne powtarzają się i... powtarzać się będą, póki Polska nie odzyska bytu niepodległego. Odczuł ją Gałęzowski w r. 1848 pod niebem tropikalnym i drogę na Stany Zjednoczone Ameryki północnej obracając, do Europy pośpieszył, licząc zapewne na to, że się doświadczenie jego chirurgiczne w Polsce przyda. Pola jednak dla siebie odpowiedniego, jako dla chirurga nie znalazł, pomimo, że się zapasy wojenne w Europie o wolność, oraz poza Polską i w Polsce o Polskę toczyły.

Za to znalazło się pole inne — pole również walki, walki zdobywczej: o światło, bez którego walczenie o wolność jest szarpaniem się na oślep. „I durniowi wolność miła“... — powiadają włościannie w Lipowieckiem, w Humańszczyźnie, w Niemirowszczyźnie, na Rusi całej, ściślejszej Seweryna Gałęzowskiego ojczyźnie, której lud ciemny do walki rzekomo o wolność prowadzili Nalewajki, Pawluki, Chmielnicy i inni, ażeby dla trzech narodów — ruskiego, litewskiego i polskiego — wywalczyć niewolę. Dlatego też zapewne, aby lud polski w oczekujących go walkach o wolność nie dostał się w ręce Pawluków, Nalewajków, Chmielnickich, Gałęzowski, przybywszy w r. 1848 do Europy, rozpatrywał się lat parę w sytuacji i stosunkach społeczno-politycznych, rozważał warunki, w jakich się Polska wobec perspektywy w bliższej, dalszej i jeszcze dalszej przyszłości, koniecznej dla niej walki orężnej znajdowała.

Zważywszy to wszystko, a i to także, że w sprawie polskiej, jak w sprawach wszystkich w niewoli pozostających a prawa do bytowania nie-

zależnego mających narodów, ważną wychodźtwa odegrywają rolę, musiał szczególną na walkę o światło — na emigracyi zwłaszcza — zwrócić uwagę. Nie on się tego domyślił, albowiem w łonie emigracyi polskiej we Francyi, znalazł się nietylko na drodze „kłótni“ o kierunki polityczne, ale i na drodze gorliwego w otwieraniu zakładów edukacyjnych spółzawodnictwa.

Stronnictwo demokratyczne współbiegało się na drodze tej z arystokratycznym. To ostatnie, zasobniejsze w środki pieniężne i zaopatrzone w stosunki odpowiednie, najpierwsze założyło Towarzystwo historyczno-literackie, oraz Stowarzyszenie pomocy naukowej, zakładało szkółki, założyło bibliotekę. Demokraci poprzestawać zrazu musieli na publikacyach, zawierających bądź poglądy, bądź rozprawy historyczne, ekonomiczne, polityczne, ogłaszali prace takie, jak „Przegląd dziejów polskich“, w końcu, w r. 1841 zdobyli się na szkołę średnią.

Chociażby nawiasowo zauważyć należy, że wśród różnonarodowych emigracyj politycznych, emigracya polska szczególnie się o szkoły i zakłady naukowe troszczyła. Tak było ongi w Europie; tak jest obecnie w Ameryce.

Nie jest-że to świadectwem, że potrzeba uświadomienia narodu, celem przysposobienia go do działalności na drodze walki o wolność, uznawaną była przez emigracyę w czasach, kiedy emigracya zastępowała obezwładnioną przez zaborców Polskę*)? Z niej potrzeby tej uznanie na kraj przeszło.

Szkołą polską, najpoważniej się na emigracyi w r. 1848 przedstawiającą, była szkoła zwana i dotychczas nazwę Batignolskiej nosząca. Do założenia jej pomysł powzięli Henryk N a k w a s k i i Wincenty K r a i ń s k i. Omówienie pomysłu nastąpiło d. 16

*) Potrzebę światła, dla zapewnienia powodzenia walce o wyzwolenie Polski, rozumiano w czasach onych, nie zupełnie jednak, ale częściowo, jednostronnie. Sto-

maja 1841, w mieszkaniu generała Dwernickiego, w obecności Ant. Goreckiego i prof. Ant. Michalskiego**).

Nie mam zamiaru o losach szkoły Batignolskiej opowiadać. Wspomnieć jednak winienem, że w r. 1848, gdy rewolucya lutowa zamieszanie w niej sprawiła, a liczba uczniów powiększała się i mimo, że subwencya rządowa cofniętą jej nie została, finanse szkolne w nie nader pomyślnym znajdowały się stanie, szkoła w trudnem znalazła się położeniu. „Być albo nie być“. W momencie tym zjawił się Seweryn Gałęzowski i uratował szkołę, dzieląc się z nią owocami swojej pracy lekarskiej w Meksyku. Zamianowany przez Radę szkolną skarbnikiem, służył jej najprzód jako skarbnik, następnie jako prezes Rady — i starał się o nią i zabiegał, ofiarował jej swój czas, podtrzymywał ją nierzadko groszem

sowano ją do kierowniczej społeczności klasy, przysposabiając przewodników w akcyach zarówno polityczno-społecznej, jak wojennej. Liczono na to, że na wezwanie kierowników lud pójdzie, porwany tem uczuciem, które szczuple szeregi polskie pod Raclawicami hucem kosynierów wzmocniło. Stronnictwo demokratyczne na emigracyi z r. 1831 liczyło na spotęgowanie patryotyzmu ludowego przez nadanie włościom wolności i własności.

Rachuba ta okazała się błędną ze względu na to, że nadaniami tego rodzaju (do którego obecnie obietnice socjalistyczne wchodzą) posługiwać się w razach danych mogą zaborce Polski, biorąc nadania na rachunek własny. Ciemne, nieświadomione masy są materiałem, który się tym, zwłaszcza, co władzę w rękę dzierżą, do wysysku nadaje. Ten sam lud, co w r. 1794, na wezwanie szlachty, ku obronie ojczyzny z kosą w garści się pogarnął, w r. 1846, na wezwanie ofiarującej mu wolność i własność szlachty — szlachtę wyrzucił.

***) „Bulletin Polonais“ nr. 29 z d. 1 kwietnia 1891 str. 72—73.

własnym i, gdy ją do świetnego doprowadził stan, ściągnął na siebie oskarżenia i zarzuty, odsądzające go od czci ludzkiej i wiary polskiej.

Co się czci ludzkiej tyczy, wszystkie odnoszące się do niej czynione Gałęzowskiemu zarzuty, można, ba, należy zaliczać do kategorii wymyślań, co do wyrazów a zmyślań, co do rzeczy. W żadnym razie na naganę nie może zasługiwać człowiek, co dobrowolnie a bezinteresownie poświęcał się wychowywaniu młodzieży. Krytyce podlegają sposoby, systemy, metody, ale w żadnym razie nie chęci. Sposoby wychowawcze — jakże się zmieniały!.. Wychowanie w Grecji starożytnej regulował rytmizm, ku rozwijaniu którego służyły ćwiczenia cielesne i muzyka. Scholastyctw średniowieczny unieruchomił młodzież przy książce. Obecnie pedagogia racjonalna nie obchodzi się bez gimnastyki i muzyki (śpiewów). Bazylianie w Humanu, z rąk których Gałęzowski wyszedł, ćwiczeń cielesnych ani na majówkach ani na rekreacjach nie odrzucali; lecz ćwiczeniom tym towarzyszyły ćwiczenia sobotnie, stosownie do rady „bicia dziateczek różeczką“ Ducha świętego.

W dzieciństwie mojem o uszy obijały się mi opowiadania o Bazylianach, którzy w cholewach kańczuki nosili. Jeżeli reminiscencye te służyły Gałęzowskiemu za wskaźnik w kierownictwie szkołą, zasługiwałyby na krytykę, na surową krytykę, lecz nie na co innego. Na krytykę zasługiwałyby oraz wyniesione ze wspomnień bazylikańskich a może i z okazji szkół meksykańskich, za zbyt silne sprężyny klerykałnej przyciskanie. Nie spotykałem się jednak z krytyką ku podobnym zwróconą niedostatkom pedagogicznym. Broszury i artykuły dziennikarskie, przeciwko Gałęzowskiemu zwrócone, nie krytykują, ale oskarżają, sądzą i wyroki ferują.

Najcharakterystyczniejszym i bodaj czy nie najpierwszym we względzie tym jest arkuszyowy z górą przedruk w r. 1853 z „Nowej Polski“ arty-

kułu, wystylizowanego przez J. B. Ostrowskiego p. t. „Szkoła Polska Narodowa w Batignolles“. Autor zarzuca Gałęzowskiemu: wynaradawianie szkoły dla dogodzenia Rosyi i daje na to dowody. Dowody, mające przekonać czytelników o zasługiwaniu się przez oskarżonego caratowi, nie trzymając się jedne drugich, nie przekonywują nikogo już przez to, że wysługiwania się podobnego, za zbyt ryzykownego, nie chwytaliby się człowiek taki rozważny i praktyczny jak dr. G. Czy mu potrzebne były te trudy i kłopoty, jakie go otoczyły, te przykrości, z jakimi się spotkał? Gdyby miał takie, jak J. B. O. powiedział, u Moskali zachowanie, potrzebował się tylko do amnestyi podać, a otrzymałby ją tem łatwiej, że rząd rosyjski w czasie owym — w przededniu wojny wschodniej — po świecie rozbijał się za specjalistami w zakresie medycznym.

Byłaby mu się przeto, gdyby rząd petersburski nie miał z nim na pieńku (o czem wspomniałem powyżej) dostała nietylko amnestya, ale i, jeżeli nie katedra uniwersytecka, to dyrekcya jakiegoś na teatrze wojny szpitala głównego.

Zarzut wynaradawiania młodzieży słusznym był pozornie z tej racyi, że ze szkoły wychodzili ludzie młodzi, nie władający biegle językiem polskim. Wielu z nich rozmowy po polsku podtrzymywać nie było w stanie i zapominało następnie mówienia językiem ojcowskim. Byli to synowie Francuzek, które za Polaków powychodziły. Ojcowie na utrzymanie rodziny pracowali; matki dzieci wychowywały i w otoczeniu francuskim je trzymały. W warunkach takich wychowanie „narodowe“ za cel mieć musiało nie język ale duch, wpajając w umysły młodzieży znajomość Polski, jej dziejów, jej literatury, jej znaczenia politycznego i przydatności cywilizacyjnej, szczepiąc w wychowanców przywiązanie do sprawy polskiej, krzyżującej się ze sprawą francuską i w niejednym zlewającej się z nią względnie. Wyjaśnił dokładnie zadanie tej młodzieży polsko-

francuskiej członek Rady, Stanisław Poniński, na obchodzie zakończenia roku szkolnego 1860, w przemówieniu do niej: „Kochajcie Francję, drugą ojczyzną naszą, lecz pamiętajcie zawsze, żeście Polacy. Służcie Francji gorliwie do momentu, w którym was Polska do służenia sobie i do poświęceń powoła; i gdy ów upragniony moment nadejdzie, wówczas, wierzącemu, Francya, ten naród po apostołsku cywilizacji przodujący, ta jasno Europę oświecająca pochodnia, ta Francya tak w wiedzę i talenty bogata i płodna, zamiast Polsce usług waszych zazdrościć, pobłogosławi wam, dzieciom swoim przybranym, na łonie jej wyhodowanym*“.

Dziś by Poniński, gdyby z grobu powstał, tego nie powiedział; wówczas jednak Francya była czołem innym bóstwom i w Polsce współpracownicę na roli cywilizacyjnej widziała.

W tym duchu i w tym kierunku wychowywała się w szkole polskiej w Paryżu, pod kierownictwem dra Gałęzowskiego, młodzież. I młodzież ta podwójnej ojczyźnie swojej egzamin patryotyczny czynnie w razach potrzeby składała. W r. 1863, wyższe szkoły Batignolskiej klasy opustoszały. Poszli profesorowie, poszli uczniowie i ci ostatni, jedni język polski kalecząc, drudzy wcale po polsku nie mówiąc, po polsku się w Polsce o Polskę bili i ginęli. Oddział Łapińskiego (wyprawa morzem na Litwę) całkowicie się z nich składał; w oddziale Mierosławskiego nie mało ich było. Nie długo później (1870—1871) Francya wychowawców batignolskich do egzaminu patryotycznego powołała. I ten chlubnie zdali**).

*) „Bultetin Polovais“ Nr. 54 z d. 1 lutego r. 1892 str. 9.

**) Niechętnych szkoła ta, doprowadzona obecnie do rozmiarów bardzo skromnych, miała i ma zawsze mimo, że nie można domyślić się uiechęci powodów istotnych. W pojawiających się w czasach późniejszych

Na tym atoli drugim, pod dyrekcją Gałęzowskiego egzaminie, szkoła wyszła fatalnie. Zagroził jej upadek i byłaby niechybnie upadła, gdyby jej Gałęzowski, powodując się tą zdrową, polityczno-strategiczną regułą, że raz zajętego posterunku nie opuszcza się lekkomyślnie, nie uratował. Służył jej do śmierci. Umarł w Paryżu d. 21 marca 1878 r., pozostawiając po sobie zaszczytne wspomnienia tak w historii szkoły polskiej na emigracji, jakoteż w legacie 5000 rocznie, złożonym w Akademii umiejętności w Krakowie, pod „nazwą „Stypendyum imienia Jana Śniadeckiego“, przeznaczonego na kształcenie Polaków na profesorów uniwersytetu w działach kolejno nauk raz ścisłych, znów filozoficznych.

W osobie jego zgasł człowiek, zasługujący i na pamięć i na wdzięczność narodu, którego był synem kochającym i któremu wiernie a gorliwie służył.

O mojej z nim znajomości osobistej wspominałem na początku sylwety niniejszej. Schodziłem do niego nie inaczej, tylko w interesie, dwa, najwyżej trzy razy, a zawsze w porze śniadaniowej. Interes załatwiałem zwykle przed śniadaniem.

broszurach i artykułach dziennikarskich, obok zarzutów, odnoszących się do narodowości polskiej, zwracają się oraz zarzuty przeciwko administracji, marnującej jakoby duże fundusze, które by się gdzie indziej korzystniej, aniżeli w Paryżu, zużytkować dały. Póki Brazylja z mody, we Lwowie zwłaszcza, była nie wyszła, dla funduszów tych cele wskazywano w Paranie; zdaniem znów innych najodpowiedniejszem na zużytkowanie ich miejscem jest Śląsk. Zdarzają się jednak i tacy, którym się rozmaite zdrady narodowe przywidują. Zarzuty te świadczą o mocy tradycyji rozlicznych: obyczajowych, zwyczajowych. przesądnych, oszczerczych i innych.

Do stołu zasiadało nas czterech: doktor, Władysław Ordęga, syn Józefa, demokraty i republikanina tak skrajnego, że go za swego socjaliści dzisiejsi podają, Ksawery Gałęzowski, synowiec Seweryna, dziś okulista sławny, wówczas okulistykę studujący i ja. Przy śniadaniu za każdym razem wobec mnie zawiązywała się ostra a zawzięta pomiędzy Ordęgą, demokratą-republikaninem, a Ksawerym G., konserwatystą-monarchistą, dyskusja o zasady. Wywoływał ją, jakem zauważył, synowiec doktora na intencję moją, w myśli złośliwej ugryzienia mnie, osławionego na punkcie demokracji w sferach przywoitych. Domyślając się tego, w dyskusji udziału nie brałem, tem bardziej, że w Ordędze znajdował się dla mnie wyręczyciel świetny, o desperację przeciwnika przyprowadzający. Doktor również udziału nie brał; od czasu do czasu na mnie z uśmiechem spoglądał i oczami na rzucających się na siebie, jak dwa młode koguty, zapaśników wskazywał.

Dr. Seweryn Gałęzowski oficjalnie do żadnego ze stronnictw emigracyjnych nie należał, stojąc na stanowisku bezstronnem, odpowiedniem kierownikowi szkolnemu. Utrzymywał stosunki ze wszystkimi: z Czartoryskim, z Mierosławskim, ze wszystkimi słowem. Sądząc jednak wedle przyjaciół, do których łgnął, a którymi byli dr. Hłuszniewicz, Teofil Janusiewicz, Józef i Władysław Ordęgowie, Bohdan Zaleski i tym podobni, sądząc po udziale, jaki w służeniu sprawie powstania styczniowego wziął, przekonania ku demokracji wcale wyraźnie ciężył.

STANISŁAW MALINOWSKI.

S. Gałęzowski, gdy szkoły polskiej na przedmieściu Batignolles kierownictwo objął, zastał na czele ciała nauczycielskiego i gromady uczącej się, dwóch mężów: Hipolita Klimaszewskiego, dyrektora, i Stanisława Malinowskiego, prefekta (préfet des études).

W życiorysie S. Malinowskiego, zamieszczonym w „Bulletin Polonais“ z r. 1891 od Nru 49 do Nru 57 włącznie, nie znalazłem jasnego funkcji tej wytłumaczenia. Uwagę tę czynię mimochodem i przechodzę do nakreślenia pobieżnie, wedle tegoż życiorysu, kolei, przez jakie przechodziła osobistość emigranta, wziętego za przedmiot sylwety niniejszej.

Z góry oznajmiam, że osobistość to charakterystyczna i typowa ze względu na pojmowanie obowiązku i stosowania się do pojmowania skryształowanego w przekonanie.

Malinowski należał do tego śmiertelników rodzaju, co nie chwyta się przekonań gotowych — narzuconych lub wmówionych — ale je w sobie urabia, przechodząc umysłowo przez fazy, mające znaczenie prób czy doświadczeń. Jedno, co się w nim nie zmieniało i nie zmieniło, to miłość ojczyzny. Głęboki a gorący patryotyzm był gruntem, uprawianym stosownie do poglądów pojęciowych,

którego istota jedną i ta samą, niezmiennie polską, pozostawała.

Przyszedł na świat w 1812 w zredukowanej do rozmiarów Księstwa Warszawskiego Polsce; nauki gimnazyalne z dobrem powodzeniem odbył w Kielcach i po otrzymaniu świadectwa dojrzałości, wstąpił do uniwersytetu w Warszawie. Wybuch powstania r. 1830 oderwał go od nauki. Zaciągnął się do pułku strzelców pieszych. Słaba jednak kompleksya, wzrost szczupły i stan chorobliwy to sprawiły, że nie w szeregach, ale w kancelaryi pułkowej kampanię w stopniu podporucznika odbył. Żartem opowiadał o kuli działowej, co mu między nogami przeszła; nie żartem atoli, zamiast z Rybińskim wyjść do Prus i stamtąd powędrować do Francji, zwrócił się na południe, do Krakowa i w Krakowie od razu wykierował się na spiskowca. Spiskował zawzięcie, łącząc się ze stowarzyszeniami, wyznającymi najskrajniejsze polityczne, społeczne i religijne zasady, a nawet zakładał jeszcze skrajniejsze.

Gdy mu się za bładem wydało „Towarzystwo Ludu Polskiego“, znajdujące się pod kierownictwem radykalnych demokratów-republikanów, jakimi naówczas byli Seweryn Goszczyński i Franciszek Smolka, zawiązał „konfederacyę“, występującą nietylko przeciwko tronom, ale i przeciwko ołtarzom.

Propagował antykatolicyzm, konspirował wspólnie z Albinem Dunajewskim. Wziął udział w wyprawie Zaliwskiego, co mu jednak na sucho uszło dlatego zapewne, że tajne policye austriacka i moskiewska, węsząc za sprzysiężeniami i spotykając Malinowskiego, pomijały go, nie przypuszczając, aby ta, tak marnie wyglądająca figurka, posiadała tyle kwalifikujących ją na szubienicę przymiotów.

Konspirując, trudnił się nauczaniem po szkołach i pensjach w Krakowie i Tarnowie, W r. 1839, gdy policya mocno się na „roboty podziemne“ zawzięła i wpadłszy na ślady, tropić konspiratorów poczęła, Malinowski zmuszonym został grunt polski

opuścić. Udał się do Francji, ogólnego w czasach owych zbrodniarzy politycznych przytuliska.

Sz. prof. W. Gasztowtt, autor życiorysu Malinowskiego, dziwi się zmianie, jaka w przekonaniach i wierzeniach jego zaszła, gdy progi szkoły batignolskiej przestąpił. Nie dziwiłby się, gdyby tę zmianę porównał ze zmianami, jakim inni wybitni mężowie ulegli. Wymienię niektórych. Skazany za radykalno-rewolucyjne, wywrotne przekonania na śmierć Franciszek Smolka, wyporządniał tak dalece, że stał się tronu podporą. Seweryn Goszczyński do towiańczyków, wierzących w mesyanistyczne cara powołanie, przystał. Albin Dunajewski wykierował się na biskupa i kardynała.

Fenomeny podobne tłumaczą się psychologicznie wedle tego chemicznego procesu, jaki się w fermentujących odbywa płynach. Wszelkie fermentacje albo się klarują, albo się krystalizują, psując się, wydają męty, obrzydliwości, trucizny. Proces ten przechodzą i dusze człowiecze. Dusze młode, do płynu fermentującego podobne, lud przysłowiowo do młodego, burzącego się piwa porównywa. Była więc młoda Malinowskiego dusza młodem piwem — burzyła się, przyskała, ponieważ jednak do substancji jej zasadniczej wchodziła miłość ojczyzny w połączeniu z poczuciem sprawiedliwości altruistycznej, religijność, jaka ją opanowała, wyklarowała się nie na fanatyzm kościelny, ale na chrystyanizm patriotyczny, na podobieństwo takiego chrystyanizmu, jakiego piękny i czysty wzór w oczach naszych zostawił po sobie ksiądz Józef Dąbrowski, założyciel seminarium i szkoły dla dziewcząt w Detroit, w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej.

Zdaje się, że proces, jaki się w duszy Malinowskiego odbył — odbył się na podstawie tej na wylot chrześcijańskiej wyrozumiałości, która tłumaczy się regułą: „Nie sądźcie, ażebyście nie byli sądzeni“. Z demokracji, z republikanina, z rewolucjonisty, z panteisty, z deisty — z ateusza może, stał

się katolikiem gorliwym i jako taki powinien był pospolitym nawróconych i renegatów wzorem, grzechy młodości własnej gromić i ścigać w innych. Na przeszkodzie temu stanęła wysoko w duszy jego rozwielniona etyka. Wskazała mu ona drogę pedagogiczną, polegającą na wytyczaniu dla młodzieży drogi cnoty przede wszystkim przykładem własnym, nie dopuszczając jej do zbroczeń za pomocą dozoru troskliwego, połączonego z surowością umiarkowaną. Autor życiorysu jego wzmiankuje o kłopotcie, jaki dyrektorowi sprawiło raz pewnego odkrycie spisku w szkole. Uczniowie klas wyższych założyli namiot węglarski. On, spiskowiec dawny, z doświadczenia wiedział, że nie wszyscy z namiotu tego wykierują się na dobrych kościół katolickiego synów. Jak zapobiedz temu, ażeby odbywający się w duszach tych młodocianych karbonaryuszów ferment, nie poprowadził niejednego z nich w kierunku, oddalającym go i od Polski i od kościoła? Nie zanotował autor życiorysu, jak sobie Malinowski w wypadku tym poradził. Znana jest jeno rzecz, że spiskowców tych sporo do Polski w r. 1863 poszło i nie jednego z nich kości na ziemi polskiej, w kostnicy ofiar za ojczyznę, zostały.

W momencie, kiedy dr. S. Gałęzowski kierownictwo zwierzchnie w szkole objął, nad uczniami, jak rzekłem wyżej, czuwali: Klimaszewski, dyrektor i Malinowski, prefekt. Obchodzenie się ich z młodzieżą tem się różniło, że jedno odznaczało się liberalizmem, drugie surowością. Było to przyczyną, że Rada szkolna bliższe nad uczniami czuwanie powierzyła Malinowskiemu i, następnie, ponieważ sposób ten nie dawał rezultatów pożądaných, udzieliła Klimaszewskiemu dymisji. Wywołało to było w czasie swoim (r. 1853) na emigracyi ostrą polemikę. Malinowski dyrektorem został nie od razu; czas jakiś dyrektora zastępował, potem pełnił funkcje prefekta i nauczyciela, wreszcie dyrekturę objął i do śmierci ją sprawował. W czemże się surowość jego

przejawiała? Nie mogła się przejawiać w czem innym tylko w rodzaju kar, wymierzanych swawolnikom, nieposłusznym, łotrzykom, leniwym. Surowość rodzajów owych, o ile się wiadomości o niej poza murami szkolnymi rozchodziły, wcale zbyt dużą nie była. Zaznaczała się ona tem chyba, że obok kar, znajdujących się w użyciu w szkołach francuskich, wprowadził kary na sposób polski: stanie w kącie, klęczenie zwyczajne i z rękami podniesionemi i tak zwane „marki“. Marki dawano specjalnie za język polski. W szkołach polskich służyły one jako środek pomocniczy przy nauczaniu języków obcych: francuskiego, niemieckiego, łacińskiego. Naznaczane były dnie, w których jednym z tych języków uczniowie wszyscy mówić byli powinni. Sposób ten stosowano zwłaszcza w konwiktach. Polegał on na zawieszaniu na szyi tabliczki z napisem: „Langue française“, albo „Deutsche Sprache“, albo „Lingua latina“ i ten, co ją nosił, obowiązany był wyuczyć się na pamięć słówek francuskich, niemieckich lub łacińskich ilością oznaczoną. Noszącemu markę, przysługiwało prawo zawieszenia tabliczki na szyi temu, co się zakazanym odezwie językiem.

Podobno sposób ten do szkół swoich najpierwsi wprowadzili jezuita. Malinowski wprowadził go do szkoły polskiej w Paryżu, nie na długo jednak, okazał się bowiem niepraktycznym i za zbyt jezuitckim przez to, że obarczonych tabliczkami wprawiał do podsłuchiwania kolegów, celem oddania marki temu, w którego ustach słyszeć się da mowa zakazana. Długo nie wiedziałem, w czyjem ręku spoczywa dyrektorska w szkole batignolskiej władza. Nie przypominam sobie roku, w którym zjechałem się był w Paryżu z Henrykiem Gropplerem, dobrym moim z Konstantynopola znajomym. Umówiliśmy się skosztować razem śniadanie w jednej z restauracyj w Palais-Royal. Gdym na rendez-vous to przyszedł, Groppler już przy stole siedział w towarzy-

stwie jakiegoś małego wzrostu, mizernie wyglądającego człowieczka.

Zająłem miejsce; pomiędzy mną a G. związała się rozmowa, do której się człowieczek nie wtrącał. My dwaj mówiliśmy, on milczał. Odezwał się raz parę, odpowiadając Gropplerowi na zapraszania do jedzenia. Z odpowiedzi tych poznałem, że przyszedł na śniadanie proszony i że jest Polakiem. Zdziwiło mnie, że się we mnie mocno wpatrywał i dlatego, gdy odszedł, zapytałem G., co to za jeden.

— Dawny mój nauczyciel... — była odpowiedź.

O więcej nie pytałem, nie dowiedziałem się więc ani o nazwisku, ani o stanowisku społecznym współbiedniaka.

Minęło lat nie wiem ile, gdy za bytności mojej w Paryżu, dowiedziawszy się od prof. Gasztowtta, że szkołę batignolską zwiedzić wolno i że w nim znajdę przewodnika, który mię oprowadzi i z rozkładem obznajomi, stawilem się w zakładzie przy ulicy Lamandé, wedle umowy w dniu i godzinie oznaczonej. Na wstępie sz. profesor oświadczył mi, że mnie dyrektorowi przedstawi. W podwórzu zoczyliśmy w prawo ku zabudowaniu od ulicy, do do otwartych na parterze drzwi i na progusmy się zatrzymać musieli.

W izbie dość obszernej, na wysuniętym ku środkowi, zwróconym do drzwi wchodowych fotelu, siedział z głową zwieszoną człek uspiomy.

— Zdrzemnął się nasz dyrektor po śniadaniu... — szepnął prof. G.

Cofnęliśmy się i, po obejrzeniu pomników znakomitości polskich, przyozdabiających podwórzec szkolny, zwiedziliśmy klasy, bibliotekę, sypialnie, jadalnię, kuchnię, składy. Szan. przewodnik dawał mi objaśnienia.

Zabrało to czasu godzinę może — może więcej, a odbyło się w nieobecności uczniów, spowod-

wanej, nie przypominam sobie przez co — czy nie przez wakacje. Wpłynęło to na skrócenie czasu, obróconego na zwiedzanie i przyspieszyło przedstawienie się moje dyrektorowi. Mocno mnie zdziwiły pierwsze jego do mnie wyrzeczone słowa:

— Ale się pan nic nie zmienił... nic, ani trochę...

„Za kogo innego mnie bierze“... — pomyślałem sobie. Nie było to dla mnie nowiną. Matka przyroda obdarzyła osobę moją fizygnomią, świadczącą o czystości rasy polskiej, a zatem bardziej aniżeli podobną do wszystkich rasy tej okazów. Z tej racy często zdarza mi się za kogo innego być branym.

Raz, dzięki właściwości tej, omało na grubą nie zostałem narażony przykrość. Innym razem, autor „Kłopotów starego komendanta“, ze mną się po raz pierwszy w życiu we Lwowie, w czasie wystawy Kościuszkowskiej zeszedłszy, witał mnie jak dobrego znajomego, z którym się przed paru dniami rozstał.

— A... toś się pan dobrodziej nareszcie zdecydował zjechać na wystawkę naszą...

Spostrzegł się na błędzie nie rychlej, aż go z błędu wyprowadziło odezwanie się moje.

Wobec dyrektora nietylkom się odezwał, alem go zreflektował.

— Za kogo mnie szanowny dyrektor bierze? — zapytałem.

— Za kogo?... Za pana Zygmunta Miłkowskiego, z którym, razem z Gropplerem, śniadanie jadłem...

Śniadanie owo nie było ewenementem takim, któryby mi się w pamięć wrył. Musiał wyraz fizygnomii mojej przybrać cechy grzebania w pamięci, albowiem Malinowski z pomocą jej szedł, wymawiając jedną po drugiej najprzód nazwy miejscowości: (Palais royal) i restauracyi drugorzędnej, następnie daty: rok, dzień, w końcu przypominając treść to-

czonej pomiędzy mną a Gropplerem rozmowy i tę okoliczność, że z nami na kawę nie poszedł.

— Ah!... — zawołałem, udając, że sobie to wszystko przypomniał.

I przypominałem sobie w rzeczy samej, ale później, kiedy w umyśle moim oddałem się analizie fenomenu pamięci, przechowującej żywo zdarzenie, żadnego nie mające znaczenia. Zdarzenia tego pamięć moja, o lat dwanaście od pamięci Malinowskiego młodsza, tak nie zachowała, iżbym się w dyrektorze, za pośrednictwem profesora G. poznanym, domyślić nie mógł osobistości, w której towarzystwie przed laty śniadanie spożyłem. Nie znałem go, do momentu zwiedzenia szkoły, inaczej, tylko ze słyszenia. Relacje, jakie do wiadomości mojej dochodziły, przedstawiały go jako pedagoga starej daty, którego wychowawcy szkoły kochali i bali się — bali się, pomimo, że się nie uciekał do szeroko dawniej w Polsce rozpowszechnionego, a tak mocno, tak gorąco przez ks. biskupa Adama Naruszewicza ongi zalecanego „cudotwórczego syna byczej skóry“, vulgo „bizuna“. Bez tej pomocy, ten mały, szczupły, mizerny, w wyszarzałej odzieży chodzący człowieczek, umiał bojaźń zbawienną inspirować i w karności potrzebnej trzymać młodź burzliwą. Posiadał on bowiem zaletę, stanowiącą podłoże z bojaźnią połączonej miłości dzieci względem rodziców: rozbudzał w uczniach szacunek. Nieobecność dziwactw i śmiesznośtek, tak pospolitych w następcach i współzawodnikach Pestalozziego, naturalność i prostota w obchodzeniu się z uczniami, skromność w zaspakajaniu potrzeb życiowych, przytem dokazywanie tej sztuki, że ze szczupłej (100 fr. miesięcznie) pensyi dyrektorskiej, potrafił się potrzebującym udzielać, były to zalety aż nadto wystarczające do zapewnienia mu moralnej nad umysłami młodocianami władzy.

Stanisław Malinowski umarł dnia 2 lipca roku 1890.

JÓZEF ORDEGA.

Starość podlega chorobom rozlicznym zarówno fizycznym, jak umysłowym. Do tych ostatnich należy między innymi słabość zwrotów ku przeszłości. Podlegam jej. Często nie wiedzieć skąd i nie wiedzieć dlaczego, przeszłość bądź to jako wspomnienie zdarzenia jakiego, bądź też pod postacią osobistości tej lub innej w myśli mi strzela i odmładza mnie niejako.

Odmladniania tego rodzaju doznaję, ile razy przypomnę sobie Józefa Ordeę. Przypominając zaś sobie Ordeę, mieszkającego w Paryżu, przypominam sobie zawsze Dymidowicza, byłego byłej rzeczypospolitej krakowskiej senatora, mieszkającego w Krakowie.

Dymidowicz ze swojej strony regularnie w myśli wywołuje mi Ordeę. Dwaj ci ludzie znać się musieli osobiście; o tem nie wiedziałem i nie wiem dotychczas. Czemuż się oni łączą we wspomnieniach moich? Łączy ich funkcyja patryotyczna, jaką pełnili. Domy ich były punktami etapowymi dla konspiracyjnej w sprawie polskiej młodzieży. Ponieważ w szkołach jeszcze konspirowałem i, po zaciągnięciu się do szeregów Towarzystwa Demokratycznego Polskiego, niezwłocznie na drogę konspiracyjną zeszedłem, niezwłocznie też zapoznałem się z domami:

Ordegi w Paryżu, Dymidowicza w Krakowie — z pierwszym wcześniej (r. 1851), z drugim do śc póniej (r. 1859).

Józef Ordega kaliszczanin członek rodziny zamoznej, po odbyciu studyów uniwersyteckich w Warszawie, Jenie i Wroclawiu, zdobył we Wroclawiu stopień doktora filozofii. Bogaty, wykształcony, młody, zamieszkał w majątku swoim, ożenił się i mógł sobie urządzić życie, jak je sobie czasu onego w Tusculum Cyncero był urządził. O kaliszczanach powiadano (czy i dziś to samo powiadają?), że są oni „nie bitni ale wymowni“. Było to „raison de plus“, ażeby Ordega po cyncerońsku się w majątku swoim osiedlił, nie dbając na to, że jakiś tam drapieźnik, Konstanty Pawłowicz w Warszawie się nad Polakami znęca. Nie znęcałbysię nad nim, gdyby się uprawie filozofii oddał. On jednak, luboć kaliszczanin, był nie tylko wymownym ale i bitnym, czemu świadectwo złożył na lat kilka przed powstaniem listopadowym, obracając wymowę na rozdmuchiwanie w obywatelstwo poczucia wyrządzonej Polsce przez Moskwę krzywdy, którą sam głęboko odczuwał. Wielki ksiązę objawszy rządy nad Polską kongresową w gorliwości o uszczęśliwieniu na sposób moskiewski powierzonego mu kraju, zapełnił stolicę i kraj szpiegami i donosicielami. Usłużni ci agenci bez trudu wytropili młodego człowieka, który powróciwszy z zagranicy zamiast cicho się sprawować i dary boże spokojnie spożywać, rusza się, kręci i parlamentarną Niemojewskich dokuczliwość potęguje. Zaniepokoiło to W. księcia: na młodego człowieka uwagę swoją zwrócił i dwukrotnie go w Warszawie w więzieniu po miesiący kilka trzymał. Usiłował on albo przekabacić wpływowego dra filozofii, albo go ubezwładnić. Nie udało mu się ani jedno, ani drugie. Agenci nie potrafili wygrzebać materiału, usprawiedliwić mogącego wytoczenie Ordege procesu o spiskowanie.

— Na takich wichrzycieli — wyrażał się wiel-

ki książę przed zausznikami swoimi — jedynie skutecznym sposobem byłoby zacinanie im języków. Świadczy to o wymowie Kaliszanina.

Świadectwo o bitności nie kazało na siebie czekać długo. Nadszedł wybuch listopadowy, który Polską wstrząsnął w granicach przedrozbiorowych, zwalając jednak na Kongresówkę wojny ciężar cały. Ordega niezwłocznie do ruchu się przyłącza, składając na potrzeby ojczyzny gotówką 60.000 złp., oraz klejnoty żonine i sztyftując kosztem własnym oddział jazdy kaliskiej, z którym idzie z Chłapowskim na Litwę, powraca z Litwy pod Dębińskim i przydzielonym zostaje do korpusu generała Różyckiego, operującego na lewym brzegu Wisły. Walczył na Litwie i w Królestwie na czele szwadronu swego, aż ranny w potyczce lancą w pierś, opuścić musiał szeregi wojskowe; gdy zaś do nich zdrowie wrócić mu pozwoliło — nie było już po co.

Leczył się z ran w Krakowie. W czasie wojny i przedtem, tyle, wobec rządów carskich, win i grzechów na siebie nabiczował, że nie mógł, ani w wolnej, cieszącej się opieką trzech mocarstw, Rzeczypospolitej krakowskiej przebywać, ani do majątku swego wracać. Pozostawało mu jedno: emigracya.

Wyniósł się z rodziną do Francji, zamieszkał w Paryżu i rąk beczynnie nie złożył.

W epoce Kanta, Fichtego, Schelinga, Hegla, uniwersytety niemieckie wywierały wpływ na młodzież, co bądź mistrzów tych, bądź ich uczniów wykładów słuchała. Usposabiały one umysły młode do spekulowania na drodze filozoficznej i do szukania na drodze tej wskazówek życiowych dla indywidualizmów tak pojedynczych jak zbiorowych. Pod wpływem tym z tem usposobieniem znalazł się Ordega we Francji wśród rozgwaru stronnictw, wytwarzających się w łonie wychodźstwa polskiego i toczących ze sobą walkę zawziętą na polach politycznym i społecznym. Walce tej brakło świadomie podstawionego podłoża filozoficznego. Ten był powód, dla któ-

rego Ordęga nie przypisał się od razu ani do demokracji, ani do arystokracji, ani do stronnictwa pośredniego, ani do żadnego z gron pomniejszych, spodziewających się na stronnictwa powyrastać. Myślał, rozważał, porównywał doktryny filozofów niemieckich z doktrynami filozofów francuskich i wśród tych ostatnich wypatrzył F. J. B. Bucher'a, autora dzieła p. t. „Essai d'un traité de philosophie au point de vue du catholicisme et du progrès“.

Bucher, były karbonaryusz, b. saint-simonista i b. współredaktor przy wydawanym przez Enfantin'a dzienniku „Producteur“, wyprowadził katolicyzm wprost z czterech ewangelij i z listów apostoelskich. Skutkiem tego katolicyzm w doktrynie jego stał się chrystyanizmem pierwotnym, zalecającym równość i braterstwo w społeczeństwie a rzecz pospolitą jako formę rządu (u S. Marka, rozdz. X, ust. 42, 43, 44). Ordęga doktrynę tę — poprzedniczkę w sensie religijnym dzisiejszego staro-katolicyzmu, w sensie społecznym zbliżoną do dzisiejszego socjalizmu — przyswoił sobie, ogłosił ją po polsku w broszurze, wydanej w r. 1840, p. t. „O narodowości polskiej z punktu widzenia katolicyzmu i postępu“ i wespół z dwoma przyjaciółmi swymi ludźmi wielkiej, murowanej zacności, Stanisławem Ponińskim i Teofilem Janusiewiczem, założył pismo p. t. „Demokracja polska XIX wieku“.

Pismo to założone w celu propagowania doktryny w emigracji zwolenników, bądź dlatego zapewne, że reformą kościelną ciężarnem było, bądź dla podłoża socyalistycznego, nie zyskiwało. We Francji, w Anglii, w Belgii, nigdzie za granicami Polski nie spotykałem Bucher'ystów. O doktrynie tej dowiedziałem się w r. 1859 w kraju, i to we Lwowie, z ust pani Felicji Wasilewskiej, u której ukradkowo — ponieważ praktykowałem wówczas zbrodnie stanu, a ona się ze zbrodniarzami tego rodzaju chętnie wdawała — wieczór jeden spędziłem. Na emigracji zapomniano o niej w r. 1846, gdy za

przykładem licznego Zjednoczenia, garstka wyznawców Buchera do Towarzystwa Demokratycznego weszła.

Kiedym się po raz pierwszy z Ordegą zeszedł, a działo się to w r. 1851, był on już sercem i duszą demokratą jak Stanisław Worcel, którego wraz z nim jakoteż z nienadającym się na to ani trochę Mickiewiczem, Słowackim i in., erudyci socjalistyczni na apostołów socjalizmu polskiego pośmiertnie pasują. Wszyscy rozumni i etycznie nie uwadliwieni ludzie, uznając równoważność kapitału i pracy w wytwarzaniu i przysparzaniu dobrobytu krajowego, uznają również konieczność sprawiedliwości w odpowiednim pracy wynagradzaniu. Ordega, Worcel, byli to rozumni i wysoce moralni ludzie, dla których ojczyzna stanowiła jednakowy, gorącego ukochania przedmiot.

Bucheryzm nie różnił jednego od drugiego; nie różniło ich i to, że jeden był wierzącym, drugi mógł o sobie powiedzieć słowami Konrada z trzeciej części „Dziadów“: „Dawno nie wiem, gdzie moja podziła się wiara“. Bucheryzm dla Ordegi był wiarą filozoficzną, nie obowiązującą nikogo, z wyjątkiem tych, co ją zrozumieli i przejęli się nią. Że zaś we wierzeniu wszelakiem rozumienie gra rolę dodatkową i jest po największej części zbędnem, Ordega przeto poprzestał na zawiadomieniu czytającej publiczności polskiej o doktrynie i zostawił ją samej sobie. Możeby wykladał ją przy okazji przeglądu rozlicznych filozoficznych religijnych i filozoficzno-religijnych teoryj, gdyby w jakim z uniwersytetów katedrę filozofii zajmował. W działalności atoli politycznej uważał za rzecz nietylko zbyteczną, ale i szkodliwą, zaprzętać umysły ogółu sprawami, piastującemi zarzewia kontrowersyi filozoficzno-politycznej, podczas kiedy głównie o to chodziło i chodzi, ażeby Polacy wszyscy, bez różnicy wyznań i zapatrywań, dla Polski pracowali. Gdym się z nim

poznał, „Demokracja XIX w.“ od lat paru już nie wychodziła.

Pierwsza moja u niego wizyta, zabrała mi czasu nie więcej nad minut dwadzieścia — tak krótko nie ze względu na etykietę, ale dlatego, że miał mu tylko kartkę do wręczenia. Na tej kartce było od centralizacyi polecenie udzielenia mi wskazówek i rad, gdybym takowych zapotrzebował.

Wskazówki potrzebowałem jednej tylko. Przed puszczeniem się w dalszą drogę najeżoną niebezpieczeństwami (jechałem na emisarkę), pragnąłem pokłonić się, hołd złożyć człowiekowi, uznawanemu naówczas przez młodzież za geniusz, do zbawienia Polski powołany. Dawano mi wprawdzie wskazówki w Londynie, ale nie wiedziałem na pewne, gdzie mieszka: czy w Paryżu, czy też w Wersalu u siostry zamężnej (pani Wincentowej Mazurkiewiczowej). Chorował na gardło i potrzebował starannego i troskliwego dozoru. Gdy się przeto przed Ordeą stawił i kartkę mu wręczył, ten kartkę przeczytawszy, do mnie się zwrócił z zapytaniem:

— Czemże mam obywatelowi służyć?...

— Proszę mi mieszkanie generała Mierosławskiego wskazać...

— Chory na gardło... Mieszka w Wersalu... Czy chcesz obywatel do niego pojechać?...

— Chciałbym bardzo...

— Chceni temu dogodzić łatwo...

Opowiedział mi, jakim do Wersalu udać się mam sposobem.

Gdy ruch, zapowiadający pożegnanie, zrobił, zatrzymał mnie zapytaniem:

— Może jeszcze jakiej potrzebujesz informacyi?...

— Dziękuję... — odrzekłem. Żadnej...

— Pisze mi Worcel, żeś na wyprawie, jeżeli przeto wyprawy twojej celem są znajome mi okolice, mógłbym cię w rady zaopatrzyć...

— Jadę na Ukrainę.

-
-
- A?... Przejeżdżasz przez Niemcy?..
— Nie...
— Nie pytam ciebie przez ciekawość, ale dlatego, że w Niemczech mógłbym cię osobom paru polecić.
— Na Konstantynopol drogę obracam.
— W Marsylii są Polacy... — zauważył.
— Mam polecenie od Mazziniego do pewnego Włocha.

Pytał dalej o zdrowie Darasza, z którym krucha już było i, przy rozstaniu, pozdrowić od siebie kazał Mierosławskiego, Mazurkiewicza i panią Mazurkiewiczową.

Gdym schodził z szóstego czy siódmego piętra, spotkałem wchodzących dziewczynkę i paru chłopców, mających pozór dzieci polskich. Były to dzieci państwa Ordęgostwa. Jeden z nich, chłopiec, w lat dwanaście później, walczył w Polsce pod nazwiskiem Łodzia (herb rodzinny), w lat dziewiętnaście później, oficer w wojsku francuskim, zginął pod Woerth. Dziewczynkę, wyrosłą na pannę — miłą i sympatyczną pannę Maryę — poznałem w r. 1858.

W roku tym dopiero zabrałem z Ordęgą znajomość bliską i przyjacielską. O przyjaźni jego dla mnie wątpić prawa nie mam, ze względu na dowody zaufania, jakie mi przy każdej składał okazji. Skąd się to zaufanie wzięło? — na to odpowiedzieć nie umiem. Czy stąd, że będąc młodym, byłem jednym z tych oczajduszów, co w służbie sprawie polskiej życia nie wazyli? Ależ takich było dużo i służba ta, z racyi otaczających ją niebezpieczeństw, uważaną była za najszczytniejszą! Młodzież się do niej garnęła. Nie to więc zaskarbiło mi przyjaźń Ordęgi, którą, zdaje się, zaliczyć należy na rachunek owych tajemniczych nici sympatycznych, co zbliżają ludzi jednych do drugich i zawiązują pomiędzy nimi węzły nierozzerwalne.

Węzeł taki łatwym był do zawiązania w Paryżu.

W czasach onych znajdowało się w stolicy Francji domów kilka, w których zamożniejsi z emigracyi polskiej r. 1831 zajmowali mieszkania dość obszerne i posiadali środki odpowiednie do urzędzenia t. zw. później żurfików.

W oznaczonych w tygodniu dniach zbierano się u nich wieczorem na herbatę i na pogadanki. W stronnictwie arystokratycznym również zapewne żurfiksy zaprowadzone były. Demokracja zbierała się u Wincentostwa Mazurkiewiczów, Teofilstwa Janusiewiczów, Stanisławostwa Ponińskich, Józefostwa Ordęgów. U dra S. Gałęzowskiego był salon mieszany. U Mazurkiewiczostwa i Ordęgostwa gromadziła się najchętniej młodzież, gdy po śmierci Mikołaja I, otworzyły się nakoniec granice Polski nie tylko dla klasy magnackiej.

Gromadziła się u nich młodzież najchętniej dlatego, że w dwóch tych domach gościnność nie ograniczała się na herbacie i ciastkach, ale w dodatku usłyszeć było można śpiew dobry, muzykę wyborną, deklamację, odczyt, i wziąć udział w dyskusyi pouczającej z zakresu estetyki, literatury, nauki, najczęściej polityki. Gdy naukowość lub polityka na stół się wytaczały, pewnym być można było interwencyi Ordęgi — interwencyi żywej, porywczej, o podłożu demokratycznym, o mianowniku postępowym, nie wykluczającym z pracy dla dobra ludzkości wogóle i dobra Polski w szczególności nikogo, z wyjątkiem wsteczników, których zwał „reakami“ i dla których nie żywił w sercu braterstwa. Nienawidził ich, jak się nienawidzi przeszkody na drodze, ku dobremu i pięknemu prowadzącej celowi. Gdy o nich mówił, zapalał się, krew mu do oblicza napływała, oczy się zaiskrzały — że zaś był krępy i wzrostu małego, nie mogąc więc postawą nad grotem słuchaczów dominować, nie rzadko na krzesło, a nawet i na stół wskakiwał i mocno giestykułując,

przeciwko wsteczniectwu, przeciwko reakom grzmiął.

O nim powiedzieć należy, że Polsce życie całe wiarą i prawdą służył, nie uchylając się przy żadnej spotęgowania działalności wymagającej okazji.

W r. 1853 należał do komitetu, który, zebrawszy na pełnomocnictwo dla generała J. Wysockiego tysiące na emigracji podpisów, wyprawił go na Wschód, celem sformowania legionów polskich do walki z Rosją. W r. 1863—64 brał czynny i gorliwy udział w dostarczaniu zasiłków powstaniu polskiemu. Rząd narodowy mianował go agentem politycznym we Włoszech. Z zadania tego, które go w bezpośrednią z rządem włoskim styczność wprowadziło, wywiązywał się gorliwie i zaszczytnie.

Przed śmiercią przeniósł się na mieszkanie do Krakowa. W Krakowie umarł — na wieczny odpoczynek ułożył się na cmentarzu, na którym jego alter-ego, Dymidowicz, spoczywa.

Polska wszakże w Ordęgów i Dymidowiczów ubogą nie była.

LUDWIK ORPISZEWSKI.

W jesieni r. 1872, przenieśliśmy się z rodziną z Brukseli do Lozanny w Szwajcaryi. Szwajcaryja, ojczyzna Jana Jakóba Rousseau, Pestalozzi'ego, księdza Girard, mocno mnie ku sobie wabiła od momentu, jak ojcem zostałem. Ku niej, jako ku krainie ozłoczonej podaniami o Tellach, Winkelridach, o walekach o wolność, od dawna się zwracały marzenia moje.

Po upadku powstania styczniowego, marzenia ustąpiły miejsca pragnieniu, któremu, jak skoro możność mi na to pozwoliła, uczyniłem zadość. Wybraliśmy Lozannę tak dla wziętości, jaką sobie szkoły tamteczne uzyskały, jakoteż dlatego, że w mieście tem przemieszkiwały trzy z krewnych żony mojej i jedna z moich osoby. Przez nie zabieraliśmy z innymi spółziomkami znajomości, jak np. z młodym księdzem eks-powstańcem i z bardzo zacnym lekarzem, leczącym się na chorobę sercową i udzielającym się współziomkom z pomocą.

Uplłynęło tygodni kilka naszego pobytu w mieście, właściwie w miasteczku, w którym Gibbon swoją historję upadku cesarstwa Rzymskiego, a lord Byron „Więźnia Chillonu“ napisał, w którym Mickiewicz „Nad wodą wielką i czystą“ upodobał był sobie, koło znajomości naszych nie rozszerzyło się. Dowie-

dzieliśmy się jeno o dwóch stale — jedna w samej Lozannie, druga na wsi w pobliżu — zamieszkałych rodzinach, przedstawiających pod względem wierzeń religijnych i wyznań politycznych dwa skrajne przeciwieństwa: dla jednej Bóg był hipotezą, bez której wygodnie obchodzić się można, druga ślepo a święcie wierzyła we wszystko, co kościół, matka nasza, do wierzenia podaje; jedna wyznawała nihilizm i sprawę polską uważała za zakończoną, druga, patriotyzm podporządkowując sprawom kościelnym, skrajnego trzymała się konserwatyzmu. Głową tej ostatniej był p. Ludwik Orpiszewski.

Orpiszewski?... Orpiszewski?...

Nazwisko to obcem mi nie było. Czyniłem za niem poszukiwania w pamięci mojej: czy kogo tego nazwiska nie znałem? czy nie spotykałem go wśród polskich znakomitości na polach wojennem, politycznem, naukowem, literackiem, artystycznym? O tem, że mnie we względzie tym pamięć zawodzi, komuś się pożałiłem i ów ktoś powiedział mi:

— Przecie to jeden z Belwederczyków...

— Ah! — skrzyknąłem, o czoło się dłonią uderzając.

Nazwiska tych szesnastu, co morskie straszycło, pod postacią wielkiego księcia, z zamku, z Warszawy i z Polski wypłoszyli, czytało się i słyszało nieraz, lecz spotkanie się z którym z nich niespodziane nie wskazywało jego znaczenia historycznego. Nie mogłem się od razu domyślić, skąd i jak mi ono znanem było. Dowiedziawszy się, za obowiązek sobie miałem, nie zważając na bogobojność i konserwatyzm tego belwederczyka, ze czcią przed nim czoło uchylić.

Pan L. O. był człowiekiem familijnym. Hrabianka Plater-Zyberg, z którą się ożenił, obdarzyła go gromadką dzieci; z tych jedne w latach siedmioletnich były podrastające, drugie dorastające. Państwo Orpiszewscy zajmowali dom cały z ogrodem, urządzoney z komfortem.

Gdym się w domu tym z pierwszą stawit wi-
zytą, przyjęty zostałem przez pana bardzo grzecznie,
ale tak, jak się przyjmuje ludzi, których się nie
widywało nigdy, o których się nigdy nie słyszało.
Trochę mnie to zdziwiło, już bowiem w Polsce
o mnie wiedziano, poza Polską zaś mocno naraziłem
się tej sferze, z którą Orpiszewskiego gusta i prze-
konania wiązały, ażeby do niego, zajmującego w niej
stanowisko powiernika i przyjaciela, słuchy o osobie
mojej nie doszły.

W rozmowie, na wstępie wspomniałem mu
o 29 listopada i o Belwederze; zbył tę wzmiankę,
jako rzecz obojętną i rozmowę zwrócił na tematy
banalne. Nie zatrzymałem rozmowy tej w pamięci.
Wspominam o niej tylko dlatego, że była wstępem
do zawiązania pomiędzy dwoma stadłami, państwem
O. a nami, stosunków krochmalnych, o ile państwo
O. i państwo M. schodzili się u jednych lub u dru-
gich. Schadzania się te były rzadkie. Oni i my
trzymaliśmy się jedni i drudzy „à distance“, prze-
strzegając ściśle etykiety czy to pod dachem, czy
pod gołem niebem, w salonie i na ulicy. Na ulicy
spotkanie z panem samym odbywało się zawsze je-
dnakowo: mijaliśmy się, ja rękę prawą w pogotowie
do podania dłoni lub uchylenia kapelusza nastawia-
łem; p. O. mnie nie widział, mijał i, spostrzegłszy
niespodzianie, wzdrygał się, niby ze snu nagle zbu-
dzony, wykrzykiwał „ach!“ i przepraszał.

— Przepraszam!... bardzo przepraszam!...

Że się to za każdym powtarzało spotkaniem
w mieście, które za naszego w niem pobytu doliczy-
ło się było dopiero ludności głów tysięcy trzydzie-
stu, częste przeto niedowidzania takie wydały się
się rzeczą nabytą — jedną z reguł etykiety, zacho-
wywanej w wyższych sferach towarzyskich. I tak
też zapewne było. Etykietalność atoli przestrzegana
przez O. ściśle, w naturze jego nie tkwiła. Pokazało
się to, gdy raz, z racji jakiejś okazji szczególnej,
przyjąłem go w mieszkaniu naszym nie w saloniku,

ale w moim warsztacie literackim. Przekonałem się wówczas, że człowiek ten rozkrochmalać się niekiedy nie tylko umie, ale potrzebuje. Ujrzał się wśród książek, pism czasowych, dzienników polskich, obok stołu zarzuconego przyborami piśmienniczymi w nieładzie poetycznym, co mnie, niepoetę, mocno zawsze wstydziło i wstydzi — i dowiedział się dopiero, że się u literata znajduje.

Przekonany jestem, że tak było, w sferze bowiem stosunków jego nie wszyscy literaci rzeczywiście za literatów uznawanymi są. Moja np. osoba stale przez krytyków i historyków literatury z tej sfery z grona pisarzy polskich wykluczana jest. Mam na to dowody. W momencie, kiedy wziętość moja pisarska po ukazaniu się w druku „Uskoków“, w apogeum się znajdowała, Gubernatis opracowywał swój słownik literatów współczesnych. Ktoś go o literatach polskich informował i nie tylko o mnie, ale o całej grupie podejrzewanych o demokratyzm pracowników pióra w Polsce, Gubernatisa nie zawiadomił. W dobranem, bo Orzeszkowej, Świętochowskiego, a nawet, o ile przypominam sobie i Sienkiewicza, który sfery tej nie obłaskawił był dla siebie jeszcze, znajdowałem się towarzystwie.

Było to dawniej. Obecnie zaś, prof. hr. Tarnowski, krytykując Historię literatury polskiej, po niemiecku przez A. Brücknera napisaną, delikatnie i dobrotliwie autora skarcił za zaliczenie mnie do pisarzy na uwagę zasługujących. W wydaniu tejże historii w języku polskim, Brückner się w odniesieniu do autorstwa mego stosownie do skarcenia poprawił, ale nie bardzo. Nie dziw przeto, że przed rokiem 1875 Orpiszewski zasłyszał co może o mnie jako o demagogu, ale kwalifikacye moje literackie całkowicie nieznanemi mu być musiały.

Nieznajomość zresztą bieżącej literatury polskiej była naówczas w emigracji polskiej z r. 1831 ogólną. Wychodźcy nasi z małymi wyjątkami nie wiedzieli i wiedzieć nie chcieli, co się w Polsce na

polu literackiem po Mickiewiczu dzieje. Olbrzymia Mickiewicza postać zasłoniła sobą całkowicie wytwórczość na niwie tej krajową. „Nowi poeci“ co się „po tym deszczu krwawym w Polsce jak grzyby rodzili“, za poetów uznanymi nie byli. Ci nawet, co z łona emigracyi wystrzelali, z wielką przebijali się trudnością. Słowacki naprzykład.

Dzisiejsi jeszcze arystarchowie literaccy wyrzuty czynią emigracyi starej, że się na Słowackim nie poznała. Nie poznała się, bo się nie poznał (czy tylko nie poznał?) Mickiewicz, którego zdanie we względzie „sprawy bożej“ podzielali wybrańcy jeno, we względzie atoli literackim stanowiło wyrok nieodwołalny. „Mickiewicz go w wykładach historii i literatury polskiej pominął — rzecz skończona“. Odnosiło się to do poezyi. Proza mniej jeszcze łaski posiadała.

Powieściopisarstwo istniało we Francyi, w Polsce zaś... powiastkopisarstwo. Ileż razy mnie, autora „Szandora Kowacza“, „Historyi o pra-pra-dziadku i praprawnuku“, „Uskoków“, spotykała pochwała „pięknego powiastek pisarza“. Uwzględniano do pewnego stopnia Kraszewskiego i Korzeniowskiego — tego ostatniego póty, póki go w „Wiadomościach polskich“ Klaczko za „Krewnych“ nie podeptał.

Kiedy w czasie wojny wschodniej przebywałem w Konstantynopolu, do grona, zaprawionego poetami, (K. Brzozowski, H. Jabłoński), do którego jako amator literatury należałem, dochodziły wieści o poglądach literackich ze sztabu generała Zamojskiego, w którym w mundurze kozackim paradował Kalinka. Wieści te w poezyi na wyżynach helikońskich stawały Zygmunta Kraszińskiego, w prozie prym dawały Zygmontowi Kaczkowskiemu. Gmin emigracyjny mało co o nich wiedział.

Orpiszewski do gminu nie należał. Za pierwszą swoją w warsztacie moim bytnością zainteresował się tem, com mu o bieżącej literaturze naszej po-

wiedział. Pokazałem mu pisma ilustrowane „Tygodnik“ i „Kłosa“.

— A?... aa?... — odezwał się.

Z nowością tą, od lat kilkunastu nie nową, spotkał się u mnie po raz pierwszy. Zajął ją go ona. Ofiarowałem się udzielać mu pisma literackie. Wziął „Tygodnik“ i „Kłosa“ „do przejrzenia“ — i odniósł mi je niebawem, a odniósł na to, jak się zdaje, ażeby mnie objaśnić i przekonać o niższości literatury nowszej w porównaniu z dawniejszą. Rozmowa naturalnie oprzeć się musiała o Mickiewicza. Rozmowa ta dogodziła i jemu i mnie: mnie dlatego, że z ust jego dowiadywał rzeczy nowych dla mnie i niezmiernie ciekawych; jemu dlatego zapewne, że znalazł we mnie słuchacza chętnego i może trochę pojętnego. Zachęciło go to do zaszczytowania mnie od czasu do czasu odwiedzinami i spędzania ze mną przeciągającej się niekiedy do kwadransów sześcioro i więcej „godzinki“, zaprawnej akcentem poufności koleżeńskiej.

Godzinki te pozostają dla mnie i pozostaną na zawsze niezapomnianymi, ze względu na zajęcie, jakie we mnie wzbudziły. Orpiszewski opowiadał — a opowiadał dobrze — wyłącznie prawie o dwóch postaciach literackich, zajmujących w piśmiennictwie polskim stanowiska przewodnie: o Mickiewiczu i Krasińskim. Znał ich obydwóch osobiście: Mickiewicza mniej, Krasińskiego więcej. Z autorem „Pana Tadeusza“ spędził w Rzymie czas pobytu jego w tej światła stolicy, kiedy on przybył do niej dla „sprawy bożej“, celem nawrócenia Piusa IX na towarzyszenie. Przypominam sobie relację audyencji, udzielonej za staraniem księży Zmartwychwstańców wielkiemu poecie polskiemu przez głowę kościoła. Dla uzyskania tej audyencji trzeba było papieża uświadomić dokładnie, z kim ma mieć do czynienia. Przedstawiono więc ojcu św. błąd, w jakim wielki poeta pozostaje i nadzieję, że z błędu wyprowadzi go ła-

ska, jaka na niego ze znalezienia się wobec zastępcy Chrystusa na ziemi spłynie.

Audyencya, po szczegółowym nauczaniu Mickiewicza, jak ma się na niej zachować, odbyła się — i w zdumienie papieża, w kłopot niemały tych, co ją wyjedualni i przy niej asystowali, wprawiała. Nie brakło jej strony komicznej, dzięki zamianie ról, zaszłej pomiędzy tym, co nauczycielem był z urzędu, a tym, co funkcję nauczyciela wziął na siebie do- wolnie.

Po dopełnieniu hołdu powitalnego i wyrzecze- niu przez papieża słów kilku, Mickiewicz się wypro- stował, włosy z nad czoła zwykłym mu ruchem cha- rakterystycznym w tył głowy odrzucił i głos zabrał. Mówił — płynnie i długo mówił, jak w Collège de France. Na obliczu papieża widać było, że nie wie, co z oczami robić — gdzie je podziąć. Asystujący scenie tej kardynałowie, biskupi i niższego stopnia kapłani, osłupieli. Niezwykłe to zdarzenie w umyśle każdego z obecnych stanęło w postaci zapytania: „Co tu począć?“ Nie wypadło mowcę za drzwi wy- pchnąć. Wysłuchać więc musiano przemowy tej nie- spodziankowej do końca i, po udzieleniu przez Ojca św. na prędce błogosławieństwa, wyprowadzono Mi- ckiewicza z honorami.

Mickiewicz pewnym był, że przemowa jego jak najlepsze na papieżu sprawiła wrażenie i domagał się audyencyi drugiej jeszcze, chcąc mu wyłożyć do- kładnie, w jaki sposób „sprawa boża“ Bogu miłą i ludziom pożyteczną być może. Domagał się audyen- cyi tej tem usilniej, że chodziło mu o uzyskanie ofi- cyalnego ze strony stolicy apostolskiej uznania owe- go głośnego, przez poetów opiewanego legionu, o którymby nikt nie wzmiankował, gdyby nie był pomysłem Mickiewicza.

Trzeba wiedzieć, że Mickiewicz, będąc genial- nym poetą, nie przestawał przeto być człowiekiem, mogącym błądzić niekiedy.

O Mickiewiczu przeto opowiadań Orpiszewskie-

go słuchałem i dosyć się nasłuchać nie mogłem. Prosiłem go, błagałem, aby je spisał. Obiecywał, obiecywał, ale... śmierć mu do spełnienia obietnic na przeszkodzie stanęła. Nie umiałem stenografować, mógłbym być jednak po każdej z byłym księcia Czartoryskiego agentem w Rzymie rozmowie, znotować ją sobie. Moja wina, że tego nie zrobił.

Przypuszczać jednak należy, że relacje te nie zaginęły doszczętnie. Znajdować się one muszą w raportach oficjalnych, w archiwach książąt Czartoryskich, przeniesionych nie wiem dokąd z Hotelu Lambert. Tylko że w oficjalizmie ginie prawdziwość szczerzego, poufnego opowiadania.

Mickiewicz tak mnie był zajął, że z tego, co słyszałem o Krasińskim, nie zapamiętał ani trochę.

Wycofawszy się z polityki, po ożenieniu Orpiszewski osiadł w Lozannie r., jeżeli się nie mylę, 1852 r. i oddał się całkownie dwom zajęciom: chwaleniu Boga i wychowaniu dzieci. Rodziny bogobojniejszej w życiu mojem spotykać mi się nie zdarzało. O bogobojności ojca poświadcza syn jego, p. Józef, obecnie inżynier przy kolei żelaznej w Szwajcaryi. Zamierzywszy sylwetę ś. p. Ludwika nakreślić, zwróciłem się do niego z prośbą o udzielenie mi dat niektórych. W odpowiedzi p. Józef pisze, że ojciec jego „zawsze mawiał: „Jam katolik i Lach“. „O mało podobno — słowa z listu pana J. — nie został Zmartwychwstańcem, jak mi Ojciec Semenenko mówił: „Gdyby twojej matki nie spotkał, toby z nami był; ale, gdy się ożenił, to nam powiedział: kiedy nie ja, to dam wam „syna“. Jakoż jeden z synów ś. p. Ludwika (Władysław), jest obecnie jednym z wybitniejszych członków w Towarzystwie Zmartwychwstańców.

Orpiszewski uprawiał i niwę literacką. Przed wyjazdem do Rzymu redagował organ Hotelu Lambert „Trzeci Maj“, drukował kilka po polsku i po francusku broszur; po osiedleniu się w Lozannie pisał powieści („Pan Pułkownik“) i dramaty („Ze-

brzydowski“), zamieszczając od czasu do czasu w dzienniku miejscowym poglądy na literaturę polską, nie bieżącą jednak. Ta ostatnia w nim ciekawości nie wzbudzała.

Zmarło mu się prawie nagle, d. 22 lutego 1875 r. Wiadomość o jego śmierci spadła na nas niespodzianie. Odprowadziliśmy go na cmentarz i przy otwartym grobie, na prośbę rodziny nieboszczyka, wygłosiłem w krótkości pożegnanie ostatnie temu Belwederczykowi. Biograf jego, ś. p. Bronisław Za-leski, przemilczał o tem. Niechże się spodziewa na tamtym świecie ze strony mojej wymówki za niezaczenie tego, żem ś. p. Ludwika Orpiszewskiego szanował za życia jego i zachowuję obecnie dla tego przeciwnych moim wierzeń i przekonań człowieka szacunek taki sam, jaki wyraziłem na jego grobie.

LUDWIK MIEROSŁAWSKI.

I.

Generał Mierosławski — oto postać typowa!... — typowa w całym, najściślejszym przymiotniku tego znaczeniu. Typowa, ale nie wyjątkowa. W polskim i w każdym innym społeczeństwie było takich więcej. Wyjątkowość Mierosławskiego polegała jedynie na niepospolitych, górujących zdolnościach, jakimi go natura obdarzyła.

Z matki Francuzki (Kamilla Notté de Vaupleux), z ojca Polaka, sztabowego w wojsku francuskim oficera, adjutanta marszałka Davoust, przyszedł na świat r. 1813 w Nemours pod Paryżem. Po zakończeniu wygnaniem na wyspę św. Heleny bohatera epopei Napoleońskiej, ojciec chłopca nazwanego Ludwikiem, wstąpił w stopniu podpułkownika do szeregów armii polskiej. Rodzina jego w r. 1820 do Polski się przeniósł. Ludwik zrazu nauki w Łomży w szkole wojewódzkiej pobierał; następnie oddano go w Kaliszu do korpusu kadetów, z którego w 15 roku życia przeszedł w stopniu podchorążego do 5 pułku piechoty.

Zdaje się, że Łomżyńskie-Kaliskie stanowiły okolicę gniazdową dla rodziny Mierosławskich czyli Mirośławskich, herbarze bowiem pochodzenie jej

o herbach dwojakich (Ogończyk i Rogala) z pobliza — z Mazowieckiego i Płockiego wywodzą.

Nie wiem kiedy rodzice osierocili podchorążego. Wiadomym jest jeno udział Ludwika w wojnie r. 1831 w stopniu porucznika, w korpusie generała Samuela Różyckiego, z którym wyszedł do Galicyi. Do Francyi przybyć musiał r. 1833, najpóźniej r. 1834, albowiem w 1835 w Paryżu, z drukarni Bourzogne et Martinet, wychodziły już polskie jego utwory.

O udziale młodziutkiego Mierosławskiego w wojnie polskiej, jakoteż o tem, czy i gdzie na emigracyi (w Galicyi, w Niemczech, we Francyi) szkolnie w naukach się kształcił, historia milczy. Przypuszczalnie należy on do rodzaju tych autodyktów, co wiadomości naukowe z powietrza niejako chwytają i sami je, stosownie do upodobania osobistego na użytek własny przerabiają. Wynikają stąd niekiedy poglądy oryginalne, nowe badaniom naukowym wskazując drogi.

Wynikają stąd także nierzadko duże bałamućstwa naukowe, które spowodowuje nie istota, ale forma przedstawiania rzeczy.

Za granicą Mierosławski wczesnie przebił się wśród młodzieży emigracyjnej i uwagę na siebie zwrócił. Rola jego jednak polityczna nie zaznaczyła się od razu. Wystąpił jako literat w gronie znanem powszechnie pod nazwą młodzieży złotej, biorącej życie ze strony wesołej. Do grona tego należeli młodzi ludzie zamożni, między innymi Aleksander Jełowicki, który się z nim zaprzyjaźnił szczególnie, świadcząc przyjaźń w ten sposób, że zachęcał go do prac literackich i — ponieważ mu na to starczyło —łożył na wydawnictwo niektórych przyjaciół utworów. Utwory te, poezye i powieści, należały do rodzaju, traktującego erotyzm za zbyt swobodnie.

Na przyjaciół w gronie tem przyszedł moment opamiętania: Jełowicki do zakonu Zmartwychwstańców wstąpił, Mierosławski zaś utwory swoje pierwo-

tnie wykupywał i niszczył. Nie ulega prawie wątpliwości, że Mierosławski wabiony był przez przyjaciół na tę odpokutowywania za grzechy młodości drogę. Zwabić się nie dał, mimo, że usiłowania w kierunku tym powtarzały się wówczas jeszcze, kiedy autor „Żelaznej Maryny“ zajął wyraźne w obozie demokratycznym stanowisko. Świadczy o tem następująca, przez ludzi na wiarę zasługujących opowiadana mi anegdota.

Mierosławski często zapadał na gardło, w którym wznawiał się od czasu do czasu wrzód, sprawiający ból i zagrażający życiu, przedstawiał się bowiem laryngologom pod postacią zadania trudnego do rozwiązania, ze względu na niebezpieczeństwo operacyjne. Jedynem na chorobę tę lekarstwem było pozostawienie leczenia jej naturze. Lekarz ten tak się raz był urządził, że rozeszła się wieść o nieochoybnie nadejść mającej śmierci Mierosławskiego; pokarmów już przyjmować nie mógł, oddechał z potęgającą się co chwila trudnością — życie jego całkowicie od pęknięcia wrzodu zależało. W momencie tym zjawia się Jełowicki, już ksiądz, siada przy chorym i w imię przyjaźni przedstawiać mu poczyna potrzebę pogodzenia się z Bogiem.

Ksiądz przemawiał serdecznie i wymownie, nie zważając, przejęty pragnieniem oczyszczenia przed wędrówką na tamten świat duszy grzesznika, na okazywaną przezeń coraz to mocniej niecierpliwość. Krew mu do głowy uderzała, razy kilka usiłował się podnieść i przemówić; wreszcie w wysiłku najwyższym zerwał się i wykrzyknął...

Co wykrzyknął? Wyrazu, który mu się z gardła wydarł, nie powtórzę. Gdybym wyraz ten powtórzył, posądzonoby mnie o chęć znieważania duchowienstwa. Ksiądz Jełowicki, który był kapłanem surowym, ale w towarzystwie umiał być dowcipnym, zdarzenie to opowiadając, nie wahał się wyrazu owego wymawiać, jak z ust, a raczej z gardła Mie-

rosławskiego wyszedł i skutkiem wykrztuszenia go to sprawił, że spowodował pęknięcie wrzodu.

— Mam prawo przyznawać sobie dokonania uzdrowienia cudownie chorego... — powiedział jakoby ks. Jełowicki żartem, dodając: Ale niestety, na nic się to nie zdało, bom grzesznika nie nawrócił... W wieku naszym cuda nie na wiele służą.

Do tegoż momentu choroby, z której grzesznik ów cudem wyszedł, odnosi się anegdota prawdziwa jeszcze jedna.

Wobec perspektywy śmierci tej, sposobiono się do grzebania nieboszczyka. Przyjaciele i współwyznawcy obmyślali sprawienie młodzieńcowi genialnemu, który arystokracji gorącego za skórę sadła zalewał, pogrzebu przyzwoitego — z konduktem, z wieńcami, z mowami. Do wygłoszenia mowy zgłosił się Franciszek Grzymała, chorujący na oratoromanie, ze strony tej z Warszawy jeszcze znany. Pisywał prozą i wierszem i miał o sobie mniemanie takie, jakie mu w usta Mickiewicz wkłada:

„Świeci się pomnik mój nad szklany Puław dach,
Przetrwa Kościuszki grób i Paców w Wilnie gmach;
Ni go łotr Wirtemberg bombami moceu zbić,
Ni podły Austryak niemiecką sztuką zryć.
Bo od Ponarskich gór...*) etc.

Poetę, prozaika i krasomowcę tego natura obdarzyła wzrostem małym, tuszą okazałą, głową dużą, obliczem nieponętym i głosem skrzeczącym. Napisał on sobie mowę pogrzebową, na pamięć się jej nauczył i w momencie właśnie, gdy się do wygłoszenia jej gotował, dowiaduje się o cudownym do zdrowia przywróceniu Mierosławskiego. Wątpliwości nie ulega, że mu to przyjemności nie zrobiło. Nie okazał tego jednak po sobie: do Mierosławskiego poszedł, uradowanie mu swoje z racji wyzdrowienia jego z akcentem szczerości wypowie-

*) „Pisma Adama Mickiewicza“, T. II str. 27; wydanie lipskie u F. A. Brockhousa 1862.

dział i na dowód, jakimby ciosem bolesnym dla Polski była takiego jak on człowieka strata, jakimby żalem i smutkiem wszystkich, co myślą i czują po polsku, śmierć Mierosławskiego przejęła:

— Pozwól — rzekł — panie Ludwiku, że ci wygłoszę, co licznie na pogrzebie twoim zgromadzona płeć obojej publiczność polska z ust moich by usłyszała...

Z krzesła wstał, postawę odpowiednią wobec leżącego w łóżku rekonwalescenta przybrał i z całym szykiem krasomowczym nieboszczykowi niedoszłemu pogrzebową wydeklamował mowę. Deklamacja do łez wzruszyła mowcę samego. Gdy skończył, pot z czoła i łzy z oczu obcierając, w te do Mierosławskiego przemówił słowa:

— A co, panie Ludwiku!... Przekonałeś się, jak my wszyscy poważamy i kochamy ciebie...

Wyrazy ostatnie miały specjalne znaczenie swoje. P. Franciszek do żadnego nie należał stronnictwa, przechylał się jednak do arystokracji raczej niż do demokracji, wystąpienie więc jego oznaczało, że cały ogół polski, bez różnicy przekonań, w wysokiej ma Mierosławskiego cenie.

Tak było w rzeczy samej. Pojawienie się jego sprawiło w obozach wszystkich wrażenie ogromne. Zaznaczył on wprawdzie wystąpienie swoje w sposób na uznanie nie koniecznie zasługujący. Sposób ten atoli, wykazując ogromne w młodym człowieku zdolności pisarskie, świadczył o odwadze cywilnej. Zdolności pierwotnie zapowiadały się dopiero, zaznaczając się fantazją wyuzdaną, nie posiadającą jeszcze formy odpowiedniej. Fantazja go porywała do tego stopnia, że się w niej czuć dawał aryostyzm. Bohaterowie i bohaterki poematów jego dopuszczają się czynów nadzwyczajnych.

Maciej Szuja, bohater powieści poetycznej p. t. „Szuja“, syn żyda, którego nie wiedząc, że to jego ojciec, sam w dniu wybuchu powstania listopadowego jako szpiega powiesił, po nadokazywaniu w czasie

wojny cudów waleczności, ginie, biorąc udział w rozruchach paryskich, przywalony ogromnym krzyżem przewróconym od granatu w klasztorze Saint-Mery.

Na zakończenie poeta daje epilog p. t. „Sen“. Jawi się stary, zgrzybiały, wynędzniony, obdarty wędrowiec, powiadający o sobie: „Ja trzystu potomstw jestem pośmiewiskiem“, nazywający się „Salathiel“, będący żydem bodaj czy nie „wiecznym tulaaczem“.

Domaga się piekła, woli bowiem piekło niż niebo, w którym Bóg jest „odwiecznym Bogiem Torquemada“. Ów Salathiel, z „urwanym stryczkiem na szyi“, podchodzi do sztyldwachującego u wniścia do piekła, „w mundurze gwardyi narodowej francuskiej“ dyabła i wyprasza u niego wskazanie ścieżki do siedliska prowadzącej. Ścieżką tą, w wąwozie się wijącą, schodzi, i niewidziany, jest świadkiem uczy danej przez dyabłów poetom i widzi przez szczelinę w drzwiach, pieczoną w kuchni dyabelskiej, na przeobionym z lany ułańskiej polskiej różnie, Katarzynę II.

Z pobytu w piekle czytelnik niespodzianie dowiaduje się, że Jędrna dyablica porodziła Szuję“ i „A ktoś jeszcze trzy słowa domieszał, pamiętasz synku, kiedyś papę wieszał“.

Dojść w poemacie tym sensu bardzo trudno. Ani to w nim ładu, ani składu, ani też stylowej i językowej poprawności. Mierosławski z tem łamał się jeszcze. Gładziej mu poszło w poemacie „Żelazna Maryna“, który w roku następnym z druku wyszedł. W osnowie onego do celu szlachetnego prowadzą środki haniebne. Skutkiem zniesienia przez Aleksandra I wolnomularstwa, nastąpiło w Królestwie retrospektywne przestępstwa tego przez w. ks. Pawłowicza prześladowanie.

Poemat rozpoczyna się badaniem przez komisyę śledczą nie nazwanego przez autora wielkiego pana, jednego z mistrzów. Sąd wojenny, mimo, że się on do winy nie przyznał, skazuje go na doży-

wotnie w podziemiach Karmelitów więzienie i celem wydarcia starcowi potrzebnych rządowi dla prowadzenia prześladowań dalej wyznań, wnuka jego w sąsiedniej zamknąć kazał komórcę, ażeby jęki smaganego różgami ukochanego dziecka skazańca trapiły i do złożenia wyznań żądanych go zmusiły.

Córką owego starca a matką jego wnuka, jest Maryna. W czasie, kiedy się sąd odbywał, bawiła ona zagranicą. Przyjechawszy po wydaniu wyroku okrutnego, udała się do W. księcia z prośbą, jeżeli nie o przebaczenie winy, ani o złagodzenie kary, to bodaj o pozwolenie odwiedzenia ojca i syna w podziemiach karmelitańskich. Wielki książę powiedział jej, że ona wszystko uzyskać mogła u sędziów, i dozorców generałów Zandra, Haukego, Strantmana-Essakowa i innych, za cenę piękności swojej. Zrozę paczona kobieta rady tej usłuchała; oddawała się kolejno zbirom w. ks. bez różnicy, Moskalom i Polakom, najprzód generałom, następnie ich podkomendnym w randze niższej i coraz niższej, tonęła ciem i duszą w otchłani rozwiązłości i nie uzyskała pozwolenia odwiedzenia ojca i syna, aż wybuch powstania listopadowego otworzył wrota więzień takim jak ojciec jej zbrodniarzom.

Ojciec wyszedł pomieszany na umyśle i wnet na wolności umarł; syn na młodziana w podziemiu wyrósł. Maryna skalana, zohydzona, ale zawsze piękna, syna porywa i, nie przyznając się mu, że jest matką jego, uprowadza w lasy w górach Świętokrzyskich. Syn rozkochuje się w niej. Ona, celem zrażenia do osoby swojej kochanka takiego, opowiada mu koleje, przez jakie przeszła. Zaczyna od chwili, gdy wróciwszy z zagranicy, dowiedziała się o doli osób jej najdroższych.

„Z rozpaczą w duszy, oplókana łzami,
Biegnę do księcia — padam na kolana,
Zebrzę litości, wzywam prawa — ale
Książę ze śmiechem: „Lepiej ci posłużą

Zastępcy moi“. Miej zaufanie w Bogu,
W pana Haukiego i w twe, pani, wdzięki“.

Ponieważ rada ta pożądanego nie sprowadziła następstwa, opanowała ją żądza zemsty. Żądza ta w dziwnie fantastycznym wyraziła się sposobie, oprowadziła ją bowiem po połowie kuli ziemskiej.

Dla niej, a raczej z nią w duszy, popędziła do Indyj, oddała się braminowi, oddawała się bonzom, i, gdy jej zbrzydli, udała się do Abisynii, gdzie z objęć hebanowego króla przechodziła w objęcia murzynów. Wśród nich wszystkich znalazł się poeta imieniem Antar, o którym powiadała synowi:

„Antar! o, Antar!, zaprawdę powiadam,
Nikt mi słodczy nie sprawił tak wiele
Z całego tłumu, który prawa rości
Do mej pamięci, Antara przekładam.
Co waru, soków, w tem spieczonem ciele,
Co smoly w żyłach, w sercu co miłości!“

Z dzisiejszych, wśród nastrojowców, poetów impresjonistycznych, nikt chyba dosadniej odmalować by nie potrafił ognia miłosnego w duszy nagiej. Dzięki zapewne temu, że Maryna zapaly podobne bez szwanku na zdrowiu wytrzymała, autor ją „Żelazną“ przezwał.

Lecz Antara porwał jej szatan — i ona od ludu uchodząc, niby „Farys“ drugi, na obszar pustyni się straciła, szukając oddechu postradanego kochanka, jedyne w oddechach tygrysów na Saharze. Pożerająca atoli duszę jej żądza zemsty popędziła ją z Sahary do Warszawy, dokąd przybyła w momencie wybuchu powstania.

Opowiedziała o tem wszystkiem synowi; opowiadanie to jednak nie ostudziło w młodzianie zapalów do niej. Opierała się mu, oprzeć się nie mogąc macierzyńskiemu garnięciu go do piersi, nie branemu przezeń za wylew uczuć macierzyńskich. Wtem Moskale wtargnęli w góry Świętokrzyskie. Grzmiały strzały armatnie, warczą ognie plutonowo, góry się bagnętami jeżą. Pod wrażeniem tych grzmo-

tów i warczeń dokonał się akt, który parę tę złączył węzłem, czyniącym z młodzieńca Edypa, z Maryny Jokastę.

Na tem się kończy poemat, wyrzucany Mierosławskiemu jako rzecz sprośna, usprawiedliwiana jako błąd młodości. Dziś, obok utworów poetyckich, dramatycznych i powieściowych najnowszej u nas szkoły piśmienniczej, nie mógłby on uchodzić ani za rzecz sprośną, ani za błąd. Szwankuje formą, doprowadzoną obecnie do ultradoskonałości; szwankuje oraz treścią, podszytą tendencją, dopuszczającą tarzania się w brudach dla celu szlachetnego, podczas kiedy dziś, wszelaka z zakresu sztuki tendencya, na wygnanie skazaną została. W brudach tarzać się wolno wyłącznie dla sztuki, jeżeli nie dla przyjemności własnej.

Obok dwóch powyżej zanalizowanych poematów Mierosławskiego, wyszły jeszcze w r. 1835 „Bitwa Grochowska“, w r. 1838 „Pugaczew“ i może co jeszcze — nie wiem. We wszystkim tem przebija się talent duży, wszystko we względzie formy szwankuje, w każdym z utworów trafiają się ustępy przepiękne. Wzmiankowałem powyżej, że świadczą one o odwadze cywilnej. Dowody odwagi złożył w traktowaniu miłości z punktu wyłącznie fizyologicznego i popisywanie się z tem, a bardziej jeszcze w niezawahaniu się dedykowania „Szui“ Mickiewiczowi. W dedykacji: „Adamowi Mickiewiczowi — Apostołowi na Pielgrzymce — w zakład (?) hołdu — poświęca — Autor“ — autor popełnił błąd językowy przez użycie wyrażenia niewłaściwego (tłumaczenie z francuskiego: en gage).

II.

„O wieku młody! — tyś wiosną człowieka —
Na tobie ziarno przyszłości on sieje“. Dwuwierszem
tym rozpoczął J. I. Kraszewski jedną z pieśni bo-
daj czy nie „Witolorandy“. Wytwory — dzieła mło-
dych lat Mierosławskiego — wykazują grunt psycho-
logiczny, na którym on moralne przyszłości własnej
ziarna zasiał. Czy ziarna te zeszły i plon wydały?—
zobaczymy.

Nie wiem, w którym M. do szeregów Towarzy-
stwa Demokratycznego zaciągnął się roku. Musiało
to przed r. 1840 nastąpić — po rozstaniu się z gru-
pą Jełowickich i powzięciu przez autora „Bitwy
Grochowskiej“ zamiaru pisania ciągu dalszego prze-
rwanej przez śmierć Mochnackiego (1834) rozpoczę-
tej przezeń Historji powstania r. 1830. Że zamiar
ten powziął nie jako historyk, ale jako polemista, ze
sformułowanym z góry założeniem, polegającym na
gromadzeniu i wymotywowaniu danych, celem
zgnębienia stronnictwa i ludzi, którym upadek po-
wstania przypisywano, o tem każda niemal sześcio-
tomowego dzieła jego świadczy stronica.

Posłużyło mu to do opanowania języka pol-
skiego, wyrobienia sobie odpowiedniego stylu i wy-
kształcenia się teoretycznie w rzemiośle wojennem.
Co się tego ostatniego (rzemiosła wojennego) tyczy,

szkoła kaliska wykształcić go nie mogła, ani dać mu nawet tych podstaw naukowych, jakie się w matematyce (mechanika, budownictwo) i w naukach fizycznych znajdują, bez których się wiedza wojskowa obejść nie może. Do zadania, jakie się mu w historii powstania przedstawiało, wystarczały we względzie wojennym wskazówki ogólne, dające się czerpać w dziejach powszechnych i szczegółowych, w dziejach wojennych, w traktujących o strategii i taktyce dziełach takich, jak generała Jomini, arcyksięcia Karola, w biografjach wodzów znakomitych. Umysł taki chwytny i bystry, jakim był umysł Mierosławskiego, z łatwością przyswajał sobie i przerabiał po swojemu poglądy i reguły, na których krytyka opierać się dawała. Dla celu tego wystudyzował geografję tak szczegółowo, że stał się jednym z najlepszych we Francyi geografii wojennej znawcą i profesorem. Studya w kierunku tym dały mu w ręce oręż przeciwko każdemu generałowi, któremu szczęście nie dopisało na polu działań wojennych. Czy go jednak samego generałem zrobiły?... — pytanie. Może się to w dalszym sylwety ciągu rozwiąże.

Studya, w połączeniu z wyrobieniem pisarstwem, oddajacem na usługi jego retorykę bezwzględnie i bezwarunkowo, zrobiły z niego postrach na mistrzów w sztuce wojennej. Pojawienie się pierwszych pióra jego tomów historii przeraziło generałów. Opowiadano mi, że czytając ją Chłopicki, o ustępach, o których nie wiedział co powiedzieć, opinii swojej inaczej wyrazić nie umiał, tylko pisząc na marginesach ołówkiem: „Czyś był tam błaznie?“ „Ach, kpie jakiś!“ itp.

Była w tem pociecha niejaka, która jednak rzeczy nie zmieniała. Generalowie się gryźli; publiczności zaś, młodej zwłaszcza, nie uwzględniającej tej prawdy, że „la critique est aisée, l'art est difficile“, wydało się, że Polska doczekała się nareszcie wodza genialnego, który ją wyzwoli. Było to

niestety, złudzeniem, które wielu zawodów stało się przyczyną, a którego ofiarą Mierosławski padł najpierwszy. Uwierzył on w genialność swą bezwzględnie. Byli tacy nawet, co widzieli w osobie jego urzeczywistnienie przepowiedni księdza Piotra w trzeciej części „Dziadów“:

„Nad ludy i nad króle podniesiony
Na trzech stoi koronach, a sam bez korony.

Z matki obcej, krew jego dawne bohaterzy:

A imię jego czterdzieści i cztery“.

Jakoby przepowiednia ta wrażenie na Mierosławskiego wywarła — wrażenie, pod którym pierwszy utwór swój poetyczny („Szuja“) Mickiewiczowi ofiarował. Wielbicielę zaś jego proroctwa na serjo brali, na tem się opierając, że: 1) wyzwoliwszy Polskę, stanie na trzech koronach, moskiewskiej, austriackiej i pruskiej, a sam, jako republikanin, bez korony, 2) matka jego jest obcą, a krew polska jest krwią dawnych bohaterów, 3) imię Ludwik, właściwie Ludowik, składa się z liter siedmiu, z których pierwsza w cyfrach rzymskich znaczy 50 — odciągnąwszy pozostające 6, pozostanie 44. Nie wiem, czy Mierosławskiemu znanem było to proroctwa tłumaczenie. W każdym razie jest ono świadectwem uwielbienia, jakie on wzbudzał, a które się nawet przeciwnikom jego udzielało. Natura bo obdarzyła go nad wyraz hojnie.

Pisarz cięty, mowca porywający, przytem geniusz wojenny domniemany — czy potrzeba było czego więcej na olśniewanie Polaków? Olśnieni ludzili się i na potęgę psuli człowieka, rozdmuchując w nim próżność i zarozumiałość — przywary dwóch ras w osobie jego złączonych i zdolnościami istotnymi a ogromnymi podszytych. Wszystko, co się czuło polskiem, roz tęsknione do ojczyzny na emigracji, drażnione prześladowaniami przez zaborców w kraju, wszystko to głosem jednym, westchnieniem ulgi na duszy odetchnęło:

— Ah!... nareszcie...

Centralizacya, przewodniczka Towarzystwa Demokratycznego, założonego w celu wyzwolenia Polski, posiadłszy w gronie swoim geniusza w osobie jednego z członków swoich, poczuła się nie to w prawie ale w możności, a zatem i do obowiązku powołania narodu do oręża.

— Błąd!... szaleństwo!... zbrodnia!...

Przepraszam tych panów, co na wspomnienie wypadków r. 1846, wyrazy te pawim wykrzykują głosem, że im następującą pozwolę sobie zwrócić uwagę: gdyby nie zbrodnie dokonywane od r. 1768 pod postacią konfederacyj, wojen, sprzysiężeń, tajemnych organizacyj, ruchawek, powstań, utrzymujących serca polskie w temperaturze patryotycznej i umysły w ruchu, od dawien dawna inteligencya polska przegniłaby na „Scriptorów“*) a lud aniby wiedział, że jest polskim. Wszakże do rzezi w Tarnowskiem pchnąć się dał lud nie polski, ale „cिसarski“ przez starostów i komisarzy ze szkoły meternichowskiej przerobiony. Zachodzi nawet pytanie, czy: gdyby nie zbrodnie owe, mogła się Polska chwalić nie tylko romantykami, co „szowinizm“ w Polakach rozpalali, nie tylko wymownymi w Krakowie, Poznaniu, Warszawie i Petersburgu „szowinizmu polskiego“ gromicielami, ale nawet wszelakiego szowinizmu wyrzekającymi się modernistycznymi dekadentami, impresyonistami, symbolistami, nastrojowcami? — co?...

Powstanie przeto udecydowanem zostało — powstanie, które dla Mierosławskiego pierwszą było konspiratorskich, organizacyjnych i wojennych jego zdolności próbą.

Jak ta próba wypadła?

W zawodzie konspiratorskim nieudolność jego w całej objawiła się okazałości w latach 1846 i 47.

*) Pseudonim, którym się podpisał autor pamfletu politycznego p. t. „Nasze stronnictwa skrajne“.

Po przybyciu do Poznania, gdy policja pruska pismo nosem zwąchała i śledzić poczęła, nie umiał się odpowiednio zachowywać; gdy zaś w ręce jej się dostał, dał się dyrektorowi policji podejść i, wbrew umowie nie wydawania osobistości, wygadał przed nim wszystko, przez co tak się współobwinionym naraził, że po ukończeniu śledztwa, gdy więźniom w Moabicie dozwolonym zostało po dwóch, po trzech, w jednej przebywać celi, nikt Mierosławskiego za towarzysza mieć nie chciał. Dozorca Mierosławskiego z niemałym Białoskórskiego i Guttrego zdołał uprosić trudem, ażeby go przyjęli.

Przed nimi się do błędu przyznał i podjął się skompromitowanych przez siebie na sądzie „powyłgiwać“. Nie wyłgał wprawdzie nikogo, ale się w opinii publicznej świata ucywilizowanego i polskiej zrehabilitował wygłoszeniem świetnej w obronie sprawy polskiej mowy.

Po procesie nastąpiła rewolucya berlińska, która wyroki sądowe skasowała i króla okrzykiem „Fritz hinaus!“ klaniać się oprowadzanym w tryumfie skazańcom na śmierć zmusiła. Wywiązało się stąd powstanie poznańskie, zaznaczone zwycięstwami powstańców nad wojskami jego królewskiej mości pod Miłosławiem i Wrześnią, nie tak doniosłemi i świetnemi, jak je Mierosławski w książce p. t. „Powstanie poznańskie w r. 1848“ opisał, zawsze jednak zwycięstwami, które na gruncie umiarkowaną wodzowi zapewniały więźność, na zewnątrz atoli, rozgłoszone przez pisma, sądzące o nim wedle mowy jego na sądzie, zrobiły mu w Europie reputacyę wodza wielkiego. A i Fryderyk Wilhelm IV także wysokie o zdolnościach jego wojennych powziął wyobrażenie, że często, gdy za dużo kieliszków kmin-kówki wychylił, generałom swoim rozpedzeniem i zastąpieniem ich przez Mierosławskiego groził. Mimo to pięć miesięcy w więzieniu go przytrzymał i gdy mu, na usilne ambasadora francuskiego naleganie, do Francji powrócić pozwolił, wnet zrepubli-

kowani Badeńczycy na wodza go swoich sił zbrojnych zaprosili, przeciwko prowadzącym na tron badeński wygnanego przez nich wielkiego księcia wojskom Rzeszy niemieckiej.

Warunki topograficzne i stosunku sił walczących, w jakich się ta wojna toczyła, były takie, że wyprowadzenie z niej zwyciężkie sił zbrojnych badeńskich, było niemożliwością absolutną. W warunkach analogicznych przyszło się Mierosławskiemu w tymże jeszcze roku (1849) w charakterze wodza naczelnego wojować w Sycylii.

Domaganie się go na wodza naczelnego przez różne narody, nie mogło w nim chyba nie spotęgować dobrego o sobie mniemania. Nie mogło też mniemania tego o nim nie gruntować w opinii publicznej. Uległem mu w zupełności. Stałem się Mierosławskiego wielbicielem, wierzącym w geniusz jego bezwarunkowo mimo niepowodzenia, jakie go w Poznaniu, w Badeńskim i w Sycylii spotkały. Odbyłem już kampanię i należałem do rodzaju żołnierzy, zdających sobie sprawę z działań, w których bierną odegrali rolę.

Po odbyciu praktyki, przestudyowawszy sztukę wojenną teoretycznie przy pomocy wiadomości naukowych, nabytych na wydziale fizyko-matematycznym, dostatecznie posiadałem przysposobienie do zdawania sobie sprawy z trudności ogromnych, jakie miał do przełamania Mierosławski w każdej z trzech kampanij, w których naczelnie dowodził. W Poznaniu wojnę toczył bez pieniędzy, bez broni, niewyrobionym w szeregach żołnierzem, mając nadto przeciwko sobie rozżalone za sprawy procesowe obywatelstwo krajowe, które w nim wodza przez emigrację narzuconego widziało.

Badeńskie geografia do prawego brzegu Renu przylepiła, nadając mu kształt wąskiego paralelogramu, nie nadającego się zgola na teatr wojenny. Sycylia we względzie rewolucyjno-wojennym była placówką straconą, do zajęcia której albo poczucie

obowiązku, albo amatorstwo pobudzić mogło. Sprawę sobie z tego wszystkiego zdawałem i w jesieni r. 1850, przejeżdżając przez Paryż, pojechałem umyślnie do Wersalu, raz jako wielbiciel, powtórę jako żołnierz, celem nietylko zameldowania się wodzowi swemu, ale i wzięcia od niego wskazówek, poleceń, rozkazów, odnośnie do funkcji emisarskiej, w jakiej do Polski zmierzałem. Niestety, nic podobnego wziąć od niego nie mogłem ze względu na to, że po wyjściu z choroby gardlanej — bodaj czy nie tej, z której go ks. Jełowicki cudownie uleczył — lekarz mu mówić zakazał.

Przyjął z gardłem szalikiem obwiązaniem, chodząc po pokoju i mimicznie biorąc udział w rozmowie, jaką ze mną toczyli Mazurkiewicz (szwagier jego) i Sperczyński. Oglądałem go tylko. Bardzo dobre sprawił na mnie wrażenie. Liczył naówczas lat 37, był więc w tym wieku, w którym męskość w całej w młodości nabranej znajduje się siłę. Siła też z jego przemawiała postaci. Wzrostu średniego, krępy, jasny, o obliczu otwartem, czole foremnem, siwych, wesoło i rozumnie patrzących oczach, blondyn, miał wygląd pociągający tych dobrych, dowcipnych koleżków, którzy w języku francuskim noszą nazwę „bons enfans”. Nie zaimponował mi, ale uzyskał zaufanie moje. Przejął mnie żał: że ten człowiek gdzie indziej niż w Badeńskim i w Sycylii zdolności swoich nie zużytkował — zwróciłem się więc do niego z zapytaniem:

— Generale, czemuś do Węgier nie przybył?..

Odpowiedział mi wzruszeniem ramion i giestem, oznaczającym: „stało się — cóż robić!...”

Odjechałem go z powziętem dawniej na słyszane i spotęgowanem przez widzenie przekonaniem o wódzu, posiadającym wszystkie moralne i umysłowe przymioty do wyzwolenia Polski potrzebne: kochającym ojczyznę, jak Kościuszko, i obdarzonym wojennym Napoleona geniuszem. I w rzeczy samej: Mierosławski ojczyznę kochał, ale po swojemu.

Zeszedłem się z nim w siedm lat później — w momencie, w którym Polsce jaśniejsze przyświecać zdawało się jutro. Paryż napełniała młodzież polska z zaboru wyłącznie prawie moskiewskiego, garnąca się w całości do Towarzystwa Demokratycznego, którego zarząd (centralizacya) zawsze przebywał w Londynie. W Paryżu ciałem zastępczem niejako było to kółko, które w r. 1853 przewodniczyło głosowaniu emigracyi na udzielenie pełnomocnictwa generałowi J. Wysockiemu, celem wzięcia udziału w wojnie przeciwko głównemu z pomiędzy trzech państw, co Polskę rozebrały. Skład osobowy tego kółka zmienił się o tyle, że się z niego usunął Mierosławski i miejsce członka piątego rezerwowanem zostało dla mnie, rok przedtem wybranego do centralizacyi, lecz nieobecnego na stanowisku, z powodu niemożności przyjechania do Konstantynopola.

Były to trzy ogniska, ku którym zwracały się krajowe i emigracyjne grona ochotnicze pod nagłym pryncy nad wyzwoleniem Polski wezwaniem. Oktrojowane przez Aleksandra II łaski łudziły i zachwycały tych jeno, co się ludzi i zachwycać chcieli, doradzając wyczekiwanie. Za zbyt dokładnie znano następstwa oczekiwania na spełnienie wyraźnych Aleksandra I obietnic, ażeby można było liczyć na pomysły mglistego Aleksandra II liberalizmu rezultaty.

Sposobiono się przeto do czynu, przedstawiającego się w perspektywie pod postacią akcji orężnej. W kraju — w Warszawie zawiązywały się organizacje, potrzebujące przedstawicielstwa jawnego, któreby za nie wobec opinii publicznej poręczało i pomoc im niosło. We względzie tym dwa nadawały się ogniska: Centralizacya w Londynie, stojąca na uboczu i składająca się z osobistości szerokiemu ogółowi nieznanym; Kółko w Paryżu, zajmujące stanowisko w środkowym polityczno-dyplomatycznym punkcie Europy, do składu którego wchodziłi tacy jak znany z wojny węgierskiej i z zabiegów w Turcyi,

Wysocki, spokrewniony, skoligacony i zaprzyjaźniony szeroko w Poznańskim i w Królestwie Ordega, skazany w Berlinie r. 1847 na śmierć Elżanowski; Mierosławski wyosobnił się. Z racyi tej, Kółko najlepiej się na przedstawicielstwo zaznaczających się w kraju ruchów nadało. Moje w tym stanie rzeczy położenie było drażliwem i zatracąło fałszem, narzucało mi bowiem rolę człowieka na dwóch siedzącego stołkach. Z roli tej wyjść usiłowałem za pomocą sprowadzenia trzech tych ognisk do jednego mianownika. Nie udało mi się to. Wystąpiłem więc z Centralizacyi i opuściłem Londyn.

W Paryżu obserwowałem Mierosławskiego, na którego jasnej, wyidealizowanej przezemnie postaci ukazywać mi się poczęły rysy i plamy, ścierające z niej kościuszkowstwo w części znacznej. Odosobnił się, zapewniał, że się do politycznych i organizacyjnych robót mieszać nie chce i nie będzie, zamknął się niby drugi Achilles w namiocie swoim, oddając się całkowicie doskonaleniu wynalazku swego bojowego, na zewnątrz atoli namiotu tego spotykać się dawali Patrokle, rozsyłani przezeń z poleceniami, rozkazami, wezwaniami i oszczerstwami. Prowadził tajoną, przed Centralizacją i przed Kółkiem na rękę własną działalność, a prowadził ją tak niezręcznie, że niejednen z listów jego, zawierających kalumnie, dostawał się do rąk osoby, będącej oszczerstwa przedmiotem. Obdzierało go to z uroków, jakimi osobistość jego wyobraźnia ludu otaczała, nie osłabiało jednak przekonania o przypisywanych mu zdolnościach.

— Niechno stanie na czele szyków wojskowych, a wnet od niego nabytki ujemne odpadną...

Przypuszczenie to prawdopodobnem czyniło skromne jego życie i swobodne, towarzyskie zachowanie się.

Razu pewnego z Mazurkiewiczem we dwóch szliśmy do czytelnicy polskiej, znajdującej się na piętrze, przy uliczce, zwanej Pasażem de Commerce.

Na schodach o słuchy nasze ogromny uderzył hałas, który nas zdziwił. Przyspieszamy kroku, wchodzimy i oczom naszym przedstawia się widowisko kilku ludzi młodych do koszuli rozebranych i za bary się wędzących, Mazurkiewicz nakrzyczał w sposób gromiący, zapasy ustały, zapaśnicy usunęli się i z poza nich ukazał się Mierosławski.

— Ludwiku!... — zawołał na niego szwagier. Jak możesz na rzeczy takie w czytelnicy pozwalać?.. Co to znaczy?..

Pod tem karceniem Mierosławski przybrał minę studenta, co się dopuścić zbytku i na gorącym pojmanym został uczynku.

Ulica de Commerce wychodziła czasu onego na plac, przy którym znajdowała się kawiarnia, zwana, jeżeli się nie mylę, Molière. W kawiarni tej, wewnątrz i na zewnątrz, schodziliśmy się po obiedzie na kawę czarną.

Często zjawiał się i Mierosławski; otaczano go, zawiązywały się gawędy, dyskusye, które wywoływały opowiadania o zdarzeniach.

W opowiadaniach generał celował, przedstawiając zdarzenia raz tak, drugi raz inaczej, trzeci raz jeszcze inaczej itd. Z opowiadań jego każde w piątej szóstej edycyi, do pierwszej podobieństwo całkowicie traciło.

Do czasu onego odnosi się sławna jego mowa, wygłoszona w rocznicę listopadową, którą przeladował porównaniami geologicznemi i Boga w niej „z brodą rozczochraną od zenitu do nadiru“ przyrównał do siebie.

Rozstałem się z nim w r. 1859. Szło ku powstaniu. Na rzecz powstania założoną została we Włoszech w Cuneo, przeniesiona następnie do Genui, szkoła polska wojskowa pod dyrekcją Mierosławskiego. Od dyrekcji tej nieszczęsnej objawiać on poczyna symptomy, na podstawie których wielu z jego dawnych wielbicieli oskarżają go o brudne

niegodziwości, przeplatane dziwaczniemi niedorzecznościami. Czyż bowiem nie dziwaczną niedorzecznością było wystosowane do uczniów żądanie, ażeby w imieniu kraju udzielili mu upoważnienia do reprezentowania narodu polskiego i wyłącznego sprawami polskimi kierownictwa? Odrzucenie żądania tego wywołało zajęcia, sądy, wykluczania, organizację straży przybocznej itp. głupstwa, które pozbawiły go dyrektorstwa szkoły.

Po wybuchu styczniowym nastąpiły reklamy: rozsyłanie secinami portretów z podpisem własnoręcznym i z przyłączeniem Garibaldiego listu autografowanego, zawierającego w sobie obok odezwania się do Mierosławskiego, jako do wodza Polski powstającej, kilka wierszy wykropkowanych, każących się głębokich jakichś domyślać tajemnic.

Byłoby to jednak małą rzeczą, słabostką, najwyżej naśladownictwem reklamy kupieckiej, polecającej siebie jak handlarze polecają towar, gdyby nie naciągane z Rządem Narodowym procesy o władzę i pieniądze, gdyby nie oskarżenia powstania o wyprodukowanie 5.000 złodziei. Wobec tego traci się zimną krew, potrzebną do sądzenia czynów ludzkich, zwłaszcza, gdy powołanego przed kratki pokrywa płyta grobowa.

Owóż rozpatrując się uważnie w czynnościach Mierosławskiego, odzyskuje się zimną krew sędziowską. Wina nie ciąży całkowicie na nim, ale z jednej strony na naturze, która go obdarzyła wyobraźnią za zbyt żywą i za zbyt chwytną, z drugiej na tych, co go zepsuli, wmawiając geniusz w niego. Uwierzył w to i poczuł się, uznał siebie nie zobowiązanym do żadnych względów etycznych nadczłowiekiem. Polskę kochał, bardzo ją, głęboko, ognście kochał, ale dla siebie, jako swoją najmocniej umiłowaną własność. Nominowała go w r. 1846 Centralizacya wodzem naczelnym, dyktatorem i on przy nominacyi tej od r. 1846 do 1878 obstawał, broniąc jej przeciwko rządowi, ludziom, losom — przeciwko wszystkim

i wszystkim, biorąc w obronie w rachubę nie środki, ale cel. Nie było to dosadnie scharakteryzowaną aberacją umysłową?

O aberacji bodaj czy nie najdosadniej wynalazek bojowy świadczy. Posądzenie o nią powziąłem, gdy mi razu pewnego na modelu tłumaczył fizyczne, na którym go oparł, prawo. Za podstawę wynalazku wziął własność kuli, przebijania ciała stawiającego jej opór, nie przebijania zaś tego, które oporu nie stawia, tj. wiszącego. Stosownie przeto skrojone i uszyte tornistry, na stosownie przyrządzonych zawieszonych ramach, ustawionych odpowiednio na specjalnie zbudowanym wozie, tworzą — zdaniem wynalazcy — „fortyfikację przenośną, zarazem lotną jak szarża kawalerii i wszystko przed sobą łamiącą, jak kolumny szturmowe“. Miało to być zmodernizowaniem i ulepszeniem taborów, które Czechom w wojnach husyckich ogromne oddały usługi. Mimo przestrogi i krytyki, wykazujące bezużyteczność, ba, szkodliwość fortyfikacji podobnych, niezdolnych się opierać artylerii i krępujących w bitwie swobodę ruchów, Mierosławski tak dalece w wynalazek swój wierzył, że w dobie powstania styczniowego, wszystkie, jakie mu tylko w ręce wpadały pieniądze publiczne, na fabrykowanie wozów obracał i znalazłszy się na teatrze wojny, w obozach pod Krzywosądem i Nową Wsią, zamiast obmyślać i przysposabiać oddziałik przeciwko nieochybnym atakom Moskali, wozy na prędko fabrykował.

O nim stanowczo powiedzieć należy, że był to człowiek niepoczytalny. Ogromnych, jakimi go natura obdarzyła, zdolności, na dobre obrócić nie był w stanie. Jedyłą, pozostającą po nim korzyścią, jest przykład dla młodzieży naszej, ostrzegający ją przed wybujałością, wyobraźni, z własnego strzelającej „ja“.

Nadczłowieczość dzisiejsza — czy nie na tej, co on niegdyś, znajduje się drodze?..

Aleksander Guttry.

Po roku 1831 pomiędzy emigracją polską we Francji a inteligencją polską w zaborze pruskim istniało porozumienie, które by nazwać się dało związkim duchowym. Wszystko w Wielkopolsce, co było w sile wieku, żywsze, odważniejsze, nie mówiąc o młodzieży, wszystko to ku emigracji ciążyło. Pochodziło to, jak się zdaje ztąd, że Prusy owoczesne w dążeniu ku zaokrągleniu posiadłości swoich posługiwały się protekcyami, wymienianemi za przysługi, które świadczyły za jakimś wynagrodzeniem nie wielkiem. W kierunku tym urobiła się dla nich tradycya polityczna — mądra, ale podła — mądra, ponieważ towarzyszyło jej ustawiczne wzmocnianie sił państwowych wewnętrznych, podła, ponieważ historia nie wykazuje ani jednego przez elektorstwo brandenburskie dawniej, przez królestwo później przez Prusy zawartego układu, traktatu, przymierza, któregooby nie podszywało wiarołomstwo, zaznacza natomiast handel sumieniami dziewczyczkami pod postacią zaprzędawania prawosławiu protestanckich swoich królewien i księżniczek, a nawet — w razie nagłej potrzeby — pożyczania amatorowi płci pięknej królowej swojej, niby pospolitej jakiej Walewskiej. Prusy w r. 1831 wysługiwały się Rosyi — bez ich pomocy Paszkiewicz nie mógłby ani przez Wisłę się przeprowadzić, ani Warszawy zdobyć. Rosya im za to żadnym nie wy-

wdzięczyła się rebuchem. Po przysługach przeto spólnicze w rozbiorach oddanych, po naznęcaniu się nad szukającym na terytoryum pruskiem schronienia żołnierstwem polskiem, gabinet berliński — na wszelki wypadek — nie tylko sfolgował Polakom poddanym swoim, ale i na emigrantów — przypuszczając snadź, że i oni w razie danym przydać się mogą — łaskawym się okazywał. Po r. 1831 Prusy wobec emigracyi polskiej odegrały rolę podobną do roli, odegranej przez Austryę po r. 1863. Podobną politycznie — wydatniejszą, kulturalnie. Dzięki wpływowi wyżej stojących w Prusiech, aniżeli w Austryi, zakładów nauczających i naukowych, zabór pruski w umysłowym i literackim ruchu przewodniczył w Polsce, w politycznym zaś także względem Polski zajął stanowisko, że historia nie rozstrzygnęła jeszcze pytania: czyjem wypadki r. 1846 były dziełem, emigracyi, czy Wielkopolski? W procesie r. 1846, na 251 sądzonych, emigrantów było tylko 26. Śród 11 głównych sprawców (Urheber), zasądzonych na śmierć (8) i długie więzienie (3), emigrantami byli Mierosławski i Elżanowski, inni — Wład. Kosiński, Stan. F. Sadowski, Łobodzki, Cejnowa, Kleszczyński, Kurowski, Malczewski, Trąpczyński i Libelt — z rodu i pobytu poznańczy. Ci przeto, co wypadki r. 1846 do rodzaju występków w Polsce zaliczają i odpowiedzialność za nie na emigrację, ściślej na Towarzystwo Demokratyczne, a jeszcze ściślej na Centralizację zwalają, dopuszczają się niesprawiedliwości. Odpowiedzialność, jeżeli nie przeważnie, to w równej mierze ciąży na Wielkopolsce wogóle, na wybitniejszych tej części Polski obywatelach w szczególności.

Do tych wybitniejszych należał Aleksander Guttry — ziemianin zamożny, pochodzący z rodziny szkockiej, która w r. 1673 uzyskała, w osobie Jerzego Guttrego, majora wojsk koronnych, indegenat. Rodzina ta osiedliła się w Wielkopolsce i spolonizowała rdzennie przez kobiety w przeciągu półtora wieku. Pra-pra...wnuk majora, ś. p. Aleksander, wła-

ściciel dwóch wsi (Paryż i Piotrowice), w żyznej glebie w węgrowskim położonych powiecie, gospodarował i na każdy Ojczyzny apel odpowiadał: „jestem!“.

Do czynnej służby Polsce zaciągnął się w pierwszej młodocianego wieku dobie, urodzony bowiem w r. 1814 — w r. 1831 na koniu, z lancą w garści, mierzył się już z wojskami najezdniczymi. Zaczął młodo i nigdy w życiu nie pomyślał, że dług ojczyźnie spłacił. Spłacał go ustawicznie — do śmierci, przyjąwszy zasady i dążenia Towarzystwa demokratycznego polskiego i podzielał jego działalność. Na drodze działalności tej znalazł się w r. 1846 w liczbie tych 251, co się pod sąd dostali. Pod sądem poszczęściło mu się. Zkompromitowany „de facto“ (członek Komitetu Centr. od r. 1845) uniknął kompromitacji „de jure“, dzięki odpowiedniemu zachowaniu się przed sędzią śledczym i temu, że w peeryodzie dochodzeniowym nie znalazł się w sprawie jego papła, któryby, jak Mierosławski, dał się sędziemu podejść i nazwisko jego uwydatnił. Upięknio się mu. Przesiedział półtora roku z czemś w więzieniu przewencyjnym. Uwolniony bez kary dla braku dowodów? Po uwolnieniu tryumfalnym wszystkich sądzonych i skazanych, niezwłocznie począł swoją prusaczoną przemocą duszę nowemi obarczać zbrodniami, biorąc czynny, jako członek komitetu wojskowego, w powstaniu, pod dowództwem Mierosławskiego udział.

Guttry do wielbicieli Mierosławskiego, wraz z wielu Wielkopolanami i wszystkimi członkami Towarzystwa dem. należał. Proces nie zraził go do niego. Świetna mowa obrończa zrehabilitowała niefortunnego konspiratora, wielomowność zaś wobec sędziego śledczego nie osłabiała ani trochę mniemania o wojennych kontynuatora Maur. Mochnackiego „Historji powstania r. 1830—1831“ zdolnościach. W powstaniu więc poznańskim wszystko, co się w społeczeństwie do obowiązku służenia Polsce po-

czuwało, pod jego pogardęło się rozkazy. Niepomyślny ruchawki tej rezultat był naturalnym stosunku sił wojujących, niemożności zaimprovizowania organizacji ze strony polskiej i niedostateczności wynikiem. Rezultat ów nie osłabiał o zdolnościach wodza mniemania i następnie mniemania tego nie byłby osłabił, gdyby zły duch nie poradził Mierosławskiemu napisania książki, w której bardziej dowcipnie, aniżeli sprawiedliwie, obywatelstwo poznańskie odsądził od rozumu i patriotyzmu, zalety te sobie i emigracyi przyznając. Zraziło to do Mierosławskiego ogromną obywatelstwa większość, w tej liczbie i Guttręgo. Krytyka wywołała krytykę, która zdolności wojskowe generała w wątpliwem wykazała świetle. Odtąd wielbiciel bezwzględny miarkować począł uwielbienie pierwotne. Im pilniej się słońcu temu przypatrywał, tem większe dostrzegał na niem plamy. Bolało go to szczególnie, że dzięki żakostwu, polegającemu na wynoszeniu w patriotyzmie jednych nad drugich, nadwerężyło się porozumienie, jakie do r. 1848 istniało pomiędzy emigracją a tym działem Polski, który się z nią znosić i na nią oddziaływać mógł. Żakostwo takie jest objawem dosyć pospolitym, trafiającym się i w społeczeństwach ucywilizowanych: w Szwajcaryi np. kantony wywyższają się jedne nad drugie — zuryszanie mają siebie za coś lepszego od st. gallencyków, genewczycy od waadtezyków (Cton de Vaud) i odwrotnie. Czyni to jednak gmin: wyróżniania podobnego dopuszcza się niemądra młodzież: ludziom dojrzałym i do rozumu pretensyę mającym nie uchodzą rzeczy podobne. Nam zwłaszcza Polakom, różniczkowanym przez wrogów, nie przystoi różniczkowanie się nieoględne i nierozważne, podniecane przez podszywane doktryneryzmem namiętności. A taka to właśnie podnieta podyktowała Mierosławskiemu książkę, naigrywającą się z czei obywatelstwa jednego z działów rozszarpanej Polski. Guttry przewidywał, że wyniknie ztąd do emigracyi ze strony krajowców niechęć, której nie omieszkają wy-

zyskać przeciwnicy pobudzanej przez nią politycznej ruchliwości Polaków i wrogowie piastującego w łonie swoim zaczynny wolności obywatelskiej narodu polskiego. Przewidując to, przeciwdziałał przeciwko temu do spółki z ludźmi tej miary, co Niegolewski, Sew. Mielżyński, Libelt i inni podobni, usiłując o ile możliwości neutralizować wrażenie produktu literackiego, wytworu zarozumiałości, zprężonej, z obrażoną miłością własną. Wierzył bowiem jeszcze w Mierosławskiego geniusz military — w jego niezbędność w razie, gdy się Polska do oręża porwie. Względami temi kierował się w życiu prywatnem, w stosunkach towarzyskich i na arenie parlamentarnej, na którą nie omieszkało wysłać go zaufanie spółobywateli. Na arenie tej „rozumiał on — słowa nekrologu na śmierć Guttrego, zamieszczonego w („Wolnem Polsk. Słowie“ nr. 82 z d. 1 lutego 1891) — że rola polska w sejmie zaborczym polega przedewszystkiem na upominaniu się o krzywdy — na utrzymywaniu w ciągłości nieprzerwalnej tego procesu, który się rozpoczął w r. 1772 i czeka na rozstrzygnięcie.“

Lata, w których Guttry w sejmie pruskim posłował, były świetnym w parlamentaryzmie wielkopolskim momentem. Posłowie czuli się, uznawali i byli Polakami, byli nimi rzetelnie, bezwzględnie, bez żadnych zastrzeżeń i niedomówień. Żadnemu z nich ani się śniło, ażeby mógł się wyznawać „Prusakiem polskiego pochodzenia“ (formuła narodowościowa trójlojalizmu), żaden nie przypuszczał możliwości godzenia się z losem. Kiedy A. E. Odyniec — współredaktor i jeden z autorów wiernopoddanego ohydztwa, jakie w imieniu szlachty litewskiej „u stóp“ Aleksandra II — za pierwszej jego w Wilnie po śmierci rodzica „niezabwiennawo“ bytności — złożonem zostało, po dokonaniu tego głębokiej polityki dzieła w Berlinie się zjawił i Koła polskiemu wizytę złożył, doznał od Koła przyjęcia, które go o spazmatyczny przyprawiło płacz. Boć Polacy to byli —

Polacy, patryoci starej daty — demokracji narodowi *)

Rozdźwięk przekonaniowy pomiędzy nimi a demokracją emigracyjną tem się w momencie owym wyraził, że ta ostatnia, widząc bezowocność działalności Polaków w parlamencie pruskim, w którym bezwzględnie wszelkie ich wnioski, interpelacje i reklamacje odrzucone były, sprzeciwiało się braniu przez nich w ciele tem udziału. We względzie tym atoli racya się po stronie posłów polskich znajdowała. Mieli się oni za notablów, jakich zdobyte miasta wysyłają do nieprzyjaciela, celem uzyskania od niego warunków o ile można najznośniejszych we względzie kontrybucyi, dostaw, kwaterunku, podwód i t. p. ciężarów. W roli tej przedstawiciele narodu

*) Coraz mocniej uczuwać się daje potrzeba historyi emigracji polskiej, oraz wystudyowania demokracji „starej“. Podwójną tę potrzebę wykazuje polemika akademicka, tocząca się obecnie (r. 1901—1903) przeważnie w prasie galicyjskiej — polemika przenoszona ze sfer akademickich do politycznych. Zjawisko to u nas nie nowe. Pozytywizm, metoda badań filozoficznych — czyż nie został z filozofii przeniesiony do polityki dla zakończenia smutnie karyery przez wyszykowanie zgody z losem? Coś podobnego oczekuje demokrację. Istota jej ujęta w formułę wszechludzką, „Wolność, równość, braterstwo“, znaną jest dokładnie; w przeniesieniu jednak do polityki ulega koszlawieniu przez różniczkowanie bez końca. Jakiej bo nie mamy już demokracji? Nie brak sultańskiej (za Abdul-Medżida) i carskiej (za Aleksandra II). W Galicyi do wyboru są; lwowska, krakowska, koncentrowana, socyalna, ludowa (trojaka), stara, nowa i inne i in., nawet się wedle osób mianujące, a każda z osobna i wszystkie razem specjalnie galicyjskie. W takim rzeczy stanie musiała się oznajmić „narodowa“ dla tego bodaj, ażeby zaznaczyć, że nam Polakom nie o samą tylko Galicyę, ale i o Polskę chodzić powinno.

polskiego w sprawowaniu funkcji poselskiej wyłączenie prawie interpelowali, reklamując przeciwko nadużyciom urzędniczym i niedotrzymywaniu zobowiązań rządowych i przyrzeczeń monarszych. Naprawy krzywd nie uzyskali, ale oddziaływali na dwojaką opinią publiczną: zagraniczną i krajową. Za granicą sprawę polską na widoku ustawicznie utrzymywali: w kraju... „każde upomnienie się „(W. P. Słowo“ nr. 82, str. 6, kol. 3) wywoływało nowe ze strony zaborców nadużycie i każde ich nadużycie pogłębiało — że się tak wyrazimy — sprawę polską, budząc interesowanie się nią w tych warstwach społecznych, którym się najmniej uczuwać dawało panowanie obce. Polityka ustawicznej protestacyi posłów polskich na sejmie berlińskim, polityka opozycyi bądź co bądź, na pozór jałowa, w istocie owocna się okazała. Polityka ta udzieliła włościąństwu wielkopolskiemu świadomości patriotycznej i przysposobiła dla narodowości krzywdzonej miliony obrońców podczas, gdy takowi przed r. 1846 zaledwie na dziesiątki tysięcy liczyć się mogli“.

Guttry z kolegami w tym na arenie parlamentarnej podążał kierunku póty, póki go od tej areny nie oderwało powstanie styczniowe. Ponieważ należał do wyznawców demokracji wojującej, liczącej w procesie pomiędzy Polską a Moskwą na wymowę argumentów palnych i siecznych, na wzięciu w akcyi powstańczej udziału nie wyczekiwał wybuchu, lecz czynnym być zaczął w epoce przygotowawczej. Dom jego stał się główną kwaterą ruchu przed wybuchem i po wybuchu. Kilkakrotnie w sprawie powstania jeździł do Warszawy dla osobistego z Komitetem Centralnym porozumienia się. Zwróciło to na niego uwagę policji pruskiej i zniewoliło go usunąć się z kraju. Wyjechał za granicę na zachód w niemożności udania się do Królestwa, gdzie za zbyt znaczny rysopis jego wydałby go za pierwszym na gruncie zaboru rosyjskiego stąpieniem w ręce żandarmeryi moskiewskiej. Po wybuchu powstania Rząd N.

powierzył mu czynność bardzo ważną: zakupy broni i dosyłanie jej na teren wojny. Nikt zadaniu temu lepiej od Guttrego sprostać by nie mógł, tak dla fachowej rzeczy znajomości, jakoteż dla tego, że rzeczą było nieprzewidzialną, ażeby w rozporządzeniu jego grosz publiczny drogą przeznaczenia swego nie poszedł. Dla pełnienia obowiązku tego w Liège zamieszkał. Powierzoną mu czynność rozpoczął i prowadził ją dobrze póty, póki Rząd Narod. nie sprzął go nieoględnie z Mierosławskim, który, zamianowany bezpotrzebnie organizatorem sił zbrojnych polskich za granicą, założył w Liège fabrykę osławionych wozów swoich i wytaczał procesy nie tylko o dyktaturę, ale i o fundusze na zakupno broni przeznaczone. Smutne to były sprawy*)

W styczniu — może w lutym r. 1864 spotkałem się z Guttrym po raz pierwszy w Paryżu.

Dużo — dużo o nim przedtem (w Konstancy-nopolu) od Karola Brzozowskiego i Józefa Akorda, którzy w powstaniu poznańskim r. 1848 udział wzięli, słyszałem. Znałem go więc ze słyszenia, poznałem z widzenia i poznałem z dwóch naraz stron: z tej, że posiadał kompromitującą wobec wszelkiej, przeznaczonej do tropienia rewolucjonistów i buntowników, żandarmeryi postawę, oraz z tej, że mówiąc tak wyrazy cedził, iż słuchając go słuchacz najcierpliwszy cierpliwość tracić musiał.

Co do postawy należał do porody ludzi pokąźnych i akcentem powagi naznaczonych; jasny blondyn, słuszny, na urząd zbudowany, miał na pogodnem obliczu odmalowany i z błękitnych oczu bijący wyraz dobroci warunkowej — warunkowej dlatego, że sfałdowanie czoła i zmarszczenie brwi wnet obliczu

*) Napisana przez Guttrego w Liège, wydana w r. 1870 w Dreźnie, drukiem I. J. Kraszewskiego, książka p. t. „Pan Ludwik Mierosławski, jego dzieła i działania“, jest cennym do historii emigracji polskiej dokumentem.

i oczom nadawały wyraz groźny. Te wyrazu zmiany wynikały szczególnie w razach wyczytania lub usłyszenia o lekceważeniu obowiązków patriotycznych, o zaniedbywaniu się w służbie Polsce. O! bo Polska była przedmiotem umiłowania jego fanatycznego — „szowinizm“ grał w każdym u niego włókienku nerwowem.

Co się zaś wymowy tyczy, wada cedzenia wyrazów trapiła go w mówieniu potocznem — opuszczała, gdy przemawiał publicznie. Guttrego, przemawiającego publicznie, słyszeć mogłem po r. 1866, kiedym się z Belgradu przeniósł do Brukseli. Guttry, wskazany pomiędzy r. 1863 a 1872 na emigrację, przemieszkiwał w Liège, gdzie broni już nie kupował i wysyłką jej się nie trudził, ale czas spędzał bardzo pożytecznie. Po upadku powstania styczniowego zakłady naukowe, wyższe zwłaszcza, w Niemczech, Szwajcaryi, Francyi, Belgii zapelnily się młodzieżą polską — rozbitkami zapasów orężnych. W Belgii uniwersytety i szkoły fachowe w Gendawie i Liège szczególnie do siebie ciągnęły młodych Polaków, zaopatrując ich w wiedzę i zapewniając im chleb. Śród młodzieży tej, nie zsocyalizowanej, pomimo że na zachodzie przebywała i z socjalizmem się bezpośrednio stykała (najście socjalizmu na młodzież polską nastąpiło ze wschodu), zajmował stanowisko patryarchy, wskazując jej zadanie nauki w Polsce, utrzymując ją na drodze patriotycznej i w razie danym pełniąc śród zwaśnionych funkcję bądź rozjemcy, bądź sędziego. W czasie tym zawiązała się między nim a mną znajomość bliska, uwieczniona przyjaźnią umocnioną kumostwem: z żoną moją trzymał do chrztu pierworodną państwa Leonostwa Syroczyńskich (p. L. S. obecnie profesor w politechnice lwowskiej). Odwiedzał nas w Brukseli, my jego w Liège. Zjeżdżaliśmy się na obchodach patriotycznych. Wzięliśmy razem udział w owacyjnem, pod przewodnictwem zacnego Erazma Malinowskiego, Kornela Ujejskiego przyjęciu. Raz ostatni na wystą-

pieniu publicznem zeszedłem się z nim w Liège na bankiecie pożegnalnym, wyprawionym dla niego przez młodzież, gdy upojony tryumfami we Francyi nowo-upieczony cesarz niemiecki wszystkim przestępcom politycznym amnestyi udzielił i Guttry w rodzinne powrócić mógł progi.

W progach tych odwiedziłem go w Paryżu, w powiecie węgrowskim, w gronie rodziny, w roli gospodarza wiejskiego. Zabawiłem u niego dni kilka, które mi upłynęły miło i korzystnie. Poznałem cokolwiek wiejskie w Wielkopolsce życie. P. Aleksander obwoził mnie i oprowadzał po gospodarstwie swoim, które się opłacało pomimo, że gospodarz z dochodów część znaczną obracał na działalność polityczną i na książki. Spostrzegłem to i, wobec cale poważnego tak co do ilości, jako też co do jakości księgozbioru, zainterpelowałem go o ten obok rentujących się roli, bydła, owiec, „kapitał martwy“.

— Tak... — odpowiedział. Majątku to nie większa; na politykę atoli i na piśmiennictwo polskie nie wydają więcej nad to, co inni łożą na marszałków dworu, na kuchmistrzów, stangetów, na konie cugowe, kamerdynerów, lokajów, bony cudzoziemskie, podróże i innych rzeczy wiele, bez których wygodnie obchodzić się można...

W domu u niego panował dostatek; zbytków ani śladu. We względzie tym pomiędzy nim a żoną jego, noszącą łacińskie, Prudencya — po polsku „mądrość“ znaczące — imię, zgodność panowała zupełna. W czasach nieobecności mężowskiej pani Prudencya gospodarstwo prowadziła, dzienniki prenumerowała, rachunki Żupańskiego regularnie płaciła, na wychowanie dzieci łożyła, mężowi grosza dosyłała i na wszystko jej starczyło, ponieważ na żadne nie pozwalała sobie zbytki.

Oh! te zbytki... Gdyby nie one, o ileż by lepiej dziś i zawsze sprawa polska stała!...

Obwoził mnie Guttry po sąsiedztwie. Byliśmy w dworach kilku i... w pałacach. Jeden z pałaców

posłużył mi za model do napisania powieści pod zmienionym dla cenzury warszawskiej tytułem: „Dyplomacya szlachecka“. Jeden zaś dworek nowy, świeżo pod laskiem brzozowym zbudowany, we wspomnieniach moich pozostaje jako przybytek, urokiem świętości opromieniony. Mieszkał w nim Karol Libelt. Pobudował go sobie na gruncie niedawno nabytym i miejscowości dał nazwę wsi Brdowo, pod którą syn jego w powstaniu zginął. Libelta nie zastaliśmy — doglądał jakiejś robocizny, czy zbioru za laskiem. Poszliśmy ścieżką przez lasek i spotkaliśmy się z nim na niej. Nie okazał to być powierzchowności mąż, ale krótkie z nim obcowanie nakazywało powierzchowności jego w rachubę nie brać. Naturalny, swobodny, lekko humorem zaprawny sposób odnoszenia się towarzyskiego przypominał mi Lelewela. Spędziłem z nim godzin kilka na dwa razy rozłożonych: raz w Brdowie i w dni parę później w Paryżu (nie francuskim n. b.). Do Paryża zjechało się było sąsiedztwo z rewizytą, w czasie której rozmowy się rozstrzelały. Przedmioty, których dotyczyliśmy w domku pod laskiem brzozowym, przy wieczerzy złożonej z mleka kwaśnego i kartofli w mundurach, w pamięci mi pozostały. Mówiliśmy o śladach mieszkań napalowych, odkrytych na jeziorze Czaszewskim; o nieudałym Piusa IX cudzie, czemu dziwił się i nad czem ubolewał hr. Czarnecki; o kłopotach gospodarskich; o uprawie tytoniu i fabrykacji cygar; o Towarzystwie Demokratycznym i Centralizacji; wreszcie o rzeczy ważnej — o wychodźtwie ludu do Ameryki. Przytoczenie w materji tej w r. 1871, opinii takiego jak Libelt męża stanu i myśliciela, nie będzie może w dobie obecnej bez interesu.

Lat temu trzydzieści z góra opinia publiczna w Polsce głośno, wyraźnie i stanowczo się przeciwko wychodźtwu ludu oświadczyła. Opinię tę podzielałem, będąc pewnym, że opozycyi nie wywołuje. Zrazu przeto bez przekonania, wkońcu przekonany wysłuchałem zwięzłego wykładu, który się da jak nastę-

puje streścić. Libelt wykład swój zaczął od prawa ludzi, pracujących dla zabezpieczenia bytu sobie i rodzinie i wyprowadził stąd obowiązek pracodawców zaspakajania tej głównej pracowników potrzeby. Gdy pracodawcy obowiązkowi temu uczynić zadość nie mogą, w razie takim nie mają prawa sprzeciwiać się pracownikom w poszukiwaniu zarobków, potrzebom ich odpowiadających. Regułę tę ogólną objaśnił przykładem dwóch parobków, którzy od niego do Ameryki odeszli i po trzech latach powrócili, przywoząc rodzinom jeden tysiąc paręset, drugi ośmset kilkadziesiąt dolarów, przy pomocy których rodziny te z nędzy się otrząsnęły.

— Nie to jednak tylko — ciągnął dalej — wychodźtwa ludu naszego wagę nadaje. Polska, po utracie bytu państwa swego, gdyby nie posiadała przedstawicielstwa zagranicą, wydana by była na łaskę i niełaskę zaborców, którzy by ją, naród żywy, członka rzeszy narodów w świecie ucywilizowanym, uśmiercić usiłowali. Broni ją od tego obecnie emigracya polityczna dawniejsza w r. 1831 i nowa z r. 1863 — jedna wygasająca, druga wygasnąć mogąca, zanim ją ruch nowy z kraju nie zasili. Jakby na zapobieżenie temu tworzyć się poczyna emigracya...

— W Ameryce?! — podchwyciłem — zarobkowa?!...

— Ameryka — odrzekł, domyślając się sensu zapytania mego zdziwieniem zaakcentowanego — Ameryka północna z pod sztandaru gwiazdźstego pali się do interwenzowania w sprawach europejskich, a odległość pomiędzy nią a Europą coraz to się umniejsza; zarzut zaś zarobkowości nie pozbawia wychodźtwa polskiego, gromadzącego się za oceanem, charakteru narodowego, piastującego w sobie zczyn polityczny, któremu nic nie przeszkodzi rozwinąć się i wybujać nawet. I to przeto przedstawicielstwo przydać się Polsce może, bylebyśmy o niem pamiętali i do niego czucie utrzymali...

Opinia ta dała mi do myślenia. Od czasu usłyszenia jej z ust Libelta wychodźtwa nasze do Stanów

Zjednoczonych poczęło mię interesować, jako polityczny w odniesieniu do Polski czynnik i zainteresowanie się to rosło — rosło, aż spowodowało w trzydziści lat później podróż moją, która mnie w opinii o przydatności politycznej zainstalowania się wychodźstwa polskiego pod sztandarem gwiazdzistym utwierdziła. Wdzięczy jestem Guttremu za zawiezenie mnie do Libelta.

Rozstając się z Guttrym, pewny byłem, że go już nic od roli nie oderwie. Zawiodłem się. W sześć lat później przyjechał do mnie, do Genewy, gdzie wówczas mieszkał — przyjechał w towarzystwie Johnstona, powiernika lorda Beaconsfilda, w interesie wojny pomiędzy Moskwą a Turcyą. Chodziło o nasz w wojnie tej udział. Anglia życzyła sobie urządzić w Polsce dywersyę, inaczej: powstanie wywołać. Na dywersyę taką nie zgodziliśmy się. Guttry, po rozmówieniu się ze mną, pozostawiając Johnstona, który jak się zdaje spodziewał się mnie przekonać, odjechał, złożwszy raz jeszcze dowód gotowości służenia sprawie polskiej.

Ze służby się nie wycofywał — z tej służby codziennej, prawdziwej, obywatelskiej, polegającej na wypromianiu patryotyzmu ze siebie w słowie i w czynach. Służbę tę pełnił do śmierci, która nastąpiła pod koniec stycznia r. 1891.

Jan Nepomucen Janowski.

Towarzystwo Demokratyczne polskie założonem zostało we Francyi r. 1832. Akt założenia sporządzony d. 18 marca 1832 r., podpisało członków dwudziestu dwóch, wedle pochodzenia rodowego dzielących się jak następuje: jeden chłop, sześciu szlachty wątpliwej, piętnastu karmazynów — wśród tych ostatnich trzy takie, jak dwaj bracia Ganowscy, dwóch Świętosławskich, Kromowski, Rupniewski. Podpis chłopca, na pierwszym figurującym miejscu, brzmi ze szlachecka :

Jan Nepomucen Janowski.

Janowski na świat przyszedł r. 1803 w Konopiskach, wsi dużej, o milę ku granicy śląskiej od Częstochowy odległej, przed r. 1831 do składu dóbr narodowych wchodzącej, po r. 1831 przez cara Mikołaja I. za wierną carską służbę podarowanej Polakowi, oficerowi od żandarmeryi. Carowie wierność względem siebie lepiej — raczej inaczej — niżeli Polska wynagradzają. Patryotyzm polski intratnym nie jest. Dowodem Janowski.

Dziecinne Janowskiemu lata upłynęły częścią we wsi rodzinnej, częścią na Ślązku, w Gliwicach, gdzie do szkół publicznych chodzić począł. W ciągu dalszym uczył się w Krakowie i tam, po zdaniu świetnie egzaminu dojrzałości, wstąpił do uniwersytetu; następnie udał się do Warszawy. W uniwersy-

tecie warszawskim słuchał prawa i ekonomii politycznej i otrzymał dwa złote medale za rozprawy konkursowe na wydziałach prawniczym i filozoficznym, oraz stopień naukowy magistra obojga praw. Ławy uniwersyteckie opuściwszy, urzędował kolejno w sądownictwie i w skarbowości w charakterze prawnika, pracując przytem w publicystyce i pełniąc funkcję bibliotekarza w Towarzystwie Przyjaciół Nauk.

Dla uczonego tej miary, co Janowski, droga, na którą wszedł, świetną wróżyła przyszłość. Trzeba się było tylko „szanować“, tj. w „głupstwach“ udziału nie brać. On też udziału w żadnych nie brał spiskach, w żadnych sprzysiężeniach. Życie pędził regularne i spokojne póty, póki pewnego wieczora jesiennego w uszy jego nie obito się z ulicy wołanie: „Do bronii!... za wolność!... za Polskę!...“

Na okrzyki te w tym chłopie uczonym krew zagrała. Na ulicę wypadł, do spieszącego dokądś tłumowi się przyłączył i dobiegł do arsenału. Z arsenału rozdawano broń. Docisnął się — dostała mu się szpada. Była to szpada Henryka Dąbrowskiego. Z nią w garści przebiegał ulicę Warszawy, zwracając się w strony, z których dochodziły odgłosy rzadkich wystrzałów. Szukał nieprzyjaciela, z którym by się szpadą zmierzył. Gdy dzień zaświtał, dowiedział się od uliczników, że:

Kośtuś kochany, troskami znękany,
Uciekł bez huku — a kuku!... a kuku!...“ *)

Wojaczka nie jego była rzeczą. Na użytek

*) Piosenka uliczna, skomponowana po ucieczce w. ks. Konstantego Pawłowicza. Strofy pierwsza i druga: „Kostuś kochany, troskami znękany — daj folgę kłopotom, rom tom tom!... rom tom tom!... rom tom tom tom, rom tom tom tom!... Po bruku burczałeś, marsowo patrzałeś — uciekłeś bez huku, a kuku!... kuku!... a kukuku, a kukuku!...“ itd.

powstania potrzebnymi byli żołnierze nietylko ze szpadami, ale i z piórem w ręku. Do szeregu tych ostatnich zaciągnął się Janowski z chwilą, gdy po łacinie ogłosił „O procesie rzymskiem w Polsce“ rozprawę zaszczyconą recenzją Lelewela, zamieszczoną w miesięczniku „Temida Polska“. I w szeregu tym, po wybuchu powstania, pozostał, urzędując w Komisji rządowej przychodów i skarbu, jako referent i biorąc czynny w publicystyce rewolucyjnej (najprzód w „Kurjerze Polskim“, następnie w „Gazecie Polskiej“, której redakcyę naczelną objął) udział. W „Gazecie Polskiej“ zamieścił projekt założenia towarzystwa uwłaszczenia włościan i w niejże drukował artykuły, za które spotykały go aresztowania i groźby rozstrzelania. Uwłaszczenie włościan, na co w czasie trwania wojny w r. 1831 zapatrywał się, jako na środek zainteresowania sprawą powstania ludu, stało się następnie wytyczną jego wierzeń patryotycznych i przekonań demokratycznych.

Że tak było, świadczy o tem najpierwsza na emigracyi Janowskiego czynność. Emigracyą zwało się w czasach owych wychodźstwo polskie we Francyi: była to nazwa specjalna, techniczna niejako — nazwa, której w Rosyi na piśmie i w mowie ustnej wygłaszanie surowo było zakazanem. Janowski do grona tej emigracyi przybył pod koniec roku 1831; w roku następnym w miesiącu styczniu, pod przybranym nazwiskiem w charakterze Alzateczyka (do stolicy Francyi wyjątkowo jeno wpuszczano wychodźców polskich), zjawił się w Paryżu i w połowie marca w tymże roku podpisał akt założenia Towarzystwa Dem. Polskiego, którego cel, wyzwolenie Polski, opierał się na zadaniu: uwolnienia i uwłaszczenia włościanstwa. Cel polityczny łączył się ściśle z zadaniem społecznem, a cel i zadanie zlewały się w jedno nierozłączne w przekonaniu demokratycznym. Zadaniu i celowi temu tej demokracji polskiej, której gwiazdą przewodnią był posunięty do fanatyzmu niemal patryotyzm, poświęcił się Janowski duszą i ciałem.

Dla Polski żył, Polską oddechał, pragnąc, ażeby ona za wzór państwowi i narodom służyła. Warunek, pod którym doskonałość taką osiągnąć mogła, widział nie w czem innym, jeno w demokracji.

Tu miejsce o demokracji tej, służącej obecnie za przedmiot dyskusyi — jak ją poprzednio nazwałem — akademickiej, słówko rzec. Osobistość Janowskiego, służąca mi za model do sylwety niniejszej, w sam raz się ku temu nadaje.

Był on fanatykiem patryotyzmu, jakoteż fanatykiem demokracji: świadczą o tem liczne artykuły pióra jego w polskich i francuskich dziennikach zamieszczane, oraz broszury i tłumaczenia na polskie z języków obcych.*)

W fanatyzmie patryotycznym równych sobie miał dużo — mnóstwo. W emigracyi z roku 1831 z trudnością znalazłby się osobnik, któryby za ojczyznę, „za byt jej i chwałę“, na stosie z ochotą spalić się nie dał.

W fanatyzmie demokratycznym znajdowali się mu równi; przewyższający go atoli chybaby się odszukać nie dał. Był on w Demokracji skrajnym — nieprzejednanym... i takim pozostał do śmierci.

Na czem skrajność, na czem nieprzejednanosc jego polegała?

Na wstępie do sylwety niniejszej zaznaczyłem, że Janowski akt założenia Tstwa D. P. podpisał wspólnie z sześcioma zapewne mieszczanami (o pochodzenie mieszczańskie posądzać można Rettla, Kraitsira, Slepikowskiego) i z piętnastu szlachciami.

*) Dla przyszłego emigracyi polskiej historyka potrzebną jest wiadomość, że Biblioteka Uniwersytetu Jagiellońskiego posiada, otrzymane w darze od J. N. Janowskiego, rękopisy i około 1500 książek i broszur, oraz dzienniki, wydawane w emigracyi blisko lat pięćdziesiąt. Źródła do historii emigracyi znajdują się także: w Bibl. polskiej w Paryżu (Quai d'Orlean), w Kuźniku (Poznańskie) i w dużej ilości w Kapperswilu (Szwajcarya).

Na innym, ważniejszym, bo zasady stawiającym, akcie, na Manifestie Tstwa D. P., opublikowanym w roku 1833, podpisali się członkowie świeżo uchwalonego pod nazwą Centralizacji zarządu towarzystwa w liczbie ośmiu (powinno było być dziewięciu). Śród podpisów tych stosunkowo powiększyła się ilość mieszczan — chłop pozostał zawsze sam i podpis swój nakreślił na ostatku. Towarzystwo Demokratyczne liczyło wówczas członków 1.135. Była to mniej więcej jedna piąta wychodźstwa politycznego, które wyemigrowało w r. 1831 i przedstawiało wszystkie stany i wszystkie klasy społeczeństwa polskiego w stosunku takim, w jakim na gruncie, w Polsce, stany owe i klasy pozostawały do oświaty. Lud rolny, na gruncie najliczniejszy, ogarniała ciemnota i na emigracyi, klasy tej przedstawiciele znajdowało się mało; więcej stosunkowo było nieszlachty tj. tej klasy, której później miano „inteligencyi“ nadanem zostało, a do której, obok urzędników i oficyalistów prywatnych, wchodzili mieszczanie i pewien drobny procent żydów; najliczniej przedstawiała się szlachta. Ze szlachty wyłącznie prawie składało się najliczniejsze, umiarkowane stronnictwo, Zjednoczenie. Wyłącznie szlachta otaczała patriarchę arystokracji polskiej, księcia Czartoryskiego. Na pięć tysięcy głów w emigracyi nie było jej chyba mniej niż cztery tysiące. W Tstwie Demokr., biorąc proporcję wedle założycieli i corocznych składów Centralizacji, wypada, że szlachcice, po przyłączeniu się zwłaszcza w r. 1846 Zjednoczenia, stanowili członków $\frac{3}{4}$ najmniej.

Janowskiego to nie zrażało. Towarzystwo D. P. różni dla rozmaitych opuszczali powodów: Adam Gurowski dla panslawizmu*), Leonard Rettel dla to-

*) Adam Gurowski podał się do amnestyi i uzyskał ją o' rządu rosyjskiego; musiał jednak z Rosyi uciekać, w jego bowiem opiniach panslawistycznych rząd Mikołaja I widział niebezpieczeństwo dla siebie, Umarł w Ameryce, odepchnięty przez Moskwę i przez Polaków,

wianizmu, Michał Czajkowski dla kozactwa, Bolesław Gurowski dla infantki hiszpańskiej, inni dla innych nie znanych powodów. Janowski powinien był je opuścić wraz z Zenonem Świętosławskim dla gminy Humań lub Grudziądz, wyznających skrajny, w połączeniu z katolicyzmem, socjalizm i uznających rzeź humańską za zasłużoną niebios karę. Nie uczynił tego. Nie zachwycał się za niewyzwolenie ludu Konstytucją 3-go Maja, co jego skrajność demokratyczną potęgowało, ale potęgowało wedle Manifestu Towarzystwa D. P., któremu się nigdy na jotę nie sprzeniewierzył.

Znamiennem to jest ze względu na to, że ta demokracja stara, obecnie lekceważona trochę, cechuje pięknem ludowym, nadając jej „eo ipso“ znaczenie narodowe i rozleglejsze od tego, jakie jej przyznaje nowoczesna krytyka dorywcza.

Co do narodowości demokracji, to — rozpatrując ją z punktu ogólnego — żaden właściwie naród do wynalazku jej przyznawać się nie może. Datuje ona od czasów niezawodnie przedhistorycznych, towarzysząc kształtowaniu się społeczeństw ludzkich. Narodową staje się, dzięki przystosowywaniu. Społeczeństwa kształtowały się wedle jednej i tej samej modły, dlatego w przystosowywaniach demokracji zachodzą podobieństwa ogólne i różnice szczegółowe: podobieństwa, podsuwające jednym posądzenia jej o naśladownictwo, różnice, upoważniające drugich do przyznawania jej oryginalności narodowej.

A do pewnej, w znacznej nawet części, oryginalności ma ona w Polsce prawa nie mało. Zkąd, jeżeli nie z tkwiącej w duchu narodu idei demokratycznej, wzięło się gminowładztwo szlacheckie? Co ją w Słowiańszczyźnie wschodniej, zachodniej i południowej stłumiło, jeżeli nie napastnicze w VII, VIII,

w oczach których uchodził za zdrajcę sprawy narodowej. Dziwne, że „Kraj“ petersburski nie rehabilitował go jeszcze.

IX i X wiekach podboje i zabory?... Nie uległa im sama jeno Polska; za to na drodze obronnej ukształtował się w niej stan rycerski, który gminowładztwo zamknął w sobie i ulegając wzorom ościennym, odgrodził się prerogatywami od ludu rolnego. Zaznacza to Manifest Towarzystwa D., nie wspominając jednak o ciągłości istnienia w łonie — raczej w sumieniu — społeczeństwa polskiego idei demokratycznej, przejawiającej się: w panowaniu Kazimierza W., przezwanego królem chłopów, w ślubach Jana Kazimierza, w głosach uczonych i kaznodziei (Frycz-Modrzewski, Piotr Skarga), w przykładach możnych (Jan Tarnowski, hetman w. k.). Po półtora wiekowem — dzięki skoszlawionemu wychowaniu, któremu w Polsce podległ „naród polityczny“ (szlachta) — obezwładnieniu umysłowem, przy pierwszym z niemocy tej otrząsaniu się, idea demokratyczna odżyła. W w. XVIII dużo już nazwisk, obok Andrzeja Zamojskiego, Stanisława Małachowskiego, Józefa Wybickiego, Staszycy, Kołłątaja, pojawia się na polu zabiegów o sprawiedliwość społeczną. Działaczy coraz to przybywa. Sprawa ta wchodzi na arenę parlamentarną i zajmuje poważne w publicystyce stanowisko. W r. 1831 J. N. Janowski, najprzód sekretarz, następnie wice-prezes, pod prezydenturą Lelewela, Towarzystwa Patriotycznego, redaktor „Gazety Polskiej“, był autorem, wspólnie ze współpracownikami „Gazety“, projektu założenia Towarzystwa uwłaszczenia włościan, których sprawę w piśmie swoim stawiał i bronił, celem „zainteresowania ludu wiejskiego w wojnie o niepodległość“.

Cel ten, zaznaczony na emigracji r. 1832 przez J. N. Janowskiego, z jego udziałem opracowany i ogłoszony r. 1836, wytkniętym jest kilkakrotnie w owocu opracowania tego, w dziele pamiętnem: w Manifestie Tow. D. P.

W jednym ustępie Manifest wskazując, że usiłowania dotychczasowe odzyskania niepodległości świadczą z jednej strony (ze strony szlacheckiej)

o niemoocy, z drugiej (włościańskiej) „dowodzą niewygasłego w masach uczucia swobód i gotowości do walki w miarę czynionych im obietnic i nadziei“.

W innym ustępie tłumaczy Manifest, że gdyby po wybuchu powstania listopadowego, został przez „powszechne socyalne usamowładnienie“ zasilony pierwotny entuzyastyczny ruch ludowy, nieuchronnym onego następstwem byłoby: „zapalenie prawdziwie narodowej wojny, niewątpliwe zwycięstwo ojczystej sprawy“.

Dalej, po wymotywowaniu zasadniczego znaczenia kastowej ogólnoludzkościowej, formuły demokratycznej: „Wolność, równość, braterstwo“, Manifest konkluduje:

„Tak pojmujemy zasady, do których urzeczywistnienia dąży dziś ludzkość. Na nich opieramy przyszłe odrodzenie społeczności polskiej, w ich duchu nad odzyskaniem niepodległego jej bytu pracujemy.

„Polska więc niepodległa i Polska demokratyczna: oto cel stowarzyszenia naszego“.

Z powyższego, kontrasygnowanego przez chłopą rozumnego streszczenia wyznania wiary politycznej demokracji emigracyjnej z r. 1831 wynika przedewszystkiem, że wyznanie to przenikała, że je cechowała i że mu, niby gwiazda przewodnia przyświecała, przewodniczyła Ojczyzna — wolna i niepodległa Polska w granicach przedrozbiorowych z r. 1772. Bo i o tem Manifest nie zapomina.

Owa przeto demokracja narodowa stara nie zapomniła o tem, o czem nie zapomina, stanowiąca podłoże zasadnicze Ligi Nar. demokracja narodowa nowa: o państwowości polskiej.

We względzie tym pomiędzy demokracją naszą z lat trzydziestych wieku XIX a demokracją z końca tegoż wieku i początku XX nie zachodzi różnica żadna. I ta narodowa i tamta narodowa, a ta nie od dziś, ani od wczora — narodowa w tej mierze, w jakiej narodowemi są demokracje francuska, niemiecka, włoska, szwajcarska, amerykańska i inne.

O różnicach zasadniczych, o naśladownictwie mowy być nie może.

Różnic nie masz również we wstrętach do przygodnych podporządkowywań demokracji (ugodowość, trójlojalizm, przymierza pseudo-opportunistyczne), oraz do najmocniej antynarodowej i srodze w odniesieniu do sprawy polskiej występnej walki klas.

Walki klas demokracja stara nie przypuszczała nawet, jak niektóre kodeksy karne w starożytności nie przypuszczały zbrodni ojcobójstwa.

Różnice?... — różnice zachodziły — jedna zwłaszcza duża, tkwiąca w przekonaniu o „gotowości mas ludowych do walki (o niepodległość ojczyzny) w miarę czynionych im obietnic i nadziei.

Był w tem ogromny, kolosalny demokracji starej błąd przekonaniowy — błąd polegający na nieznanomości psychologii mas ciemnych i na tej pewności, że w razie ostatecznym środka uwolnienia i uwłaszczenia włościanstwa nie chwyci się rząd zaboreczy. Masy ciemne nie są do wierzenia stronie słabszej pochopne, podejrzewając w obietnicach jej podstęp. Rządy zaś nie skrupulizują w przysposabianiu na dalszą metę i wywoływaniu wedle potrzeby walk czy to narodowościowych, czy religijnych, czy klasowych, jak wypadnie — jak się to praktykuje w pozostających pod ich kierownictwem i dozorem szkołach ludowych, w uzależnionych od nich kościołach, w momentach wymagających akcji doraźnej pod postacią stróżowania, szpiegowania, niewykuczając rzezi (humańska, tarnowska, sołowijowiecka i inne). Obecnie w przysposabianiu walki klas rywalizuje rząd moskiewski z organizacją socjalistyczną, która może być pewną, iżby w razie, gdyby caratowi strajki i zamachy na seryo zagroziły, uzyskałaby zaspokojenie domagań się swoich, jak demokracja uzyskała wyzwoleń i uwłaszczenie ludu, ale by nie uzyskała wyzwoleń dla Polski.

Demokracja emigracji z r. 1831 — demokracja Jana Nepomucena Janowskiego (pod jego syl-

wetą uważałem za właściwe podsunąć, jako tło do niej, treściwy pogląd na demokrację, w której on był postacią jedną z najwybitniejszych) — grubo błędziła, licząc na lud nie u ś w i a d o m i o n y. Przeliczyła się — i demokracji „w kajdanach urodzonej, w niewoli zrosłej“, a rzetelnie patryotycznej, polskiej, narodowej, pozostawiła w spadku po sobie przekaz błędu tego naprawienia.

Czy Janowski na błędzie się poznał? Przypuszczając, że się poznał. Mam na to dowody.

Osobiście zszedłem się z nim w r. 1858 i, jak się zdaje, uzyskałem od razu względy jego, które się przedewszystkiem w ten przejawili sposób, że na rok, czy na lat dwa przed pięćdziesiątą Tow. D. P. rocznicą zaproponował mi, abym, dla uczczenia rocznicy tej, historję Towarzystwa napisał. Brak materiałów, czasu i inne okoliczności nie pozwoliły mi zadość życzeniu założyciela Tstwa D. uczynić. Następnie, w r. 1882, w jednej przezemnie napisanych broszurek wyraziłem się, że „jeden promień światła do ludu wprowadzony wart dla nas walnej bitwy wygranej“: za wyrażenie to, wogóle za ową broszurę, w liście gorące przysłał mi uznanie. Dowód treści zaczerpnę z listu, jaki wystosował do mnie na niedługo przed śmiercią swoją, zaszła 5 lutego 1888 r. — list, ogłoszony w „W. P. Słowie“, nosi datę 14 grudnia 1887. Pochop do napisania listu tego dało mu do wiadomości jego dochodzące nawoływanie do zgody, jedności, solidarności. „Pochodzi to może — słowa listu — z przewidywania, że dwaj, a może i wszyscy trzej nasi ujarzmiciele na ziemi naszej mogą się wkrótce rozpierać z sobą i że to może nam dać powód jakiej akcyi. Może to także pochodzi z lepszego zrozumienia obowiązków względem kraju, za który się z orężem w rękę walczyło i gotowym było życie poświęcić, że zatem potrzeba mu pozostać wiernym „usque ad finem.“ Bądź jak bądź faktem jest, że ztąd i z owąd podnoszą się głosy do ogólnego skupienia się w tych lub podobnych słowach: Zgoda,

jedność, solidarność! Pocieszający to objaw, bo każdy tak się odzywający ma niewątpliwie na myśli losy naszej ukochanej a nieszczęśliwej ojczyzny — Polski“. Autor wyjątku tego nie odzywałby się tak przed laty, kiedy polemizował z arystokracją za upieranie się przy utrzymywaniu „stosunku patryarchalnego“ pomiędzy szlachtą a ludem rolnym i liczenia nie na naród własny, lecz na dyplomację we względzie sprawy polskiej, kiedy karcił zawzięcie czartoryszczyznę za częścią niedołężne, częścią występne kierownictwo politycznymi i wojennymi sprawami polskimi w czasach wojny r. 1831. Doświadczenie i rozmyślanie wskazały mu, że i on błądził, na lud ciemny licząc.

Widywałem go rzadko, aleśmy korespondowali ze sobą. Odwiedziłem go raz w Juvisy, w zakładzie dla weteranów polskich. Utraktował mnie śniadaniem w gargocie miejscowej. Przy śniadaniu, słuchając zdań i opowiadań jego, przypatrywałem się mu. Kaleką z przypadku zostawszy, na kulach chodził; rysy oblicza regularne wyglądały niby z pod topora i, w połączeniu z obchodzeniem się rubasznem, świadczyły o pochodzeniu włościańskim. W obcowaniu towarzyskiem umiał być zajmującym i wesołym.

Do osobistości jego odnosi się fakt jeden, tycający się sympatii francuskiej, jeżeli nie dla sprawy polskiej, to dla wspomnień przeszłości minionej. Działo się na pogrzebie Wiktora Hugo. Gdy zwłoki wielkiego poety do Panteonu wniesiono, przed Panteonem uszykował się pułk dragonów i mimo szeregów jazdy przeciągały jedne za drugimi, składając niesionemi na ich czele sztandarami hołd nieboszczykowi, korporacye rozliczne. Z kolei nadeszła garstka ludzi, poprzedzona przez sztandar, za którym toczył się wózek ręczny, a w wózku siedział kaleka. Za pojawieniem się kaleki pod sztandarem, pułkownik salutował, żołnierze w szeregach broń sprezentowali. Nikomu czci takiej nie okazano. Kaleką był J. N. Janowski, sztandarem — sztandar polski.

Krystyn Ostrowski.

Postać to ciekawa — ciekawa ze względu na rodzaj służby, pełnionej przez nią w odniesieniu do sprawy polskiej. Należał on do takich, co sprawie tej służyli — służyli sercem, gorąco, ale się popolitować nie chcieli. Takim był Władysław Plater, takim Krystyn Ostrowski. Podobni w tym względzie, różnili się w innych. Podobieństwo ich na tem polegało, że do żadnego na emigracyi nie należeli stronnictwa, zajmowali stanowiska wyosobnione i działali każdy po swojemu. O działalności Platera będzie później. Działalność Ostrowskiego scharakteryzować się postaram w Sylwecie niniejszej.

Krystyn Ostrowski był członkiem szlacheckiej starej rodziny, herbu Rawicz, „dobrze — jak Wielądek powiada — osiadłej w województwie Sandomirskim, Lubelskim i ziemi Drohickej“. W historii rolę wydatną odgrywać ona zaczęła w początkach panowania Stanisława Augusta. Splendor spłynął na nią od Tomasza Adama kasztelana czerskiego, podskarbiego nadwornego koronnego, uhrabionego po rozbiorach kraju przez rząd pruski. Liczne jego potomstwo (sześciu synów, cztery córki) zasypało hrabiami ziemię polską. Dwaj synowie Tomasza, Antoni wojewoda, senator, komendant gwardyi narodowej warszawskiej r. 1831, i Władysław marszałek sejmu r. 1831, oraz wnuk jego a syn Antoniego, zajmujący

nas obecnie Krystyn, znaleźli się, po upadku powstania, razem na emigracyi. Antoni i Władysław nie pozostawali z rękami założonemi. Krystyn, który, licząc dziewiętnaście lat wieku z Paryża, gdzie, po ukończeniu nauk w kolegium pijarskiem na Żoliborzu, przebywał dla dalszego kształcenia się na drodze naukowej i asystował rewolucyi lipcowej, na wieść o wybuchu powstania pośpieszył do Polski i wnet się do szeregów wojskowych zaciągnął. Kampanię r. 1831 odbył w artyleryi, w bateryi pod dowództwem Bema, którego stał się wielbicielem bezwzględny pomimo, że się z nim w jednym tylko — w nienawiści niewoli moskiewskiej — zgadzał. Młody chłopiec za granicą, czy dlatego, że zasmakował w karyerze wojskowej, czy może za poradą ojca, wstąpił do otwartych natenczas dla wychodźstwa polskiego szeregów wojska belgijskiego, do artyleryi. W wojsku belgijskiem odbył jedyną, jaką od wyzwolenia się swego z pod panowania holenderskiego Belgia prowadziła, kampanię: uczestniczył w oblężeniu Antwerpji. Nie kroczył jednak długo karyery tej drogą. Opuścił szeregi armii belgijskiej i nie wstąpił do szeregów emigracyjnych pomimo, że emigrantem pozostał — pozostał przejęty zasadami jednego z obozów czynnych, w których się wyraziła polityczno-społeczna emigracyi polskiej działalność. Demokrata-republikanin nie wszedł do Tstwa Demokratycznego, nie należał do Zjednoczenia, nie zaciągnął się do gmin socyalistycznych Humań, Grudziądz, nie zorganizował żadnego towarzystwa na rękę własną. Epoki karbo-naryzmu, nowej Polski, wypraw do Polski (Zaliwskiego) i do Włoch przebył w szeregach armii państwa, mogącego się bez siły zbrojnej obchodzić, ponieważ mocarstwa, erygujące królestwo belgijskie, uznały kreację tę dyplomatyczną na zawsze neutralną. W armii takiego państwa — jaka dla niego przyszłwiecała przyszłość? Awanse z porucznika na kapitana, z kapitana na majora, pułkownika, generała.

Czy mu o to chodziło? Nie, chyba, albowiem w roku 1837 dymisję wziął i wyosobnił się.

Wyosobnił się tak dalece, że nawet w zakresie towarzyskim ludzi nie szukał. Podania nie zaznaczają w życiu jego żadnych stosunków bliższych, żadnych przyjaźni z osobnikami płci jednej i drugiej. Pewna pani, która mi w latach osiemdziesiątych mówiła, że go od dawna i dobrze znała, zapewniała mnie, że od kobiet stronił — że się płci pięknej „bał“. Jest w tem może trochę prawdy. Młody, przystojny, zamężny hrabia: posiadał tytuły i warunki wszystkie na pociąganie serc niewieścich ku sobie. Czyż nie pociągnął serduszka ani jednego? Zdarza się to, ale rzadko, młodym zwłaszcza i bogatym hrabiom. Zdarzenie to, jeżeli w rzeczy samej miało w odniesieniu do Krystyna Ostrowskiego miejsce, zasługuje na zaznaczenie i na rozważenie.

Nie garnął się do płci pięknej. Czemu? Miłości służą: wyobraźnia żywa i krew gorąca. Bywają śmiertelnicy albo jednej, albo jednej i drugiej pozbawieni, obdarzeni od natury krwią ciepłą i wyobraźnią leniwą. Nie bezwzględnie jednak. Natury takie umieją czuć gorąco, ale nie w kierunku romansowym. Ostrowski, całą serca swego potęgą, kochał Ojczyznę.

Kochał ją i służyć jej pragnął. Służyć sobą tj. wszystkim, co istota jego w sobie zawierała najcenniejszego. Zawierała ona w sobie przedewszystkiem życie i oddałby je za nią. Lecz — czy w każdym człowieku życie jest najcenniejszem? Co by Polska na tem była zyskała, gdyby Mikołaj Kopernik, zamiast oddania się badaniu obrotu ciał niebieskich, wybrał by zawód wojenny i zginął sławnie w bitwie pod Orszą np.? Czy by literatura naukowa polska posiadała prace historyczne Lelewela, gdyby Lelewel, głowę w jednej z bitew r. 1831 położył? Na co by się przydała w tymże roku śmierć na polu chwały autora trzeciej części „Dziadów“, ustępu „Petersburg“, „Pana Tadeusza“? Cenniejszem w Koperniku, Lelewelu, Mickiewiczu było to, co Ojczyźnie z siebie dać

mogli żyjąc, aniżeli to, co by dali, życie za nią tracąc. Może Ostrowski o tem myślał. Przypuszczalnem to jest tem bardziej, że się poczuwał do możliwości służenia Ojczyźnie, jeżeli nie myśłami mędrca, to wyobraźnią artysty, poety. Poczuwał się do tego, posiadając w duszy nastrój rytmiczny, wytwarzający harmonię kształtów i tonów, bez której w ludzkości istnieć by nie mógł orfeizm ani w plastyce, ani w pieśni. Jest ona niezbędną z jednej strony w rzeźbie, w malarstwie, w architekturze, z drugiej w muzyce wokalne i instrumentalnej, najbardziej zaś, najnieodzowniejszą w poezji, odpowiadającej, ze względu na materyał, z którego buduje, artyzmowi i plastycznemu i tonicznemu.

Z rytmicznym przeto, z artystycznym w duszy nastrojem, dzięki któremu w muzyce, uprawianej przezeń z zamiłowaniem, wykształcił się naukowo i w wykonaniu wielkiej doszedł biegłości, przedstawiło mu się służenie ojczyźnie na drodze artystycznej. Miał przed sobą przykłady, o korzyściach służby tej w zakresie patryotycznym i narodowym świadczące. Marsylianka wywiera na Francuzów wpływ porywający. „Jeszcze Polska nie zginęła“ elektryzuje Polaków. Chopin świat zaznajomił z istnieniem narodowej polskiej muzyki, nadającej się do kompozycji muzycznych w najwyższym artystycznym stylu, stawiającej naród polski na równi ze wszystkimi narodami ucywilizowanymi. A poezya — co?... W czem Mickiewicz ustępuje Goethemu, Wiktorowi Hugo, Byronowi? Czyż tacy Chopiny, Mickiewicze, nie rozstawili Polski, nie wytoczyli dla niej w rzeszy narodów stanowiska zaszczytnego i niepodległego?

Myśli powyższe oblegać musiały młodego Krystyna Ostrowskiego wobec uczuwanej przezeń głęboko potrzeby służenia Ojczyźnie. Wątpić nie można, że go oblegały i ciągnęły na drogę artystyczną, albowiem drogą tą poszedł. Wziął się zrazu do muzyki, dla której bliższe zaciągnął stosunki z Wojciechem Sowińskim, muzykiem uczonym i kompozytorem. Za

czasów panowania króla-mieścianina, w emigracyi polskiej mówiono o geniuszu muzykalnym Ostrowskiego, stawiając go obok Chopina i zapowiadając wystąpienie jego koncertowe. Zapowiedź ta długo na siebie czekać kazała. Ostrowski publicznie wystąpił raz tylko. Kiedy Ludwik Filip w miesiącu lutym, r. 1848, uciekł z Paryża, lud tłumnie wtargnął do opróżnionego z królewskiej rodziny pałacu tuileryjskiego i niespodzianie usłyszał wprawnie i z zapalem graną na fortepianie Marsyliankę. Przez pootwierane naścieżaj drzwi komnat pałacowych rozlegały się dźwięki hymnu narodowego. W jednej z komnat podchwycił ktoś nutę i zaintonował:

Allons enfants de la patrie!
Le jour de gloire est arrivé.
Contre nom de la tyrannie
L'étendard sanglant s'est élevé.

Wnet śpiew się po wszystkich rozległ komnatach — zabrzmiał koncert, jakiego Tuilleries nigdy przedtem nie słyszały. Dzienniki o zdarzeniu tem opowiedziały, notując je dla potomności ze szczegółami, zaczynającemi się od tego, że manifestację tę zapoczątkował Polak, Krystyn Ostrowski.

Był to jedyny jego, jak się zdaje, a na pewne jedyny głośny popis publiczny. O koncertach Ostrowskiego głucho było w Paryżu pomimo, że ci, co go grającego słyszeli, przyznawali mu talent ogromny. Komponował nawet. Ale się nie popisywał. Nie ufał może sobie. Nie dowierzał może publiczności. A może od występowania publicznie powstrzymywała go ta miłość własna, która szanującemu godność własną człowiekowi nie pozwala pospolitować się wobec tłumów dla oklasków. Nie umiem orzec o trafności przypuszczeń swoich. To pewne, że zdolności muzykalne Ostrowskiego, jeżeli je w rzeczy samej posiadał, pozostały kapitałem martwym.

Próbował się w poezyi i w literaturze wogóle. Pisał wierszem i prozą, tłumaczył, tworzył w języ-

kach polskim i francuskim w rozlicznych rodzajach, nawet w naukowym (Lettres slaves). Rodzajem, któremu szczególnie zaufał, był dramat. Zawziął się do niego; usiłował przełamać obojętność czytelników za pomocą wykazania wartości swoich utworów scenicznych przy świetle kinkietów teatralnych. Grao z nich niektóre w Paryżu: w Gymnase, w Port St. Martin — niestety, bez powodzenia. Podwójnie bez powodzenia: nie tylko bowiem autorowi sławy nie ściągnęły, ale go na ogromne naraziły wydatki. Dyrektorowie teatrów francuskich każdą, chociażby najlepszą sztukę wystawiają, jeżeli w razie niepowodzenia, autor kosztą wystawienia opłaci. A kosztą to nie małe, liczące się na jeden wieczór na dziesiątki tysięcy franków. Rujnowały go one, ale nie zrażały — nie zrażały. Porównywał utwory swoje z utworami autorów francuskich i, jeżeli swoim nie przyznawał wyższości, to nie przyznawał im i niższości. I w rzeczy samej tak było. Wszystko, co Ostrowski, czy to po polsku, czy po francusku napisał i wydał (wydawał kosztem własnym), czyni za dość regułem pisarskim. Wszystko jest jak najściślej poprawnem. We wszystkim tem atoli brak piętna indywidualnego — brak twórczości. Takim był powód niepowodzeń utworów jego wobec czytelników, jakoteż wobec słuchaczy i widzów w teatrze.

Jak się on polskimi interesował rzeczami, o tem świadczy wynaleziona przezeń skrócona pisownia polska. Pisownią tą, nazwaną przezeń „streścöną,” napisał Badegia de, czyli Napoleon XIII, poemat heroi-komičný na tle dziejowem w dwudziestu pieśniach (1871)^a. Przytoczę z niego ustępek następujący:

Swobodnej myśli polotem
Po ścyt Parnasu n'e s'ęgam;
Leć Prawd z ic *) jest mym klejnotem

*) Klejnotem jego rodzinnym jest Rawicz; snadź jednak mało go cenil, kiedy się do Prawdzica przyznaje.

I P r a w d ę mówić przysięgam.
Przed zgonem, to prawda ścera,
Naś w'ek w zepsuc'u s'ę tarza;
N'e sukac' w nim bohatera,
W'ęc kogóż wezmę? — cesarza!

Nie przyjęła się innowacya jego w pisowni; nie uwienczyło powodzenie usiłowań jego literackich; na wykołatanie powodzenia mocno nadszarpnął schedę, która mu się z podziału majątku pomiędzy rodzeństwo, po zgonie rodziców dostała: zraziło go to w końcu — zgorzkniał, ztetryczał, znieawidził Francję i Francuzów i do Szwajcaryi się usunął, zamierzając w Ojczyźnie Tella dokonać, przy pomocy resztek fortuny, żywota pracowitego. Zamieszkał w Lauzannie. Na ustroniu, w osamotnieniu, nie wyrzucił z myśli, ani z serca... Ojczyzny. Jakaż jej korzyść przyniósł? Pracował. Ćwiczył się w muzyce. Ogiński, Chopin, Moniuszko, nie licząc podrzędnych, nie tylko Polskę wślawili, ale do jej osobnikowości narodowej wprowadzili jeden z wybitniejszych znamion charakterystycznych, po których się ona w rzeszy narodów rozpoznaje dziś i rozpoznawać będzie w przyszłości. On zaś — co?... Pracował na innem polu — na polu literackiem; pracował ciężko, gorliwie, lożąc sumy bajonkie na opłacenie wydawnictw książkowych i przedstawień teatralnych, dyrektorów, aktorów, aktorek, sztydzących zeń za plecami jego. Czy dorównał Mickiewiczom, Słowackim, Krasieńskim? Czy stanął w szeregu tuż za nimi? Czy stanął w jednym z szeregów dalszych? — w którym?... Czy który z utworów jego zformułował na rzecz Polski jaką myśl ożywczą, jaką ideę nową? czy wywołał w kim żywsze serca bicie?...

Tyle pracy! — tyle zachodów! — tyle wydatków! — i na nic...

Że takie i tym podobne myśli w Lozannie tra-

Herbarze rodzin Ostrowskich rozmaicie uherbowanych wymieniają dziesięć. Żadna się Prawdkiem nie pieczętuje.

pić go musiały, to najmniejszej ulegać nie może wątpliwości. I przychodziło mu niezawodnie na myśl porównywanie siebie, demokraty-republikanina, z tylu innymi współwyznawcami swoimi, demokratami-republikanami, którzy bez takich, w jakie on był zaopatrzone, środków i zasobów moralnych i materyalnych, ruszali się, pracowali, działali, poświęcali się — w ciągu dalszym dziejów Polski etapy stawiali.

Czemu on z nimi nie był? Co mu przeszkadzało w działalności ich brać udział? Na pytania te odpowiedzi nie koniecznie go zadawałnic mogli, tem bardziej, że na wynagrodzenie uchybień dawniejszych za późno już było. W r. 1880 liczył lat siedemdziesiąt: czuł się starym, zdrowie nie dopisywało i powaga wieku nie pozwalała mu po młodzieńczemu poczynać. Gdyby kto wezwał...

Nie wiem, czy na wezwanie czekał. Wiem jednak, że wezwanie wielkie mu sprawiło zadowolenie.

Pojawiło się ono w miesiącu listopadzie 1880 r. Zbliżała się pięćdziesiąta nocy belwederskiej rocznica. Mieszkałem w Genewie i należałem do Towarzystwa polskiego, które pamiętną tę rocznicę uświetnić postanowiło wiecem międzynarodowym. Obok Towarzystwa polskiego istniała grupka socjalistycznej młodzieży polskiej, która postanowiła rocznicę tę uczcić po swojemu, pod hasłem: „Precz z patryotyzmem!” (à bas le patriotisme!). Zapowiedziało się współzawodnictwo. Chodziło o to, za kim się opinia publiczna genewczyków i przebywających w Genewie cudzoziemców oświadczy. Powodzenie w razie takim zależy: od składu biura, osobistości przewodniczącego, brzmienia i formy afisza. Afisz nasz miał być skromnym, ale na przewodniczącego brakło nam osobistości odpowiedniej: uczestnika wojny w r. 1831 o niepodległość Polski. Wprawiło nas to w kłopot, z którego byśmy może wybrnąć nie potrafili, gdyby ktoś nie wymówił był nazwiska Krystyna Ostrowskiego. Postanowiono spróbować — wezwać go na

przewodniczącego meetingowi i wydelegowano mnie, ażebym go w imieniu Towarzystwa zaprosił.

Pojechałem do Lozanny. Po przestąpieniu progu mieszkania Ostrowskiego, opanowało mnie zdziwienie, spowodowane widokiem mnóstwa ptasząt, latających swobodnie w pokoju, który napełniały szczebiotem. W pokoju tym obszernym, umeblowanym gustownie i z wyszukaniem, spotkał mnie mąż wzrostu więcej trochę niż średniego, postawy kształtnej, powierzchowności bez wyrazu. Zbliżając się do mnie, zapytał, czem mi służyć może. Nazwałem się. „A...” — odezwał się, dłoń mi od niechcienia podał, do pokoju obocznego wprowadził, siedzieć poprosił. Okazywał się zimnym i sztywnym. Przedstawiłem mu niezwłocznie powód, który mnie do niego sprowadził. W miarę jakim mówił, fizyognomia jego zmieniała się, w oczach przebijało się ożywienie, wysłuchał mnie, pomilczał chwilę i rzekł:

— Co za szkoda!... Przyrzekłem Platerowi, że będę na obchodzie w Rapperswilu...

— Platerowi łatwiej się bez szanownego pana obejść, aniżeli nam... — odrzekłem. Plater sam jest uczestnikiem powstania listopadowego; będzie prezydował i nada obchodowi charakter odpowiedni obchodom listopadowym w rocznicę pięćdziesiątą. Godzi się i w Genewie podobny obchód urządzać...

— Prawda... — odparł. — Ale co tu zrobić?...

Wstał, po pokoju się przeszedł i, ręką machnąwszy, odezwał się:

— A!... Napiszę do Platera... przeproszę go...

Podziękowałem mu, wstając celem pożegnania go.

— Czemuż pułkownik spieszysz?... — zapytał.

Zatrzymał mnie, posadził i usiadł obok. Zawiązała się między nami rozmowa godzinna, jeżeli nie więcej. Mówiliśmy o emigracji polskiej, o położeniu jej obecnem i obowiązkach, o młodzieży polskiej. Ożywił się i rozgadał. Gdy rzecz o młodzieży na stół się wytoczyła, przypomniałem sobie pogłoskę

o zapisie Ostrowskiego na stypendya i pogłoskę tę powtórzyłem.

— Mam ten zamiar... — rzekł.

Wstał, razy parę w zamyśleniu po pokoju się przeszedł i, zatrzymując się przedemną, takie mi w słuch rzucił zapytanie:

— Nie chciałbyś, pułkowniku, być testamentu mego egzekutorem?...

Zmieszało mnie to. W jednym oka mgnienu w myśli przesunęła się mi odpowiedzialność w ramach osobistego położenia mego, wyrobnika literackiego, na którym wydawcy majątki robią, ale który bez pomocy przyjaciół nie byłby w stanie piórem narodowi służyć. W myśli mi to przemknęło i odpowiedziałem:

— Nie...

Ostrowski nie nalegał. Przedstawiłem mu projekt programu obchodowego i wspomniałem o kontr-obchodzie socyalistycznym...

— Mamy się więc z panami tymi zmierzyć — podchwycił. Wyzywają nas... Ano, dobrze: spróbujemy się...

Przy wyjściu, wychodząc przez ptaszkarnię, odezwałem się:

— Cóż tu ptasząt!

— Lubię kwiaty... — odrzekł — a to są kwiaty żywe, latające i tem prawdziwe przewyższające, że szczebiocą i towarzystwa mi dotrzymują...

Była to kwieciarnia ptasia, dobrana z gatunków ptasząt najpiękniejszych na kuli ziemskiej — niedogodnych z tego względu, że ronily odór nie najwonnejszy i pstrzyły meble, obrazy, franki, fortepian. Ale na to Ostrowski nie zważał.

Obchód pod jego przewodnictwem odbył się świetnie, wobec przepelnionej sluchaczami sali. Zdaje się, że była to okazyja jedyna, w której Krystyn Ostrowski przewodniczył.

Stosunek pomiędzy nim a mną zacieśnił się.

Korespondowaliśmy ze sobą często. Trwało to miesięcy kilka. Nagle się harmonja z mojej winy zepsuła. Szarpiąc się z niedostatkami pomimo pracy usilnej, zamierzyłem polepszenia bytu poszukiwać w literaturze francuskiej: napisałem w tym celu dramat i jadąc z nim do Paryża, zatrzymałem się w Lozannie dla poinformowania się u Ostrowskiego o sposobach zbywania utworów takich. Zapytanie, jakim mu we względzie tym zadał, rozjątrzyło go. Nie wiedząc o doznanych przezeń na tej drodze niepowodzeniach, przypomniałem mu je. Już go więcej nie widziałem. Wkrótce potem umarł. Na jednym ze smętarzy lozańskich legł na sen wieczny w grobowcu, zaznaczonym skromną kolumną z napisem nazwiska jego, daty urodzenia i śmierci i tytułu oficera wojsk polskich, otoczonym kratą żelazną i przyozdobionym odnawianym co wiosnę, krzakiem róż.

Pragnął służyć Ojczyźnie. Pragnienie to, nie-
trafnie skierowane, narażało go na niepowodzenia
po niepowodzeniach. W końcu dopiero, gdy kresu
życia dobiegał, spotkało go powodzenie dwukrotnie:
jedno, gdy obchodowi rocznicy powstania listopado-
wego przewodniczył; drugie, gdy zapis na stypendya
dla młodzieży polskiej sporządził.

Władysław Plater.

Znanego szeroko życiorysu Władysława hr. Platara zaledwie dotknę. W sylwecie, poświęconej Krystynowi Ostrowskiemu, zaznaczyłem podobieństwo pomiędzy dwoma tymi, zasługującymi na wdzięczność spółrodaków, mężami; zaznaczyłem oraz zachodzącą pomiędzy nimi różnicę. Podobieństwo polegało na tem, że jak jeden tak drugi, kochając Polskę gorąco a głęboko, zamierzyli służyć jej szumptem własnym, bez pomocy niczyjej. Różniło zaś ich to, że jeden był demokratą - republikaninem, drugi arystokratą - monarchistą. Plater wkrótce po r. 1831 przymknął był do Hotelu Lambert i założył w duchu stronnictwa tego pismo, „Dziennik Narodowy“, którego redakcyę powierzył jednemu z najzdolniejszych publicystów emigracyjnych, Feliksowi Wrotnowskiemu. Rychło atoli spostrzegł się, że w stronnictwie tem podległym być musi, usunął się więc i założył ognisko odrębne, licząc na to, że się około niego stronnictwo skupi, stronnictwo, którego on będzie duszą, rozporządzicielem, drugim ks. Adamem Czartoryskim. Organ jego redagował Wrotnowski; on zaś zawierał znajomości i zawiązywał stosunki w sferach wysokich politycznych, dyplomatycznych i kościelnych we Francyi i Anglii. W ciągu działalności tej, redaktor raz mu skrewił: za przykładem Mickiewicza ugrzązł w towianizmie, oddając na rzecz doktryny

tej redagowany przez siebie organ. Zaszkoziło to mocno i organowi i ogniskowym Platera widokom pomimo, że towianizm z dziennika niezwłocznie usunął. W rozmowie ze mną, wspominając raz o organie swoim, powiedział:

— Ol.. Wrotnowskiego krótko w ręku trzymałem...

Nie zdało się to na nic. Widoki na zajęcie stanowiska przewodniczącego nie ziściły się. Pismo założone w r. 1840, trzymało się do roku 1847, wydawca zaś onego, rychlej niż Ostrowski, już bowiem r. 1844 zamieszkał w Szwajcaryi z żoną Niemką, którą pojął nie zbyt poprawnie. W Szwajcaryi sprawy polskiej z oka nie spuszczał, ale w tyczących się jej zdarzeniach brał udział dorywczo, utrzymując jeno ciągłość nieprzerwaną w korespondencyi, prowadzonej z mężami stanu i dziennikami, obsyłając memoryałami i adresami gabinety, pisując od czasu do czasu do monarchów i monarchiń, do papieża i kardynałów, publikując broszury polityczne. Działalność jego w kierunku tym nie ustawała. Prowadził ją w porządku kancelarynym, formując archiwum, złożone z listów wychodzących i wchodzących, z wycinków i wypisów z gazet i przeglądów, z wszelakich w ręce mu wpadających a o Polsce wzmiankujących druków. Ciekawem jest archiwum to. W niem przyszły dziejów emigracyi polskiej autor nie jedną znajdzie wskazówkę.

Pracował człowiek, pracował usilnie i gorliwie... dla Polski; lecz z pracy tej korzyść byłaby nie wielka, gdyby nie przyszła mu myśl założenia muzeum polskiego w Rapperswyłu.

Myśli tej nie waham się nazwać prawie genialną — „prawie“ dla tego tylko, że powstała w głowie człowieka, nie zasługującego na posądzanie go o genialność. W sferze arystokratycznej posądzano go o co innego: o pewne niedobory umysłowe. W sferach tych nie inaczej, jeno z przekąsem o nim mówiono — i z przekąsem się o pomyśle jego

w ustnej i pisemnej mowie odzywano. „Władysław Plater?“, „Muzeum?!“. Ci, co go znali bliżej i lepiej, nie przypuszczali, ażeby co z tego być mogło. P. Estreicher Karol zaszczycił mnie paru listami, w których przedsiębiorstwu temu, ledwie, że pod kierownictwem Władysława Platera pozostawało, koniec smutny. W liście ostatnim, pisany na rok, jeżeli nie mniej, przed śmiercią Platera, czynił emigracyę odpowiedzialną za wstyd i hańbę, jaka na Polaków spadnie, gdy po śmierci Platera Szwajcarowie z publicznego targu za długi sprzedadzą muzeum, noszące nazwę „polskiego“ i „narodowego“. O długach na muzeum ciężących, nie na pewne wiedzieć nie mogłem. Przypuszczałem, że są; nie przypuszczałem jednak, ażeby być miały wielkie, sądząc po tem, co się w zamku, w salach muzealnych znajdowało. Czysząc za zamek tak jest niskim, że nie mógł wzbudzać obawy; na zbiorach zaś pierwotnych, wyglądających bardzo skromnie, a składających się w części znacznej z rzeczy pamiątkowych, z przedmiotów takich, jak np. szersć z konia Kościuszki, kora z dęba, pod którym spał Leszek Czarny przed bitwą z Jadźwingami, i miał sen rokujący mu zwycięstwo, pod warunkiem, ażeby na miejscu tem kościół pobudował i t. p., długi żadne ciężać chyba nie mogły. Nie zatrząsały mnie przeto obawy Sz. Estreichera. Odpisałem na nie, że zapobieżenia przewidywanej przezeń hańbie wymagać należy nie od niezaopatrzonej w monetę emigracyi, ale od zamężnej arystokracji, w szeregach, której rodzina Platerów poczesne zajmuje stanowisko.

Same muzeum, jako takie, nie zachwycało mnie nadmiernie. Zachwycała mnie myśl, idea — idea, która się w głowie Platera wylęgała.

Czemu idea ta, wysoko przezemnie ceniona, wylęgnąć się mogła w głowie, bardzo nie wysoko cenionej w tej sferze społecznej, do której właściwiej jej należał?

Przedstawia się tu do rozwiązania zadanie psychologiczne. Rozwiąże się ono z łatwością za pomocą zapytania następującego:

„Czyby Platerowi idea podobna do głowy zawitała, gdyby ona, do spółki z sercem, nie była Polską zapełniona?...“.

Polska mu serce i głowę zapełniała. Kochał ją i myślał o niej, pragnąc jej służyć jaknajskuteczniej. I służył — służył jak mógł i umiał: w interesach jej po Francyi, Anglii, Niemczech (Frankfurt r. 1848) jeździł, chodził, pisał, przemawiał, nawiązywał stosunki, zakładał biura, organizował agencye, dreptał, zabiegał. Świadczeniami na piśmie deptań tych i zabiegów w Brölbergu (nazwa domu jego, w którym nad jeziorem zurichskim zamieszkał) się otoczył i, na świadectwa te patrząc, nieraz siebie zapytywać musiał:

„Na co się to wszystko zdało?... Czy jest w tem materyał dla mnie na monumentum aere perennis?... Czy w materyale tym znajdzie się dla ukochania mego Ojczyzny, jakie pocieszenie, jaka rada, jaka wskazówka?“

Wątpliwości podobne obsiadać musiały zmysł tego pana wielkiego, możnowładcy polskiego w stylu możnowładców, przez Szajnochę nazwą „królewiat“ napiętnowanych, któremu Moskale dobra w kraju skonfiskowali i który, wyekspensowawszy się na działalność na rękę własną, gonił resztkami uratowanych sztucznie zasobów majątkowych. Resztki te nadszarpało mu mocno powstanie styczniowe tak w ciągu półtorarocznego trwania, jak po upadku, gdy Szwajcaryę napełnili rozbitki, których potrzeba było karmić, odziać, po mieszkaniach umieszczać i w sposoby do życia na przyszłość zaopatrywać. Pozawiazywane po stolicach kantonalnych i po miastach znaczniejszych komitety czyniły we względzie tym dużo. Wymagało to jednak czuwania. W Szwajcaryi francuskiej czuwał Stryjeński, w niemieckiej Plater. Plater czuwał, wzorując się na hetmanów, na postów

dawnych, którzy w nagłych potrzebach z własnej łożyli szkatuły. I on w potrzebie jak tamci z własnej łożył kieszeni. Tamtym Rzeczpospolita zwracała. Jemu zwrócić nie było komu; za to było komu szkaliwać go, oskarżać, wierszem i prozą ośmieszać z racyi mniemanych nadużyć i rzeczywistych tonów pańskich. Nie zrażał się tem, widząc ochoczość, z jaką spółziomkowie Wilhelmów Tellów i Winkelridów nieśli pomoc bojownikom za wolność, wyrzuconym z ziemi ojczystej. Ochoczość ta poznać mu dała źródło, z którego wypływała: był niem wiekami pielęgnowany patryotyzm narodowy, uwidoczniiony wszędzie, gdzie to się zrobić dawało, wspinałym lub skromnym pomnikiem, pouczającym naród o jego względem ojczyzny obowiązkach. Czy by się nie przydało coś podobnego Polakom?... — coś, co by i do nich, i do narodów obcych przemawiało?

Na zapytanie to odpowiedziała kolumna spiżowa, postawiona kosztem Platera w miesiącu sierpniu roku 1868, przy końcu alei ciągnącej się od bramy zamkowej w miasteczku Rapperswil grzbietem wzgórra i wrzynającej się cyplem w jezioro Zurichskie. Kolumna stoi na piedestalu kamiennym, głoszącym w czterech językach (łacińskim, niemieckim, francuskim, polskim) światu, że „Niespożyty duch polski, stuletnią krwawą walką protestujący przeciw ciemnącej go przemocy, z wolnej ziemi Helwetów przemawia do sprawiedliwości Boga i świata“.

Pytanie: czemu w Rapperswylu, nie gdzieindziej — nie w Solurze np., gdzie umarł Kościuszko, nie w Lozannie, w której akademii wykładał Mickiewicz — miejsce na pomnik wybrał? Rapperswyl leży w kantonie St. Gallen, kanton zaś St. galeński goręcej niż inne kantony z rozbitkami z powstania styczniowego sympatyzował. Na żaden jednak żalić się nie można. Zurich młodzieży polskiej otworzył ułatwiony do szkół swoich wstęp, urządził dla niej specjalne a bezpłatne kursa przygotowujące do uniwersytetu i politechniki. St. Gallen sympatją swoją

zamanifestował ciepłej, serdeczniej, czem względu Platera pozyskał i wybranie Raperswylu na pomnik spowodował.

Możeby fundacya jego na pomniku poprzestała była, gdyby kolumna zakończona u góry kulą ziemską, z której się do lotu orzeł polski zrywa, posiadała warunki opierania się wiatrom, ześrodkowującym się niekiedy w podłużnej dolinie jeziora i uderzającym potęgą wielką na cypel zamkowy. Wiatry uniemożliwiły utrzymanie się na cyplu kolumny. Pokazała się potrzeba przeniesienia jej na miejsce ubezpieczone a odpowiednie.

Wyszukanie takiego łatwem nie było. Nasuwał się niejako podwórzec zamkowy. Pozostawienie zamku atoli w stanie, w jakim się w r. 1868-9 znajdował — w stanie rudery — i ulokowanie na podwórzcu kolumny byłoby dołączeniem jej do służących do zamiatania ulicy i naprawiania bruków narzędzi i gratów rozmaitych, którym za skład służył, i — zaprzepaszeniem jej. Ażeby znaczenie jej zachować, potrzeba było zamku przeznaczenie zmienić, czyli: do kolumny go przystosować. Na drodze tej sam przez się wykiełkował pomysł założenia Muzeum.

Że jest to pomysł znakomity, temu przeczyć mogą ci jeno desperaci, co nie widzą już dla Polski miejsca w Europie i pragną, dla nierozbudzania apetytów faktycznych, огоłocić ją ze wszystkich posterunków polskich, oddając Polaków na łaskę i niełaskę mocarstw, co ojczyznę ich pomiędzy siebie rozebrały. Plater potrzebę posterunku, świadczącego o kulturalnem Polski, wśród narodów znaczeniu, o jej przydatności cywilizacyjnej, czuł i rozumiał — raczej zrozumiał. Zrozumiał z łatwością dla tego, że czuł-kochał. Kochając, nie koniecznie być orłem potrzeba, ażeby odgadnąć, co ukochanej istocie korzyść istotną przynieść może.

Ze szczytu kolumny, od orła, wpłynęła mu do głowy idea muzealna i.. w r. 1870, w kantonie St.

Gallen, w miasteczku Rapperswyl, w zamku o murach grubych, zbudowanym, jak kroniki głoszą, r. 1098 nato, ażeby zrazu baronom Rappom, następnie grafom Habsburgom, służył ku mieszkaniu, obronie i rozweseleniu, stanęło Muzeum narodowe polskie. Umowa o dzierżawę dokonała się z łatwością. Rudera zamkowa, bluszczem zewnątrz obrośnięta, o połamanych drzwiach i powytłukanych oknach, służyła za mieszkanie puszczykom i nietoperzom, za schronisko dla wróbli, które w posiadanieabrały bluszcze i zapełniły je tysiącami gniazd. Użytek, jaki z niej gmina ciągnęła, polegał na dwóch wieżach, wznoszących się ze strony miasta. W jednej z nich mieszkał strażnik, obowiązany ostrzegać o pożarach; do drugiej przywiązany jest przywilej stary nakręcania zegara, nadany jednej z rodzin mieszczańskich, otrzymującej za czynność tę wynagrodzenie. Zresztą znaczenie zamku, obok cmentarza i kościoła, obok alei spacerowej, było czysto dekoracyjne. Znaczeniu temu muzeum nie zagrażało ani usunięciem, ani obniżeniem — przeciwnie: gmina przeto rapperswylska zyskiwała na urzeczywistnieniu idei, którą kolumna zrodziła.

Piszę o tych szczegółach wedle wspomnień długich rozmów, jakie z Platerem w materji muzeum toczyłem i korespondencyj, jakie z nim zamieniłem. W pozostałych po nim papierach listów moich dziesiątków dziesiątki znajdują się muszą. W nich, o ile przypominam sobie, o czem innem mowy nie było, tylko, jeżeli nie wyłącznie, to głównie, o dwóch sprawach: muzealnej i stypendyalnej.

Muzeum nieboszczyk na szeroką zakroił był skalę. Miało ono nie tylko być wszechstronnem wobec świata ucywilizowanego przedstawicielem Polski, ale oraz i jej sprawami, pod naczelnym Władysława Platera dowództwem, kierować. W celu tym zamierzoną była kreacya wydziałów ministeryalnych: spraw zewnętrznych i wewnętrznych, finansów, wojny, oświaty, kultu i t. d. Miało się to urządzać i roz-

wijać stosownie do napływu środków, na co założyciel instytucji tej na pewne liczył ze względu na jej użyteczność, oraz na to, że w muzeum w Rapperswylu stanie Rząd narodowy jawny i uzyska taki posłuch, jaki naród w czasie powstania dawał Rządowi narodowemu bezimiennemu. Rządowi, na którego by czele stanął Władysław hr. Plater — czyżby naród posłuchu i płaceniami podatków odmówić miał?... W zakroju tym, nie ogłoszonym ale zamierzonym — białymi niciami szytym, naiwności było dużo; nie mniej jednak było dużo dobrej wiary i chęci najlepszych.

Zamiar zaznaczał się w ustanowieniu Rady muzealnej, oraz w gromadzeniu pod firmą Muzeum funduszów na cele po za muzealne, np. na zapomogi dla skazywanych na Syberję przez rząd rosyjski księży katolickich i inne.

Skład Rady przedstawiony do uznania zarządowi kantonalnemu i uznany przezeń, liczył członków pięciu, a mianowicie: Władysław hr. Plater, Stefan Buszczyński, Henryk Bukowski, Agaton Giller i Józef Ignacy Kraszewski. Z tych pięciu sam tylko Plater był czynnym; dwaj Bukowski i Kraszewski, czynnymi być próbowali, lecz z Platerem do porozumienia dojść nie mogli i faktycznie się usunęli; dwaj ostatni w Radzie figurowali, ale udziału w niej nie brali. Plater rządził i zawiadował wszystkim sam, przy pomocy zamianowanego przezeń kustosza, którym był Radomiński, nie specjalista muzealny, ale człowiek światły i rozgarnięty. Radomiński by sobie radę dawał, gdyby miał być swobody trochę. Zauważyłem, że na Platera wpływ niejaki wywierał Giller jeden, zresztą nikt. Chciał być panem samowładnym i był nim w tem przekonaniu, że się na wszystkim zna i wszystko zarządzić potrafi. Należał do rodzaju tych naszych wielkich panów, co się mieli za równie uzdolnionych do wszystkiego na stanowisku nieinaczej, tylko przewodniem, dla których wszystko było jedno: fach prawniczy, sztuka budo-

wnicza, zajęcie finansowe, cele edukacyjne, buława hetmańska, pastorał arcybiskupi, czy co innego. W charakterze tym, w okazałości całej, występował raz do roku, w dniu 29 listopada, obchodzonym w Rapperswylu z możliwie jaknajwiększą okazałością.

W dniu tym odbywał się zjazd. Specjalnie na cel ten wynajęty parowiec przywozi z Zurychu młodzież polską uniwersytecką, emigrację dawniej tam osiadłą, delegacje słuchaczy węgierskich, włoskich, słowiańskich (nie Moskali jednak), oraz parę osobistości z grona profesorskiego lub urzędowego. Goście przybywali około 10 rano, udawali się niezwłocznie na zamek, gdzie dla nich w głównej na pierwszym piętrze sali przygotowane były stołki, otaczające w półkole ustawiony w głębi na podniesieniu fotel, oskrzydłony ze strony jednej i drugiej krzesłami dla dygnitarzy miejscowych i przybyszów dystygowanych. Gdy goście pozajmowali stołki i krzesła, Plater wstępował na podniesienie, witał obecnych, zasiadał na fotelu i odczytywał mowę w dwóch językach, w polskim i francuskim. Następnie udzielał głosu mowcom z góry zamówionym, do których należałem ile razy mię zapraszał, a zapraszał na obchód każdy. Delegaci przemawiali w językach narodów, których członkami byli, a więc po węgiersku, po włosku, po czesku lub serbsku. Po niemiecku odzywali się dygnitarze szwajcarscy. Raz słyszeć się dały akcenty mowy angielskiej. Stało się to na obchodzie setnej rocznicy niepodległości Stanów Zjednoczonych Ameryki północnej, w którym udział wziął delegat ambasady amerykańskiej z Berna. Był to obchód wyjątkowo uroczysty. Gdyśmy wieczorem po bankiecie — obchody wszystkie bankietami się kończyły — do Zurichu wracali, przyświecała nam iluminacja obydwóch brzegów jeziora. Świadczy to, że — mimo, iż za orła w sferze swojej nie uchodził — rozumiał znaczenie Stanów Zjednoczonych w polityce wszechświatowej, żywo i mocno wybitnie-

szych zaborców Polski interesującej. Na uczenie Ameryki wysadził się. Na podwójnej trzydziestokilku kilometrowej długości brzegów jeziora, iluminację sam zarządził i opłacił. Wogóle wszystkie w Rapperswylu na obchody wydatki (parowiec, bankiet, dekoracje etc.) z własnej opędzał kieszeni. Płacili sami za siebie ci tylko, co z dalszych przybywali stron.

Na obchodach Plater w całym występował majestacie, który w porównaniu z występowaniem monarchów, a nawet i podrzędniejszych figur urzędowych, skromniutkim był — raził jednak. Raził tem, że w niepokąźnej postawie amfitryjona, w pospolitej jego fizygnomii, w ruchach, w wymowie nic się nie przebijało majestatycznego. We wszystkim w oczy się rzucało przybranie. Myny przybierał — dynastę udawał, przemawiając, czy to z wysokości fotelu w sali muzealnej, czy też z krzesła prezydyalnego na bankietach, przy których do spełniania toastów na cześć Polski i na cześć hrabiego, służył puchar specjalny, mogący mieścić w sobie wina litrów parę. Używał się on dla formy tylko.

Formalizm, przez Platera przestrzegany, zrażał do niego emigrację demokratyczną zwłaszcza, zrażało ją zaś bardziej jeszcze usuwanie jej od spraw muzealnych — do wglądania w które rościła ona sobie prawo ze względu na zwracanie się hrabiego do ofiarności publicznej. Ze stony emigracyi dużo było racyi. Domagała się ona sprawozdań, mianowicie zaś rachunków, które, ukazawszy się razy kilka na początku, zaprzestały nagle zawiadamiać publiczność ze szczegółami dochodów i rozchodów. Milczenie w tym względzie wywołało wieści o niewłaściwościach w zarządzaniu muzeum, w przebudowywaniu zamku, w obchodzeniu się z robotnikami, w obdłużaniu instytucyi. Wieści podobne krążyły, jątrzyły opinię i oburzały osobistości, bliżej się temi sprawami interesujące. Wyrazem oburzenia stała się broszura wydana przez Ludwika Michalskiego, ówczes-

snego prezesa Zjednoczenia towarzystw polskich w Szwajcaryi, przez niego i przez kilku innych podpisana. Podpisu mego na niej niema: odmówiłem, podejrzwając w niej przesadę i nie mając pewności, ażeby się ona do poprawienia stosunków przyczynić mogła. Plater się mi na Michalskiego ustnie i pismnie żalił. Perswadowałem mu, że jedynym i najpewniejszym na uspojenie opinii sposobem są rachunki. „Niech hrabia Michalskiemu zrobienie rachunków powierzy...” — słowa te znajdują się w jednym z moich do niego listów, jeżeli się listy moje uchowały. Na rachunki nalegałem w tem przeświadczeniu, że jeżeli są jakie długi, to nie na Muzeum chyba, ale na prywatnym Platera majątku, i nie muszą być wielkie, miarkując wedle tego, że stypendya młodzieży dawał — stypendya z jakiegoś, (póki, po śmierci Ostrowskiego, zapis jego nie stworzył stałej i jawnej kasy stypendyjnej) funduszu zagadkowego,

Stypendya były jednym z powodów, dla którego odmówiłem podpisania się na broszurze Michalskiego, wykierowałem się bowiem mimochcąc na pośrednika pomiędzy Platerem a uczącą się młodzieżą. Pośrednictwa mego specyalność stanowiło wyrabianie stypendyów dla socyalistów i kobiet, nie posiadających jego względów. Stąd mnie o socyalizm posądzał mimo, iż perswazyą moją, przedstawiającą naukę jako nieochybny do zwalczania socyalizmu środek, z uznaniem przyjmował. Ale się posądzenia nie pozbywał i rachunków nie robił.

Posądzenia się nie pozbywał, będąc jednym z tych myślicieli, którym, gdy co do mózgu się wsunie, to już w nim twardo siedzi. Po śmierci Kraszewskiego i Gillera, oglądał się za zastępcami ich w Radzie muzealnej. Zwrócił był i na moją osobę uwagę, proponując mi nie wprost lecz za pośrednictwem p. Malwiny Ogonowskiej, tej, co języka polskiego Włochów nauczała i literaturę polską w uniwersytecie bolońskim wykladała, którą w celu tym do mnie do Genewy przysłał. Propozycyę przyjmo-

wałem pod warunkiem rachunków. Warunek ten, łącznie z posądzeniem o socyalizm, odwrócił uwagę Platara od osoby mojej, zwracając ją na osobę księdza Krechowickiego, którym się zrazu zachwycił, zwał go złotoustym, z którym się atoli nie wiem o co poróżnił.

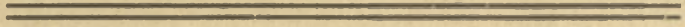
Rachunków nie robił nie przez upór, ani z żadnego uwłaczającego mu powodu, ale dla tego prosto, że to nie jego była rzecz. Zapłatał się śród kas i funduszów, które pozakładał i wybrnąć z odmetu nie umiał. Aż natrafił na Gałęzowskiego Józefa (pułkownika), uznającego doniosłość patryotyczną idei muzealnej i biegłego w rachunkowości. Gałęzowski go z kłopotów rachunkowych wyprowadził, ale po jego dopiero śmierci.

A kłopoty nawaliły się na niego ogromne. Dojeżdżały go, z jednej strony emigracya, z drugiej stańczykierya. Ta ostatnia wybaczyć mu nie mogła zapobieżenia, przez założenie Muzeum, upadkowi politycznego emigracyi polskiej znaczenia. Zmuszało go to do toczenia walki na dwa fronty. Toczył ją — okuniem, hardo stawiał się na lewo i na prawo. Walka ta jednak zmagala go, irytowała i kto wie, czy mu zgonu nie przyspieszyła.

Ze mną stosunki do końca zachowywał dobre. Na obchody do Rapperswyłu przyjeżdżałem w przededniu, zajmowałem numer w hotelu, w którym i on stawał i, wieczorem zaproszony przezeń do jego numeru, spędzałem z nim całe na rozmowie noc. Rozmowy te snuły się zawsze około spraw publicznych.

Nie był to — powtarzam — orzeł. Punkt wychodni poglądów i działalności jego mieścił się nie w głowie, ale w sercu i ułatwił mu przez to powzięcie myśli pożytecznej. Do myśli tej — do tej idei przywiązał się, ale ponieważ komplikowały ją warunki naukowe, artystyczne, polityczne, oraz administracyjne znane mu z wysokości zajmowanego

przezeń społecznego i towarzyskiego stanowiska, urzeczywistnić jej należycie nie umiał. Urzeczywistnienie warunkom tym odpowiadające, spada na tych, co rozwój w ciągu dalszym zapoczątkowanego przez niego, pożytecznego i potrzebnego dzieła wzięli na siebie. Zasługa wcielenia idei do niego wyłącznie należy.



Ważniejsze omyłki druku:

Str.:	Wiersz:	zamiast:	czytaj:
5	7 z g.	wolę	dole
5	11 z d.	wskazując	wskazuje
6	10 z d.	powstania	postacie
8	2 z d.	Bantiano	Bratiano
8	1 z d.	przeto stał	stał
11	9 z d.	cięższe	cięższe
17	15 z d.	sto-	szu-
21	9 z g.	dającą emigracyi,	dającą, emigracyi
24	16 z g.	przed	przy
25	15 z d.	za nią bił	za nią nie bił
31	20 z g.	zaznajomiła	znajomiła
37	2 z d.	Dzienniki	Dziewicki
38	1 z g.	chleba	chleb
42	4 z g.	społecznego i	społecznego,
47	14 z d.	przezwał i	przezwał
49	7 z d.	ze	u
54	21 z d.	staran-	skrom-
72	1 z d.	wąsie	wąsie,
74	15 z d.	Przed w. 15 wstawić ustęp od nowego wiersza:	Książę Adam Czartoryjski, stojący na czele stronnictwa arystokratycznego emigracyi polskiej z r. 1831, poważanym był dla stosunków i znajomości fachu przez dwory i ciała dyplomatyczne. Ciała to w razach drażliwych lub trudnych do niego się po informacje, niekiedy po rady zwracały. W położeniu bardzo trudnem, wprost bezradnem znajdowała się Wysoka Porta skutkiem przymierza z Rosją w Unkiar-Skelessi, oddającego Turcyę na łaskę i niełaskę tej ostatniej. Wysoka Porta, bardziej niż inny jaki w czasie owym gabinet, informacyj pewnych i dokładnych, oraz rad życzliwych potrzebowała.
83	7 z d.	w	o
84	8 z d.	szkole	skale
95	14 z g.	piorwzowego	pewnego
105	7 z g.	nawet	most
105	12 z g.	tonierów,	tonierów
116	5 z d.	rozruszało	wzruszało
121	4 z g.	ten,	ten doszedłem.

Str. :	Wiersz :	zamiast :	czytaj :
125	1 z d.	bataljonu	bataljonów
127	19 z g.	sformowanego	sformowanego
131	7 z g.	pierwszym	pierwszym, gdy
131	12 z d.	zapewne	zawsze
146	18 z d.	Daniewicza	Daniewiczza
148	16 z g.	dało	dawało
152	2 z d.	Haynaua	Haynau'a
162	9 z d.	domagać	domagać się
163	4 z g.	nazwane	na zwane
172	14 z g.	Haymana	Haynau'a
178	5 z g.	wizjami	wizyonem
179	4 z g.	wójda	pójdę
190	18 z d.	Warszawie	Warsie
190	20 z d.	Szaserzy	Szasery i ulani
193	17 z g.	Na wkroczenie do Polski	„Na wkroczenie do Polski“
193	18 z d.	Pomiędzy Austryaków	„Pomiędzy Austryaków“
193	17 z d.	Nie, pomiędzy Moskalami	„Nie, pomiędzy Moskali“
193	16 z d.	swoich	twoich
193	8 z d.	1835	1855
194	4 z d.	prowadzi	poprowadzi
198	8 z g.	nie	nie lepiej
237	2 z g.	zacięcie	ucinanie
238	7 z g.	Bucher'a	Buchoz'a
238	10 z g.	Bucher	Buchoz
238	7 z d.	Bucher'ystów	Buchoz'ystów
239	4 z d.	piastującymi	rozdmuchującymi
246	6 z g.	zaś	zaś za
260	12 z d.	kochanka,	kochanka
263	3 z d.	niszę	niszę
264	8 z d.	także	takie
269	18 z g.	to	tu
275	15 z g.	także	takie
277	4 z g.	niedostateczności	niedostateczności środków
280	16 z g.	owocna	owoconą
280	18 z d.	wzięciu	wzięcie
287	7 z g.	Ganowscy	Gnrowscy
287	8 z g.	Kromowski	Krosnowski
288	3 z d.	Kostuś	Kostusiu
292	13 z g.	ta	te
292	14 z g.	demokracja stara	demokrację starą
292	14 z g.	lekceważona	lekceważoną
292	15 z g.	pięknem ludowem	piętno ludowe
294	12 z g.	kastowej	hasłowej
294	4 z d.	ta	to
309	8 z g.	szumplem	sumplem



33552

/ 2